—Oni chcą mnie znaleźć. Ja znajdę ich pierwsza
Tahereh Mafi
SEKRET JULII
moon drive

Tahereh Mafi

# SEKRET JULII

tłumaczenie Małgorzata Kafel

WYDAWNICTWO otwarte
Kraków 2013

*Mojej Mamie,*
*najlepszej osobie na świecie*

# 1

Możliwe, że słońce oświetla dziś tylko jasne strony życia.

Żółtawy blask plami pastelowy obrus i błękit nieba rozświetlonego zimną nadzieją oraz fałszywymi obietnicami miłych wspomnień – wspomnień prawdziwych rodzin, śniadań w serdecznej atmosferze, talerzy ze stosami naleśników polanych syropem klonowym. Wspomnień o świecie, którego już nie ma.

A może jest zupełnie inaczej.

Może jest ciemno i mokro, a ostry, świszczący wiatr boleśnie smaga skórę na knykciach dorosłych mężczyzn. Może pada śnieg, może deszcz albo grad, nie wiem, może panuje przenikliwe zimno. Może huragan potknął się i zderzył z tornadem, a ziemia drży i się rozstępuje, żeby zrobić miejsce na nasze błędy.

Nawet gdyby tak było, nie miałabym o tym pojęcia.

Nie mam już okna. Nie mam widoku z okna. Moja krew ma temperaturę miliona stopni poniżej zera, a ja jestem pogrzebana 15 metrów pod ziemią w sali szkoleniowej, która ostatnio stała się moim drugim domem. Każdego dnia wpatruję się w te 4 ściany i powtarzam sobie: nie jestem więźniem nie jestem więźniem nie jestem więźniem, ale i tak zdarza się, że dawne lęki płyną mi po twarzy i ściskają mnie za gardło. Nie mogę uwolnić się od klaustrofobii.

Złożyłam tyle obietnic, kiedy się tu znalazłam.

Teraz niczego nie jestem już pewna. Teraz czuję niepokój. Mój umysł okazał się zdrajcą, bo moje myśli każdego ranka wyczołgują się z łóżka z rozbieganym wzrokiem i spoconymi dłońmi, a w mojej piersi puchnie nerwowy chichot, grożąc, że mnie rozsadzi, a napięcie rośnie, rośnie,  rośnie.

Życie tutaj odbiega od moich wyobrażeń.

Mój nowy świat jest wykuty w spiżu, zapieczętowany srebrem, przesiąknięty wonią kamienia i stali. Powietrze jest lodowate, maty do ćwiczeń są pomarańczowe, światła i przełączniki brzęczą i błyskają jaskrawą, neonową elektroniką i elektrycznością. Wszędzie panuje tłok. Tłoczą się ciała, mnożą się korytarze nafaszerowane szeptami, krzykami, tupotem biegnących stóp i odgłosem kroków stawianych w zamyśleniu. Jeśli wsłucham się uważnie, dobiegają mnie dźwięki pracujących mózgów, pocieranych skroni, palców postukujących o podbródki, o usta. Marszczonych brwi. Pomysły są przenoszone w kieszeniach, myśli podpierają się koniuszkami języków, oczy mrużą się w skupieniu podczas ostrożnego planowania, które powinno mnie interesować.

Ale nic nie jest tak, jak powinno być. Jakby wszystkie części ciała odmówiły mi posłuszeństwa.

Castle powiedział, że muszę okiełznać swoją Energię. Że nasze zdolności to Energia pod różnymi postaciami. Wyjaśnił, że materia nigdy nie powstaje ani nie ulega zniszczeniu, a kiedy nasz świat się zmienił, zmieniła się również Energia na świecie. Źródłem naszych zdolności jest wszechświat, różne formy materii i Energii. Nie jesteśmy wybrykami natury. Jesteśmy nieuchronnymi konsekwencjami perwersyjnych manipulacji na Matce Ziemi. Nasza Energia skądś pochodzi, tak

powiedział. A to „skądś” leży gdzieś w otaczającym nas chaosie.

To ma sens. Pamiętam, jak wyglądał świat, kiedy go opuściłam.

Pamiętam zniesmaczone niebo i serię zachodów słońca, które upadało na oczach księżyca. Pamiętam spękaną ziemię, kolczaste krzewy i to, co kiedyś było zielenią, a teraz jest bardziej zbliżone do brązu. Myślę o wodzie, której nie możemy już pić, o ptakach, które nie latają, i o tym, jak niewiele zostało z ludzkiej cywilizacji. Tylko rzędy bloków mieszkalnych na spustoszonej ziemi.

Ta planeta jest jak złamana kość, która nigdy nie została właściwie nastawiona, jak setki sklejonych odprysków kryształu. Zostaliśmy roztrzaskani, a potem zrekonstruowani i poinstruowani, abyśmy każdego dnia udawali, że wciąż funkcjonujemy tak, jak należy. Ale to kłamstwo. Każdy człowiek miejsce myśl pogląd – to kłamstwo.

Ja nie funkcjonuję tak, jak należy.

Jestem tylko konsekwencją katastrofy. Niczym więcej.

2 tygodnie padły porzucone na poboczu drogi, już zapomniane. Spędziłam tutaj 2 tygodnie, od 2 tygodni sypiam na łóżku ustawionym na wydmuszkach, zastanawiając się, kiedy coś pęknie, kiedy po raz pierwszy coś zepsuję, zastanawiając się, kiedy wszystko się rozpadnie. Po 2 tygodniach w tym bezpiecznym miejscu powinnam czuć się szczęśliwsza, zdrowsza, lepiej sypiać. Tymczasem ja zamartwiam się tym, co się stanie, ~~kiedy~~ jeżeli nie wszystko zrobię dobrze, jeżeli nie zrozumiem, jak mam trenować, jeśli ~~umyślnie~~ przypadkiem zrobię komuś krzywdę.

Przygotowujemy się do krwawej wojny.

To dlatego trenuję. Wszyscy przygotowujemy się do odsunięcia od władzy Warnera i jego ludzi. Do wygrania pierwszej bitwy. Do pokazania mieszkańcom naszego świata, że jest jeszcze nadzieja – że nie muszą spełniać żądań Komitetu Odnowy ani wieść życia niewolników reżimu. A ja zgodziłam się przyłączyć do walki. Zostać wojownikiem. Wykorzystać daną mi moc wbrew własnemu rozsądkowi. Lecz na samą myśl o dotknięciu czyjejś skóry powraca cały świat wspomnień i uczuć, przypływ siły, którego doświadczam tylko podczas kontaktu z ciałem człowieka nieodpornego na mój dar. To porywające doznanie – wrażenie, że jestem niezwyciężona, rodzaj dręczącej euforii, tak intensywnej, że zalewa wszystkie pory mojego ciała. Nie wiem, co może ze mną zrobić. Nie wiem, czy potrafię uwierzyć w możliwość czerpania przyjemności z ludzkiego cierpienia.

Wiem tylko, że ostatnie słowa Warnera – zimne i prawdziwe – utkwiły mi w przełyku i dotąd nie mogę ich wykrztusić. Ciągle czuję drapanie w gardle.

Adam nie ma pojęcia, że Warner może mnie dotknąć.

Nikt nie ma.

Myślałam, że Warner nie żyje. Myślałam, że Warner nie żyje, ponieważ myślałam, że go zastrzeliłam, ale nikt nigdy nie pomyślał, że powinnam nauczyć się strzelać, więc teraz myślę, że przyszedł mnie szukać.

Przyszedł walczyć.

O mnie.

# 2

Energiczne pukanie. Drzwi się otwierają.

– Ach. Nie wiem, co ma pani nadzieję osiągnąć, siedząc w tym kącie.

Niewymuszony uśmiech Castle'a tanecznym krokiem wchodzi do pokoju. Castle podąża w ślad za nim.

Z trudem nabieram powietrza i usiłuję spojrzeć mu w oczy, ale nie mogę. Szepczę przeprosiny i słucham, jak moje słowa rozbrzmiewają skruchą w tym wielkim pokoju. Czuję, jak moje drżące palce zaciskają się na grubych, miękkich matach rozłożonych na podłodze, i myślę o tym, że odkąd się tu znalazłam, niczego nie osiągnęłam. To takie upokarzające, takie upokarzające, rozczarować jedynych ludzi, którzy byli dla mnie dobrzy.

Castle stoi naprzeciwko mnie i czeka, aż wreszcie podniosę wzrok.

– Nie musi pani przepraszać – mówi.

Jego bystre, szczere, brązowe oczy i przyjazny uśmiech sprawiają, że łatwo zapomnieć o jego funkcji przywódcy Punktu Omega. Przywódcy całego podziemnego ruchu oporu. Jego głos brzmi zbyt łagodnie, zbyt miło i to jest chyba najgorsze. ~~Czasem wolałabym, żeby na mnie krzyknął.~~

– Ale – ciągnie – musi pani okiełznać swoją Energię.

Milczenie.

Kroki.

Jego ręce opierają się na stosie cegieł, które miałam zniszczyć. Udaje, że nie dostrzega moich zaczerwienionych oczu ani metalowych rur, które rozrzuciłam po sali. Jego spojrzenie ostrożnie omija krwawe smugi na drewnianych deskach w kącie. Nie muszę odpowiadać na jego niezadane pytania: dlaczego tak mocno zaciskam pięści, czy znowu się zraniłam, czy też nie. Pochyla głowę w moją stronę, ale wpatruje się w jakiś punkt za moimi plecami, a jego głos jest cichy.

– Wiem, że to dla pani trudne – mówi. – Ale musi się pani tego nauczyć. Musi pani. Od tego będzie zależało pani życie.

Przełykam ślinę tak głośno, że słyszę, jak w przepaści między nami rozlega się echo. Kiwam głową. Opieram się o ścianę. Cieszy mnie jej chłód i cegły wbijające się w kręgosłup. Podciągam kolana pod brodę i czuję, jak moje stopy zapadają się w porozkładanych na podłodze matach. Jestem o krok od łez, chce mi się krzyczeć.

– Po prostu nie wiem, jak to się dzieje – mówię wreszcie. – Nic nie wiem. Nie wiem nawet, co powinnam robić. – Wpatruję się w sufit i mrugam mrugam mrugam. Czuję, że oczy błyszczą mi wilgocią. – Nie wiem, jak sprawić, żeby coś się wydarzyło.

– Więc musi pani pomyśleć. – Castle jest nieugięty. Podnosi metalową rurę przyniesioną ze złomowiska. Waży ją w rękach. – Musi pani znaleźć związek między kolejnymi zdarzeniami. Kiedy przebiła się pani przez betonową ścianę w sali tortur Warnera, kiedy ciosem pięści zniszczyła pani stalowe drzwi, żeby uratować pana Kenta, co się wtedy stało? Dlaczego w tamtych dwóch wypadkach potrafiła pani dokonać czegoś tak niezwykłego? – Siada jakiś metr ode mnie. Popycha rurę w moim

kierunku. – Chciałbym, żeby poddała pani swoje zdolności analizie. Proszę się skoncentrować.

Skoncentrować.

To tylko jedno słowo, ale wystarczy. Tylko tyle – i robi mi się niedobrze. Mam wrażenie, że wszyscy chcą, żebym się skoncentrowała. Najpierw Warner, a teraz Castle.

Nigdy nie udawało mi się zrobić tego, czego ludzie ode mnie oczekiwali.

Głębokie, pełne smutku westchnienie Castle'a przywołuje mnie do teraźniejszości. Castle wstaje. Wygładza granatową marynarkę – chyba jedyną, jaką ma – z literą omega na plecach. Roztargnionym ruchem dotyka końcówki końskiego ogona: zawsze związuje swoje dredy u nasady karku.

– Stawia pani opór samej sobie – mówi. Jego głos jest łagodny. – Może powinna pani dla odmiany popracować z kimś. Może jakiś partner pomoże pani to zrozumieć. Odkryć związek między tymi dwoma wydarzeniami.

Moje ramiona sztywnieją. Jestem zaskoczona.

– Ale przecież mówił pan, że muszę pracować sama.

Wpatruje się w jakiś punkt za moimi plecami. Drapie się w szyję poniżej ucha, wkłada drugą rękę do kieszeni.

– Tak naprawdę nie chciałem, żeby pracowała pani sama – mówi. – Sęk w tym, że nie było chętnych, żeby pani pomóc.

1, potem 2, potem 15 kamieni wpada mi do żołądka. Kilka utknęło mi w przełyku. Nie wiem, dlaczego wstrzymuję oddech, dlaczego tak mnie to dziwi. Nie powinno mnie dziwić. Nie każdy jest Adamem.

Nie każdy jest przy mnie bezpieczny, tak jak on. Adam to jedyny człowiek, który może mnie dotknąć i sprawia mu to przyjemność. ~~Jedyny poza Warnerem.~~ Lecz Adam, mimo najszczerszych chęci, nie może ze mną trenować. Jest zajęty innymi sprawami.

Sprawami, o których nikt nie chce ze mną rozmawiać.

Spojrzenie Castle'a jest życzliwe, pełne nadziei. Nie ma pojęcia, jak bolesne były jego ostatnie słowa. Bolesne, bo choć dobrze znam prawdę, nadal trudno mi jej słuchać. Boli mnie, kiedy sobie przypominam, że choć unoszę się z Adamem w przytulnej bańce mydlanej, reszta świata wciąż widzi we mnie zagrożenie. Potwora. Dziwoląga.

~~Warner miał rację. Nieważne, dokąd pójdę, i tak przed tym nie ucieknę.~~

– Co się zmieniło? – pytam. – Kto teraz chce ze mną trenować? – Milknę. – Pan?

Castle się uśmiecha.

To ten rodzaj uśmiechu, który zalewa mi szyję upokarzającym żarem i dźga moją dumę w kręgosłup. Muszę się powstrzymywać, żeby nie wybiec za drzwi.

~~Chciałabym powiedzieć: proszę proszę proszę tylko nie litość.~~

– Bardzo żałuję, ale nie mam na to czasu – mówi Castle. – Za to Kenji nareszcie jest wolny. Udało nam się przeorganizować jego zajęcia i powiedział, że z przyjemnością z panią popracuje. – Chwila wahania. – Oczywiście jeśli pani nie ma nic przeciwko temu.

Kenji.

Mam ochotę głośno się roześmiać. To Kenji jest tą jedyną osobą, która nie boi się ze mną ćwiczyć. Już raz go zraniłam. Przypadkiem. Ale nie spędziliśmy razem zbyt wiele czasu, odkąd przywiózł nas do Punktu Omega. To trochę tak, jakby wypełniał misję. Kiedy ją zakończył, wrócił do własnego życia. Widocznie Kenji jest tutaj ważny. Ma milion rzeczy do zrobienia. Rzeczy, których musi dopilnować. Odnoszę wrażenie, że ludzie go lubią, a nawet szanują.

Zastanawiam się, czy kiedykolwiek mieli do czynienia z tym odpychającym, ordynarnym Kenjim, którego poznałam na samym początku.

– Jasne, że nie – mówię.

Pierwszy raz, odkąd Castle się pojawił, staram się okazać mu życzliwość.

Castle wstaje. Jego spojrzenie jest teraz radosne, pełne entuzjazmu. Tak łatwo go zadowolić.

– Doskonale. Poproszę, żeby spotkał się z panią jutro przy śniadaniu. Możecie zacząć od wspólnego posiłku.

– Och, ale zazwyczaj...

– Wiem – przerywa mi Castle. Jego uśmiech zaciska się teraz w cienką linię, czoło marszczy się w zamyśleniu. – Zwykle jada pani w towarzystwie pana Kenta. Tak. Ale nie nawiązuje pani kontaktów z pozostałymi osobami, a jeśli zamierza pani tu zostać, musi pani zacząć nam ufać. Ludzie w Punkcie Omega są przywiązani do Kenjiego. On może być pani rzecznikiem. Jeśli wszyscy zobaczą, że spędzacie czas razem, nie będą się czuli w pani obecności tacy onieśmieleni. To pani pomoże się zaadaptować.

Czuję się tak, jakby ktoś prysnął mi w twarz gorącym olejem. Wzdrygam się, czuję, że ręce mi drżą, nie wiem, w którą stronę skierować wzrok, staram się udawać, że nie czuję bólu w piersi. Muszę 3 razy przełknąć ślinę, zanim udaje mi się wydobyć głos.

– Oni... Oni się mnie boją – mówię, szepczę, milknę. – Ale ja... Nie chciałam nikomu sprawiać kłopotu. Nie chciałam im wchodzić w drogę...

Castle wzdycha, głośno i przeciągle. Spuszcza wzrok, podnosi wzrok, drapie się w miękkie miejsce poniżej podbródka.

– Boją się tylko dlatego, że pani nie znają – mówi wreszcie. – Gdyby się pani troszeczkę postarała... Gdyby pani włożyła choć odrobinę wysiłku w to, żeby kogoś poznać... – Urywa. Marszczy czoło. – Jest pani tutaj od dwóch tygodni, a prawie nie rozmawia pani ze swoimi współlokatorkami.

– Ale przecież to nie... Uważam, że są wspaniałe...

– A jednak je pani ignoruje. Unika ich pani. Dlaczego?

~~Bo nigdy w życiu nie miałam przyjaciółek. Bo boję się, że zrobię coś nie tak, powiem coś niewłaściwego i znienawidzą mnie jak wszystkie inne dziewczyny, które znałam. A ja je za bardzo lubię. Zbyt trudno będzie mi znieść to nieuchronne odrzucenie.~~

Nie odpowiadam.

Castle kręci głową.

– Tak dobrze pani poszło pierwszego dnia po przyjeździe. Odniosłem wrażenie, że pani i Brendan prawie się zaprzyjaźniliście. Nie wiem, co się stało. Sądziłem, że świetnie sobie pani tutaj poradzi.

Brendan. Ten szczupły chłopak o platynowych włosach, w którego żyłach płynie prąd elektryczny. Pamiętam go. Był dla mnie miły.

– Lubię Brendana – mówię zdumiona. – Czy on jest na mnie zły?

– Zły? – Castle kręci głową i głośno się śmieje. Nie odpowiada na moje pytanie. – Nie rozumiem pani. Starałem się okazać pani dużo cierpliwości, dać pani czas, ale przyznaję, że jestem zakłopotany. Zachowywała się pani zupełnie inaczej, kiedy się tu pani znalazła. Była pani podekscytowana przyjazdem do nas! I nie minął nawet tydzień, a całkowicie się pani wycofała. Na nikogo pani nawet nie patrzy, gdy idzie pani korytarzem. Czemu pani nie stara się rozmawiać? Zaprzyjaźnić?

Tak.

Wystarczył mi 1 dzień, żeby się zaaklimatyzować. 1 dzień, żeby się rozejrzeć. 1 dzień, żeby zachwycić się nowym życiem. A im wszystkim wystarczył 1 dzień, żeby się dowiedzieć, kim jestem i co zrobiłam.

Castle nie wspomina o matkach, które na mój widok zabierają z korytarza swoje dzieci, o wrogich spojrzeniach i przykrych słowach, które znoszę, odkąd przyjechałam. O tym, że ostrzega się dzieci, żeby się do mnie nie zbliżały, i o garstce starszych osób, które nie spuszczają mnie z oka. Wyobrażam sobie, co o mnie słyszeli i od kogo.

Julia Ferrars.

Dziewczyna, której dotyk jest śmiercionośny, która wysysa siły witalne i energię żywych ludzi i porzuca na ziemi ich bezwładne, sparaliżowane ciała. Dziewczyna, która większość swojego życia spędziła w szpitalach i w izbach zatrzymań dla nieletnich przestępców. Dziewczyna, którą porzucili nawet rodzice. Dziewczyna uznana za chorą psychicznie i skazana na izolację w szpitalu psychiatrycznym, w którym nawet szczury bały się żyć.

Dziewczyna.

Tak żądna mocy, że zabiła małe dziecko. Torturowała chłopczyka, który dopiero co nauczył się chodzić. Sprawiła, że dorosły mężczyzna, dysząc, osunął się na kolana. Nie ma nawet na tyle poczucia przyzwoitości, żeby się zabić.

To wszystko prawda.

Więc z plamami rumieńca na policzkach, z literami niewypowiedzianych słów na ustach podnoszę na Castle'a oczy, które odmawiają ujawnienia swoich sekretów.

A on wzdycha.

Już ma coś powiedzieć. Chce się odezwać, ale przygląda mi się badawczo i rezygnuje. Poprzestaje na przelotnym skinieniu głową, bierze głęboki oddech, poklepuje zegarek na ręce i mówi tylko:

– Trzy godziny do zgaszenia świateł.

I kieruje się do wyjścia.

Przystaje w drzwiach.

– Proszę pani – mówi nagle, łagodnie, nie odwracając się – podjęła pani decyzję, żeby z nami zostać, żeby walczyć po naszej stronie, należeć do Punktu Omega. – Cisza. – Pani pomoc jest nam potrzebna. I obawiam się, że mamy coraz mniej czasu.

Patrzę, jak wychodzi.

Wsłuchuję się w echo jego oddalających się kroków i ostatnich słów. Opieram

głowę o ścianę. Kieruję wzrok na sufit. Jego poważny, opanowany głos dzwoni mi w uszach.

„Mamy coraz mniej czasu”.

Jakby czas był czymś, co może się skończyć, jakby każdy z nas otrzymał po urodzeniu porcję odmierzoną do miski, a potem okazało się, że wszystkie minuty – zjedzone zbyt łapczywie, za szybko albo tuż przed wskoczeniem do wody – że wszystkie one zostały już bezpowrotnie stracone, zmarnowane, pochłonięte, zużyte.

A przecież czasu nie da się zamknąć w ciasnych granicach naszego pojmowania. Jest nieskończony, niezależny od nas. Nie może nam braknąć czasu, nie możemy stracić poczucia czasu, podobnie jak nie znamy sposobu, żeby go zatrzymać. Czas biegnie nawet wtedy, kiedy my stoimy.

Mamy mnóstwo czasu, powinien był powiedzieć Castle. Mamy cały czas na świecie, powinien był powiedzieć. Ale nie powiedział, ponieważ chodziło mu o to, że, tyk-tak, nasz czas, tyk-tak, mija. Gna do przodu w zupełnie nowym kierunku i za chwilę zderzy się czołowo z czymś innym

tyk
tyk
tyk
tyk
tyk
to już prawie
czas wojny.

# 3

Jest tak blisko, że mogłabym go dotknąć.

Ciemnoniebieskie oczy. Ciemne włosy. T-shirt opięty tam gdzie trzeba. I jego usta, jego usta drżą, zaraz pstryknie przełącznik, który rozpala ogień w moim sercu. Nim zdążę mrugnąć i wypuścić powietrze, już jestem w jego ramionach.

Adam.

– Hej, ty – szepcze prosto w moją szyję.

Powstrzymuję drżenie. Nagły przypływ krwi oblewa mi policzki rumieńcem. Na chwilę, na jedną krótką chwilę porzucam własne ciało i tylko dzięki Adamowi nie rozpadam się na kawałki.

– Hej – mówię z uśmiechem, wdychając jego zapach.

Oto, czym jest luksus.

Rzadko możemy być razem na osobności. Adam dzieli pokój z Kenjim i ze swoim młodszym bratem Jamesem, a ja mieszkam z bliźniaczkami uzdrowicielkami. Wrócą za niecałe 20 minut i mam zamiar jak najlepiej wykorzystać ten czas.

Moje powieki opadają.

Ramiona Adama oplatają mnie w talii, przyciągają mnie bliżej, a rozkosz, którą czuję, jest tak potężna, że ledwie powstrzymuję drżenie całego ciała. Przez tyle lat pragnęło bliskości, ciepła, czułości, kontaktu z drugim człowiekiem, że nie uznaje umiaru. Jestem głodującym dzieckiem, które rzuca się, żeby napełnić żołądek. Usiłuję nasycić zmysły szaleństwem tych chwil, w obawie, że nagle się obudzę i przekonam, że wciąż wybieram dla swojej macochy ziarna soczewicy z popiołu.

Ale wtedy Adam przyciska usta do mojej głowy, a moje zmartwienia przebierają się i przez chwilę udają coś innego.

– Jak leci? – pytam.

To żenujące: wystarczy, że Adam mnie obejmuje, a mój głos już zaczyna drżeć, ale nie potrafię opuścić jego ramion. ~~Nigdy nie chcę ich opuszczać. Nigdy. Nigdy, przenigdy~~.

Jego ciałem wstrząsa śmiech, cichy, serdeczny i pobłażliwy. Nie odpowiada na moje pytanie i wiem, że nie odpowie.

Tyle razy próbowaliśmy wymknąć się razem z pokoju, ale zawsze kończyło się to przyłapaniem i reprymendą. Łamiemy panujące tu zasady. Nie wolno opuszczać sypialni po zgaszeniu świateł. Z początku okazywano nam trochę wyrozumiałości ze względu na dramatyczne okoliczności naszego przybycia. Jednak okres przejściowy minął. Adam i ja musimy przestrzegać zasad na równi z pozostałymi. A zasad jest mnóstwo.

Środki bezpieczeństwa – wszędzie kamery: za każdym rogiem, w każdym korytarzu – świadczą o naszej gotowości na atak. W nocy teren patrolują strażnicy, nasłuchując podejrzanych dźwięków, wypatrując niepokojących zachowań czy śladów włamania. W kwestii bezpieczeństwa Castle i zespół odpowiedzialny za ochronę Punktu Omega nie uznają żadnych kompromisów. Gotowi są poczynić wszelkie kroki, jakie okażą się konieczne, żeby utrzymać intruzów z daleka od naszej

kryjówki.

Castle twierdzi, że tylko dzięki naszej czujności nie zostaliśmy dotąd zdemaskowani, i jeśli mam być szczera, rozumiem, dlaczego w tej kwestii jest taki surowy. Ale te same środki ostrożności nie pozwalają mi zbliżyć się do Adama. Prawie go nie widuję, z wyjątkiem posiłków, a wtedy zawsze jesteśmy otoczeni ludźmi. Cały swój wolny czas spędzam w sali szkoleniowej, gdzie próbuję „okiełznać swoją Energię". Adam jest z tego powodu równie nieszczęśliwy jak ja.

Dotykam jego policzka.

Z trudem nabiera powietrza. Patrzy na mnie. Tym jednym spojrzeniem mówi mi tak wiele, zbyt wiele, żebym mogła to znieść. Muszę odwrócić wzrok. Moja skóra jest nadwrażliwa, nareszcie nareszcie nareszcie się budzi, tętni życiem, huczy od emocji tak gwałtownych, że aż nieprzyzwoitych.

Nawet nie potrafię tego ukryć.

On widzi, co się ze mną dzieje w jego obecności, co się dzieje, kiedy jego palce muskają moją skórę, kiedy jego usta zbliżają się do mojej twarzy. Moje oczy same się zamykają, kończyny zaczynają drżeć, a kolana uginają się pode mną, gdy czuję ciepło bijące od jego ciała. Widzę, że on zdaje sobie sprawę z tego, jaki ma na mnie wpływ. Torturuje mnie z uśmiechem, bez pośpiechu pokonując odległość między nami, upajając się łomotem mojego serca, płytkością oddechu, który z takim wysiłkiem staram się kontrolować, tym, że setki razy przełykam ślinę, zanim on znajdzie się na tyle blisko, żeby mnie pocałować. Nie mogę nawet na niego spojrzeć, nie przeżywając od nowa każdej chwili, którą spędziliśmy razem, nie odtwarzając każdego wspomnienia jego ust, każdego jego dotyku, jego zapachu, jego skóry. To tak potężne i tak nowe, cudowne uczucia, których nigdy wcześniej nie zaznałam, które nigdy wcześniej nie były dla mnie dostępne.

~~Czasem się boję, że to mnie zabije.~~

Uwalniam się z jego ramion. Jest mi gorąco, zimno i chwieję się na nogach. Może uda mi się odzyskać panowanie nad sobą, a on zapomni, jak łatwo mu wytrącić mnie z równowagi. Potrzebuję chwili, żeby się pozbierać. Cofam się chwiejnie, chowam twarz w dłoniach i chciałabym coś powiedzieć, ale cała drżę. Wtedy widzę, że on patrzy na mnie, tak jakby chciał wciągnąć mnie całą w płuca na jednym wdechu.

„Nie". Wydaje mi się, że właśnie to słowo wyszeptał.

Potem wokół mnie są już tylko jego ramiona, rozpaczliwe napięcie w jego głosie, kiedy wypowiada moje imię, a ja rozsypuję się w jego objęciach, osuwam się i rozpadam, nie próbując nawet kontrolować drżenia. On wydaje się rozpalony, jego skóra jest gorąca, a ja już nawet nie wiem, gdzie się znajduję.

Jego prawa dłoń przesuwa się w górę, wzdłuż mojego kręgosłupa, i ciągnie za suwak zamka błyskawicznego, rozpinając mój strój, a ja nie mam zamiaru protestować. Straciłam 17 lat życia i teraz chcę to wszystko nadrobić. Nie zamierzam się wahać ani narażać na żadne „kto wie", „a jeśli" ani wielkie żale. A jeśli się ocknę i okaże się, że ten fenomen się skończył, że się przeterminował, że moja szansa minęła równie niespodziewanie, jak się pojawiła, i że nigdy więcej nie wróci? Że moje dłonie już nigdy więcej nie poczują tego ciepła?

Nie mogę.

Nie chcę.

Przywieram do niego bezwiednie, aż wyczuwam każdy milimetr jego ciała pod cienką bawełną ubrania. Moje ręce wślizgują się pod jego koszulkę, słyszę jego pełen napięcia oddech, czuję, jak naprężają się jego mięśnie. Podnoszę wzrok, aby spojrzeć mu w oczy, ale zastaję je zaciśnięte, a jego twarz zastyga w wyrazie nieznanego bólu. I nagle czuję we włosach jego rozgorączkowane dłonie, a jego usta są tak blisko. Pochyla się i prawa grawitacji przestają działać, moje stopy odrywają się od podłogi, a ja płynę, unoszę się. Jedyne zakłócenia to huragan szalejący w moich płucach i serce bijące o jeden stuk stuk stuk za szybko.

Nasze usta

dotykają się

i wiem, że za chwilę pęknę w szwach. Całuje mnie tak, jakby mnie stracił, odzyskał i czuł, że znowu mu się wyślizguję, lecz nie zamierzał już więcej pozwolić mi odejść. Chcę krzyczeć, chcę zemdleć, chcę umrzeć ze świadomością, że zaznałam życia z jego pocałunkiem, z jego sercem, z tą miękką miękką eksplozją, która jest jak łyk słońca, kęs chmur: 8, 9 i 10 razy.

To.

To sprawia, że przeszywa mnie ból.

Adam odsuwa mnie od siebie, dysząc ciężko, jego ręce wślizgują się pod miękki materiał mojego kombinezonu a jego skóra jest tak gorąca już to chyba mówiłam ale nie pamiętam szaleję tak bardzo że nie rozumiem co on do mnie mówi.

A przecież coś mówi.

W moim uchu rozbrzmiewają słowa głębokie i ochrypłe, ale wychwytuję zaledwie jakieś niewyraźne dźwięki, spółgłoski, samogłoski, sylaby, wszystko zmieszane z sobą. Uderzenia jego serca opuszczają jego pierś i brzmią teraz w mojej. Jego palce odczytują tajemnicze wiadomości na moim ciele. Jego dłonie ześlizgują się po satynowym materiale mojego stroju, zsuwają po wewnętrznych stronach moich ud, zatrzymują na wysokości kolan i wracają w górę w górę w górę, a ja zastanawiam się, czy można zemdleć, jednocześnie nadal będąc przytomnym, i wiem, że tak właśnie musi się czuć ktoś, kto ulega hiperhiperwentylacji. Wtedy on się cofa, nie wypuszczając mnie z objęć. Opiera się plecami o ścianę. Chwyta za moje biodra i przyciąga mnie jeszcze bliżej.

Wydaję z siebie zduszony okrzyk.

Czuję na szyi jego usta, jego rzęsy łaskoczą mnie pod brodą. Jego szept układa się w moje imię, jego usta gubią pocałunki wzdłuż mojego obojczyka, na łuku mojego ramienia, jego usta, jego usta i dłonie, i usta zagłębiają się w krzywizny i pochyłości mojego ciała. Nieruchomieje. Pierś mu faluje, kiedy mówi:

– Boże, jak cudownie jest cię dotykać

i moje serce odlatuje na księżyc beze mnie.

Uwielbiam, kiedy to mówi. Uwielbiam, kiedy mówi, że lubi mnie dotykać, bo to przeczy wszystkiemu, co słyszałam przez całe swoje życie. Chciałabym móc nosić jego słowa w kieszeni tylko po to, żeby raz na jakiś czas ich dotknąć i przypomnieć sobie, że zostały wypowiedziane.

– Julio.

Oddycham z trudem.

Z trudem podnoszę wzrok, patrzę przed siebie i widzę wyłącznie nieskończoną doskonałość tej chwili, ale nawet to nie ma znaczenia, kiedy on się uśmiecha. Uśmiecha się, jakby ktoś rozwiesił gwiazdy na jego ustach, i patrzy na mnie, patrzy na mnie, jakbym była wszystkim, i chce mi się płakać.

– Zamknij oczy – szepcze.

A ja mu ufam.

Więc zamykam.

Moje powieki opadają, a on całuje jedną, potem drugą. Potem moją brodę, nos, czoło. Policzki. Obie skronie.

Każdy

centymetr

mojej szyi

i

nagle odsuwa się tak gwałtownie, że uderza głową o nierówną ścianę. Wymyka mu się kilka nieparlamentarnych słów. Zastygam, zaskoczona i przerażona.

– Co się stało? – pytam, nie wiedząc, dlaczego szepczę. – Nic ci nie jest?

Adam z całej siły stara się powstrzymać grymas bólu, ale oddycha ciężko. Rozgląda się.

– P-prz-rzepraszam – wyjąkuje, trzymając się za tył głowy. – To było... myślałem... – Odwraca wzrok. Odchrząkuje. – Ch-chyba... M-myślałem, że coś słyszałem. Myślałem, że ktoś tu wchodzi.

Jasne.

Adamowi nie wolno tu być.

Chłopcy i dziewczęta mieszkają w oddzielnych skrzydłach Punktu Omega. Castle mówi, że to przede wszystkim po to, żeby dziewczęta czuły się swobodnie i komfortowo, szczególnie że łazienki są wspólne, więc zasadniczo tego nie kwestionuję. To miłe, że nie muszę brać prysznica w towarzystwie starszych panów. Ale przez to Adam i ja tak rzadko możemy być razem. Wszystkim chwilom, które udaje nam się wykraść dla siebie, towarzyszy napięcie i świadomość, że możemy zostać nakryci.

Adam opiera się o ścianę i krzywi się. Wyciągam rękę, żeby dotknąć jego głowy.

A on się wzdryga.

Zamieram.

– Nic ci nie jest?

– Nie. – Wzdycha. – Ja tylko... To znaczy... – Kręci głową. – Nie wiem. – Zniża głos. Spuszcza wzrok. – Nie wiem, co właściwie jest ze mną nie tak.

– Hej. – Muskam opuszkami palców jego brzuch. Bawełniany materiał jego koszulki jest wciąż rozgrzany ciepłem jego ciała. Powstrzymuję chęć zanurzenia w nim twarzy. – W porządku – mówię. – Po prostu przestraszyłeś się, że ktoś wchodzi.

Uśmiecha się dziwnie, smutno.

– Nie chodzi o moją głowę.

Wpatruję się w niego.

Otwiera usta. Zamyka je. Z wysiłkiem otwiera je jeszcze raz.

– To wszystko... to znaczy to... – wskazuje ręką na nas. Ale nie kończy. Nie

patrzy na mnie.

– Nie rozumiem...

– Ja chyba oszaleję – szepcze, choć wygląda tak, jakby nie był pewien, czy w ogóle wypowiada to zdanie na głos.

Patrzę na niego. Patrzę, mrugam, potykam się o słowa, lecz ich nie zauważam, nie znajduję i nie mogę wydobyć głosu. On kręci głową.

Trzyma się mocno za tył głowy i wydaje się zażenowany, a ja usiłuję zrozumieć dlaczego. Adam nie bywa zażenowany. Adam nigdy nie bywa zażenowany.

– Tak długo czekałem na to, żeby być z tobą – mówi wreszcie ochrypłym głosem. – Pragnąłem tego... Pragnę cię od tak dawna, a teraz, po tym wszystkim...

– Adamie, o czym ty...

– Nie mogę spać. Nie mogę spać, myślę o tobie cały... cały czas. Nie mogę...

Milknie. Przyciska dłonie do czoła. Zaciska powieki. Odwraca się do ściany, tak że nie widzę jego twarzy.

– Przecież wiesz... Musisz wiedzieć – ciągnie zachrypniętym głosem, jakby mówienie go wyczerpywało – że nigdy niczego nie pragnąłem tak, jak pragnę ciebie. Niczego. Bo to... To... To znaczy... Boże, pragnę cię, Julio, chcę... chcę...

Głos mu się załamuje. Z powrotem odwraca się do mnie, oczy mu błyszczą, emocje zalewają kolejne płaszczyzny jego twarzy. Jego spojrzenie przesuwa się po liniach mojego ciała tak wolno, że działa jak zapałka na łatwopalną ciecz w moich żyłach.

Płonę.

Chcę coś powiedzieć, coś odpowiedniego, uspokajającego i krzepiącego. Chciałabym mu powiedzieć, że rozumiem, że pragnę tego samego, że ja też go pragnę, ale ta chwila wydaje się tak naładowana, rzeczywista, nabrzmiała, że musi być snem. Zupełnie jakby zostały mi ostatnie litery, same Q i Z, i dopiero wtedy, kiedy on wreszcie odrywa ode mnie wzrok, przypominam sobie, że wynaleziono słownik.

Przełyka ślinę, nie podnosząc oczu. Znowu ucieka przede mną wzrokiem. Jedną rękę trzyma we włosach, a drugą, zaciśniętą w pięść, opiera o ścianę.

– Nie masz pojęcia – mówi chropawym głosem – do jakiego stanu mnie doprowadzasz. Co przez ciebie czuję. Kiedy mnie dotykasz...

Przesuwa drżącą dłonią po twarzy. Prawie się śmieje, ale jego oddech jest ciężki i nierówny, nie patrzy mi w oczy. Robi krok do tyłu, przeklina pod nosem. Przyciska pięści do czoła.

– Jezu. Co ja wygaduję. Cholera. Cholera. Przepraszam... Zapomnij o tym... Zapomnij, że cokolwiek powiedziałem... Muszę iść...

Próbuję go powstrzymać, próbuję odnaleźć głos, próbuję powiedzieć: hej, wszystko w porządku, ale zaczynam się denerwować. Jestem zdenerwowana i skołowana, bo to nie ma sensu. Nie rozumiem, co się dzieje ani skąd u niego ta niepewność, czy nie jest pewien mnie, nas, siebie. On, ja i wszystkie te zaimki. Przecież go nie odrzucam. Nigdy go nie odepchnęłam. Moje uczucia do niego zawsze były takie przejrzyste... On nie ma powodu wątpić w moje uczucia ani czuć się przy mnie niepewnie i nie wiem, dlaczego patrzy na mnie, jakby coś było nie tak...

– Tak mi przykro – mówi. – Jestem... Niepotrzebnie to wszystko mówiłem. Jestem tylko... Jestem... cholera. Niepotrzebnie w ogóle tu przyszedłem. Muszę już iść... Muszę iść...

– Co? Adamie, co się stało? O czym ty mówisz?

– To był zły pomysł – mówi. – Jestem taki głupi... Nie powinno mnie tu w ogóle być...

– Nie jesteś głupi... Wszystko w porządku... Wszystko jest w porządku...

Śmieje się, głośno, głucho. Cień pełnego skrępowania uśmiechu pozostaje jeszcze na jego twarzy, kiedy milknie i wpatruje się w jakiś punkt za moją głową. Przez długi czas się nie odzywa.

– Zdaje się, że Castle jest innego zdania – mówi wreszcie, siląc się na beztroski ton.

– Co takiego? – szepczę zaskoczona.

Wiem, że nie rozmawiamy już o naszym związku.

– Tak. – Jego ręce nagle znajdują się w jego kieszeniach.

– Nie.

Adam kiwa głową. Wzrusza ramionami. Zerka na mnie i zaraz odwraca wzrok.

– Nie wiem. Tak mi się wydaje.

– Ale te testy... Czy... Czy to znaczy... – Nie mogę przestać kręcić głową. – Czy on coś wykrył?

Adam nie patrzy na mnie.

– O, Boże – mówię szeptem, jakbym w ten sposób mogła sprawić, że wszystko będzie łatwiejsze. – Więc to prawda? Castle ma rację?

Mój głos staje się coraz bardziej piskliwy, moje mięśnie się napinają i odnoszę wrażenie, że to uczucie, które pnie się teraz w górę po moich plecach, zaczyna przypominać strach. A przecież nie ma powodu do obaw. Wiedziałam, że Adam może mieć dar podobny do mojego, powinnam była zdawać sobie sprawę, że to wszystko nie będzie takie proste, takie łatwe. Castle od samego początku był zdania, że Adam może mnie dotknąć, ponieważ posiada jakiś rodzaj Energii, która mu to umożliwia. Castle nigdy nie uważał, że jego odporność na mój dar to szczęśliwy zbieg okoliczności. Twierdził, że za tym kryje się coś więcej, że istnieje jakieś bardziej naukowe wyjaśnienie, bardziej konkretne. ~~Ja zawsze wolałam wierzyć, że po prostu miałam szczęście.~~

Adam jednak chciał wiedzieć. Był wręcz podekscytowany na myśl, że się tego dowie.

Lecz kiedy zaczęli z Castle'em przeprowadzać testy, Adam nagle stracił ochotę, żeby o tym rozmawiać. Ograniczał się do zdawkowych wzmianek o postępach. Jego ekscytacja minęła podejrzanie szybko.

Coś jest nie tak.

Coś jest nie tak.

~~Oczywiście, że coś jest nie tak~~.

– Na razie to nic pewnego – mówi Adam, ale widzę, że coś ukrywa. – Muszę przejść jeszcze kilka sesji. Castle mówi, że zostało jeszcze parę rzeczy, które musi... sprawdzić.

Mechaniczny ton, jakim Adam przekazuje mi te informacje, nie umyka mojej

uwagi. Coś jest nie w porządku. Aż trudno uwierzyć, że do tej pory niczego nie zauważyłam. Zdaję sobie sprawę, że po prostu nie chciałam niczego zauważyć. Nie chciałam przyznać przed samą sobą, że Adam wydaje się teraz wyczerpany, przemęczony, ciaśniej zawinięty w kokon niż kiedykolwiek przedtem. Lęk zagnieździł się na jego ramionach.

– Adam...

– Nie martw się o mnie.

Jego głos nie brzmi szorstko, ale trudno nie zauważyć w nim nuty zniecierpliwienia. Zanim udaje mi się coś powiedzieć, przyciąga mnie w swoje ramiona. Jego palce starają się przywrócić mój zamek błyskawiczny do położenia, które mogłoby uchodzić za przyzwoite.

– Nic mi nie jest – mówi. – Tak naprawdę interesuje mnie tylko to, czy u ciebie wszystko w porządku. Jeżeli ty czujesz się tutaj dobrze, to ja też. Wszystko gra. – Wstrzymuje oddech. – Tak? Wszystko będzie dobrze.

Niepewny uśmiech na jego twarzy sprawia, że moje serce zamiera.

– Tak. – Potrzebuję chwili, żeby odnaleźć głos. – Tak, jasne, ale...

Otwierają się drzwi. Sonia i Sara zastygają w bezruchu, wpatrując się w nasze splecione ciała.

– Och! – mówi Sara.

– Hm. – Sonia spuszcza wzrok.

Adam przeklina pod nosem.

– Możemy wrócić później... – mówią jednocześnie bliźniaczki.

Chcą wyjść, ale je zatrzymujemy. Nie mam zamiaru wyrzucać Soni i Sary z ich pokoju.

Proszę je, żeby nie wychodziły.

Pytają mnie, czy jestem pewna.

Zerkam na twarz Adama i chociaż wiem, że potem będę żałowała każdej chwili, którą mogliśmy spędzić razem, to wiem również, że nie mogę nadużywać uprzejmości swoich współlokatorek. To ich osobista przestrzeń, w dodatku zbliża się pora gaszenia świateł. Nie mogą się tułać po korytarzach.

Adam już na mnie nie patrzy, ale też nie wypuszcza mnie z objęć. Pochylam się i zostawiam delikatny pocałunek na jego sercu. Wreszcie patrzy mi w oczy. Posyła mi słaby, zbolały uśmiech.

– Kocham cię – mówię cicho, tak że tylko on może mnie usłyszeć.

Wypuszcza powietrze.

– Nie masz pojęcia... – szepcze i odsuwa się.

Obraca się na pięcie. Kieruje się do drzwi.

Serce zaczyna mi bić jak szalone.

Dziewczyny wpatrują się we mnie. Zatroskane.

Sonia chce właśnie coś powiedzieć, kiedy

pstryk

trzask

błysk

i światła gasną.

# 4

Sny wróciły.

Krótko po tym, jak Warner uwięził mnie w bazie, na jakiś czas mnie opuściły. Myślałam, że straciłam ptaka – białego ptaka ze złotymi prążkami na głowie przypominającymi koronę. Wcześniej widywałam go w snach, patrzyłam, jak lekko i płynnie unosi się w powietrzu, żeglując ponad światem, jak gdyby posiadł jakąś tajemną wiedzę, jakby znał sekrety, których istnienia nie podejrzewamy, jakby prowadził mnie w jakieś bezpieczne miejsce. Był moim ostatnim promykiem nadziei w gorzkich ciemnościach szpitala psychiatrycznego, dopóki nie natknęłam się na jego wizerunek wytatuowany na piersi Adama.

Zupełnie jakby wyfrunął z moich snów tylko po to, żeby spocząć na jego sercu. Sądziłam, że to znak, wiadomość dla mnie, że wreszcie jestem bezpieczna. Że odleciałam i nareszcie znalazłam schronienie, swój azyl.

Nie spodziewałam się, że znowu zobaczę go we śnie.

Ale teraz wrócił i wygląda dokładnie tak samo. To ten sam biały ptak na tym samym błękitnym niebie, z tą samą złotą koroną. Tylko tym razem się nie porusza. Trzepocze skrzydłami w miejscu, jakby był uwięziony w niewidzialnej klatce, jakby jego przeznaczeniem było powtarzać ten sam ruch w nieskończoność. Wydaje się, że lata: jest w powietrzu, jego skrzydła pracują. Wygląda, jakby był wolny i mógł szybować po niebie. Ale on utknął.

Nie może wznieść się wyżej.

Nie może spaść.

Przez cały miniony tydzień każdej nocy śnił mi się ten sam sen i przez 7 kolejnych poranków budziłam się roztrzęsiona, chwytając w płuca pachnące ziemią lodowate powietrze, próbując stłumić jęk wzbierający w mojej piersi.

Usiłując zrozumieć, co to znaczy.

Wyczołguję się z łóżka i wślizguję w ten sam strój, który wkładam każdego dnia, jedyne ubranie, jakie mam. Zostało uszyte z materiału o najgłębszym odcieniu purpury – tak śliwkowym, że prawie czarnym. Ma delikatny połysk i odrobinę się mieni, kiedy pada na nie światło. To jednoczęściowy strój, sięgający od szyi po nadgarstki i kostki u nóg. Dokładnie przylega do ciała, choć nie jest obcisły.

Poruszam się w nim jak gimnastyczka.

Wkładam do niego sprężyste skórzane buty do kostek, dopasowujące się do kształtu moich stóp i sprawiające, że moje kroki są bezszelestne. Mam sięgające łokci czarne skórzane rękawiczki, które chronią innych przed moim dotykiem. Sonia i Sara pożyczyły mi gumkę i pierwszy raz od lat włosy nie opadają mi na twarz. Noszę je związane wysoko w koński ogon i nauczyłam się bez niczyjej pomocy zapinać nowe ubranie. Czuję się w nim nadzwyczajnie. Ten kombinezon sprawia, że czuję się niezwyciężona.

To był prezent od Castle'a.

Został uszyty specjalnie dla mnie, zanim jeszcze przybyłam do Punktu Omega. Castle uznał, że może ucieszyłabym się wreszcie mając strój, który będzie mnie

chronił przed samą sobą i przed innymi ludźmi. Wciąż jednak mogę kogoś zranić. Gdybym chciała. Albo musiała. Kombinezon jest uszyty z jakiegoś szczególnego rodzaju tkaniny, która ma mnie chłodzić, gdy będzie gorąco, i grzać, kiedy będzie chłodno. Na razie doskonale się sprawdza.

~~Na razie na razie na razie~~

Idę na śniadanie sama.

Kiedy się budzę, Soni i Sary zwykle już nie ma. Ich praca w skrzydle medycznym nigdy się nie kończy. Leczą rannych, a przez resztę czasu pracują nad recepturami różnych maści i proszków. Tylko raz miałyśmy okazję porozmawiać. Sonia wyjaśniła mi wtedy, że niektóre rodzaje Energii mogą się wyczerpywać, jeśli są zbyt intensywnie eksploatowane, a to powoduje problemy zdrowotne. Dziewczyny mówią, że chcą się nauczyć sporządzać leki, które będzie można stosować, jeśli się okaże, że chorych lub rannych jest bardzo wielu. Na wypadek gdyby nie były w stanie uzdrowić ich wszystkich jednocześnie. Są w końcu tylko dwie. A wszystko wskazuje na to, że wojna wisi na włosku.

Głowy wciąż obracają się w moim kierunku, kiedy wchodzę do jadalni.

Jestem wybrykiem natury, nawet wśród innych wybryków natury. Powinnam już do tego przywyknąć, po tylu latach. Powinnam być twardsza, mniej wrażliwa, bardziej obojętna na to, co myślą inni.

~~Wiele rzeczy powinnam.~~

Idę przez salę z beztroskim spojrzeniem, trzymając ręce przy sobie. Udaję, że nie jestem w stanie nawiązać kontaktu wzrokowego z niczym oprócz plamy na ścianie – w odległości 15 metrów od miejsca, w którym stoję, widnieje niewielki ślad.

Udaję, że jestem tylko liczbą.

Twarz wytarta z uczuć. Usta idealnie nieruchome. Plecy proste, dłonie niezaciśnięte w pięści. Jestem automatem. Cieniem sunącym przez tłum.

6 kroków do przodu. Przede mną 15 stolików. Upłynęły 42 43 44 sekundy i mijają kolejne.

~~Boję się~~

~~Boję się~~

~~Boję się~~

Bronię się.

Jedzenie jest podawane tylko 3 razy w ciągu dnia: śniadanie od 7 do 8, obiad od 12 do 13 i kolacja od 17 do 19. Kolację podaje się o godzinę dłużej, to trochę jak nagroda na koniec dnia, za ciężką pracę. Ale posiłki nie są jakoś szczególnie celebrowane – to zupełnie co innego niż jadanie z Warnerem. Tutaj po prostu stoimy w długiej kolejce przy ladzie, odbieramy swoje porcje i przechodzimy do części jadalnej, na którą składają się równoległe rzędy prostokątnych stolików. Niczego nie ma tu w nadmiarze, więc nic się nie marnuje.

Dostrzegam w kolejce Adama i idę w jego kierunku.

Upłynęło 68 69 70 sekund i mijają kolejne.

– Cześć, ślicznotko.

W plecy uderza mnie jakaś miękka kulka. Upada na podłogę. Odwracam się, a na mojej twarzy napinają się 43 mięśnie potrzebne, żeby zmarszczyć czoło.

Kenji.

Szeroki, swobodny uśmiech. Oczy koloru onyksu. Włosy jeszcze ciemniejsze, wpadające do oczu, proste i ostre jak druciki. Uśmiech, który stara się powstrzymać, wprawia w drżenie jego żuchwę i usta, podkreśla imponujące kości policzkowe. Kenji patrzy na mnie z taką miną, jakbym miała papier toaletowy we włosach. Zastanawiam się, jak to się stało, że nie rozmawiałam z nim, odkąd tu przyjechaliśmy. Przecież on, formalnie rzecz biorąc, uratował mi życie. Adamowi też. I Jamesowi.

Kenji schyla się, żeby podnieść coś, co wygląda jak zwinięte w kulkę skarpety. Waży je w dłoni, jakby ponownie zamierzał nimi we mnie cisnąć.

– Dokąd to? – pyta. – Myślałem, że miałaś się ze mną spotkać? Castle powiedział...

– Co to za rzucanie po jadalni skarpetami? – przerywam mu. – Ludzie przyszli tu zjeść.

Na ułamek sekundy nieruchomieje, po czym przewraca oczami. Podchodzi bliżej. Ciągnie mnie za koński ogon.

– Spieszyłem się na spotkanie z panią, wasza wysokość. Nie zdążyłem nawet włożyć skarpet. – Wskazuje na trzymane w ręce skarpetki i buty włożone na gołe stopy.

– Co za grubiaństwo.

– W ciekawy sposób dajesz mi do zrozumienia, że cię pociągam.

Kręcę głową, próbując opanować rozbawienie. Kenji to chodzący paradoks. Niewzruszony Ważniak i Dojrzewający Chłopiec w jednej osobie. Ale już zapomniałam, jak lekko w jego towarzystwie się oddycha. Tam gdzie jest Kenji, śmiech sam się pojawia. Więc biorę tacę i kieruję się do stolika. Choć staram się nie reagować, uśmiech uparcie ciągnie mnie za kąciki ust.

Kenji idzie za mną.

– No. To dzisiaj pracujemy razem.

– A tak.

– I co? Mijasz mnie tak bez słowa? Nawet nie powiedziałaś „cześć”! – Przyciska skarpetki do piersi. – Jestem zdruzgotany. Zająłem nam stolik i w ogóle.

Zerkam na niego. Nie zatrzymuję się.

Dogania mnie.

– Mówię poważnie. Masz pojęcie, jakie to krępujące, kiedy machasz do kogoś, a ten ktoś cię ignoruje? Rozglądasz się potem jak osioł, robisz minę, że niby „no nie, naprawdę, przysięgam, znam tę dziewczynę”, i nikt ci nie wie...

– Żartujesz. – Przystaję na środku jadalni. Obracam się. Moja twarz wyraża niedowierzanie. – W ciągu dwóch tygodni, które tu spędziłam, odezwałeś się do mnie najwyżej raz. Nie dziw się, że cię już nie zauważam.

– No zaraz, chwileczkę – mówi, zagradzając mi drogę. – Oboje wiemy, że to niemożliwe. Nie mogłaś przecież nie zauważyć tego. – Wskazuje na siebie. – Daruj sobie te gierki, to nie zadziała.

– Co? – Marszczę czoło. – O czym ty mó...

– Nie możesz udawać, że jesteś nie do zdobycia, mała. – Unosi brew. – Nawet nie mogę cię dotknąć. W tych okolicznościach „nie do zdobycia” to zupełnie nowa

kategoria. Wiesz, o co mi chodzi.

– Boże – poruszam bezgłośnie ustami, kręcąc głową. – Jesteś szalony.

Pada na kolana.

– Szaleję z miłości do ciebie!

– Kenji!

Boję się podnieść wzrok i rozejrzeć wkoło. Marzę tylko o tym, żeby już przestał gadać. Żeby więcej się do mnie nie zbliżał. Ja wiem, że żartuje, ale kto wie, co myśli reszta.

– Co jest? – mówi tubalnym głosem, który rozlega się echem po sali. – Czy moje uczucie jest dla ciebie żenujące?

– Proszę... proszę, wstań... i mów ciszej.

– Mowy nie ma.

– Dlaczego? – pytam błagalnym tonem.

– Bo wtedy nie będę mógł słuchać swojego dźwięcznego głosu. A to – dodaje – najlepsza część zabawy.

Nie mam odwagi spojrzeć mu w oczy.

– Nie odtrącaj mnie, Julio. Jestem samotnym człowiekiem.

– Co ci strzeliło do głowy?

– Łamiesz mi serce – mówi jeszcze głośniej, a przemowie towarzyszą teraz rozpaczliwe, zamaszyste gesty.

Cofam się w panice, bo niewiele brakuje, żeby zahaczył mnie rękami. Wtedy zdaję sobie sprawę, że wszyscy mu się przyglądają.

I dobrze się bawią.

Z wymuszonym uśmiechem rozglądam się po sali i z zaskoczeniem stwierdzam, że nikt teraz nie patrzy na mnie. Mężczyźni się śmieją, wyraźnie przywykli do wygłupów Kenjiego, a kobiety wpatrują się w niego z mieszaniną uwielbienia i czegoś jeszcze.

Adam też patrzy. Stoi z tacą w rękach, przekrzywioną głową i zagubionym wzrokiem. Kiedy nasze spojrzenia się spotykają, uśmiecha się niepewnie.

Idę w jego stronę.

– Hej, zaczekaj, mała. – Kenji zrywa się i chwyta mnie za ramię. – Przecież wiesz, że tylko się... – Podąża za moim wzrokiem. Uderza się dłonią w czoło. – No, jasne! Jak mogłem zapomnieć? Kochasz mojego współlokatora!

Odwracam się twarzą do niego.

– Posłuchaj, dziękuję, że chcesz mi pomóc w treningach. Naprawdę jestem ci wdzięczna. Ale nie możesz tak sobie chodzić i wołać, że mnie kochasz... W dodatku w obecności Adama... No i może byś mi pozwolił przejść przez salę, zanim skończy się śniadanie? Prawie w ogóle nie widuję Adama.

Kenji trochę poważnieje. Bardzo powoli kiwa głową.

– Masz rację. Przepraszam. Chwytam.

– Dziękuję.

– Adam jest zazdrosny.

– Idź wreszcie po to swoje śniadanie! – Popycham go mocno, z trudem powstrzymując śmiech.

Kenji jest tutaj jedyną osobą – rzecz jasna, oprócz Adama – która nie boi się

mnie dotknąć. W rzeczywistości ludzie nie mają się czego obawiać, kiedy mam na sobie swój kombinezon, ale zwykle przy jedzeniu zdejmuję rękawiczki, poza tym moja reputacja zawsze kroczy 1,5 metra przede mną. Ludzie wolą się trzymać z daleka. Kenji się nie boi, chociaż raz przez przypadek go zaatakowałam. Myślę, że trzeba końskiej dawki czegoś naprawdę obrzydliwego, żeby go do siebie zrazić.

To w nim podziwiam.

Adam prawie nic nie mówi. Ale wystarczy mi jego zdawkowe „hej" i niesymetryczny grymas jego ust. Widzę, że się prostuje, robi się spięty, trochę bardziej zdenerwowany. A ja, choć niewiele wiem o życiu na tym świecie, potrafię sporo wyczytać z jego oczu.

Ze sposobu, w jaki na mnie patrzy.

Jego spojrzenie jest teraz niepokojąco ciężkie, ale wciąż tak czułe, tak skupione i pełne miłości, że z trudem powstrzymuję chęć rzucenia mu się w ramiona. Przyłapuję się na tym, że obserwuję jego najprostsze ruchy – jak przestępuje z nogi na nogę, bierze tacę, kiwa do kogoś głową – tylko po to, żeby śledzić poruszenia jego ciała w otaczającym nas powietrzu. Nasze wspólne chwile są tak rzadkie, że moje płuca i serce nie dają sobie z nimi rady. Że nie mam ochoty zachowywać się racjonalnie.

On nie wypuszcza mojej ręki.

A ja nie spuszczam go z oka.

– Wszystko w porządku? – pytam, wciąż odrobinę zaniepokojona jego wczorajszym zachowaniem.

Kiwa głową. Próbuje się uśmiechnąć, ale przychodzi mu to z trudem.

– Tak. Ehm... – odchrząkuje. Bierze głęboki oddech. Odwraca wzrok. – Przykro mi z powodu wczorajszego wieczoru. Chyba... Trochę mi odbiło.

– Ale dlaczego?

Spogląda na coś ponad moim ramieniem. Marszczy brwi.

– Adamie?

– Tak?

– O co chodzi?

Jego oczy znowu odnajdują moje. Szeroko otwarte. Okrągłe.

– Co? To nic takiego.

– Nie rozu...

– Dlaczego zawsze musicie tak się grzebać?

Obracam się. Przede mną stoi Kenji. Na tacy ma furę jedzenia. Nie wiem, jak tego dokonał, ale musiał przekonać kucharzy, żeby mu dali dodatkową porcję.

– No? – Kenji wciąż patrzy na nas i czeka na odpowiedź. Wreszcie ruchem głowy pokazuje, żebyśmy szli za nim, i kieruje się do stolika.

Adam wypuszcza powietrze. Wydaje się tak nieobecny, że porzucam temat wczorajszego wieczoru. Później. Niedługo porozmawiamy. Jestem pewna, że to nic takiego. Jestem pewna, że to w ogóle nic ważnego.

Niedługo porozmawiamy i wszystko będzie dobrze.

# 5

Kenji czeka na nas przy pustym stoliku.

Z początku jadał z nami jeszcze James, ale odkąd zaprzyjaźnił się z grupką dzieci z Punktu Omega, woli siedzieć z nimi. Mam wrażenie, że jest tutaj najszczęśliwszy z nas wszystkich – a ja jestem szczęśliwa, że on jest szczęśliwy. Muszę przyznać, że brakuje mi jego towarzystwa, ale nie mam odwagi o tym wspomnieć. Nie jestem pewna, czy chcę wiedzieć, dlaczego on nie spędza czasu z Adamem, kiedy ja jestem w pobliżu. ~~Wolę nie wiedzieć, czy innym dzieciom udało się go przekonać, że jestem niebezpieczna. Wiem, jestem niebezpieczna, ale ja tylko~~

Adam siada na ławce, a ja wślizguję się na miejsce obok niego. Kenji siada naprzeciwko nas. Adam i ja ukrywamy nasze splecione dłonie pod stołem, a ja rozkoszuję się luksusem tej chwilowej bliskości. Wciąż mam na sobie rękawiczki, ale bycie obok niego mi wystarcza. W żołądku rozkwitają mi kwiaty, a ich miękkie płatki drażnią mój system nerwowy. To niesamowite, jaki on ma na mnie wpływ, jak się przez niego czuję, o czym dzięki niemu myślę. Zupełnie jakby spełniły się moje 3 życzenia: dotknąć, posmakować, poczuć. Jakbym ujrzała najdziwniejsze zjawisko. Jakbym znalazła szalony szczęśliwy sen zawinięty w bibułkę, przewiązany wstążeczką i ukryty głęboko w moim sercu.

~~Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że to przywilej, na który nie zasłużyłam.~~

Adam się przysuwa i jego noga przylega do mojej.

Podnoszę wzrok. Uśmiecha się do mnie leciutko, ukradkiem. Jego uśmiech mówi tak wiele rzeczy – rzeczy, których nie powinno się mówić przy śniadaniu. Staram się zachować kamienną twarz i głęboko oddychać. Odwracam wzrok i próbuję się skupić na posiłku. Mam nadzieję, że się nie czerwienię.

Adam pochyla się, zbliżając usta do mojego ucha. Czuję miękki szept jego oddechu, jeszcze zanim udaje mu się coś powiedzieć.

– Jesteście obrzydliwi, wiecie o tym, prawda?

Zaskoczona podnoszę wzrok na Kenjiego, który zastygł w bezruchu, z głową przechyloną w naszą stronę. Wskazuje łyżką na nasze twarze.

– Co to ma być? Miziacie się pod stołem stopami czy co?

Adam odsuwa się ode mnie, tylko na 1 centymetr, może 2, i wydaje z siebie głębokie, pełne irytacji westchnienie.

– Jeżeli ci się to nie podoba, nikt cię tu nie trzyma. – Wskazuje głową stoliki dokoła nas. – Nikt ci nie kazał siadać akurat tutaj.

Adam podejmuje wspólny trud bycia miłym dla Kenjiego. W wojsku byli przyjaciółmi, ale i tak nie mam pojęcia, skąd Kenji tak świetnie wie, jak sprowokować Adama. Trudno uwierzyć, że dzielą pokój.

Zastanawiam się, jak z sobą wytrzymują.

– Gadasz głupstwa i dobrze o tym wiesz. Mówiłem ci rano, że muszę się do was przysiąść. Castle chce, żebym pomógł wam się przystosować. – Kenji parska. Kiwa głową w moją stronę. – Nie mam pojęcia, co ty widzisz w tym gościu, ale powinnaś spróbować z nim pomieszkać. Ten facet jest humorzasty, że hej.

– Nie jestem humorzasty...

– Taa, bracie – Kenji odkłada sztućce. – Jesteś humorzasty. Nic tylko „zamknij się, Kenji", „idź spać, Kenji", „nikt nie ma ochoty oglądać cię nago". Tysiące ludzi marzy o tym, żeby zobaczyć mnie nago. Mogę to udowodnić.

– Jak długo zamierzasz tu siedzieć? – Adam odwraca głowę i przeciera oczy.

Kenji siada prosto. Podnosi łyżkę i dźga nią powietrze.

– Macie szczęście, że siedzę przy waszym stole. To dla was towarzyski awans.

Czuję, że Adam jest coraz bardziej zdenerwowany, i postanawiam interweniować.

– Może dajmy już sobie spokój.

Kenji stęka. Przewraca oczami. Znowu napycha sobie usta.

Zaczynam się martwić.

Teraz, kiedy przyglądam się uważniej, dostrzegam zmęczenie w oczach Adama, zmartwienie na jego czole, napięcie jego ramion. Chciałabym wiedzieć, przez co ostatnio przechodzi. Czego mi nie mówi. Ciągnę go delikatnie za rękę, a on odwraca się w moją stronę.

– Na pewno wszystko w porządku? – szepczę.

Czuję się tak, jakbym zadawała mu ciągle to samo pytanie w kółko w kółko w kółko

Jego spojrzenie natychmiast łagodnieje. Wygląda na zmęczonego, ale lekko rozbawionego. Jego ręka pod stołem wypuszcza moją i opiera się na moim kolanie. Przesuwa się po moim udzie, a ja nagle gubię gdzieś cały swój zasób słów. Wtedy Adam składa delikatny pocałunek na moich włosach, a jego usta pozostają tam wystarczająco długo, żeby doszczętnie zniszczyć moją zdolność koncentracji. Z trudem przełykam ślinę, o mało nie upuszczając widelca na podłogę. Dopiero po chwili przypominam sobie, że właściwie nie usłyszałam odpowiedzi na swoje pytanie. Wreszcie Adam kiwa głową.

– Nic mi nie jest – mówi do swojego talerza.

Wciąż wstrzymuję oddech, gdy jego ręka rysuje na mojej nodze misterne wzory.

– Dzień dobry państwu.

Prostuję się gwałtownie, uderzając ręką o blat stołu. W tonie głosu Castle'a jest coś, co upodabnia go do nauczyciela, który przyłapał nas na niewłaściwym zachowaniu w klasie. Adam jednak wydaje się niewzruszony.

Staram się powstrzymać jęk wywołany bólem w knykciach, kiedy czuję, że Adam z powrotem splata nasze dłonie, a potem unosi je i całuje po kolei moje obolałe palce, nawet nie podnosząc oczu. Słyszę, jak Kenji krztusi się jedzeniem.

Podnoszę głowę, trzymając się kurczowo ręki Adama.

Castle zatrzymuje się przy naszym stoliku, a Kenji wstaje, żeby odnieść talerz do kuchni. Poklepuje Castle'a po plecach jak starego przyjaciela, a Castle odpowiada mu ciepłym uśmiechem.

– Zaraz wracam! – woła Kenji ponad jego ramieniem, z przesadnym entuzjazmem unosząc w górę kciuk. – Spróbujcie nie rozebrać się do naga przy wszystkich, dobra? Tu są dzieci.

Zerkam z zażenowaniem na Adama, ale on wydaje się dziwnie skupiony na

swoim jedzeniu. Od pojawienia się Castle'a nie wypowiedział słowa.

Postanawiam odpowiedzieć za nas oboje. Przyklejam sobie szeroki uśmiech.

– Dzień dobry.

Castle kiwa głową, dotykając klapy marynarki. Wydaje się uosobieniem siły i pewności siebie. Uśmiecha się do mnie promiennie.

– Przyszedłem się tylko przywitać i sprawdzić, czy wszystko w porządku. Bardzo się cieszę, że poszerza pani swój krąg przyjaciół.

– Och. Dziękuję. Ale to nie moja zasługa – zauważam. – To pan kazał mi usiąść z Kenjim.

W uśmiechu Castle'a jest odrobinę zbyt duże napięcie.

– Tak. Cóż – mówi. – Cieszę się, że skorzystała pani z mojej rady.

Kiwam głową do swojego jedzenia. Z roztargnieniem pocieram czoło. Adam wygląda tak, jakby w ogóle nie oddychał. Już mam coś powiedzieć, kiedy Castle zwraca się do Adama.

– Czy pani Ferrars powiedziała już panu, że teraz będzie trenowała z Kenjim? Mam nadzieję, że to jej pomoże zrobić postępy.

Adam nie odpowiada.

Castle się nie poddaje.

– Właśnie pomyślałem, że może powinna popracować również z panem. Oczywiście pod moim nadzorem.

Spojrzenie Adama staje się czujne. Pełne niepokoju.

– O czym pan mówi? – pyta.

– No... – Castle milknie. Jego wzrok wędruje ode mnie do Adama i z powrotem. – Pomyślałem, że może dobrze byłoby przeprowadzić parę testów na was obojgu. Razem.

Adam wstaje tak szybko, że o mało nie uderza kolanem o stół.

– Zdecydowanie nie.

– Ależ... – zaczyna Castle.

– Po moim trupie!

– Może to pani Ferrars powinna o tym zdecydować.

– Nie chcę o tym rozmawiać tutaj...

Zrywam się na równe nogi. Adam wygląda tak, jakby był gotów coś podpalić. Stoi z zaciśniętymi pięściami, patrząc na Castle'a w napięciu spod zmrużonych powiek. Jego czoło jest zmarszczone, a on sam roztrzęsiony i zaniepokojony.

– O co chodzi? – dopytuję się.

Castle kręci głową. Nie odpowiada na moje pytanie.

– Chcę tylko poobserwować, co się dzieje, kiedy ona pana dotyka. To wszystko.

– Czy pan oszalał?

– To dla jej dobra – przekonuje Castle ostrożnie, niezwykle spokojnym tonem. – To nie ma nic wspólnego z pana postępami...

– Jakimi postępami? – przerywam mu.

– Chciałbym jej pomóc zrozumieć, jaki ma wpływ na przedmioty nieożywione – ciągnie Castle. – Wiemy już, jak oddziałuje na zwierzęta i ludzi, wiemy, że wystarczy jeden dotyk. Wydaje się, że jej zdolności nie mają żadnego wpływu na

rośliny. Ale wszystko inne? To... zupełnie osobny rozdział. Pani Ferrars jeszcze sobie z tym nie radzi, a ja chciałbym jej pomóc. To wszystko – mówi. – Chcę pomóc pani Ferrars.

Adam robi krok w moją stronę.

– Jeżeli pan chce pomóc jej zrozumieć, jak niszczyć przedmioty martwe, to do czego ja jestem panu potrzebny?

Przez sekundę Castle wygląda na pokonanego.

– Właściwie nie wiem – mówi. – Niepowtarzalna natura waszego związku... jest dość interesująca. Szczególnie w świetle tego, czego się dotąd dowiedzieliśmy...

– Czego się dowiedzieliście? – wtrącam się ponownie.

– Niewykluczone, że to wszystko jest z sobą powiązane w sposób, którego jeszcze nie rozumiemy – ciągnie Castle.

Adam wydaje się nieprzekonany. Jego usta są zaciśnięte w cienką linię. Nie wygląda, jakby miał zamiar odpowiedzieć. Castle zwraca się do mnie. Sili się na entuzjazm.

– Co pani o tym myśli? Jest pani zainteresowana?

– Zainteresowana? – Patrzę na Castle'a. – Przecież nawet nie wiem, o czym mówicie. I chcę wiedzieć, dlaczego nikt nie odpowiada na moje pytania. Co takiego odkryliście u Adama? Co jest nie tak? Czy coś jest nie tak? – Patrzę to na jednego, to na drugiego. Adam oddycha ciężko, choć stara się to ukryć, jego dłonie wciąż zaciskają się i rozluźniają. – Proszę, żeby ktoś mi wyjaśnił, co tu się dzieje.

Castle marszczy czoło. Przygląda mi się zdezorientowany, ze ściągniętymi brwiami, jakbym mówiła językiem, którego nie słyszał od lat. Wciąż patrząc na mnie, zwraca się do Adama.

– Czy mam przez to rozumieć, że jeszcze nie podzielił się pan naszymi wnioskami z panią Ferrars?

– Jakimi wnioskami? – Moje serce bije teraz gwałtownie, tak gwałtownie, że sprawia mi ból.

– A więc...

– To nie pana interes – warczy Adam. Jego głos jest bardzo niski, bardzo spokojny, bardzo mroczny.

– Ona powinna wiedzieć...

– Jeszcze niczego nie potwierdziliśmy!

– Wiemy dostatecznie dużo.

– Gówno prawda. Jeszcze nie skończyliśmy...

– Jedyne, co nam zostało, to zbadanie was obojga...

Adam robi krok do przodu i staje na wprost Castle'a, chwytając swoją tacę ze śniadaniem odrobinę zbyt gwałtownie.

– Może innym razem – mówi bardzo, bardzo powoli.

Odwraca się, żeby odejść.

Dotykam jego ramienia.

On przystaje. Zostawia tacę i obraca się w moją stronę. Dzieli nas najwyżej centymetr, a ja prawie zapominam, że stoimy w zatłoczonej sali. Jego oddech jest gorący i płytki. Ciepło bijące od jego ciała roztapia moją krew, a ona natychmiast rozlewa się na moich policzkach.

Panika przyprawia mnie o zawrót głowy.

– Nic się nie stało – mówi, ale ja prawie go nie słyszę wśród łomotu naszych zderzających się serc. – Wszystko będzie dobrze. Obiecuję.

– Ale...

– Obiecuję – powtarza, biorąc mnie za rękę. – Przysięgam. Naprawię to...

– Naprawisz to? – Ja chyba śnię. Ja chyba umieram. – Co naprawisz? – Coś pęka w moim mózgu, coś się dzieje bez mojego pozwolenia, gdzie ja jestem, gdzie jestem, dlaczego wszystko jest tak poplątane, pogrążam się w chaosie. – Adamie, ja nic nie rozu...

– No nie! – Kenji przeciska się z powrotem do nas. – Nie mówcie, że naprawdę chcecie zrobić to tutaj! Przy wszystkich? Te stoliki nie są takie wygodne, na jakie wyglądają...

Adam cofa się i wychodzi, potrącając po drodze Kenjiego.

– Przestań – mówi tylko.

I znika.

# 6

Kenji gwiżdże cicho.

Castle woła Adama, prosi go, żeby zaczekał, porozmawiał z nim, zachowywał się rozsądnie. Adam nawet się nie ogląda.

– Mówiłem ci, że jest humorzasty – mamrocze Kenji.

– Nie jest humorzasty. – Słyszę swój głos, ale słowa dobiegają z daleka, nie mają nic wspólnego z moimi ustami. Cała jestem odrętwiała, tak jakby moje ramiona były puste w środku, i tylko to, co mam na głowie, mnie przytłacza. Bo wszystko, wszystko to sprawy wielkiej wagi.

Gdzie ja zostawiłam swój głos nie mogę wydobyć głosu nie mogę wydobyć

– No. – Kenji klaszcze w dłonie. – Zostaliśmy sami, co? Gotowa na kopa w dupę?

– Kenji.

Jest. Głupiutki głosik, który ukrywał się pod powierzchnią lęku, obsesji, zaprzeczenia, bólu.

– Tak?

– Zaprowadź mnie tam, dokąd oni poszli.

Kenji ma taką minę, jakbym go poprosiła, żeby kopnął się w twarz.

– Hm, taaak... Co powiesz na serdeczne „bujaj się” w odpowiedzi na powyższą prośbę? Może być? Bo dla mnie to by było w sam raz.

– Muszę wiedzieć, co się dzieje. – Odwracam się do niego zrozpaczona. Czuję się głupio. – Ty wiesz, prawda? Wiesz, o co chodzi?

– Oczywiście, że wiem. – Marszczy czoło, krzyżuje ramiona. Patrzy na mnie. – Mieszkam z tym skurczybykiem i praktycznie rzecz biorąc, kieruję tym miejscem. Wiem wszystko.

– Więc dlaczego mi nie powiesz? Kenji, proszę...

– Tak, ehm, udam, że tego nie słyszałem, ale wiesz, co zrobię? Pomogę ci się zabrać . cholerę z tej jadalni, gdzie wszyscy słuchają każdego naszego słowa. – Końcówkę zdania wymawia przesadnie głośno, rozgląda się wkoło i kręci głową. – Wracajcie do swoich śniadań, ludzie. Nie ma na co patrzeć.

Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, jakie urządziliśmy przedstawienie. Każda para oczu skierowana jest na nas, a każdy z obecnych osądza osądza osądza mnie, zastanawiając się, co się tutaj dzieje. Silę się na wątły uśmiech i machnięcie drżącą ręką, po czym pozwalam, żeby Kenji wyprowadził mnie na korytarz.

– Nie ma potrzeby machać do ludu, księżniczko. To nie ceremonia koronacyjna. – Ciągnie mnie jednym z wielu długich, pogrążonych w półmroku tuneli.

– Powiedz mi, co się dzieje. – Mrugam kilkakrotnie, zanim moje oczy przyzwyczajają się do oświetlenia. – To nie w porządku, że wszyscy wiedzą, o co chodzi, poza mną.

Wzrusza ramionami, opiera rękę o ścianę.

– To nie ja powinienem ci to wyjaśnić. Lubię denerwować tego gościa, ale nie

jestem dupkiem. Prosił mnie, żebym nic nie mówił. Więc nic nie powiem.

– Ale czy... Czy nic mu nie jest? Możesz mi przynajmniej powiedzieć, czy on się dobrze czuje?

Kenji przesuwa ręką po twarzy i wzdycha zniecierpliwiony. Przygląda mi się badawczo, aż w końcu nabiera powietrza.

– No, dobrze. Widziałaś kiedyś wrak pociągu? – Nie czeka na odpowiedź. – Ja widziałem, jak byłem mały. To był jeden z tych wielkich, wariackich pociągów z milionem wagonów. Wszystkie wykolejone, połowa wyleciała w powietrze. Wszystko się pali, wszyscy krzyczą, nikt nie wie, co się dzieje, i po prostu wiadomo, że ci, co jeszcze nie zginęli, zaraz zginą, a ty wiesz, że nie chcesz na to patrzeć, ale po prostu nie możesz oderwać wzroku. – Kiwa głową. Zagryza policzek od wewnątrz. – To coś w tym rodzaju. Twój chłopak wygląda jak cholerny wrak pociągu.

Nie czuję nóg.

– Sam nie wiem – ciągnie Kenji. – Szczerze? Moim zdaniem histeryzuje. W końcu działy się już gorsze rzeczy. Siedzimy po małżowiny uszne w śmierdzącym gównie. Ale nie, pan Adam Kent zachowuje się tak, jakby tego nie wiedział. W zasadzie jestem pewien, że ma coś z głową. On chyba nawet nie sypia. Co gorsza – dodaje, nachylając się – mam wrażenie, że to się odbija na Jamesie i szczerze mówiąc, zaczyna mnie to wkurzać, bo ten chłopak jest za fajny, żeby musiał sobie radzić z tragediami Adama...

Ale ja już go nie słucham.

Przed oczami stają mi najgorsze możliwe scenariusze, najgorsze możliwe konsekwencje. Koszmarne, przerażające rzeczy, wszystkie kończące się tragiczną śmiercią Adama. Na pewno jest chory, cierpi na jakieś straszliwe schorzenie albo coś sprawia, że robi rzeczy, nad którymi nie panuje, albo, o Boże, nie

– Musisz mi powiedzieć.

Nie poznaję własnego głosu. Kenji wpatruje się we mnie wstrząśnięty, szeroko otwartymi oczami, a na jego twarzy maluje się najprawdziwszy strach i dopiero wtedy zdaję sobie sprawę, że przyciskam go do ściany. Zaciskam wszystkie 10 palców na materiale jego koszuli. Strach pomyśleć, jak teraz wyglądam w jego oczach.

Najbardziej przerażające jest to, że nawet mnie to nie obchodzi.

– Powiedz mi, Kenji. Muszę wiedzieć.

– A... – Oblizuje usta i rozgląda się, śmiejąc się nerwowo. – Masz może zamiar mnie wypuścić?

– Pomożesz mi?

Drapie się za uchem. Krzywi się lekko.

– Nie?

Uderzam nim o ścianę. Rozpoznaję przypływ dzikiej adrenaliny, znajomy pożar w moich żyłach. To dziwne, ale czuję, że mogłabym wykopać w ziemi tunel gołymi rękami.

Mam wrażenie, że to byłoby proste. Takie proste.

– Dobra... W porządku... Niech to szlag. – Kenji trzyma ręce w górze. Oddycha trochę za szybko. – To może... Zrobimy tak: ty mnie puścisz, a ja zaprowadzę cię do

laboratoriów.

– Do laboratoriów.

– Tak, tam przeprowadza się testy. Tam robimy wszystkie nasze badania.

– Obiecujesz, że mnie tam zaprowadzisz, jak cię puszczę?

– A co, jeżeli tego nie zrobię? Roztrzaskasz mi mózg o ścianę?

– Chyba tak – kłamię.

– No to dobra. Zabiorę cię tam. Cholera.

Puszczam go i cofam się chwiejnie, starając się opanować. Jest mi trochę wstyd. Coś mi mówi, że przesadziłam.

– Przepraszam. I dziękuję. Doceniam twoją pomoc. – Próbuję z godnością unieść podbródek.

Kenji prycha. Patrzy na mnie, jakby nie miał pojęcia, kim jestem, jakby nie był pewien, czy ma się roześmiać, bić brawo czy się odwrócić i uciekać gdzie pieprz rośnie. Pociera kark ze wzrokiem utkwionym w mojej twarzy. Nie przestaje się gapić.

– No co? – pytam.

– Ile ważysz?

– Proszę. Z każdą dziewczyną tak rozmawiasz? To wiele wyjaśnia.

– Ja ważę jakieś osiemdziesiąt kilo – mówi. – Same mięśnie.

Wpatruję się w niego.

– I co? Chcesz nagrodę?

– No, no, no! – Przekrzywia głowę. Na jego twarzy tańczy delikatny cień uśmiechu. – Patrzcie, kto się teraz głupio wymądrza.

– Z kim przestajesz, takim się stajesz – mówię.

Ale on już się nie uśmiecha.

– Posłuchaj – mówi. – Nie chcę się przechwalać, ale mógłbym cię przewrócić małym palcem. Ważysz tyle co nic. Jestem od ciebie prawie dwa razy cięższy. – Milknie. – Więc jak ci się udało rzucić mną o ścianę?

– Co? – Marszczę czoło. – O czym ty mówisz?

– Mówię o tobie. – Wskazuje palcem na mnie. – O tym, jak przyparłaś mnie – wskazuje na siebie – do muru. – Wskazuje na ścianę.

– Chcesz powiedzieć, że naprawdę nie mogłeś się ruszyć? – Mrugam. – Myślałam, że bałeś się mnie dotknąć.

– Nie – mówi. – Poważnie, nie mogłem się ruszyć. Ledwie mogłem oddychać.

Wytrzeszczam oczy.

– Żartujesz.

– Zrobiłaś to już kiedyś?

– Nie. – Kręcę głową. – To znaczy... chyba nie...

Na wspomnienie Warnera i jego sali tortur wydaję z siebie stłumiony okrzyk. Muszę zamknąć oczy, broniąc się przed napływem obrazów. Każde wspomnienie tamtego zdarzenia przyprawia mnie o mdłości, już oblewa mnie zimny pot. Warner przeprowadzał doświadczenia, zmuszając mnie do użycia mej mocy przeciwko małemu dziecku. Byłam tak przerażona, tak rozwścieczona, że zburzyłam betonową ścianę, żeby dostać się do Warnera, który stał po drugiej stronie. Jego też przyparłam do muru. I wtedy też nie zdawałam sobie sprawy, że obezwładniłam go swoją siłą. Myślałam, że boi się poruszyć, żebym go nie dotknęła.

Zdaje się, że się myliłam.

– Tak – mówi Kenji, przytakując czemuś, co musiał zobaczyć na mojej twarzy. – Cóż. Tak właśnie myślałem. Warto zapamiętać ten pikantny szczegół. Może się przydać, kiedy zaczniemy treningi. – Patrzy na mnie znacząco. – Kiedykolwiek to nastąpi.

Kiwam głową, nie słuchając.

– Jasne. Dobrze. Ale najpierw zaprowadź mnie do laboratoriów.

Kenji wzdycha. Wywija ręką, składając mi teatralny ukłon.

– Proszę przodem, wasza wysokość.

# 7

Idziemy korytarzami, których nigdy wcześniej nie widziałam.

Mijamy zwykłe pomieszczenia, odgałęzienia i pokoje sypialne, salę szkoleniową, którą zwykle zajmuję, i po raz pierwszy, odkąd tu trafiłam, naprawdę zwracam uwagę na otoczenie. Ni stąd, ni zowąd moje zmysły się wyostrzają, wszystko staje się wyraźne, całe moje ciało huczy, jakby zostało naładowane jakąś dodatkową energią.

Czuję się jak naelektryzowana.

Nasza kryjówka została wydrążona w ziemi. To sieć niekończących się tuneli połączonych bocznymi korytarzami. Wszystko jest utrzymywane dzięki towarom i energii kradzionym z tajnych magazynów Komitetu Odnowy. Przestrzeń jest bezcenna. Castle powiedział nam kiedyś, że zaprojektowanie tego miejsca zajęło im całą dekadę, a kolejnej potrzebowali na realizację planów. W tym czasie przyjęli wszystkich pozostałych członków tego podziemnego świata. Nie dziwię się, że Castle jest tak nieustępliwy w kwestiach bezpieczeństwa, że tak mu zależy, żeby nic się tu nie stało. Na jego miejscu też nie uznawałabym kompromisów.

Kenji się zatrzymuje.

Docieramy do miejsca, które wygląda jak ślepy zaułek i mogłoby być końcem Punktu Omega.

Kenji wyciąga kartę magnetyczną, której nigdy u niego nie widziałam, i po omacku szuka panelu ukrytego w kamiennej ścianie. Odsuwa drzwiczki. Wykonuje jakieś czynności, których nie widzę. Przesuwa kartę. Uderza w przełącznik.

Cała ściana ożywa z łoskotem.

Jej poszczególne fragmenty się rozstępują, odsłaniając otwór wystarczająco szeroki, byśmy mogli nim przejść. Kenji pokazuje, żebym szła za nim. Ruszam, zerkając na zamykającą się za nami ścianę.

Moje stopy uderzają o ziemię po drugiej stronie.

Znajdujemy się w pomieszczeniu, które przypomina jaskinię. Wysoką, szeroką, podzieloną na 3 podłużne części. Środkowa jest najwęższa i służy jako przejście. Część lewą i prawą tworzą kwadratowe szklane pokoje wyposażone w wąskie szklane drzwi. Wszystko jest ze szkła. Przestrzeń wypełnia elektryczna aura, a każdy sześcienny pokoik jaśnieje białym światłem i migocze światełkami pracujących urządzeń. Dokoła słychać przenikliwe, głuche buczenie.

Jest tutaj co najmniej 20 pomieszczeń.

Po 10 z każdej strony. Ich wnętrza są doskonale widoczne. Rozpoznaję twarze ludzi, których widuję w jadalni. Niektórzy są przypięci pasami do jakiejś aparatury, a w ich ciała powkłuwane są igły. Monitory urządzeń piskiem przekazują informacje, których nie rozumiem. Drzwi rozsuwają się i zasuwają, rozsuwają i zasuwają, rozsuwają i zasuwają. Słowa, szepty, kroki, gesty i na wpół uformowane myśli zbierają się w powietrzu.

Tu.

Tu wszystko się dzieje.

2 tygodnie temu, kiedy przybyłam do Punktu Omega, Castle powiedział mi, że ma pewną teorię, jeśli chodzi o nasze zdolności. I że od lat prowadzi w tym kierunku badania.

Badania.

Widzę postacie, które biegną, dysząc, po czymś w rodzaju ruchomych bieżni. Kobietę, która ładuje pistolet w pokoju przypominającym magazyn broni, i mężczyznę trzymającego coś, co wydziela jasnoniebieski płomień. Widzę kogoś, kto stoi w sali wypełnionej wodą. Wszędzie piętrzą się stosy lin, liny wiszą pod sufitem, dokoła porozstawiane są najróżniejsze płyny, chemikalia, dziwaczne urządzenia, których nie potrafię nazwać. Mój mózg nie przestaje krzyczeć, moje płuca wciąż wypełniają się ogniem, jest tego zbyt wiele zbyt wiele zbyt wiele zbyt wiele

Zbyt wiele aparatury, zbyt wiele świateł, zbyt wielu ludzi w zbyt wielu pokojach robi notatki, rozmawia, co kilka sekund zerka na zegarki, a ja idę chwiejnym krokiem, obserwując to wszystko uważnie i niedostatecznie uważnie, kiedy nagle słyszę ten odgłos. Bardzo się staram nie słyszeć go, ale szklane ściany nie stanowią prawie żadnej bariery dla dźwięku i po chwili dobiega mnie znowu.

Niski, gardłowy ryk bólu.

Jak uderzenie w twarz. Jak cios w brzuch. Świadomość, czyj to krzyk, wskakuje mi na plecy, dobiera mi się do skóry i przejeżdża paznokciami po moim karku. Dławię się niedowierzaniem.

Adam.

Widzę go. Okazuje się, że już tu jest, w jednym z tych szklanych pokoi. Rozebrany do połowy. Przypięty pasami do noszy za ręce i nogi. Na skroniach, na czole i tuż pod obojczykami ma przylepione taśmą przewody. Jego powieki są zaciśnięte, podobnie jak pięści i zęby, a twarz jest napięta od powstrzymywanego krzyku.

Nie rozumiem, co oni mu robią.

Nie wiem, co się dzieje, nie rozumiem, dlaczego to się dzieje ani do czego jest mu potrzebna jakaś maszyna, dlaczego ona wciąż mruga i piszczy, a ja nie mogę się ruszyć ani oddychać i próbuję odnaleźć własny głos, dłonie, głowę i stopy, a potem on

próbuje uciec.

Wyrywa się z szelek, prężу się z bólu, uderza pięściami o wyścielane nosze. Słyszę, jak krzyczy w męczarniach, i na chwilę świat się zatrzymuje, wszystko zwalnia, dźwięki stają się splątane, kolory rozmazane, a podłoga się przechyla i jestem pewna, że za chwilę umrę. Padnę martwa albo

zabiję tego, kto za to odpowiada.

Albo, albo.

Wtedy dostrzegam Castle'a. Stoi w rogu pokoju, w którym leży Adam, i nie robi nic. Stoi i obserwuje w milczeniu, jak 18-letni chłopak wije się w męczarniach. Spokojnie prowadzi obserwacje, robi notatki, wydyma usta, przekrzywia głowę na bok. Zerka na monitor piszczącej maszyny.

I kiedy ta myśl pojawia się w mojej głowie, wydaje się taka prosta. Spokojna. Łatwa.

Jakie to łatwe.

Zabiję go.

– Julio, nie...

Kenji chwyta mnie w pasie, jego ramiona są jak żelazne obręcze, a ja chyba krzyczę, chyba mówię rzeczy, jakich jeszcze nigdy nie słyszałam we własnych ustach, a Kenji błaga, żebym się uspokoiła.

– To właśnie dlatego nie chciałem cię tu przyprowadzić... – mówi. – Nie rozumiesz... To nie jest tak, jak wygląda...

A ja dochodzę do wniosku, że może Kenjiego też powinnam zabić. Choćby za to, że jest idiotą.

– NATYCHMIAST MNIE PUŚĆ...

– Przestań mnie kopać...

– Zamorduję go...

– Wiesz, naprawdę lepiej będzie, jeśli przestaniesz powtarzać to głośno. Dla twojego własnego dobra...

– PUŚĆ MNIE, KENJI! PRZYSIĘGAM NA BOGA...

– Co się tu dzieje!?

Castle stoi na końcu przejścia, metr od szklanej ściany pokoju Adama. Drzwi są otwarte. Adam już się nie rzuca, ale też chyba nie jest przytomny.

Dziki, biały szał.

To jedyne, co znam. To jedyne, co czuję, i nic, nic mnie nie przekona, żebym poszła na ustępstwa. Świat wydaje się stąd taki czarno-biały, tak łatwo można go zburzyć i podbić. Ten gniew nie przypomina niczego, co dotąd znałam. Jest tak czysty, tak potężny, że właściwie kojący, jak uczucie, które odnalazło swoje miejsce, uczucie, które zbiera się w całym moim ciele i okazuje się, że idealnie je wypełnia.

Zamieniłam się w formę do ciekłego metalu, a gęsty, piekący żar wlewa się we mnie. Nadwyżka osiada mi na rękach, wzmacnia pięści zapierającą dech siłą, Energią tak potężną, że mogłaby mnie zmieść z powierzchni ziemi. Od jej pędu kręci mi się w głowie.

Jestem zdolna do wszystkiego.

Do wszystkiego.

Ramiona Kenjiego odrywają się od mojego ciała. Bez sprawdzania wiem, że zatoczył się do tyłu. Przerażony. Zdezorientowany. Prawdopodobnie wstrząśnięty.

Nic mnie to nie obchodzi.

– Więc tu jesteś – mówię do Castle'a, zaskoczona chłodnym, płynnym brzmieniem własnego głosu. – Tym się zajmujesz.

Castle podchodzi bliżej i już po chwili wygląda tak, jakby tego żałował. Wydaje się przestraszony, zaskoczony czymś, co dostrzega w mojej twarzy. Chce coś powiedzieć, ale nie pozwalam mu dojść do głosu.

– Co mu zrobiłeś? – pytam. – Co mu robiłeś?

– Proszę się...

– On nie jest twoim królikiem doświadczalnym! – wybucham, opanowanie mija, pewność mojego głosu gdzieś znika i ogarnia mnie taka histeria, że z trudem powstrzymuję drżenie rąk. – Wydaje ci się, że możesz go wykorzystywać do swoich badań...

– Proszę, musi się pani uspokoić...

– Nie będziesz mi mówił, co mam robić!

Nie potrafię sobie wyobrazić, przez co Adam musiał tu przejść, podczas tych wszystkich doświadczeń, kiedy traktowali go jak jakiś obiekt badawczy.

Oni go torturują.

– Nie spodziewałem się po pani takiej reakcji na widok tego laboratorium – mówi Castle.

Próbuje spokojnie rozmawiać. Jest rozsądny. Nawet charyzmatyczny. Aż zaczynam się zastanawiać, jak muszę teraz wyglądać. Zastanawiam się, czy on się mnie boi.

– Myślałem, że rozumie pani znaczenie badań prowadzonych w Punkcie Omega. Jak bez nich moglibyśmy mieć nadzieję na zrozumienie naszego pochodzenia?

– Sprawiasz mu ból... zabijasz go! Co mu zrobiłeś...

– Nic, w czym sam nie chciałby uczestniczyć. – W głosie Castle'a słychać napięcie, usta ma zaciśnięte i widzę, że jego cierpliwość zaczyna się wyczerpywać. – Jeżeli insynuuje pani, że wykorzystałem go do swoich osobistych celów, sugerowałbym, żeby przyjrzała się pani całej sytuacji nieco dokładniej.

Kilka ostatnich sylab wypowiada z odrobinę zbyt dużą emfazą, ze zbyt dużą żarliwością i zdaję sobie sprawę, że nigdy dotąd nie widziałam go zdenerwowanego.

– Wiem, że tutaj jest pani ciężko – ciągnie Castle. – Wiem, że nie przywykła pani do życia w grupie i staram się zrozumieć, skąd pani przybywa... Próbuję pani pomóc się przystosować. Ale proszę się rozejrzeć! – Wskazuje na szklane ściany i na ludzi za nimi. – Wszyscy jesteśmy tacy sami. Pracujemy w jednym zespole! Nie poddałem Adama żadnym testom, przez które sam bym nie przechodził. Po prostu chcemy się przekonać, gdzie leży źródło jego nadprzyrodzonych zdolności. Nie będziemy wiedzieli, do czego jest zdolny, jeśli go najpierw nie zbadamy. – Głos Castle'a opada o 1 oktawę lub 2. – Nie możemy też sobie pozwolić na luksus czekania przez kilka lat, aż on przypadkiem odkryje coś, co teraz mogłoby być użyteczne dla naszej sprawy.

Dziwne.

Mam wrażenie, że to jakiś przedmiot, ten gniew.

Czuję, że owija się wokół moich palców, że mogłabym cisnąć nim Castle'owi w twarz. Czuję, że oplata ciasną spiralą mój kręgosłup, zapuszcza korzenie w moim żołądku i kiełkuje w stronę moich nóg, moich ramion, puszcza pędy przez moją szyję. Dławi mnie. Dławi mnie, bo chce, żeby go wypuścić, uwolnić. Natychmiast.

– Ty – mówię, z trudem artykułując słowa – ty myślisz, że jesteś lepszy od tych z Komitetu Odnowy? Wykorzystujesz nas... Eksperymentujesz na nas, dla własnych korzyści...

– DOŚĆ! – krzyczy Castle.

Jego oczy błyskają jasno, bardzo jasno i zdaję sobie sprawę, że wszyscy w tym podziemnym tunelu patrzą teraz na nas. Dłonie Castle'a są zaciśnięte w pięści. Czuję rękę Kenjiego na swoich plecach i zaraz potem zdaję sobie sprawę, że ziemia drży pod moimi stopami. Szklane ściany zaczynają dzwonić, a Castle stoi w samym środku tego wszystkiego, sztywny, pałający gniewem i oburzeniem. Jego dar to niezwykle zaawansowana postać psychokinezy.

Castle potrafi poruszać przedmioty siłą swojego umysłu.

Unosi otwartą dłoń, a szklana szyba metr dalej wygina się, zaczyna drżeć, dzwonić, bliska rozpryśnięcia się na kawałeczki. Zdaję sobie sprawę, że wstrzymuję oddech.

– Nie radzę pani mnie denerwować. – Głos Castle'a jest o wiele za spokojny jak na to, co widać w jego oczach. – Jeśli nie podobają się pani moje metody, chętnie umożliwię pani przedstawienie swoich wątpliwości w sposób racjonalny. Nie będę tolerował takiego zachowania. Moje obawy o przyszłość naszego świata mogą przekraczać pani zdolność pojmowania, ale proszę mnie nie winić za własną ignorancję!

Opuszcza rękę, a szkło powraca do poprzedniego położenia. W samą porę.

– Moją ignorancję? – Znowu zaczynam dyszeć. – Uważasz, że skoro nie rozumiem, dlaczego robisz komuś coś takiego – macham ręką dokoła – to znaczy, że jestem ignorantką?

– Hej, Julio, wszystko w porządku... – odzywa się Kenji.

– Zabierz ją stąd – mówi Castle. – Zabierz ją z powrotem do sali szkoleniowej. – Rzuca rozpaczliwe spojrzenie na Kenjiego. – A my... porozmawiamy o tym później. Co ci strzeliło do głowy, żeby ją tu przyprowadzić? Nie jest przygotowana, żeby to zobaczyć... Nie radzi sobie sama z sobą.

Ma rację.

Nie potrafię sobie z tym poradzić. Słyszę wyłącznie odgłosy brzęczących i piszczących urządzeń, przed oczami mam wyłącznie bezwładne ciało Adama na cienkim materacu. Nie mogę przestać wyobrażać sobie, przez co musiał przechodzić, co musiał znieść tylko po to, żeby zrozumieć, czym jest jego dar, i zdaję sobie sprawę, że wszystko to moja wina.

To moja wina, że on tu jest, moja wina, że jest w niebezpieczeństwie, moja wina, że Warner chce go zabić, a Castle chce przeprowadzać na nim doświadczenia, i gdyby nie ja, nadal mieszkałby z Jamesem w domu, który nie zostałby zniszczony, bezpiecznie, wygodnie, wolny od tego chaosu, który wniosłam do jego życia.

Przywiozłam go tutaj. Gdyby mnie nigdy nie dotknął, żadna z tych rzeczy by się nie wydarzyła. Byłby zdrowy, w pełni sił, nie cierpiałby, nie ukrywałby się, nie tkwiłby uwięziony 15 metrów pod ziemią. Nie spędzałby dni przypięty pasami do noszy.

~~To moja wina to moja wina to moja wina to moja wina~~ to wszystko moja wina

Tracę panowanie nad sobą.

Czuję się tak, jakbym była wypchana cienkimi gałązkami, i wystarczy, że napnę mięśnie, a rozlegnie się trzask i całe moje ciało pęknie. Całe poczucie winy, gniew, frustracja, tłumiona agresja znalazły ujście i wymknęły się spod kontroli. Energia przepływa przeze mnie gwałtowniej niż kiedykolwiek przedtem i nie jestem nawet w stanie myśleć, ale muszę coś zrobić, muszę czegoś dotknąć. Zwijam palce, uginam kolana, cofam rękę i

uderzam pięścią
pięścią
pięścią
prosto
w

podłogę.

Ziemia pęka, a pogłos odbija się rykoszetem od moich kości, wibruje we mnie, moja czaszka wiruje, a moje serce zamienia się w wahadło, które uderza o moją klatkę piersiową. Mój wzrok na przemian odzyskuje i traci ostrość. Muszę mrugnąć 100 razy, żeby zobaczyć szczelinę pod swoimi stopami, cienką linię rozszczepiającą ziemię. Wszystko dokoła mnie nagle traci równowagę. Kamienie trą o siebie, szklane ściany dzwonią, maszyny przesuwają się z miejsca na miejsce, woda chlupocze w swoim zbiorniku, a ludzie...

Ludzie.

Ludzie zastygli w przerażeniu, a panika i strach na ich twarzach rozdzierają mnie od środka.

Przewracam się, przyciskając prawą pięść do piersi. Powtarzam sobie, że nie jestem potworem, nie muszę być potworem, nie chcę krzywdzić ludzi nie chcę krzywdzić ludzi nie chcę krzywdzić ludzi

ale to nie działa.

Bo to wszystko kłamstwo.

Bo tak to się kończy, kiedy próbuję pomóc.

Rozglądam się wkoło.

Patrzę na ziemię.

Na to, co zrobiłam.

I po raz pierwszy zaczynam rozumieć, że mogłabym zniszczyć wszystko.

# 8

Castle jest bezsilny.

Stoi z otwartymi ustami i luźno zwieszonymi rękami, a w jego oczach czai się groza. Jego wargi się poruszają, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk.

To byłby niezły moment, żeby rzucić się ze skały.

Kenji dotyka mojego ramienia. Odwracam się przerażona. Cały czas czekałam na to, aż on, Adam i Castle zorientują się, że okazanie mi życzliwości było błędem, który może ich drogo kosztować, że na nią nie zasłużyłam, że jestem jedynie narzędziem, bronią, zamaskowanym mordercą.

Ale on delikatnie bierze moją prawą pięść w swoją dłoń. Ostrożnie, żeby nie dotknąć mojej skóry, zdejmuje rozerwaną skórzaną rękawiczkę i wstrzymuje oddech na widok moich palców. Moja ręka jest cała pokaleczona, krew jest wszędzie, a ja nie mogę ruszać palcami.

Zdaję sobie sprawę, że czuję straszliwy ból.

Mrugam i wybuchają gwiazdy. Cierpienie ogarnia całe moje ciało i odbiera mi mowę.

Chwytam powietrze
a
cały
świat
z . i . a

# 9

W ustach mam smak śmierci.

Udaje mi się unieść powieki i w tej samej chwili czuję gniew piekieł pustoszący moją prawą rękę. Jest owinięta tyloma warstwami bandaża, że nie mogę poruszyć żadnym z 5 palców. Jestem za to wdzięczna. Czuję się tak wyczerpana, że nie mam siły płakać.

Mrugam.

Chciałabym się rozejrzeć, ale moja szyja jest zupełnie sztywna.

Czyjeś palce muskają moje ramię. Wypuszczam powietrze z płuc. Znowu mrugam. Jeszcze raz. Przed sobą mam jakąś rozmazaną dziewczęcą twarz. Mój wzrok stopniowo odzyskuje ostrość. Udaje mi się odwrócić głowę, żeby lepiej widzieć, i jeszcze kilka razy mrugam mrugam mrugam.

– Jak się czujesz? – szepcze niewyraźna plama.

– Nic mi nie jest – odpowiadam, ale zdaje się, że to kłamstwo. – Kim jesteś?

– To ja – odpowiada miękko. Nawet nie widząc jej wyraźnie, słyszę życzliwość w jej głosie. – Sonia.

Oczywiście.

Sara też musi tu gdzieś być. Jestem w skrzydle medycznym.

– Co się stało? – pytam. – Jak długo byłam nieprzytomna?

Ona nie odpowiada, a ja zastanawiam się, czy mnie słyszała.

– Soniu? – Staram się spojrzeć jej w oczy. – Jak długo spałam?

– Byłaś ciężko chora – mówi. – Twoje ciało potrzebowało czasu...

– Jak długo? – Mój głos zniża się do szeptu.

– Trzy dni.

Wyobraźcie sobie pociąg pędzący z prędkością 100 kilometrów na godzinę.

A teraz wyobraźcie sobie, że uderza was prosto w twarz.

Siadam wyprostowana. Czuję mdłości.

Na szczęście Sonia jest przewidująca. Wiadro pojawia się w samą porę, żebym mogła zwrócić do niego mizerną zawartość swojego żołądka. Nudności nie mijają, chociaż nie mam już czym wymiotować. Wtedy zauważam, że nie jestem ubrana w swój strój, tylko w coś w rodzaju szpitalnej koszuli, a ktoś wyciera mi twarz gorącą, wilgotną szmatką. Parujące z niej ciepło jest tak krzepiące, że zapominam o bólu. Po chwili zauważam, że w pokoju znajduje się jeszcze jedna osoba.

Sonia i Sara pochylają się nade mną i przecierają gorącymi ściereczkami moje nagie kończyny, uspokajając mnie i pocieszając, że wrócę do zdrowia, tylko muszę odpocząć, że na szczęście wreszcie odzyskałam przytomność i mogę coś zjeść, że nie powinnam się martwić, że nie ma powodów do obaw, że one się mną zajmą.

Przyglądam się im uważniej.

Dostrzegam ich przezornie osłonięte rękawiczkami dłonie, kroplówkę podłączoną do mojej ręki, ich szybkie, ale ostrożne ruchy i zdaję sobie sprawę z problemu.

Uzdrowicielki nie mogą mnie dotknąć.

## 10

Nigdy przedtem nie musiały zajmować się kimś takim jak ja.

Sonia i Sara mają moc uzdrawiania wszelkiego rodzaju obrażeń. Potrafią nastawiać złamane kości, leczyć rany postrzałowe, urazy uniemożliwiające oddychanie i sprawić, że goją się nawet najgorsze rodzaje skaleczeń – wiem to wszystko, bo kiedy pojawiliśmy się w Punkcie Omega, Adama trzeba było wnieść do skrzydła szpitalnego na noszach. Był torturowany przez Warnera i jego ludzi po tym, jak uciekliśmy z kwatery głównej Komitetu Odnowy, i myślałam, że na jego ciele już na zawsze zostaną blizny. A teraz jego skóra jest nieskazitelna. Jak nowa. Wystarczył 1 dzień, żeby poskładać go z powrotem. To było zupełnie jak czary.

Ale nie dla mnie magiczne eliksiry.

Nie dla mnie cuda.

Bliźniaczki wyjaśniają, że musiałam doświadczyć jakiegoś poważnego wstrząsu. Twierdzą, że moje ciało uległo przeciążeniu własną mocą i tylko cudem udało mi się przeżyć. Na szczęście utrata przytomności trwała wystarczająco długo, żeby złagodzić większość urazów psychicznych, choć ja nie jestem przekonana, czy to prawda. To nie jest takie proste. ~~Doświadczałam urazów psychicznych przez bardzo długi czas.~~ Ale przynajmniej ból fizyczny zelżał. Odczuwam tylko miarowe pulsowanie, na które chwilami udaje mi się nie zwracać uwagi.

Przypominam sobie coś.

– Jeszcze nigdy, ani w sali tortur Warnera, ani potem z Adamem i stalowymi drzwiami... Nigdy... To się jeszcze nie zdarzyło... Nigdy się nie zraniłam...

– Castle nam o tym wspominał – mówi Sonia. – Ale przebić się przez drzwi albo ścianę to jedno, a próbować rozłupać ziemię na pół to zupełnie co innego. – Stara się uśmiechnąć. – Jesteśmy pewne, że tego nie można porównać z niczym, co wcześniej zrobiłaś. To wymagało znacznie większej Energii. Wszyscy poczuliśmy, kiedy to się stało. Myśleliśmy, że wybuchł skład amunicji. Tunele o mało się nie zawaliły.

– Nie. – Mój żołądek zamienia się w kamień.

– W porządku. – Sara próbuje mnie uspokoić. – W samą porę udało ci się to powstrzymać.

Nie mogę złapać tchu.

– Skąd mogłaś wiedzieć... – zaczyna Sonia.

– O mało nie zabiłam... O mało nie zabiłam was wszystkich...

Sonia kręci głową.

– Masz potężną moc. To nie twoja wina. Nie wiedziałaś, do czego jesteś zdolna.

– Mogłam was zabić. Mogłam zabić Adama... Mogłam... – Moja głowa miota się na wszystkie strony. – Czy on tu jest? Gdzie jest Adam?

Dziewczyny wpatrują się we mnie. Zerkają na siebie.

Słyszę chrząknięcie. Odwracam się gwałtownie w stronę, z której dochodzi dźwięk.

Podchodzi do nas Kenji. Macha niedbale ręką i rzuca mi połowiczny uśmiech, niesięgający jego oczu.

– Przykro mi – mówi do mnie – ale zabroniliśmy mu się do ciebie zbliżać.

– Dlaczego? – pytam, choć boję się poznać odpowiedź.

Kenji odgarnia z czoła włosy wpadające mu do oczu. Zastanawia się nad moim pytaniem.

– Hm. Od czego by tu zacząć? – Odlicza na palcach jednej ręki. – Kiedy dowiedział się, co się stało, próbował mnie zabić, wściekł się na Castle'a, odmówił opuszczenia skrzydła medycznego, nie chciał jeść ani spać, a potem...

– Proszę – powstrzymuję go. Zaciskam powieki. – Nieważne. Nie. Nie mogę.

– Pytałaś.

– Gdzie on jest? – Otwieram oczy. – Nic mu nie jest?

Kenji pociera ręką kark. Odwraca wzrok.

– Nic mu nie będzie.

– Czy mogę go zobaczyć?

Kenji wzdycha. Zwraca się do dziewczyn.

– Hej, możemy zostać na chwilę sami? – pyta, a im nagle bardzo się dokądś spieszy.

– Oczywiście – mówi Sara.

– Nie ma sprawy – mówi Sonia.

– Jak sobie życzysz – mówią jednocześnie.

I wychodzą.

Kenji chwyta jedno z krzeseł stojących pod ścianą i przysuwa je do mojego łóżka. Siada. Opiera kostkę jednej nogi na kolanie drugiej i odchyla się na krześle. Splata dłonie z tyłu głowy. Patrzy na mnie.

Przesuwam się na łóżku, żeby siedzieć przodem do niego.

– O co chodzi?

– Ty i Kent musicie porozmawiać.

– Och. – Przełykam. – Tak. Zdaję sobie z tego sprawę.

– Na pewno?

– Jasne.

– To dobrze. – Kiwa głową. Odwraca wzrok. Stuka nerwowo stopą o podłogę.

– No, co? – pytam po chwili. – Czego mi nie chcesz powiedzieć?

Jego stopa przestaje stukać, ale Kenji nie patrzy mi w oczy. Zakrywa usta dłonią. Opuszcza ją.

– Niezłego gówna tam narobiłaś.

Nagle zalewa mnie fala upokorzenia.

– Przykro mi, Kenji. Tak mi przykro. Nie sądziłam... Nie wiedziałam...

Odwraca się twarzą do mnie, a ja zastygam w bezruchu na widok jego oczu. Próbuje mnie wybadać. Próbuje zrozumieć. Zdaję sobie sprawę, że próbuje podjąć decyzję, czy może mi ufać, czy nie. Czy plotki o tym potworze, który we mnie siedzi, są prawdziwe czy nie.

– Jeszcze nigdy niczego takiego nie zrobiłam – szepczę. – Przysięgam... Nie chciałam, żeby to się stało...

– Jesteś pewna?

– Co?

– To ważne pytanie, Julio. Uzasadnione pytanie. – Nigdy nie widziałam, żeby był taki poważny. – Przywiozłem cię tutaj, bo chciał tego Castle. Bo uważał, że moglibyśmy ci pomóc... Że moglibyśmy zapewnić ci schronienie, że mogłabyś tu zamieszkać. Z dala od dupków, którzy próbują cię wykorzystywać. A ty pojawiasz się tutaj i zachowujesz się tak, jakbyś w niczym nie chciała uczestniczyć. Nie rozmawiasz z ludźmi. Nie robisz postępów w szkoleniu. Właściwie nic nie robisz.

– Przykro mi. Ja naprawdę...

– Wierzę Castle'owi, kiedy mówi, że się o ciebie martwi. Mówi, że nie możesz się przystosować, że masz problemy z adaptacją. Że ludzie słyszeli o tobie różne złe rzeczy i nie powitali cię tak serdecznie, jak powinni. A mnie jest przykro z twojego powodu, chociaż powinienem kopnąć się za to w dupę. Więc proponuję ci wspólne treningi. Zmieniam cały swój cholerny grafik tylko po to, żeby pomóc ci rozwiązać twoje problemy. Bo uważam, że jesteś miłą dziewczyną, tylko trochę nierozumianą. Bo Castle jest najporządniejszym facetem, jakiego znam, i chcę mu pomóc.

Serce wali mi jak oszalałe. Dziwię się, że nie doznało jeszcze poważnych obrażeń.

– Więc zastanawiam się... – Kenji opuszcza stopę, którą trzymał na kolanie. Pochyla się do przodu. Opiera łokcie na udach. – Zastanawiam się, czy to naprawdę tylko czysty przypadek. Czy to tylko niewiarygodny zbieg okoliczności, że miałem zacząć z tobą pracować? Akurat ja? Jeden z bardzo niewielu ludzi, którzy mają dostęp do tamtych pomieszczeń? Albo czy to zwykły przypadek, że udało ci się groźbą nakłonić mnie, żebym cię tam zabrał? Że potem, niechcący, w jakiś zupełnie niezrozumiały sposób, rąbnęłaś pięścią i wstrząsnęłaś tym miejscem, aż wszyscy myśleliśmy, że walą się ściany? – Przypatruje mi się uważnie. – I czy to nadal byłby zbieg okoliczności, gdybyś przeciągnęła to jeszcze kilka sekund i wszystko by się zawaliło?

Wpatruję się w Kenjiego szeroko otwartymi oczami.

Opiera się na krześle. Spuszcza wzrok. Przyciska 2 palce do ust.

– Czy ty naprawdę chcesz się do nas przyłączyć? – pyta. – Czy tylko próbujesz nas zniszczyć od środka?

– Co!? – wykrzykuję. – Nie...

– Bo albo dokładnie wiesz, co robisz, i cholernie dobrze się kamuflujesz, albo nie masz pojęcia, co robisz, i tylko masz wyjątkowo gówniane szczęście. Jeszcze się nie zdecydowałem.

– Kenji, przysięgam, ja nigdy... N-nigdy...

Milknę, żeby powstrzymać łzy wymykające się spod kontroli. To paraliżujące uczucie, ta niemożność udowodnienia swojej niewinności. Zupełnie jak całe moje życie odtwarzane od nowa, od nowa i wciąż od nowa, ciągłe próby przekonania ludzi, że nie jestem niebezpieczna, że nigdy nie chciałam nikogo skrzywdzić, że nie chciałam, żeby do tego doszło. Że nie jestem złym człowiekiem.

~~Chyba nigdy nie udało mi się nikogo przekonać~~.

– Tak mi przykro – wykrztuszam, a moje łzy płyną teraz szybko, choć kazałam im pozostać w zamknięciu.

Czuję odrazę do siebie. Tak bardzo się starałam być inna, lepsza, dobra, a

mimo to za każdym razem wszystko niszczyłam, nawet nie wiem, jak mam go teraz przekonać, że się myli.

~~Bo może wcale się nie myli.~~

Czułam, że ogarnia mnie wściekłość. Zdawałam sobie sprawę, że chcę zrobić Castle'owi krzywdę, i nic mnie to nie obchodziło. W tamtym momencie chciałam to zrobić. W tamtej chwili, w złości, naprawdę miałam taki zamiar. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby nie było tam Kenjiego, gdyby mnie nie przytrzymał. Nie wiem. Nie mam pojęcia. Nawet nie wiem, do czego jestem zdolna.

~~Ile razy – słyszę szept~~ w ~~swojej głowie – ile razy będziesz przepraszała za to, kim jesteś?~~

Słyszę, jak Kenji wzdycha. Wierci się na krześle. Nie mam odwagi podnieść wzroku, tylko z furią ocieram policzki, błagając oczy, żeby przestały płakać.

– Musiałem zapytać, Julio. – Głos Kenjiego brzmi nieswojo. – Przykro mi, że płaczesz, ale nie żałuję, że zapytałem. To moja praca. Cały czas muszę myśleć o naszym bezpieczeństwie. A to znaczy, że muszę patrzeć na sprawy pod każdym możliwym kątem. Nikt jeszcze nie wie, do czego jesteś zdolna. Nawet ty sama. A jednak wciąż próbujesz się zachowywać tak, jakby to nie było nic takiego. To nam nie pomaga. Musisz przestać udawać, że nie jesteś niebezpieczna.

Zbyt szybko podnoszę wzrok.

– Ale ja nie jestem... N-nie próbuję nikogo skrzywdzić...

– To nie ma znaczenia – mówi, wstając. – Dobre intencje są wspaniałe, ale nie zmieniają faktów. Jesteś niebezpieczna. Cholera, jesteś potwornie niebezpieczna. Bardziej niebezpieczna niż ja i wszyscy inni tutaj. Więc nie proś mnie, żebym udawał, że nie dostrzegam żadnego zagrożenia. Jeśli zamierzasz tutaj zostać, musisz kontrolować to, co robisz, i umieć to powstrzymywać. Musisz radzić sobie z tym, kim jesteś, i nauczyć się z tym żyć. Tak samo jak my wszyscy.

Trzykrotne pukanie do drzwi.

Kenji wciąż się we mnie wpatruje. Czeka.

– Dobrze – szepczę.

– A ty i Kent musicie się uporać z waszym dramatem, i to szybko – dodaje, kiedy Sonia i Sara wchodzą już z powrotem do pokoju. – Nie mam czasu ani siły, żeby się zajmować waszymi problemami. Lubię od czasu do czasu się z was ponatrząsać, bo, spójrzmy prawdzie w oczy – wzrusza ramionami – świat tam na górze bierze kurs na piekło i jeżeli mam umrzeć młodo, to chciałbym przynajmniej zdążyć się trochę pośmiać, zanim to się stanie. Ale to nie znaczy, że jestem waszym klaunem albo niańką. Mam głęboko w dupie, czy ty i Kent z sobą chodzicie czy nie. Muszę się zajmować milionem rzeczy, a wasze życie uczuciowe do nich nie należy. – Milknie. – Czy to jest jasne?

Kiwam głową, bo nie mam zaufania do swojego głosu.

– Wchodzisz w to? – pyta.

Kolejne skinienie głową.

– Chcę usłyszeć, jak to mówisz. Jeżeli jesteś z nami, musisz być z nami bezwarunkowo. Koniec użalania się nad sobą. Koniec przesiadywania w sali szkoleniowej i szlochania całymi dniami, bo nie potrafisz złamać metalowej rury...

– Skąd wie...

– Wchodzisz w to?

– Wchodzę – mówię. – Wchodzę w to. Słowo.

Bierze głęboki oddech. Przesuwa ręką po włosach.

– Dobrze. O szóstej rano widzimy się przy wejściu do jadalni.

– Ale moje palce...

Zbywa mnie machnięciem ręki.

– Nic ci nie będzie. Nawet sobie niczego nie złamałaś. Poharatałaś sobie rękę i twój mózg spanikował, lecz zasadniczo wszystko sprowadza się do tego, że przespałaś trzy dni. To nie brzmi jak poważne obrażenia. Raczej jak niezłe wakacje. – Milknie, żeby się nad czymś zastanowić. – Masz pojęcie, kiedy ostatnio ja miałem wakacje?

– Ale przecież mamy trenować? – przerywam mu. – Jak mam coś zrobić z zabandażowaną ręką?

– Zaufaj mi. – Przekrzywia głowę. – Nic ci nie będzie. Jutro... potrenujesz trochę inaczej.

Wpatruję się w niego. Czekam.

– Potraktuj to jak swoje oficjalne powitanie w Punkcie Omega – mówi.

– Ale...

– Jutro. Szósta rano.

Nabieram powietrza, żeby zadać kolejne pytanie, ale on przyciska palec do ust, salutuje i cofa się do wyjścia, kiedy Sonia i Sara podchodzą do mojego łóżka.

Patrzę, jak kiwa do nich głową na pożegnanie, obraca się na pięcie i wychodzi z pokoju.

6 rano.

# 11

Zerkam na zegar na ścianie i zdaję sobie sprawę, że jest dopiero 2 po południu.

Co oznacza, że do 6 rano zostało jeszcze 16 godzin.

Co oznacza, że mam mnóstwo czasu.

Co oznacza, że muszę się ubrać.

Bo muszę się stąd wydostać.

I naprawdę muszę porozmawiać z Adamem.

– Julio...

Wyskakuję ze swojej głowy i wskakuję z powrotem do teraźniejszości. Mam przed sobą twarze Soni i Sary.

– Chcesz, żeby ci coś przynieść? – pytają. – Czy czujesz się na tyle dobrze, żeby wstać?

Ale ja patrzę w jedną parę oczu, potem w drugą, a potem znowu w pierwszą i nie odpowiadam na ich pytania, bo czuję, że ogarnia mnie paraliżujący wstyd, który wżera się w moją duszę. Nie potrafię powstrzymać powrotu innej wersji siebie. Przerażonej małej dziewczynki, która w nieskończoność składa się na pół, aż wreszcie w ogóle jej nie widać.

Wciąż powtarzam:

– Przepraszam, tak mi przykro, przepraszam za wszystko, za to wszystko, za cały kłopot, za wszystkie zniszczenia, naprawdę tak mi przykro...

Słyszę siebie, jak powtarzam to w kółko i w kółko i nie mogę się zatrzymać.

Zupełnie jakby zepsuł się jakiś przycisk w moim mózgu, jakby nastąpił nawrót choroby, która zmusza mnie do przepraszania za wszystko. Za własne istnienie, za to, że chcę więcej, niż mi dano. Nie potrafię przestać.

To właśnie robię.

Zawsze przepraszam. Wiecznie przepraszam. Za to, kim jestem i kim nigdy nie chciałam być, i za to ciało, w którym się urodziłam, za to DNA, o które nie prosiłam, za osobę, którą nie mogę się odstać. Przeżyłam 17 lat, starając się być inna. Każdego dnia. Próbując być kimś innym dla kogoś innego.

Ale to chyba nie ma znaczenia.

Wtedy zdaję sobie sprawę, że one coś do mnie mówią.

– Nie ma powodu przepraszać...

– Przecież nic się nie stało...

Obie starają się coś mi powiedzieć, ale Sara jest bliżej.

Ośmielam się spojrzeć jej w oczy i zaskakuje mnie ich łagodność. Są życzliwe, zielone, zmrużone w uśmiechu. Siada z prawej strony łóżka. Poklepuje mnie po nieosłoniętym ramieniu ręką w lateksowej rękawiczce, bez strachu. Niewzruszona. Sonia staje obok niej, patrząc na mnie, jakby się martwiła, jakby było jej przykro z mojego powodu, a ja nie mam czasu nad tym się zastanowić, bo coś odwraca moją uwagę. Czuję zapach jaśminu wypełniający pokój, tak jak za pierwszym razem, kiedy tutaj weszłam. Zaraz po przybyciu do Punktu Omega. Kiedy Adam był ranny. Umierający.

Był umierający, a one uratowały mu życie. Te 2 dziewczyny. One uratowały mu życie, a ja mieszkam z nimi od 2 tygodni i dopiero teraz zdaję sobie sprawę, jaka byłam zapatrzona w siebie.

Więc postanawiam wypróbować nowy zestaw słów.

– Dziękuję – szepczę.

Czuję, że się czerwienię, i zastanawiam się nad swoją bezradnością wobec słów i uczuć. Zastanawiam się nad swoją nieumiejętnością swobodnego żartowania, prowadzenia gładkiej konwersacji, wypowiadania pustych zwrotów, którymi można wypełnić chwile niezręcznego milczenia. Nie mam szafy pełnej hmmów i wielokropków, które wystarczy wstawić na początku i na końcu zdania. Nie umiem być czasownikiem ani przysłówkiem. Jestem na wskroś rzeczownikiem.

Nafaszerowanym ludźmi, miejscami, rzeczami i myślami, których nie potrafię uwolnić ze swojej głowy. Nie umiem rozmawiać.

Chciałabym komuś zaufać, ale na myśl o tym ogarnia mnie paniczny strach.

Wtedy przypominam sobie obietnicę daną Castle'owi i Kenjiemu i to, jak bardzo martwię się o Adama. Dochodzę do wniosku, że może powinnam zaryzykować. Może warto spróbować znaleźć nowego przyjaciela albo 2. I wyobrażam sobie, jakby to było cudownie zaprzyjaźnić się z jakąś dziewczyną. Dziewczyną taką jak ja.

Nigdy nie miałam przyjaciółki.

Więc kiedy Sonia i Sara uśmiechają się i mówią, że z radością mi pomogą, że są do dyspozycji i że zawsze będą w pobliżu, gdybym chciała z kimś pogadać, mówię im, że byłoby cudownie.

Mówię im, że jestem im wdzięczna.

Mówię im, że wspaniale byłoby mieć przyjaciela, z którym mogłabym porozmawiać.

Może kiedyś.

## 12

– Pomożemy ci włożyć kombinezon – mówi Sara.

Powietrze tutaj jest zimne i przesycone wilgocią. Gdzieś nad naszymi głowami lodowate wiatry zmuszają świat do posłuszeństwa, bezlitośnie go chłoszcząc. Nawet w kombinezonie często odczuwam chłód, szczególnie wczesnym rankiem, szczególnie w tej chwili. Kiedy Sonia i Sara pomagają mi zmienić szpitalną koszulę na mój zwykły strój, czuję, że trzęsę się z zimna. Dopiero kiedy zasuwają zamek, materiał zaczyna reagować na temperaturę mojego ciała. Jestem tak osłabiona długim leżeniem w łóżku, że z trudem stoję na nogach.

– Nie potrzebuję wózka – powtarzam Sarze po raz trzeci. – Dziękuję... Naprawdę... Dzię-dziękuję za waszą troskę – jąkam się – ale po prostu musi mi wrócić krążenie. Muszę odzyskać władzę w nogach.

Muszę być silna, i już.

Castle i Adam czekają na mnie w moim pokoju.

Sonia powiedziała, że kiedy ja rozmawiałam z Kenjim, ona i Sara poszły zawiadomić Castle'a, że się obudziłam. Więc już tam są. Czekają na mnie. W pokoju, który dzielę z Sonią i Sarą. I tak bardzo boję się tego, co mnie czeka, że mogłabym teraz nie trafić do swojego pokoju. Bo jestem pewna, że cokolwiek za chwilę usłyszę, nie będzie to przyjemne.

– Nie pójdziesz sama – mówi Sara. – Ledwie możesz stać o własnych siłach...

– Nic mi nie jest – upieram się. Próbuję się uśmiechnąć. – Poradzę sobie, muszę tylko trzymać się blisko ściany. Przyjdę do siebie, gdy tylko zacznę się ruszać.

Sonia i Sara zerkają na siebie, a potem przyglądają się mojej twarzy.

– Jak twoja ręka? – pytają jednocześnie.

– W porządku – odpowiadam, tym razem z większym przekonaniem. – O wiele lepiej. Naprawdę. Dziękuję wam bardzo.

Skaleczenia są już prawie niewidoczne, a ja mogę nawet poruszać palcami. Przyglądam się nowiutkim, cieńszym bandażom, którymi owinęły moją dłoń. Dziewczyny wyjaśniły mi, że doznałam przede wszystkim urazu psychicznego, czegoś w rodzaju traumy, której źródłem jest część mojego ciała odpowiedzialna za ~~moje przekleństwo~~ mój „dar".

– W porządku. Chodźmy – mówi Sara, kręcąc głową. – Odprowadzimy cię do pokoju.

– Nie... proszę... nic mi nie jest... – próbuję protestować, ale one biorą mnie pod ręce, a ja jestem zbyt słaba, żeby się opierać. – To niepotrzebne...

– Nie wygłupiaj się – odpowiadają chórem.

– Nie chcę wam sprawiać kłopotu...

– Nie wygłupiaj się – powtarzają chórem.

– Ja... ja naprawdę nie...

Ale one już wychodzą z pokoju i prowadzą mnie korytarzem. Kuśtykam między nimi.

– Naprawdę nic mi nie jest – mówię. – Naprawdę.

Sonia i Sara wymieniają znaczące spojrzenia, a potem uśmiechają się do mnie, nie bez życzliwości, ale kiedy posuwamy się korytarzami, zapada między nami niezręczna cisza. Dostrzegam mijających nas ludzi i natychmiast pochylam głowę. W tej chwili nie zniosłabym niczyjego spojrzenia. Nie chcę sobie nawet wyobrażać ich rozmów na temat szkód, jakie spowodowałam. Wiem, że udało mi się potwierdzić ich najgorsze obawy.

– Boją się ciebie tylko dlatego, że cię nie znają – mówi Sara cicho.

– To prawda – dodaje Sonia. – My dopiero co cię poznałyśmy, a uważamy, że jesteś wspaniałą osobą.

Czerwienię się gwałtownie. Zażenowanie jest jak lodowata woda płynąca w moich żyłach. Czuję się tak, jakby wszystkie moje wnętrzności zamarzały, podczas gdy moją skórę trawi pożar.

~~Nienawidzę tego.~~

~~Nienawidzę tego uczucia.~~

Sonia i Sara naraz się zatrzymują.

– Jesteśmy – mówią jednocześnie.

Podnoszę wzrok i widzę, że stoimy przed drzwiami naszej sypialni. Próbuję wysunąć się z ich ramion, ale one wciąż mnie przytrzymują. Upierają się, że zostaną ze mną, dopóki się nie upewnią, że bezpiecznie weszłam do środka.

Więc nie protestuję.

I pukam do własnych drzwi, bo nie jestem pewna, jak się zachować.

Raz.

Drugi.

Czekam kilka sekund, zaledwie parę chwil, aż los mi odpowie, kiedy zdaję sobie sprawę, jak krzepiąca jest obecność Soni i Sary. Spoglądają na mnie z uśmiechem, chcą mi dodać otuchy, wesprzeć, pomóc. Próbują użyczyć mi swojej siły, bo wiedzą, że zaraz będę musiała stawić czoło czemuś, co raczej mnie nie uszczęśliwi.

I ta świadomość mnie uszczęśliwia.

Nawet jeśli to tylko przelotna chwila.

Bo myślę: chyba tak to jest mieć przyjaciół.

– Dzień dobry pani.

W drzwiach ukazuje się Castle. Kiwa głową. Zerka na moją pokiereszowaną dłoń. Potem znowu na moją twarz.

– Bardzo dobrze – mówi, przede wszystkim do siebie. – Dobrze, dobrze. Cieszę się, że czuje się pani lepiej.

– Tak – udaje mi się powiedzieć. – Dzię-dziękuję, ja...

– Dziewczyny – mówi do Soni i Sary. Uśmiecha się do nich promiennie, szczerze. – Dziękuję za wszystko, co zrobiłyście. Ja zajmę się resztą.

Kiwają głowami. Ściskają moje ramiona i puszczają je, a ja chwieję się przez chwilę, zanim udaje mi się odzyskać równowagę.

– Nic mi nie jest – mówię, kiedy one ponownie wyciągają ręce. – Nic mi nie będzie.

Kiwają głowami i wycofują się. Macham do nich.

– Proszę, niech pani wejdzie – mówi do mnie Castle.

I ja wchodzę.

## 13

1 łóżko piętrowe po jednej stronie.

1 pojedyncze po drugiej stronie.

Nie licząc tych mebli, pokój jest pusty.

Nie licząc mebli oraz Adama, który siedzi na pojedynczym łóżku – moim łóżku – z łokciami wspartymi na kolanach i twarzą ukrytą w dłoniach. Castle zatrzaskuje za mną drzwi, a Adam wzdryga się na ten dźwięk.

– Julio – mówi, ale nie patrzy mi w oczy, patrzy na mnie całą. Bada mnie wzrokiem, jakby chciał się upewnić, że nic mi nie jest, że ręce, nogi i wszystko inne mam wciąż na swoim miejscu. Dopiero kiedy odnajduje moją twarz, kiedy nasze spojrzenia się spotykają, zanurzam się w błękitnym morzu jego oczu, nurkuję w nim i tonę. Czuję się tak, jakby ktoś obezwładnił mnie uderzeniem pięścią w płuca, a potem odebrał mi cały tlen.

– Proszę usiąść.

Castle wskazuje na łóżko Soni, to na dole, dokładnie naprzeciwko tego, na którym siedzi Adam. Podchodzę powoli, walcząc z ogarniającymi mnie zawrotami głowy i mdłościami. Moja pierś unosi się i opada o wiele za szybko.

Opuszczam ręce na kolana.

Obecność Adama kładzie się ciężarem na mojej piersi. Przyglądam się uważnie starannym zwojom nowego bandaża, który ciasno opina knykcie mojej prawej dłoni. Nie starcza mi odwagi, żeby podnieść wzrok. Wszystko, czego pragnę, to podejść do niego, żeby mnie objął i zabrał z powrotem do świata tych nielicznych szczęśliwych chwil, jakich w życiu zaznałam. Powstrzymuje mnie ta niewyjaśniona sprawa, która mnie gryzie, drapie moje wnętrzności i nie pozwala zapomnieć o sobie ani o tym, że pewnie najlepiej byłoby nie ruszać się z miejsca.

Castle stoi w przejściu między łóżkami, między mną i Adamem. Wpatruje się w ścianę, a ręce trzyma splecione za plecami.

– Jestem bardzo, bardzo rozczarowany pani zachowaniem – mówi cicho.

Gorący, przeraźliwy wstyd pełznie w górę po moim karku i zmusza mnie do ponownego pochylenia głowy.

– Przykro mi – szepczę.

Castle bierze głęboki oddech. Bardzo powoli wypuszcza powietrze.

– Szczerze mówiąc, nie jestem jeszcze gotowy rozmawiać z panią o tym, co się stało. Wciąż jestem zbyt zdenerwowany, żeby myśleć o tej sprawie spokojnie. Pani zachowanie było dziecinne. Egocentryczne. Bezmyślne! Szkody, które pani spowodowała... Lata pracy, które pochłonęły projektowanie i budowa tamtego pomieszczenia, nawet nie wiem, od czego zacząć...

Opanowuje się, przełyka ślinę.

– Ale to nie jest temat na dziś – mówi spokojnie. – Może powinniśmy o tym porozmawiać w cztery oczy. Dzisiaj jestem tu dlatego, że pan Kent mnie o to poprosił.

Podnoszę wzrok. Patrzę na Castle’a. Patrzę na Adama.

Adam wygląda tak, jakby chciał uciekać.

Dochodzę do wniosku, że nie mogę już dłużej czekać.

– Dowiedział się pan czegoś na jego temat – mówię i bardziej przypomina to stwierdzenie faktu niż pytanie. To przecież oczywiste. Nie ma innego powodu, dla którego Adam przyprowadzałby tutaj Castle'a.

Stało się coś okropnego. Za chwilę wydarzy się coś okropnego.

Czuję to.

Adam siedzi ze wzrokiem utkwionym we mnie, przyciska pięści do ud. Wygląda na zdenerwowanego, przestraszonego. Patrzę na niego i nie wiem, co robić. Nie wiem, jak go pocieszyć. W tej chwili nie potrafię się nawet uśmiechnąć. Czuję się jak więzień nie swojego losu. Czyjegoś „długo i nieszczęśliwie".

Castle kiwa głową, powoli, 1 raz.

– Tak. Tak, odkryliśmy intrygującą naturę zdolności pana Kenta. – Staje pod ścianą i opiera się o nią, żeby nie zasłaniać mi Adama. – Wydaje nam się, że już rozumiemy, dlaczego on może pani dotknąć.

Adam odwraca się, przykładając jedną z pięści do ust. Możliwe, że ręka odrobinę mu drży, lecz mimo to odnoszę wrażenie, że radzi sobie lepiej ode mnie. Moje wnętrzności krzyczą, głowa mi płonie, a panika odcina mi dopływ tlenu do płuc. Po usłyszeniu złych wieści reklamacji nie uwzględnia się.

– Dlaczego? – Wbijam wzrok w podłogę. Liczę szpary, szmery, kamienie. I nic.

1

2, 3, 4

1

2, 3, 4

1

2, 3, 4

– On... potrafi blokować różne rzeczy – mówi Castle.

Zdezorientowana mrugam 5, 6, 7, 8 milionów razy. Moje liczby rozbijają się o podłogę, dodając się, odejmując, mnożąc i dzieląc.

– Co? – pytam.

To jakaś pomyłka. To wcale nie brzmi koszmarnie.

– Odkryliśmy to właściwie zupełnie przypadkiem – wyjaśnia Castle. – Nie mieliśmy zbyt wiele szczęścia z doświadczeniami, które przeprowadzaliśmy. Ale potem, któregoś dnia, byłem zajęty ćwiczeniami, a pan Kent próbował zwrócić moją uwagę. Dotknął mojego ramienia.

No proszę.

– I... – mówi Castle, nabierając powietrza – nagle okazało się, że nie mogę nic zrobić. Zupełnie jakby... jakby jakiś przewód w moim ciele został przecięty. Poczułem to natychmiast. Pan Kent chciał, żebym zwrócił na niego uwagę, i przez przypadek mnie rozłączył. Nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałem. – Kręci głową. – Ostatnio pracowaliśmy wspólnie nad tym, żeby się przekonać, czy potrafi kontrolować swoje zdolności i sterować nimi. Chcemy także sprawdzić – dodaje Castle podekscytowany – czy potrafi przenosić je na innych. Okazuje się, że pan Kent nie potrzebuje kontaktu ze skórą, bo kiedy dotknął mojego ramienia, miałem na

sobie marynarkę. A to znaczy, że on już przenosi swój dar, choćby częściowo. I wierzę, że przy odrobinie wysiłku będzie w stanie te zdolności rozwinąć.

Nie mam pojęcia, co to znaczy.

Próbuję spojrzeć w oczy Adamowi. Chciałabym, żeby powiedział mi o tym wszystkim sam, ale on nie podnosi wzroku. Nie odzywa się, a ja nic nie rozumiem. To nie brzmi jak złe wieści. Właściwie to brzmi zupełnie niewinnie. Coś tu się nie zgadza. Zwracam się do Castle'a.

– Więc Adam potrafi sprawić, że czyjaś moc, czyjś dar, na czymkolwiek on polega, że on staje się nieaktywny? Potrafi go wyłączyć?

– Tak, wszystko na to wskazuje.

– Sprawdzaliście to na kimś jeszcze?

Castle wygląda na urażonego.

– Oczywiście, że tak. Sprawdzaliśmy to na każdym mieszkańcu Punktu Omega obdarzonym nadprzyrodzonymi zdolnościami.

Jednak coś tu nie gra.

– A co z naszym przyjazdem tutaj? – pytam. – Kiedy był ranny? Dziewczynom udało się go uzdrowić. Dlaczego nie zablokował ich zdolności?

– Ach. – Castle kiwa głową. Odchrząkuje. – Tak. Jest pani bardzo przenikliwa. – Przemierza całą długość pokoju. – To właśnie tutaj wyjaśnienie staje się nieco bardziej złożone. Po dłuższej analizie doszliśmy do wniosku, że jego dar to rodzaj... mechanizmu obronnego. Którego jeszcze nie potrafi kontrolować, choć polega on wyłącznie na unieszkodliwianiu zdolności paranormalnych innych osób. Przez całe jego życie ten mechanizm był sterowany przez autopilota. W sytuacji związanej z ryzykiem, kiedy pan Kent znajdował się w niebezpieczeństwie, gdy jego ciało przechodziło w tryb gotowości, kiedy odczuwał zagrożenie, mógł zostać ranny, jego zdolności uaktywniały się automatycznie.

Milknie. Patrzy na mnie. Naprawdę na mnie patrzy.

– Na przykład kiedy spotkaliście się po raz pierwszy, pan Kent jako żołnierz stale musiał mieć się na baczności, być w nieustannej gotowości do obrony. Znajdował się w ciągłym *electricum*... tym terminem określamy stan, kiedy nasza Energia jest, że tak powiem, aktywna... bo groziło mu niebezpieczeństwo. – Castle wsuwa ręce do kieszeni marynarki. – Kolejne badania wykazały, że kiedy pan Kent jest w stanie *electricum*, temperatura jego ciała podnosi się. Jest o kilka stopni wyższa od normalnej. Podwyższona temperatura ciała oznacza, że zużywa więcej energii niż zazwyczaj, żeby ten stan podtrzymać. I krótko mówiąc – ciągnie Castle – ten długotrwały wydatek energetyczny go wyczerpuje. Osłabia jego system obronny, jego zdolności i zdolność kontrolowania ich.

Podwyższona temperatura ciała.

To dlatego skóra Adama zawsze wydawała się taka gorąca, kiedy byliśmy razem. Dlatego, kiedy był ze mną, wszystko wydawało się tak intensywne. Wykorzystywał swoje zdolności, żeby unieszkodliwić moje. Jego Energia była ukierunkowana na rozproszenie mojej.

To go wyczerpywało. Osłabiało jego system obronny.

O.

Boże.

– Pani fizyczne kontakty z panem Kentem to, prawdę mówiąc, nie moja sprawa. Interesują mnie na poziomie czysto naukowym, ze względu na wyjątkową naturę waszych zdolności. Ale muszę panią zapewnić, że choć te nowe odkrycia są bez wątpienia fascynujące, nie sprawiają mi absolutnie żadnej satysfakcji. Wprawdzie dość jasno dała mi pani do zrozumienia, co pani o mnie myśli, ale proszę mi wierzyć, nie potrafiłbym czerpać radości z pani problemów.

Moich problemów.

Oto i moje problemy – wkraczają do rozmowy efektownie spóźnione, jak przystało na nieliczące się z nikim potwory.

– Proszę – szepczę. – Proszę mi po prostu powiedzieć, co to oznacza. Jest jakiś problem, prawda? To jakaś przeszkoda.

Spoglądam na Adama, lecz on wciąż odwraca wzrok, patrzy na ścianę, na wszystko, tylko nie na moją twarz, a ja czuję, że wstaję, próbując zwrócić jego uwagę.

– Adamie, czy ty wiesz, o co chodzi? Wiesz, o czym on mówi? Proszę...

– Błagam, niech pani usiądzie – mówi szybko Castle. – Wiem, że to jest dla pani trudne, ale musi pani pozwolić mi skończyć. Poprosiłem pana Kenta, żeby mi nie przerywał, dopóki nie wyjaśnię wszystkiego. Ktoś musi przekazać pani te informacje w jasny, racjonalny sposób, a obawiam się, że on nie jest w stanie tego zrobić.

Opadam z powrotem na łóżko.

Castle wypuszcza powietrze.

– Słusznie pani zauważyła, że pan Kent mógł poddać się zabiegom bliźniaczek uzdrowicielek zaraz po przyjeździe do nas. Ale tamta sytuacja była wyjątkowa. Był osłabiony, świadomy, że potrzebuje pomocy. Jego ciało nie mogło i, co ważniejsze, nie potrafiło się oprzeć opiece lekarskiej. Był bezbronny i nie mógł się opierać, nawet gdyby chciał. Kiedy tu przybył, jego Energia była już prawie całkiem wyczerpana. Ponadto poczuł się u nas bezpieczny i szukał pomocy, jego ciało nie było w bezpośrednim niebezpieczeństwie i dlatego nie odczuwał strachu, który mógłby posłużyć jako bodziec do uruchomienia strategii obronnej.

Castle podnosi wzrok. Patrzy mi w oczy.

– Teraz pan Kent ma podobny problem z panią.

– Co takiego!? – wykrzykuję.

– Obawiam się, że jeszcze nie potrafi sterować swoimi umiejętnościami. Mamy nadzieję, że uda mu się opanować tę sztukę, ale potrzeba na to czasu, energii i zaangażowania...

– Co pan ma na myśli? – Słyszę swoje nabrzmiałe od paniki słowa. – Co to znaczy, że on ma podobny problem ze mną?

Castle nabiera powietrza.

– Wygląda na to, że jest słabszy, kiedy jest z panią. Im więcej czasu spędza w pani towarzystwie, tym mniejsze odczuwa zagrożenie. I im bardziej... intymne są wasze relacje – mówi Castle i wyraźnie widać, że czuje się niezręcznie – tym słabiej kontroluje własne ciało. – Cisza. – W kontaktach z panią staje się zbyt otwarty, zbyt podatny. I w takich chwilach jego system obronny wymyka mu się tak dalece, że pani dotyk zaczyna mu sprawiać dotkliwy ból.

I już.

Oto moja głowa, leży na podłodze, pęknięta, mózg wylewa się z niej na wszystkie strony, a ja nie mogę nie mogę nie mogę siedzę tu zszokowana ogłuszona.

Przerażona.

Adam nie jest na mnie odporny.

Adam musi się starać, żeby się przede mną bronić, a to go wyczerpuje. Przeze mnie czuje się chory, osłabiam jego ciało. A jeśli znowu mu się nie uda? Jeśli się zapomni. Jeśli kiedyś popełni błąd albo nie będzie dostatecznie skoncentrowany, albo stanie się zbyt świadomy, że wykorzystuje swój dar do obrony przed tym, co mogłabym mu zrobić...

Mogłabym go skrzywdzić.

Mogłabym go zabić.

## 14

Castle wpatruje się we mnie.

Czeka na moją reakcję.

Niedowierzanie rośnie mi w ustach. Nie mogę wydobyć słowa.

Castle spieszy z dalszymi wyjaśnieniami.

– Pan Kent uczy się kontrolować swoje zdolności. Będzie trenował, tak samo jak pani, żeby zapanować nad tą szczególną cechą swojej osobowości. Minie trochę czasu, zanim nabierzemy pewności, że jest z panią bezpieczny, ale zapewniam panią, że nic mu nie będzie...

– Nie. – Wstaję. – Nie nie nie nie nie. – Chwieję się. – NIE.

Wpatruję się w swoje stopy i dłonie, w ściany dokoła mnie i chcę krzyczeć. Chcę biec. Chcę upaść na kolana. Chcę przeklinać świat za to, że mnie przeklął, za to, że się nade mną znęca, że odbiera mi jedyne szczęście, jakiego zaznałam, i idę, potykając się, w stronę drzwi, szukając wyjścia, ucieczki przed tym koszmarem, jakim jest moje życie i

– Julio, proszę...

Głos Adama zatrzymuje moje serce. Zmuszam się, żeby się odwrócić. Żeby spojrzeć mu w oczy.

Ale w chwili, kiedy nasze spojrzenia się spotykają, on milknie. Stoi w odległości 3 metrów ode mnie i wyciąga rękę, żeby mnie zatrzymać, a ja chciałabym szlochać i śmiać się jednocześnie z tego koszmarnego żartu.

Nie dotknie mnie.

Nie pozwolę, żeby mnie dotknął.

Nigdy więcej.

– Jestem pewien, że w tej chwili to wydaje się pani trudne do zaakceptowania, ale jak już powiedziałem, to nie jest stan permanentny – mówi Castle łagodnie. – Dzięki odpowiedniemu szkoleniu...

– Kiedy mnie dotykasz, czy to jest dla ciebie wysiłek? – pytam Adama drżącym głosem. – Czy to cię wyczerpuje? Czy tracisz swą Energię, dlatego że nieustannie walczysz ze mną i z tym, czym jestem?

Adam próbuje odpowiedzieć. Usiłuje się odezwać, ale w końcu nie mówi nic, a jego niewypowiedziane słowa są o wiele gorsze.

Odwracam się do Castle'a.

– Właśnie to pan powiedział, prawda? – Mój głos jest teraz jeszcze bardziej drżący, zbyt bliski łez. – Że on wykorzystuje swoją Energię, żeby stłumić moją, i że jeśli kiedyś zapomni... jeśli kiedyś da się po-onieść a-albo stanie się z-zbyt bezbronny... Że mogłabym go skrzywdzić... Że już sprawiłam mu ból...

– Ależ...

– Proszę po prostu odpowiedzieć na moje pytanie!

– No cóż, tak – mówi. – W każdym razie w tej chwili to wszystko, co wiemy...

– O, Boże, j-ja... ja nie mogę...

Potykam się, ruszając do drzwi. Moje nogi są nadal słabe, w głowie wciąż mi

się kręci, a wszystko jest nieostre, świat został doszczętnie wypłukany z kolorów. Nagle znajome ramiona oplatają mnie w talii i ciągną do tyłu.

– Julio – mówi, tak natarczywie – proszę, musimy o tym porozmawiać...

– Puść mnie. – Mój głos brzmi niewiele głośniej niż oddech. – Adamie, proszę... Nie mogę...

– Proszę pana – odzywa się Adam – czy mógłby pan zostawić nas na chwilę samych?

– Och. – Castle jest zaskoczony. – Oczywiście – mówi, o jedno uderzenie serca za późno. – Jasne, tak, tak, oczywiście. – Podchodzi do drzwi. Waha się. – Będę... no, właśnie. Tak. Wiecie, gdzie mnie znaleźć.

Kiwa głową, posyła mi wymuszony uśmiech i wychodzi z pokoju. Drzwi zatrzaskują się za nim z metalicznym zgrzytem.

W przestrzeń między nami wlewa się cisza.

– Adamie, proszę – mówię wreszcie i nienawidzę siebie za to, że to mówię. – Puść mnie.

– Nie.

Czuję jego oddech na karku i jego bliskość jest nie do zniesienia. Nie mogę znieść świadomości, że muszę odbudować mury, które tak beztrosko zburzyłam w chwili, kiedy on ponownie pojawił się w moim życiu.

– Porozmawiajmy o tym – mówi. – Nie wychodź. Proszę. Po prostu ze mną porozmawiaj.

Wrastam w ziemię.

– Proszę – powtarza, tym razem delikatniej, a moja stanowczość wybiega z pokoju beze mnie.

Idziemy w stronę łóżek. On siada po jednej stronie pokoju. Ja siadam po drugiej stronie.

Wpatruje się we mnie. Jego oczy są zmęczone, pełne napięcia. Wygląda tak, jakby był niedożywiony, jakby od tygodni nie spał. Waha się, oblizuje wargi, potem zaciska je mocno. Wreszcie zaczyna mówić.

– Przepraszam. Przepraszam, że ci nie powiedziałem. Bałem się.

A ja mam ochotę się śmiać i śmiać i śmiać aż się rozpuszczę we łzach.

– Rozumiem, dlaczego mi nie powiedziałeś – szepczę. – To oczywiste. Chciałeś uniknąć tego wszystkiego.

Macham bezładnie ręką.

– Nie gniewasz się na mnie? – pyta.

Jego oczy są tak koszmarnie pełne nadziei. Wygląda tak, jakby chciał do mnie podejść, a ja muszę wyciągnąć rękę, żeby go powstrzymać.

Uśmiech na mojej twarzy dosłownie mnie zabija.

– Jak mogłabym się gniewać? Zadręczałeś się tam na dole tylko po to, żeby zrozumieć, co się z tobą dzieje. Zadręczasz się w tej chwili, szukając sposobu, żeby to naprawić.

Wygląda tak, jakby odetchnął z ulgą.

Ulga, dezorientacja i niedowierzanie jednocześnie.

– A jednak płaczesz – mówi. – Dlaczego płaczesz, skoro nie masz do mnie pretensji?

Tym razem rzeczywiście zaczynam się śmiać. Głośno. Śmieję się, mam czkawkę i tak bardzo chciałabym umrzeć.

– Bo byłam idiotką, myślałam, że wszystko może się zmienić. Myślałam, że jesteś moim darem od losu. Wierzyłam, że moje życie może być lepsze, niż było, że ja mogłabym być lepsza, niż byłam.

Próbuję jeszcze coś dodać, ale tylko przyciskam rękę do ust, tak jakbym nie mogła uwierzyć w to, co zamierzam powiedzieć. Zmuszam się do przełknięcia kamienia, który mam w gardle. Opuszczam rękę.

– Adamie – mój głos jest zachrypnięty, bolesny – to się nie uda.

– Co? – Zastyga w bezruchu, jego oczy są szeroko otwarte, jego pierś unosi się i opada gwałtownie. – O czym ty mówisz?

– Nie możesz mnie więcej dotknąć. Nie możesz mnie dotknąć, wystarczy, że już zadałam ci ból...

– Nie... Julio...

Adam zrywa się z miejsca i po chwili klęczy obok mnie, chce złapać mnie za ręce, ale ja muszę je wyrwać, bo moje rękawiczki zostały zniszczone, zniszczone w laboratorium i moje palce są nieosłonięte.

Niebezpieczne.

Adam patrzy, jak chowam dłonie za plecami. Wygląda tak, jakbym dała mu w twarz.

– Co robisz? – pyta, nie podnosząc wzroku.

Wciąż wpatruje się w moje ręce. Oddycha z trudem.

– Nie mogę ci tego zrobić. – Zbyt gwałtownie kręcę głową. – Nie chcę być powodem twojego bólu ani wyczerpania. Nie chcę, żebyś stale musiał się bać, że cię przez przypadek zabiję.

– Nie, Julio, posłuchaj mnie. – Wpatruje się w moją twarz zrozpaczony. – Ja też się bałem, jasne? Ja też się bałem. Naprawdę się bałem. Myślałem... Myślałem, że może... Nie wiem, myślałem, że może to byłoby za trudne, że może nie będziemy w stanie tego opanować, ale rozmawiałem z Castle'em. Rozmawiałem z nim, powiedziałem mu wszystko, a on twierdzi, że po prostu muszę nauczyć się nad tym panować. Nauczę się to włączać i wyłączać...

– Nie licząc chwil, kiedy jesteś ze mną? Kiedy jesteśmy razem...

– Nie... Co takiego? Nie, zwłaszcza wtedy, kiedy jesteśmy razem!

– Dotykanie mnie... Bycie ze mną... To dla ciebie fizyczny wysiłek! Masz gorączkę, kiedy jesteśmy razem, wiedziałeś o tym? Chorujesz, kiedy próbujesz ze mną walczyć...

– Nie słuchasz mnie... proszę... mówię ci, że nauczę się to wszystko kontrolować...

– Kiedy? – pytam i czuję, jak po kolei pękają mi kości, jedna za drugą.

– Co? Co masz na myśli? Nauczę się... Już się tego uczę...

– I jak ci idzie? Bułka z masłem?

Jego usta się zamykają, patrzy na mnie, zmagając się z jakimiś emocjami, usiłując odzyskać panowanie nad sobą.

– Co chcesz powiedzieć? – pyta wreszcie. – Czy ty... – dyszy. – Czy ty... To znaczy... Nie zamierzasz nawet spróbować?

– Adamie...

– Co ty mówisz, Julio? – Wstaje, z drżącą ręką wczepioną we włosy. – Ty nie... Ty nie chcesz ze mną być?

Zrywam się na nogi, przełykam łzy, które pieką mnie w oczy, rozpaczliwie pragnę do niego pobiec, ale nie mogę się ruszyć. Głos mi się łamie.

– Oczywiście, że chcę z tobą być.

Opuszcza rękę. Jego oczy są szeroko otwarte i bezbronne, ale zęby ma zaciśnięte, mięśnie napięte, a jego pierś faluje z wysiłku, jaki sprawia mu wdychanie i wydychanie powietrza.

– W takim razie co się dzieje? Bo coś się dzieje i nie wygląda to najlepiej – mówi głosem pełnym niepokoju. – To wygląda o wiele gorzej niż nie najlepiej, a ja tylko chcę cię przytulić...

– Nie chcę ci zrobić k-krzywdy...

– Nie zrobisz mi krzywdy – mówi. Nagle staje przede mną i patrzy na mnie błagalnie. – Przysięgam. Wszystko będzie dobrze... Już czuję się lepiej. Pracowałem nad tym i jestem silniejszy...

– To zbyt niebezpieczne, Adamie, proszę. – Cofam się, z furią ocierając łzy, które uciekają po mojej twarzy. – Tak jest dla ciebie lepiej. Lepiej dla ciebie, żebyś trzymał się ode mnie z daleka...

– Ale ja nie chcę... Nawet nie pytasz mnie o zdanie... – mówi i idzie za mną, podczas gdy ja próbuję przed nim uciec. – Ja chcę z tobą być i nie obchodzi mnie, że to trudne. Nie obchodzi mnie, czy to będzie wymagało trochę więcej wysiłku, bo na tym polega każdy związek, Julio. Bycie razem wymaga trudu. Trzeba nad tym pracować każdego dnia. I owszem, to jest do dupy, to jest naprawdę, naprawdę do dupy i będzie cholernie trudne, ale mam to gdzieś. I tak tego chcę. I tak chcę ciebie.

Jestem w potrzasku.

Znalazłam się między nim a ścianą, nie mam dokąd iść i nie chciałabym nigdzie iść, nawet gdybym mogła. Nie chcę z tym walczyć, chociaż coś we mnie krzyczy, że nie wolno być tak egocentrycznym, nie wolno pozwolić mu się zbliżyć, skoro to może się skończyć wyłącznie jego cierpieniem. Ale on na mnie patrzy, patrzy na mnie, jakbym właśnie próbowała go zabić, i zdaję sobie sprawę, że w ten sposób ranię go bardziej.

Drżę. Pragnę go tak rozpaczliwie, a teraz wiem, lepiej niż kiedykolwiek, że moje pragnienia będą musiały zaczekać. I nie mogę tego znieść. Ogarnia mnie taka rozpacz, że mogłabym krzyczeć.

Może jednak moglibyśmy spróbować.

– Julio. – Głos Adama jest zachrypnięty, łamie się od emocji. Jego ręce są na mojej talii, niepewne, drżące, czekają na pozwolenie. – Proszę.

A ja nie protestuję.

Oddycha teraz ciężej, pochyla się nad mną, opiera czoło na moim ramieniu. Kładzie ręce płasko na moim brzuchu i zsuwa je niżej, wolno, tak wolno, że wydaję z siebie jęk.

W moim ciele dochodzi do trzęsienia ziemi, płyty tektoniczne przemieszczają się, są coraz dalej od paniki, coraz bliżej rozkoszy, jego palce wolno muskają moje uda, wędrują w górę pleców, otaczają moje ramiona i ześlizgują się po moich rękach.

Zatrzymują się na chwilę na nadgarstkach. Tu kończy się tkanina, tu zaczyna się moja skóra.

Ale on nabiera powietrza.

I bierze mnie za ręce.

Przez chwilę stoję jak sparaliżowana, szukając na jego twarzy oznak bólu lub strachu, a po chwili oboje oddychamy z ulgą, widzę, że on uśmiecha się z nową nadzieją, nowym optymizmem, że może wszystko jakoś się ułoży.

A potem mruga i jego oczy się zmieniają.

Jego spojrzenie jest teraz głębsze. Bardziej rozpaczliwe. Głodne. Wpatruje się we mnie, jakby próbował odczytać słowa ukryte w moim sercu, a ja zaczynam czuć żar bijący od jego ciała, przypływ mocy w jego dłoniach, siłę w jego piersi i nie mam czasu, żeby powstrzymać jego pocałunek.

Jego lewa ręka otacza tył mojej głowy, prawa oplata mnie w talii, przyciska mnie mocno i niszczy każdą rozsądną myśl, jaka mogłaby powstać w mojej głowie. To niewiarygodnie silne uczucie. Potężne. Jakby odkrywał przede mną zupełnie nieznane oblicze. Dysząc dysząc dysząc chwytam powietrze.

To jest jak gorący deszcz w parny dzień, jak awaria termostatu. Jak gwiżdżący czajnik, jak szalejący silnik parowy. Chciałabym zrzucić ubranie tylko po to, żeby poczuć bryzę.

To ten rodzaj pocałunku, przy którym tlen okazuje się przereklamowany.

I wiem, że nie powinnam tego robić. Wiem, że to lekkomyślne i nieodpowiedzialne po tym wszystkim, czego się właśnie dowiedziałam, ale ktoś musiałby mnie zastrzelić, żebym zgodziła się przestać.

Ciągnę za jego koszulę, szukam czegoś, czego mogłabym się uchwycić, rozpaczliwie poszukuję tratwy, kamizelki ratunkowej, czegoś, czegokolwiek, co dałoby mi oparcie w rzeczywistości, ale on odsuwa się gwałtownie, żeby złapać oddech, i zrywa koszulę, rzuca ją na podłogę, pociąga mnie w swoje ramiona i oboje padamy na moje łóżko.

Lądуję na nim.

Wyciąga rękę, żeby przyciągnąć mnie do siebie, i całuje mnie, moją szyję, moje policzki, a moje dłonie szukają jego ciała, odkrywają jego krzywizny, płaszczyzny, wzniesienia. Przyciska czoło do mojego i zaciska powieki.

– Jak to możliwe – mówi – że jestem tak blisko ciebie, a nie mogę znieść, że wciąż jesteś tak daleko?

A ja przypominam sobie, że obiecałam mu, 2 tygodnie temu, że kiedy tylko poczuje się lepiej, kiedy zostanie uzdrowiony, moje wargi zbadają każdy centymetr jego ciała.

Dochodzę do wniosku, że pora spełnić tę obietnicę.

Zaczynam od jego ust, wędruję po jego policzku, zanurzam się pod linię szczęki, zsuwam się po szyi, w kierunku ramion i rąk, owiniętych wokół mnie. Jego dłonie muskają kombinezon, który przywarł do mnie jak druga skóra. Adam jest rozgrzany, napięty, usiłuje zachować spokój, choć i tak słyszę, jak jego serce tłucze za mocno, za szybko o jego pierś.

O moją pierś.

Przesuwam palcami po rysunku ptaka na jego skórze, obrazie jedynej

niemożliwej rzeczy, jaką chciałabym w życiu zobaczyć. Ptak. Biały, ze złotymi prążkami na głowie, przypominającymi koronę.

Będzie latał.

Ptaki nie latają, twierdzą naukowcy, ale ludzie mówią, że kiedyś latały. I pewnego dnia chcę to zobaczyć. Chcę dotknąć ptaka. Chcę patrzeć, jak leci, tak jak kiedyś, jak za dawnych czasów, jak nie potrafił latać w moich snach.

Pochylam się, żeby ucałować żółtą koronę jego głowy wytatuowanej na piersi Adama. Słyszę, jak załamuje się oddech Adama.

– Uwielbiam ten tatuaż – mówię, patrząc mu w oczy. – Nie widziałam go, odkąd tu przyjechaliśmy. Odkąd tu przyjechaliśmy, nie widziałam cię bez koszulki – szepczę. – Czy nadal śpisz bez koszulki?

Ale Adam w odpowiedzi uśmiecha się dziwnie, jakby śmiał się z jakiegoś własnego, prywatnego żartu.

Unosi moją dłoń ze swojej piersi i przyciąga mnie bliżej, tak że nasze twarze znajdują się naprzeciwko siebie. Zsuwa gumkę z moich włosów, a kasztanowe fale spływają po moich obojczykach i ramionach. To dziwne, nie czułam powiewu wiatru od przyjazdu tutaj, a teraz mam wrażenie, że wicher zamieszkał w moim ciele, że wlewa się do moich płuc, dostał się do krwiobiegu i sprawia, że trudno mi jest oddychać.

– Nie mogę spać – mówi Adam, a jego głos jest tak cichy, że muszę wytężać słuch, żeby go słyszeć. – To wydaje się nie w porządku, być każdej nocy tak daleko od ciebie. – Jego lewa ręka jest wpleciona w moje włosy, prawa owinięta wokół mnie. – Boże, tak strasznie za tobą tęskniłem – mówi, a jego słowa rozbrzmiewają w moim uchu chropawym szeptem. – Julio.

Zaczynam

płonąć.

To jak pływanie w karmelu, ten pocałunek to jak zanurzenie się w złocie, ten pocałunek to tak, jakbym nurkowała w oceanie uczuć i została porwana przez prąd, nie zdaję sobie nawet sprawy, że tonę, i nic już nie ma znaczenia. Ani moja dłoń, która już nie boli, ani ten pokój, który nie należy wyłącznie do mnie, ani ta wojna, którą mamy prowadzić, ani moje zamartwianie się o to, kim albo czym jestem i czym mogę się stać.

To jedyne, co się teraz liczy.

To.

Ta chwila. Te usta. To silne ciało przyciśnięte do mojego i te pewne ręce, które znajdują sposób, żeby przyciągnąć mnie bliżej, i wiem, że chcę znacznie więcej jego, chcę go całego, chcę czuć piękno tej miłości opuszkami palców, dłońmi, każdym włóknem, każdą tkanką swojego ciała.

Chcę wszystkiego.

Moje dłonie wczepiają się w jego włosy, kręcę kołowrotkiem i wciągam go, bliżej, znacznie bliżej, aż cały leży na mnie i cofa się, żeby nabrać powietrza, ale ja przyciągam go z powrotem, całuję jego szyję, jego ramiona, jego pierś, przesuwam dłońmi po jego plecach, po obu stronach jego ciała, to oszałamiające, ta Energia, ta niewiarygodna moc, którą czuję, będąc z nim, dotykając go, obejmując go tak jak teraz. Ożywia mnie elektryzujący przypływ adrenaliny tak potężny, tak euforyczny,

że czuję się odmłodzona, niezwyciężona, niezniszczalna...

Odskakuję.

Odpycham go tak szybko, że czołgając się, spadam z łóżka i uderzam głową o kamienną podłogę. Chwieję się, próbując wstać, usiłuję pochwycić dźwięk jego głosu, ale słyszę wyłącznie świszczące, pełne paniki oddechy, które znam już zbyt dobrze, nie jestem w stanie zebrać myśli, nic nie widzę i wszystko jest rozmazane, i nie mogę, nie chcę uwierzyć, że to naprawdę się dzieje...

– J-Jul... – Próbuje wydobyć głos. – J-ja...

I osuwam się na kolana.

Krzyczę.

Krzyczę, jak jeszcze nigdy w życiu nie krzyczałam.

# 15

*Liczę wszystko.*

*Otaczają mnie liczby parzyste, liczby nieparzyste i całe dziesiątki. Liczę tyknięcia zegara, liczę taknięcia zegara, liczę linie między liniami na kartce papieru. Liczę drżące uderzenia mojego serca, liczę uderzenia mojego pulsu i mrugnięcia moich powiek, liczę, ile potrzeba prób, żeby dostarczyć wystarczającą ilość tlenu do płuc. Trwam w ten sposób, tkwię w ten sposób i liczę w ten sposób, dopóki to uczucie nie minie. Dopóki łzy nie przestaną płynąć, dopóki pięści nie przestaną drżeć, a moje serce nie przestanie boleć.*

*Nie ma aż tylu liczb.*

Adam jest w skrzydle medycznym.

On jest w skrzydle medycznym, a mnie poproszono, żebym go nie odwiedzała. Poproszono mnie, żebym trochę zaczekała, żebym dała mu czas na powrót do zdrowia~~, żebym wreszcie zostawiła go~~ w ~~spokoju~~. Sonia i Sara powiedziały, że przyjdzie do siebie. Powiedziały, żebym się nie martwiła, że wszystko będzie dobrze, ale w ich uśmiechach było trochę mniej entuzjazmu niż zazwyczaj, a ja zaczynam się zastanawiać, czy one też widzą już we mnie to, czym naprawdę jestem.

Obrzydliwą, egocentryczną, żałosną istotę.

Dostałam to, czego chciałam. Wiedziałam, co ryzykuję, ale i tak po to sięgnęłam. Adam nie mógł tego wiedzieć, nie zdawał sobie sprawy, co znaczy naprawdę cierpieć w moich rękach. Nie był świadomy potęgi i okrutnej natury mojego daru. Ze słów Castle'a mogę się tylko domyślać, że choć zdarzało mu się czuć impulsy mojej mocy, jej słabe przebłyski, to był jeszcze na tyle świadomy, żeby się odsunąć, nie odczuwając w pełni jej skutków.

Lecz ja wiedziałam, z czym mamy do czynienia.

Wiedziałam, do czego jestem zdolna. Dobrze znałam moc swojego dotyku i zlekceważyłam ją. Pozwoliłam sobie na zapomnienie, lekkomyślność, chciwość i głupotę, pragnęłam czegoś, czego nie mogłam mieć. Chciałam wierzyć w bajki, w szczęśliwe zakończenia i w to, że wszystko jest możliwe. Chciałam udawać, że jestem lepsza, ale zamiast tego udało mi się dowieść, że jestem oprawcą, za którego zawsze mnie brano.

~~Moi rodzice mieli rację, że się mnie pozbyli~~.

Castle nawet ze mną nie rozmawia.

Za to Kenji nadal oczekuje, że pojawię się o 6 rano, żeby robić to, co tam mieliśmy robić, a ja zdaję sobie sprawę, że w jakimś sensie jestem mu za to wdzięczna, bo to pomoże mi się czymś zająć. Szkoda, że zostało jeszcze tyle godzin. Odtąd moje życie już zawsze będzie samotne tak jak kiedyś i najlepiej, żebym znalazła sposób na wypełnienie sobie czasu.

Żeby zapomnieć.

Wciąż dociera do mnie na nowo, raz po raz po raz, świadomość tej całkowitej,

absolutnej samotności. Ta nieobecność jego w moim życiu, ta świadomość, że będę musiała żyć bez ciepła jego ciała, delikatności jego dotyku. Już zawsze. To mi przypomina, kim jestem, co zrobiłam i gdzie jest moje miejsce.

Ale pogodziłam się z tym.

Nie możemy być razem. Nie będziemy razem. Nie będę ryzykowała, że mogłabym znowu go skrzywdzić, nie chcę być kimś, przed kim będzie odczuwał lęk, nie chcę, żeby bał się mnie dotknąć, pocałować, objąć. Nie chcę odbierać mu szansy na normalne życie z kimś innym, przy kim nie będzie musiał stale się obawiać, że przez przypadek zostanie zabity.

Więc muszę wyciąć siebie z jego świata. Wyciąć jego z mojego.

Teraz jest mi o wiele ciężej. Tak okropnie ciężko jest mi pogodzić się z lodowatą pustką wokół siebie, kiedy już zaznałam tamtego żaru, niecierpliwości, czułości i namiętności, tego niewiarygodnego uczucia ulgi, że można dotknąć innej żywej istoty.

To poniżające.

Myślałam, że mogę wcielić się w rolę zwykłej dziewczyny, która ma zwykłego chłopaka, sądziłam, że mogę przeżywać historie, które w dzieciństwie poznawałam z książek.

Ja.

Julia i jej marzenie.

Na samą myśl o tym ogarnia mnie zażenowanie. Jakie to krępujące. Sądziłam, że mogę zmienić to, co zostało mi dane. Patrzyłam w lustro i naprawdę lubiłam tę bladą twarz, która na mnie z niego patrzyła.

Jakie to smutne.

W dzieciństwie zawsze utożsamiałam się z księżniczką, tą, która ucieka, a jej matka chrzestna, wróżka, zamienia ją w piękną dziewczynę. Na koniec czeka ją długie i szczęśliwe życie. Czepiałam się nadziei, czegoś w rodzaju przędzy splecionej z włókien może, prawdopodobnie i kto wie. Ale powinnam była słuchać, kiedy rodzice mówili, że coś takiego jak ja nie może mieć marzeń. ~~Coś takiego jak ty najlepiej byłoby zniszczyć, powiedziała do mnie moja matka~~.

I zaczynam myśleć, że mieli rację. Zaczynam się zastanawiać, czy nie powinnam po prostu zapaść się pod ziemię, kiedy przypominam sobie, że technicznie rzecz biorąc, już jestem pod ziemią. Nawet nie potrzebowałam łopaty.

To dziwne.

Jaką wewnętrzną pustkę czuję.

Kto wie, czy nie mieszka we mnie echo. Przypominam jednego z tych czekoladowych królików, które kiedyś sprzedawano przed Wielkanocą, tych, które były tylko słodkimi skorupami, kawałkami pustego świata. Tym jestem.

Kawałkiem pustego świata.

Wszyscy mnie tutaj nienawidzą. Nieliczne cienkie nici przyjaźni zostały pozrywane. Kenji jest mną znużony. Castle jest zdegustowany, rozczarowany, wręcz wściekły. Odkąd się tu pojawiłam, sprawiam wyłącznie kłopoty, a jedyny człowiek, który kiedykolwiek próbował dostrzec we mnie dobro, płaci za to teraz własnym życiem.

Jedyny człowiek, który nie bał się mnie dotknąć.

No dobrze. 1 z 2 ludzi.

Przyłapuję się na tym, że myślę o Warnerze.

Wspominam jego oczy, jego osobliwą życzliwość i okrutną, wyrachowaną pozę, którą przybierał najczęściej. Przypominam sobie, jak na mnie patrzył, kiedy wyskoczyłam przez okno, żeby uciec. Przerażenie na jego twarzy, kiedy wycelowałam do niego z jego własnej broni. Jak to możliwe, że potrafię być tak pochłonięta myślą o kimś takim jak on. O kimś tak różnym ode mnie~~,~~ a ~~jednak tak do mnie~~ ~~podobnym~~.

Myślę o tym, że kiedyś, wkrótce, będę musiała znowu stawić mu czoło, i zastanawiam się, jak on mnie przywita. Nie mam pojęcia, czy nadal będzie mu zależało na moim życiu, szczególnie po tym, jak próbowałam go zabić, i nie mam pojęcia, jak to możliwe, żeby ~~mężczyzna~~ ~~chłopak~~ ktoś przez 19 lat prowadził tak żałosne, zbrodnicze życie, a potem uświadamiam sobie, że się okłamuję. Bo przecież wiem. Bo być może jestem jedyną osobą, która mogłaby go zrozumieć.

Sporo zdążyłam się o nim dowiedzieć.

Wiem, że jest udręczoną duszą, która, podobnie jak ja, nie zaznała w życiu miłości, przyjaźni, ciepła czy choćby pokojowego współistnienia. Wiem, że jego ojciec jest przywódcą Komitetu Odnowy i pochwala morderstwa, których dopuszcza się jego syn, wiem też, że Warner nie ma pojęcia, co znaczy normalne życie.

~~Zupełnie jak ja.~~

Od zawsze usiłował sprostać oczekiwaniom swojego ojca, wspierać jego dążenia do osiągnięcia światowej dominacji bez kwestionowania powodów, zastanawiania się nad konsekwencjami, zatrzymywania się na chwilę potrzebną, żeby zrozumieć wartość ludzkiego życia. Ma władzę, siłę i pozycję, które umożliwiają mu wyrządzanie ogromnego zła, i korzysta z nich bez skrupułów. Zabija bez wyrzutów sumienia i żalu. Chce, żebym się do niego przyłączyła. Widzi we mnie to, czym jestem, i uważa, że marnuję swój potencjał.

Przerażająca, potworna dziewczyna o śmiercionośnym dotyku. Smutna, żałosna dziewczyna, która nie ma nic więcej do zaoferowania. Nadaje się tylko do tego, żeby być żywą bronią, narzędziem tortur i środkiem do zdobywania władzy. Tego właśnie chce ode mnie Warner.

A ostatnio nie jestem już pewna, czy się myli. Ostatnio niczego nie jestem już pewna. Nie wiem nawet, w co wierzę, a już najmniej wiem, kim jestem. Szepty Warnera rozlegają się echem w mojej głowie, powtarzając, że mogłabym być kimś więcej, mogłabym być silniejsza, mogłabym być wszystkim. Nie tylko przestraszoną małą dziewczynką.

On twierdzi, że mogłabym mieć władzę.

A jednak się waham.

Nie pociąga mnie życie, jakie mi zaproponował. Nie widzę w nim miejsca dla siebie. Myśl o nim nie sprawia mi przyjemności. Bo jednak, mówię sobie, wbrew wszystkiemu wiem, że nie chcę krzywdzić innych. Nie mogłabym do tego dążyć. I nawet jeśli świat mnie nienawidzi, nawet jeśli ludzie nigdy nie przestaną mnie nienawidzić, nigdy nie będę się mściła na niewinnym człowieku. Jeśli umrę nagle, jeśli zginę, jeśli zostanę zamordowana we śnie, przynajmniej odejdę z tego świata z jakąś resztką godności. Okruchem człowieczeństwa, które jest moje, o którym ja

decyduję. I nie pozwolę nikomu sobie tego odebrać.

Więc wciąż muszę sobie przypominać, że Warner i ja to 2 różne słowa.

Synonimy, a jednak różne słowa.

Synonimy znają się jak starzy kumple, jak przyjaciele, którzy niejedno razem przeżyli, lecz jeszcze wiele mają sobie do opowiedzenia. Którzy wspominają dzieciństwo i zapominają, że choć są sobie bliscy, to jednak zupełnie różni, i choć mają trochę wspólnego, to jeden nigdy nie może być drugim. Bo cicha noc to nie to samo co spokojna noc, bo niewzruszony człowiek to nie to samo co opanowany, a jasne światło nie jest takie samo jak olśniewające światło. Ponieważ o wszystkim decyduje sposób, w jaki słowa układają się w zdania.

To nie to samo.

Przez całe życie usiłowałam być lepsza. Silniejsza. Bo w przeciwieństwie do Warnera nie chcę być postrachem. Nie chcę nikogo krzywdzić.

Nie chcę wykorzystywać swojej władzy do tego, żeby ranić innych.

Ale wtedy spoglądam na swoje dłonie i przypominam sobie, do czego jestem zdolna. Przypominam sobie dokładnie, co zrobiłam. Zbyt dobrze wiem, co mogłabym zrobić. Tak trudno jest walczyć z czymś, na co nie ma się wpływu, a teraz nie kontroluję nawet własnej wyobraźni, która chwyta mnie za włosy i wlecze w ciemność.

## 16

*Samotność to dziwna rzecz.*

*Zakrada się cicho i niepostrzeżenie. Siada obok ciebie w ciemności. Głaszcze cię po włosach, kiedy śpisz. Owija się wokół twojego ciała i zaciska się tak mocno, że brakuje ci tchu, że zamiera twój puls, choć krew płynie coraz szybciej. Dotyka ustami miękkich włosków na twoim karku. Zostawia kłamstwa w twoim sercu, kładzie się w nocy w twoim łóżku, wysysa światło z każdego kąta. Nie odstępuje cię na krok, kurczowo trzyma cię za rękę tylko po to, żeby jednym szarpnięciem pociągnąć cię w dół, kiedy usiłujesz się podnieść.*

*Budzisz się, nie wiedząc, kim jesteś. Zasypiasz, drżąc na całym ciele. Wątpisz wątpisz wątpisz*

*czy jestem*

*czy nie jestem*

*czy mogę*

*czy mi wolno*

*A kiedy sądzisz, że jesteś gotów odejść, że jesteś gotów się uwolnić, zacząć od nowa, samotność jak stary znajomy staje obok twojego odbicia w lustrze i patrząc ci prosto w oczy, mówi: no dalej, spróbuj przeżyć życie beze mnie. Nie znajdujesz słów, żeby bronić się przed samym sobą, przed głosem, który powtarza, że nie jesteś wystarczająco dobry nigdy nigdy nigdy nie będziesz wystarczająco dobry.*

*Samotność to zgorzkniały, żałosny towarzysz.*

*Zdarza się, że po prostu nie odpuści.*

– Haaalo!

Mrugam, krzyczę i wzdrygam się na widok palców, które pstrykają przed moim nosem, przywracając ostrość kamiennym ścianom Punktu Omega, wyrywając mnie z zadumy. Jakoś udaje mi się odwrócić.

W korytarzu stoi Kenji i wpatruje się we mnie.

– Co? – Rzucam mu pełne paniki, nerwowe spojrzenie i rozplatam swoje nieosłonięte palce. Żałuję, że nie mam gdzie ich schować przed zimnem. Kombinezon nie ma kieszeni, a mnie nie udało się uratować rękawiczek zniszczonych w laboratoriach. Nie dostałam też nowych.

– Przyszłaś za wcześnie – mówi Kenji.

Przekrzywia głowę, przyglądając mi się z zaskoczeniem i zaciekawieniem.

Wzruszam ramionami. Próbuję ukryć twarz i to, że prawie nie spałam tej nocy.

Od 3 nad ranem jestem na nogach. Od 4 jestem ubrana i gotowa do wyjścia. Marzę o czymś, co pozwoliłoby mi wypełnić umysł, uciec od własnych myśli.

– Nie mogłam się doczekać – kłamię. – Co dzisiaj robimy?

Lekko kręci głową. Zerka na coś ponad moim ramieniem.

– Dobrze... ehm... – odchrząkuje – dobrze się czujesz?

– Pewnie.

– Uhm.

– Co?

– Nic – odpowiada szybko. – Tak tylko, wiesz. – Chaotyczny gest w stronę mojej twarzy. – Nie najlepiej wyglądasz, księżniczko. Trochę jak wtedy, w bazie, kiedy pierwszy raz pokazałaś się z Warnerem. Jakbyś była wystraszona, skonana, i bez obrazy, ale przydałby ci się prysznic.

Uśmiecham się i udaję, że nie czuję, jak moja twarz drży z wysiłku. Próbuję rozluźnić ramiona, wyglądać jak osoba całkowicie opanowana.

– Czuję się dobrze. Naprawdę. – Spuszczam wzrok. – Tylko... trochę tu zimno. Dawno nie chodziłam bez rękawiczek.

Kenji kiwa głową, wciąż na mnie nie patrząc.

– Już dobrze. Przecież wiesz, że nic mu nie będzie.

– Co? – Oddychanie. Pamiętać o oddychaniu.

– Kent. – Odwraca się do mnie. – Twój chłopak. Adam. Nic mu nie będzie.

1 słowo, 1 zwykłe głupie przypomnienie o Adamie płoszy motyle śpiące w moim żołądku. Potem przypominam sobie, że Adam nie jest już moim chłopakiem. W ogóle nie jest już częścią mojego życia. Bo nie może.

I motyle spadają martwe.

~~Nie mogę.~~

~~Nie mogę tego zrobić.~~

– No – mówię głośno, przesadnie wesoło. – To co, ruszamy? Pora iść, prawda?

Kenji rzuca mi dziwne spojrzenie, ale nic nie mówi.

– Tak – wzdycha w końcu. – Tak, jasne. Chodź ze mną.

## 17

Kenji prowadzi mnie do drzwi, których jeszcze nigdy nie widziałam. Drzwi do sali, w której jeszcze nigdy nie byłam.

Ze środka dobiegają jakieś głosy.

Kenji puka dwukrotnie, a potem naciska klamkę i w jednej chwili zalewa nas prawdziwa kakofonia. Wchodzimy do pokoju wypełnionego ludźmi, których widuję tylko z daleka, i radosnym śmiechem, którego nigdy z nimi nie dzielę. Stoją tu pojedyncze biurka z pojedynczymi krzesłami, rozstawione na wielkiej przestrzeni, która przypomina klasę. Na przeciwległej ścianie, obok monitora mrugającego informacjami, wisi szkolna tablica. Dostrzegam Castle'a. Stoi w rogu i wpatruje się w podkładkę do pisania w takim skupieniu, że zauważa naszą obecność dopiero wtedy, kiedy Kenji krzyczy do niego na powitanie.

Twarz Castle'a natychmiast się rozjaśnia.

Zauważyłam to już wcześniej, tę więź między nimi, jednak teraz staje się dla mnie coraz bardziej widoczne, że Castle darzy Kenjiego szczególną sympatią. Jakimś przepełnionym dumą rodzajem czułości, który zazwyczaj jest zarezerwowany dla rodziców. Zastanawia mnie ich znajomość. Gdzie się zaczęła, w jaki sposób, co się musiało wydarzyć, żeby ich drogi się spotkały. Zastanawia mnie, jak niewiele wiem o ludziach w Punkcie Omega.

Rozglądam się po pełnych entuzjazmu twarzach mężczyzn i kobiet, młodych i w średnim wieku, różniących się rasą, budową ciała i wzrostem. Zachowują się tak, jakby byli rodziną, a ja czuję dziwne kłucie w boku. Powstają w nim dziury, przez które uchodzi ze mnie powietrze.

Czuję się tak, jakbym stała z twarzą przyciśniętą do szyby i z ogromnej odległości obserwowała jakąś scenę, marząc o tym, żeby stać się jej częścią, choć wiem, że to nigdy nie będzie możliwe. Zapominam czasami, że są tam ludzie, którzy wbrew wszystkiemu potrafią jeszcze codziennie się uśmiechać.

Którzy wciąż nie stracili nadziei.

Nagle czuję zażenowanie, skrępowanie, nawet wstyd. W świetle dziennym moje myśli wydają się ciemne i smutne, a ja chcę udawać, że wciąż jestem pełna optymizmu, chcę wierzyć, że znajdę jakiś sposób na życie. Że może – jakoś, gdzieś – jest jeszcze dla mnie szansa.

Ktoś gwiżdże.

– Uwaga! – woła Kenji, przykładając dłonie do ust. – Wszyscy na miejsca. Zrobimy jeszcze jedno wprowadzenie dla tych z was, którzy są tutaj po raz pierwszy, i chciałbym, żebyście na chwilę usiedli. – Przesuwa wzrokiem po tłumie. – Dobra. Tak. Wszyscy siadają. Gdzie im pasuje. Lily, nie musisz, no dobrze, w porządku, tak będzie dobrze. Po prostu usiądź. Zaczynamy za pięć minut, dobra? – Podnosi do góry otwartą dłoń, z rozstawionymi palcami. – Pięć minut.

Przysiadam na najbliższym krześle, nie rozglądając się. Spuszczam głowę, skupiam wzrok na słojach drewna na blacie, podczas gdy wszyscy wkoło opadają na krzesła. Wreszcie ośmielam się zerknąć w prawo. Fosforyzujące białe włosy,

śnieżnobiała skóra. Mrugają do mnie przejrzyste, błękitne oczy.

Brendan. Ten naelektryzowany chłopak.

Uśmiecha się. Macha do mnie 2 palcami.

Pochylam głowę.

– O, cześć – słyszę czyjś głos. – Co tutaj robisz?

Podskakuję i patrzę w lewo. Blond włosy. Na garbatym nosie okulary w czarnych plastikowych oprawkach. Ironiczny niesymetryczny uśmiech na bladej twarzy. Winston. Pamiętam go. Przeprowadzał ze mną wywiad, kiedy przybyłam do Punktu Omega. Mówił, że jest kimś w rodzaju psychologa. I tak się składa, że to on zaprojektował strój, który mam na sobie. Rękawiczki, które zniszczyłam.

Myślę, że jest jakimś geniuszem. Nie jestem pewna.

Teraz przygląda mi się, przygryzając końcówkę długopisu. Palcem wskazującym poprawia okulary, które zsuwają mu się z nosa. Przypominam sobie, że zadał mi pytanie, i usiłuję na nie odpowiedzieć.

– Właściwie nie jestem pewna – mówię. – Kenji mnie tu przyprowadził, ale nie powiedział dlaczego.

Winston nie wygląda na zdziwionego. Przewraca oczami.

– Kenji i jego cholerne zagadki. Nie wiem, dlaczego mu się wydaje, że ludzie lubią być trzymani w napięciu. Chyba myśli, że jego życie to jakiś film. Ciągły dramatyzm. To irytujące jak diabli.

Nie mam pojęcia, co powinnam odpowiedzieć. ~~Przychodzi mi na myśl, że Adam by się z nim zgodził, i znowu nie mogę przestać myśleć o Adamie i znowu~~

– Eee, nie zwracaj na niego uwagi. – W rozmowie pojawia się brytyjski akcent. Odwracam się i widzę, że Brendan nadal się do mnie uśmiecha. – Winston zawsze jest wredny o tej porze.

– Jeeezu. A co to w ogóle za pora? – pyta Winston. – Mógłbym kopnąć żołnierza w krocze za kubek kawy.

– Sam jesteś sobie winien – odparowuje Brendan. – Myślisz, że trzy godziny snu na dobę ci wystarczą? Chyba cię pogięło.

Winston upuszcza swój pogryziony długopis na biurko. Gestem zmęczonego człowieka przesuwa dłonią po włosach. Ściąga okulary i pociera twarz.

– To przez te porąbane patrole. Każdej cholernej nocy. Coś się szykuje i robi się tam gorąco. Tylu żołnierzy po prostu sobie tędy przechodzi? Co oni tam wyprawiają? Naprawdę trzeba się cały czas pilnować...

– O czym ty mówisz? – pytam, zanim udaje mi się uciszyć samą siebie.

Nadstawiam uszu, zaciekawiona. Jakoś dotąd nie docierały do mnie wieści z zewnątrz. Castle'owi tak zależało, żebym całą swoją uwagę skupiła na szkoleniu, że słyszałam tylko jego ciągłe napomnienia, że mamy coraz mniej czasu i że muszę trenować, zanim będzie za późno. Czyżby sprawy miały się gorzej, niż myślałam?

– Patrole? – mówi Brendan, robiąc wymowny gest ręką. – Pracujemy na zmiany. W parach... Zmieniamy się na nocnych wartach – wyjaśnia. – Normalnie to żaden problem, rutyna, nic wielkiego.

– Ale ostatnio zrobiło się dziwnie – dorzuca Winston. – Jakby naprawdę zaczęli nas teraz szukać. Jakby plotki o nas nagle przestały być rojeniami szaleńca. Traktują nas jak realne zagrożenie i chyba się domyślają, gdzie mamy kryjówkę. –

Kręci głową. – Ale to niemożliwe.

– To nie jest niemożliwe, stary.

– A jak niby mieliby nas namierzyć? Jesteśmy jak ten cholerny Trójkąt Bermudzki.

– Widocznie nie.

– No, cokolwiek to jest, zaczyna mi działać na nerwy – mówi Winston. – Wszędzie nad nami są żołnierze, o wiele za blisko. Są w zasięgu kamer – dodaje, widząc moją dezorientację. – A najdziwniejsze jest to – nachyla się i zniża głos – że cały czas jest z nimi Warner. Każdej nocy. Chodzi i wydaje rozkazy, których nie mogę dosłyszeć. W dodatku ranny. Ma rękę na temblaku.

– Warner? – Otwieram szeroko oczy. – Jest z nimi? Czy to... Czy to coś niezwykłego?

– To dziwne – mówi Brendan. – Jest w końcu GR, głównodowodzącym i regentem Sektora 45. W normalnych okolicznościach wysłałby w teren jakiegoś pułkownika albo nawet porucznika. Jego priorytetem powinno być pilnowanie kwatery głównej, nadzór nad żołnierzami. – Brendan kręci głową. – To głupota z jego strony, że tak ryzykuje. Zostawił bazę. Dziwne, że w ogóle może się stamtąd wyrwać na tyle nocy.

– No – przytakuje Winston, kiwając głową. – Właśnie. – Dźga palcem powietrze. – To daje do myślenia. Komu on przekazuje obowiązki? Ten facet nikomu nie ufa, w ogóle raczej nie jest znany ze swojej umiejętności delegowania uprawnień. A teraz zostawia bazę każdej nocy. – Milknie. – To się nie trzyma kupy. Coś się szykuje.

– Myślisz – pytam z mieszaniną przerażenia i odwagi – że on ~~kogoś~~ czegoś szuka?

– Taa. – Winston wypuszcza powietrze. Drapie się po nosie. – Tak właśnie myślę. I bardzo chciałbym wiedzieć czego.

– Nas, to oczywiste – wtrąca Brendan. – Szuka nas.

Winston wydaje się nieprzekonany.

– No, nie wiem – mówi. – To co innego. Szukali nas od lat, ale nigdy nie zachowywali się w taki sposób. Nigdy nie wysyłali tylu ludzi na tego rodzaju misję. I nigdy nie dotarli tak blisko.

– Kurczę – szepczę, nie ufając sobie na tyle, żeby przyjąć którąś z własnych teorii. Wolę nie myśleć, ~~kogo~~ czego szuka Warner. I cały czas zastanawiam się, dlaczego tych 2 chłopaków rozmawia ze mną tak swobodnie, jakby można było mi ufać, jakbym była jedną z nich.

Nie ośmielam się wspomnieć o tym głośno.

– Tak – mówi Winston, biorąc znowu do ręki swój pogryziony długopis. – Masakra. Tak czy owak, jeżeli nie przechwycimy dzisiaj partii świeżej kawy, to ja się skicham.

Rozglądam się po pomieszczeniu. Nigdzie nie widzę kawy. Ani jedzenia. Zastanawiam się, co to oznacza dla Winstona.

– Czy będzie jakieś śniadanie, zanim zaczniemy? – pytam.

– Eee – mówi Winston. – Dzisiaj wszystko będzie inaczej. Poza tym będziemy mieli z czego wybierać, jak wrócimy. Mamy pierwszeństwo. To jedyna korzyść.

– Jak skąd wrócimy?

– Z zewnątrz – odpowiada Brendan, opierając się na krześle. Pokazuje na sufit. – Idziemy na górę. Na zewnątrz.

– Co!? – wykrzykuję. Po raz pierwszy odczuwam ekscytację. – Naprawdę?

– Taa. – Winston z powrotem zakłada okulary. – I wygląda na to, że jeszcze się załapiesz na wdrożenie w nasz mały proceder.

Ruchem głowy wskazuje na środek sali. Widzę, że Kenji z wysiłkiem stawia na stole jakiś wielki kufer.

– Co masz na myśli? – pytam. – Jaki proceder?

– Oj, no wiesz. – Winston wzrusza ramionami. Splata dłonie z tyłu głowy. – Kradzieże mienia o dużej wartości. Napady z bronią w ręku. Takie tam.

Zaczynam się śmiać, ale Brendan mnie ucisza. Właściwie kładzie rękę na moim ramieniu i na chwilę ogarnia mnie przerażenie. Zastanawiam się, czy postradał rozum.

– On nie żartuje – mówi do mnie Brendan. – I mam nadzieję, że umiesz się posługiwać bronią.

## 18

Wyglądamy jak bezdomni.

Czyli jak cywile.

Wychodzimy na korytarz ubrani w podobne do siebie zestawy odzieży, poszarpanej, znoszonej i wytartej. Wszyscy po drodze poprawiają swoje przebrania, Winston zdejmuje okulary i wsuwa je do kieszeni marynarki, a potem zapina płaszcz, którego kołnierz sięga mu do samej brody, i kuli się. Lily, jedna z dziewcząt, owija sobie wokół ust gruby szalik i naciąga na głowę kaptur. Kenji wkłada rękawiczki i poprawia bojówki, żeby lepiej ukryć wsunięty za pasek pistolet.

Brendan przestępuje z nogi na nogę obok mnie.

Wyciąga z kieszeni wełnianą myckę i naciąga ją na głowę. Zapina płaszcz pod samą brodę. To zaskakujące, jak czerń czapki kontrastuje z błękitem jego oczu, które wydają się teraz jeszcze jaśniejsze i bardziej wyraziste niż wcześniej. Błyska uśmiechem, kiedy zauważa, że patrzę. A potem rzuca mi parę starych rękawiczek, 2 numery za dużych, i kuca, żeby ciaśniej zawiązać sznurowadła.

Nabieram odrobinę powietrza.

Staram się całą swoją uwagę skupić na tym, gdzie jestem, co robię i co mam zrobić za chwilę. Nakazuję sobie nie myśleć o Adamie, nie myśleć o tym, co on w tej chwili robi, czy wraca do zdrowia ani co musi teraz czuć. Usiłuję nie rozpamiętywać naszych ostatnich wspólnych chwil, jego dotyku, jego objęć, jego ust, jego rąk, jego przyspieszonego oddechu...

I nie udaje mi się.

Nie potrafię przestać myśleć o tym, jak zawsze starał się mnie chronić, jak przy tym o mało nie zginął. Zawsze mnie osłaniał, zawsze mnie pilnował, nie zdając sobie nawet sprawy, że to .a, że to właśnie ja od początku byłam największym zagrożeniem. To z mojej strony trzeba było spodziewać się niebezpieczeństwa. Adam ma o mnie zbyt wysokie mniemanie, wyniósł mnie na piedestał, na który nigdy nie zasługiwałam. Zdziwiłoby go, gdyby wiedział, jak dobrze zdaję sobie teraz sprawę ze swoich zdolności. Wiem, że gdybym chciała, mogłabym zranić każdego.

Teraz to wiem.

Wiem, że mogłam skręcić Castle'owi kark. Wiem, że mogłam roztrzaskać Kenjiemu głowę. Wiem, że mogłabym zniszczyć Ziemię. ~~Wiem, że mogłabym zmuszać ludzi, żeby robili różne rzeczy. Złe rzeczy. Sprawiać, żeby cierpieli.~~ Ale ta świadomość mi nie pomaga. Nie czuję się przez to pewna siebie ani silna.

Robi mi się przez to niedobrze.

Ale z całą pewnością nie potrzebuję ochrony.

Nie potrzebuję, żeby ktoś się o mnie martwił albo o mnie myślał, albo ryzykował, że się we mnie zakocha. ~~Jestem niebezpieczna. Trzeba mnie unikać. Ludzie mają rację, że się mnie boją.~~

~~Powinni się bać.~~

– Hej. – Kenji przystaje obok mnie, chwyta mnie za łokieć. – Gotowa?

Kiwam głową. Uśmiecham się niewyraźnie.

Mam na sobie pożyczone ubranie, a na szyi, pod kombinezonem, zupełnie nową, fałszywą kartę IKO – Identyfikator Komitetu Odnowy. To dowód, że pracuję i mieszkam na ogrodzonych terytoriach uregulowanych, że jestem zarejestrowana jako ich mieszkaniec. Każdy pełnoprawny obywatel taką ma. Ja nigdy nie miałam, bo byłam zamknięta w szpitalu psychiatrycznym. Komuś takiemu jak ja nie była potrzebna. Właściwie jestem prawie pewna, że wszyscy spodziewali się, że tam umrę. Identyfikator nie był do tego konieczny.

Ale ta karta IKO jest wyjątkowa.

Nie każdy w Punkcie Omega dostaje fałszywą kartę. Okazuje się, że niezwykle trudno jest ją podrobić. To cienki prostokąt z bardzo rzadkiego rodzaju tytanu, na którym laserowo wytłoczono kod paskowy oraz dane właściciela. Karta ma wbudowane urządzenie naprowadzające, które podaje jego lokalizację.

– Karty IKO rejestrują wszystko – wyjaśnił nam Castle. – Są niezbędne, żeby wejść na teren osiedla czy miejsca pracy i go opuścić. Mieszkańcy otrzymują wynagrodzenie w KOMI dolarach. Płace są obliczane za pomocą złożonego algorytmu uwzględniającego trudność wykonywanej profesji i liczbę godzin spędzonych w pracy, co pozwala określić, ile jest ona warta. Pensja jest płatna tygodniowo w elektronicznej walucie rejestrowanej automatycznie przez układ scalony wbudowany w kartę IKO. Następnie w centrach zaopatrzeniowych za KOMI dolary można kupić jedzenie i artykuły pierwszej potrzeby. Zgubienie karty IKO oznacza utratę środków do życia, zarobków i statusu pełnoprawnego obywatela. Jeśli ktoś zostanie zatrzymany przez żołnierza i poproszony o dokument identyfikacyjny, powinien okazać kartę IKO. Nieokazanie karty ma... bardzo przykre konsekwencje. Obywatele, którzy poruszają się bez karty, są traktowani jak zagrożenie dla Komitetu Odnowy, element wywrotowy, który z premedytacją ignoruje prawo, osobnicy podejrzani. Jakakolwiek odmowa współpracy ze strony mieszkańca, nawet jeśli sprowadza się ona do tego, że ktoś nie chce, aby każdy jego krok był śledzony i monitorowany, czyni z niego automatycznie sympatyka rebeliantów. A to oznacza, że stwarza on zagrożenie. Zagrożenie, które Komitet Odnowy eliminuje bez skrupułów.

Castle wziął głęboki wdech.

– Dlatego pod żadnym pozorem nie wolno wam zgubić karty IKO. Wasze fałszywe karty nie mają urządzenia naprowadzającego ani układu scalonego do monitorowania KOMI dolarów, ponieważ nie dysponujemy technologią niezbędną do ich instalacji ani nie są nam one potrzebne. Ale to nie oznacza, że nasze identyfikatory mają mniejszą wartość. Dla obywateli na terytoriach uregulowanych karty IKO są nieodłącznym elementem wyroku dożywocia, ale w Punkcie Omega uważa się je za przywilej. I tak właśnie powinniście je traktować.

Przywilej.

Wśród wielu rzeczy, których dowiedziałam się na naszym dzisiejszym spotkaniu, jest i to, że karty IKO przyznaje się wyłącznie tym mieszkańcom Punktu Omega, którzy wykonują zadania w terenie. Wszyscy ludzie w tamtym pokoju zostali uznani za wartościowych, silnych, godnych zaufania. Zaproszenie mnie do ich grona było odważnym posunięciem ze strony Kenjiego. Teraz zdaję sobie sprawę, że w ten sposób chciał okazać mi zaufanie. Dać mi do zrozumienia – podobnie jak pozostałym – że mimo wszystko nadal jestem tu mile widziana. Co wyjaśniałoby tę swobodę i

otwartość, z jaką Winston i Brendan ze mną rozmawiają. Mają zaufanie do systemu, który funkcjonuje w Punkcie Omega. I ufają Kenjiemu, kiedy on mówi, że ufa mnie.

Więc teraz jestem jedną z nich.

I jaka ma być moja pierwsza misja w terenie jako członka Punktu Omega?

Mam być złodziejem.

# 19

Idziemy na górę.

Castle lada chwila powinien do nas dołączyć, żeby wyprowadzić całą grupę z naszego podziemnego miasta do prawdziwego świata. Po raz pierwszy od prawie 3 lat będę miała okazję zobaczyć, co się stało z naszym społeczeństwem.

Miałam 14 lat, kiedy wywleczono mnie z domu za zabicie dziecka. Przez 2 lata tułałam się po różnych instytucjach, centrach zatrzymań młodocianych przestępców i szpitalach psychiatrycznych, aż wreszcie postanowili zamknąć mnie na dobre. Umieszczenie mnie na oddziale zamkniętym było gorsze niż więzienie~~, sprytniejsze, według moich rodziców~~. Gdybym została wysłana do więzienia, strażnicy musieliby mnie traktować jak istotę ludzką, tymczasem ostatni rok spędziłam traktowana jak wściekłe zwierzę, zamknięta w ciemnej norze, bez żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym. Jak dotąd moje wyobrażenie o stanie naszej planety kształtowało się głównie na podstawie tego, co zobaczyłam przez okno albo w trakcie ucieczki. A teraz nie jestem pewna, czego mam się spodziewać.

Ale chciałabym to zobaczyć.

Muszę to zobaczyć.

Jestem zmęczona tym, że żyję jak ślepiec i muszę polegać na wspomnieniach z przeszłości, na skrawkach, okruchach naszej teraźniejszości, które udało mi się poskładać razem.

Właściwie wiem tylko, że nazwa „Komitet Odnowy" stała się powszechnie znana 10 lat temu.

Jestem tego pewna, bo rozpoczęli kampanię, kiedy miałam 7 lat. Nigdy nie zapomnę początków rozpadu. Pamiętam dni, kiedy wszystko było jeszcze względnie normalne, kiedy tylko wydawało się, że ludzie ciągle umierali, kiedy wystarczało jedzenia dla tych, którzy mieli dość pieniędzy, by za nie zapłacić. To było, zanim rak zaczął zbierać masowe żniwo, a pogoda zmieniła się we wściekłego, nieprzewidywalnego potwora. Pamiętam, jacy wszyscy byli podekscytowani Komitetem Odnowy. Pamiętam nadzieję w oczach moich nauczycieli i orędzia telewizyjne, które musieliśmy oglądać w środku zajęć szkolnych. Pamiętam to wszystko.

I zaledwie 4 miesiące przed tym, jak w wieku 14 lat popełniłam straszliwą zbrodnię, Komitet Odnowy został wybrany przez lud naszego świata, żeby poprowadzić go ku lepszej przyszłości.

Nadzieja. Wszyscy mieli tak wielkie nadzieje. Moi rodzice, sąsiedzi, nauczyciele i koledzy z klasy. Wszyscy mieli nadzieję na lepsze życie, kiedy kibicowali Komitetowi Odnowy i deklarowali swoje niesłabnące poparcie.

Nadzieja może człowieka popchnąć do straszliwych rzeczy.

Pamiętam demonstracje, które widziałam, zanim jeszcze mnie zabrano. Pamiętam, że na ulice wyległ rozjuszony tłum ludzi, którzy czuli się oszukani. Pamiętam, jak ludzie Komitetu Odnowy pomalowali protestujących od stóp do głów na czerwono i powiedzieli, że trzeba było przeczytać zapisy drobnym drukiem, zanim

wyszli z domów tamtego ranka.

Reklamacji nie uwzględnia się.

Castle i Kenji pozwalają mi wziąć udział w tej wyprawie, bo chcą mnie powitać w samym sercu Punktu Omega. Chcą, żebym się przyłączyła do ich ruchu, naprawdę ich zaakceptowała, zrozumiała, dlaczego ich misja jest taka ważna. Castle chce, żebym walczyła przeciwko ludziom Komitetu Odnowy i ich planom dla świata. Planom zniszczenia książek, przedmiotów, języka i historii, zmuszenia kolejnych pokoleń, aby prowadziły proste, puste, monochromatyczne życie. Chce, żebym uwierzyła, że nasza planeta nie jest jeszcze tak zniszczona, żeby nie dało się jej ocalić. Chce udowodnić, że nasza przyszłość jest do uratowania, że sytuacja może się poprawić, kiedy władza trafi we właściwe ręce.

Chce, żebym mu zaufała.

Ja chcę mu zaufać.

Ale czasem ogarnia mnie strach. Moje niewielkie doświadczenie życiowe podpowiada mi, że ludziom, którzy dążą do zdobycia władzy, nie można wierzyć. Ludzie o wzniosłych celach, gładkiej mowie i ładnych uśmiechach nie zrobili nic, co mogłoby ukoić moje serce. Mężczyźni z karabinami nigdy nie sprawiali, że czułam się bezpieczna, nieważne, ile razy by zapewniali, że zabijają w słusznej sprawie.

Nie uszło mojej uwagi, że mieszkańcy Punktu Omega są doskonale uzbrojeni.

Ale mimo to jestem ciekawa. Umieram z ciekawości.

Więc idę na górę w starym, obszarpanym ubraniu i grubej wełnianej czapce, która prawie zasłania mi oczy. Mam na sobie ciężką męską kurtkę i swoje skórzane buty prawie całkiem zasłonięte przez nogawki za dużych spodni, które zwisają luźno wokół moich kostek. Wyglądam jak cywil. Biedny, udręczony cywil, który robi, co może, żeby zdobyć żywność dla swojej rodziny.

Jakieś drzwi zatrzaskują się ze szczękiem i wszyscy odwracamy się jednocześnie. To Castle. Rozpromieniony rozgląda się po naszej grupie.

Ja. Winston. Kenji. Brendan. Dziewczyna o imieniu Lily. 10 innych osób, których jeszcze właściwie nie znam. W sumie, razem z Castle'em, jest nas 16. Ładna, parzysta liczba.

– No dobrze – mówi Castle, klaszcząc w dłonie.

Zauważam, że on też włożył rękawiczki. Jak wszyscy. Dzisiaj jestem normalną dziewczyną w grupie ludzi ubranych w normalne ubrania i normalne rękawiczki. Dzisiaj jestem jedynie numerem. Nikim ważnym. Zwyczajną osobą. Tylko dzisiaj.

To tak niedorzeczne, że chce mi się śmiać.

Ale wtedy przypominam sobie, że zaledwie wczoraj o mało nie zabiłam Adama, i nagle nie wiem, jak poruszyć ustami.

– Gotowi? – Castle rozgląda się wkoło. – Nie zapomnijcie, o czym rozmawialiśmy – mówi. Cisza. Ostrożne spojrzenie. Kontakt wzrokowy z każdym z nas. Zatrzymuje spojrzenie na mojej twarzy o jedną chwilę za długo. – No to w porządku. Za mną.

Nikt się nie odzywa, kiedy idziemy za Castle'em korytarzami i zostaję sama ze swoimi rozważaniami o tym, jak łatwo byłoby po prostu zniknąć w tym nierzucającym się w oczy stroju. Uciekłabym, wtopiła się w tło i nigdy by mnie nie odnaleziono.

~~Jak tchórz.~~

Szukam słów, żeby uciszyć tę ciszę.

– Więc jak się dostaniemy na miejsce? – pytam kogoś.

– Na piechotę – mówi Winston.

Nasze stopy w odpowiedzi łomoczą o podłogę.

– Większość cywili nie ma samochodów – wyjaśnia Kenji. – A już na pewno nie możemy dać się złapać w transporterze opancerzonym. Jeżeli mamy się wtopić w otoczenie, musimy się zachowywać tak samo jak inni ludzie. I chodzić.

Tracę orientację, które tunele rozchodzą się w jakich kierunkach, kiedy Castle prowadzi nas w stronę wyjścia. Coraz dobitniej uświadamiam sobie, jak niewiele wiem o tym miejscu, jak małą jego część widziałam. Chociaż jeśli mam być szczera, to muszę przyznać, że nie włożyłam zbyt wiele wysiłku w to, żeby je poznać.

Muszę coś z tym zrobić.

Dopiero kiedy teren pod moimi stopami zaczyna się wznosić, zauważam, jak blisko wyjścia jesteśmy. Wchodzimy po schodach ułożonych z kamieni. Widzę coś, co stąd wygląda jak małe kwadratowe metalowe drzwi. Mają zasuwę.

Zdaję sobie sprawę, że jestem trochę zdenerwowana.

Zaniepokojona.

Podekscytowana i przestraszona.

Dzisiaj popatrzę na świat oczami cywila, po raz pierwszy naprawdę zobaczę wszystko z bliska. Przekonam się, co ludzie muszą teraz znosić.

~~Zobaczę, jak wygląda życie moich rodziców, gdziekolwiek teraz są.~~

Castle przystaje przy drzwiach, które wydają się tak małe, że mogłyby być oknem. Odwraca się do nas.

– Kim jesteście? – pyta.

Nikt nie odpowiada.

Castle staje wyprostowany z założonymi rękami.

– Lily – mówi. – Nazwisko. Dowód tożsamości. Wiek. Sektor i zawód. Już.

Lily odwija szalik omotany wokół szyi. Recytuje trochę mechanicznym głosem.

– Nazywam się Erica Fontaine, 1117-52QZ. Mam dwadzieścia sześć lat. Mieszkam w Sektorze 45.

– Zawód – powtarza Castle, a w jego głosie pobrzmiewa nuta zniecierpliwienia.

– Włókniarka. Fabryka 19A-XC2.

– Winston – wywołuje Castle.

– Nazywam się Keith Hunter, 4556-65DS – odpowiada Winston. – Trzydzieści cztery lata. Sektor 45. Pracuję w przemyśle metalowym. Fabryka 15B-XC2.

Kenji, nie czekając na pytanie, mówi:

– Hiro Yamasaki, 8891-11DX. Wiek: dwadzieścia lat. Sektor 45. Artyleria. 13A-XC2.

Castle kiwa głową, gdy wszyscy po kolei wyrzucają z siebie informacje wytłoczone na ich fałszywych kartach IKO. Uśmiecha się usatysfakcjonowany. Potem przenosi wzrok na mnie i patrzy tak długo, że wszyscy zaczynają mi się przyglądać, ciekawi, czy wszystko pochrzanię.

– Delia Dupont – mówię, a słowa zaskakująco gładko opuszczają moje usta.

Nie planujemy dać się zatrzymać, to dodatkowe środki ostrożności. Na wypadek gdyby ktoś nas wylegitymował, musimy znać dane na naszych kartach IKO tak dobrze, jakby naprawdę nas dotyczyły. Kenji powiedział też, że chociaż żołnierze nadzorujący osiedla są z Sektora 45, to nigdy nie są to ci sami ludzie, którzy pilnują bazy. Jego zdaniem nie spotkamy nikogo, kto mógłby nas rozpoznać.

Ale.

Na wszelki wypadek.

Odchrząkuję.

– Numer dowodu 1223-99SX. Siedemnaście lat. Sektor 45. Przemysł metalowy. Fabryka 15A-XC2.

Castle wpatruje się we mnie tylko o sekundę za długo.

Wreszcie kiwa głową. Przesuwa wzrokiem po nas wszystkich.

– I jakie trzy pytania zadacie sobie, zanim cokolwiek powiecie? – pyta donośnym, czystym, tubalnym głosem.

Znowu nikt nie odpowiada. Choć nie dlatego, że nie znamy odpowiedzi.

Castle odlicza na palcach.

– Po pierwsze: czy na pewno trzeba to powiedzieć? Po drugie: czy na pewno muszę powiedzieć to ja? I po trzecie: czy ja na pewno muszę powiedzieć to teraz?

Nadal nikt nic nie mówi.

– Nie odzywamy się, jeżeli nie jest to absolutnie konieczne – mówi Castle. – Nie śmiejemy się, nie uśmiechamy. Nie nawiązujemy z sobą kontaktu wzrokowego, jeżeli możemy tego uniknąć. Zachowujemy się tak, jakbyśmy się nie znali. Nie wolno robić nic, co mogłoby rzucać się w oczy. Nie zwracamy na siebie uwagi. – Cisza. – Rozumiecie to, tak? Wszystko jasne?

Kiwamy głowami.

– A jeżeli coś pójdzie nie tak?

– Rozpraszamy się. – Kenji odchrząkuje. – Uciekamy. Szukamy kryjówki. Myślimy wyłącznie o sobie. I nigdy, pod żadnym pozorem nie zdradzamy lokalizacji Punktu Omega.

Mam wrażenie, że wszyscy jednocześnie biorą głęboki wdech.

Castle uchyla drzwi. Wygląda na zewnątrz, a potem ręką daje nam znak, żebyśmy szli za nim. Wychodzimy jedno za drugim, bez słowa.

Nie wychodziłam na powierzchnię ziemi przez prawie 3 tygodnie. Czuję się tak, jakby to były 3 miesiące.

Gdy się wynurzam, wiatr poklepuje mnie po skórze w geście serdecznego napomnienia. Zupełnie jakby rugał mnie za to, że tak długo mnie nie było.

Znajdujemy się na środku zamarzniętej równiny. Powietrze jest mroźne i przenikliwe, dokoła nas tańczą martwe liście. Nieliczne drzewa, które jeszcze stoją, kołyszą się na wietrze, a ich samotne, połamane gałęzie błagają o towarzystwo. Patrzę w lewo. Patrzę w prawo. Patrzę przed siebie.

Nic nie ma.

Castle powiedział nam, że ten teren porastała kiedyś bujna, gęsta roślinność. Że kiedy udało mu się znaleźć miejsce na Punkt Omega, ten właśnie kawałek ziemi idealnie się do tego nadawał. Ale to było tak dawno – wiele lat temu – i od tamtej

pory wszystko zdążyło się zmienić. Sama przyroda się zmieniła. A teraz już za późno, żeby przenieść kryjówkę.

Więc jakoś sobie radzimy.

Powiedział, że ten odcinek jest najtrudniejszy. Tutaj jesteśmy nieosłonięci. Rzucamy się w oczy nawet jako cywile, bo nie mamy prawa tu przebywać. Cywile nie mają czego szukać poza osiedlami – nie wolno im opuszczać terytoriów uregulowanych uznanych przez Komitet Odnowy za bezpieczne. Osoby złapane gdziekolwiek na terytoriach nieuregulowanych są oskarżane o łamanie prawa ustanowionego przez nasz nowy pseudorząd, a to grozi poważnymi konsekwencjami.

Więc musimy jak najszybciej dotrzeć do osiedli.

Plan jest taki, że Kenji – którego dar umożliwia mu wtopienie się w każde tło – wyprzedza grupę, będąc niewidzialny, i upewnia się, że nikogo po drodze nie spotkamy. Pozostali posuwają się ostrożnie w pewnej odległości za nim, cicho, w całkowitym milczeniu. Utrzymujemy między sobą odległość 1–2 metrów, gotowi ratować się ucieczką, jeżeli okaże się to konieczne. Ponieważ mieszkańcy Punktu Omega tworzą zżytą społeczność, wydawało mi się dziwne, że Castle nie zachęcał nas do trzymania się razem. Ale to, jak wyjaśnił, dla dobra większości. To poświęcenie. Jedno z nas musi być gotowe dać się złapać, żeby pozostali mogli uciec.

Jeden za wszystkich.

Droga wolna.

Idziemy już co najmniej pół godziny i wygląda na to, że nikt tego pustkowia nie pilnuje. Wkrótce naszym oczom ukazują się osiedla. Bloki, bloki, bloki, metalowe pudełka, skupiska sześcianów poustawianych jedne na drugich na wiekowej, zmęczonej życiem ziemi. Mocniej owijam się kurtką, pod którą wciska się wiatr, przenikając mnie do szpiku kości.

Jest za zimno, żeby tu żyć.

Pod przebraniem mam na sobie swój kombinezon, który reguluje ciepłotę organizmu, a mimo to jestem przemarznięta. Nie mogę sobie wyobrazić, co czują teraz pozostali. Zerkam dyskretnie na Brendana i przekonuję się, że on patrzy na mnie. Nasze oczy spotykają się na niecałą sekundę, ale mogłabym przysiąc, że się do mnie uśmiechnął, wysmagany po twarzy na różowo i czerwono przez wiatr zazdrosny o ukradkowe spojrzenia jego niebieskich oczu.

Niebieskich. Takich niebieskich.

O tak nietypowym, tak jasnym odcieniu błękitu, że wydają się prawie przezroczyste. A jednocześnie tak bardzo, bardzo niebieskie. Niebieskie oczy zawsze będą mi przypominały Adama, myślę. I znowu czuję, jak mnie przeszywa, na wskroś.

Ten ból.

– Szybciej! – rozlega się na wietrze głos Kenjiego, choć jego samego nigdzie nie widać.

Brakuje nam jeszcze najwyżej 1,5 metra, żeby wejść na teren pierwszego osiedla, a ja nie mogę się ruszyć. Czuję na plecach krew, lód i potłuczone szkło.

– RUSZAJCIE SIĘ! – grzmi znowu głos Kenjiego. – Podejdźcie bliżej do bloków i zasłońcie twarze! Żołnierze na trzeciej!

Wszyscy jednocześnie gwałtownie przyspieszamy, wciąż jednak usiłując nie rzucać się w oczy. Wkrótce dajemy nura za róg metalowej konstrukcji mieszkalnej.

Pochylamy się, udając, że nie różnimy się od wielu ludzi, którzy zbierają kawałki stali i żelaza na stertach śmieci piętrzących się wszędzie na ziemi.

Bloki stoją na jednym wielkim wysypisku śmieci. Zwykłe odpadki, plastik i pogięte kawałki metalu przypominają papierowe ścinki na podłodze dziecięcego pokoju. Wszystko pokrywa delikatna warstewka śniegu, jak gdyby tuż przed naszym przybyciem ziemia chciała pospiesznie zasłonić to, co najbardziej kompromitujące. Ale cały świat to jeden wielki bałagan.

Podnoszę wzrok.

Oglądam się przez ramię.

Wiem, że nie powinnam się rozglądać, ale nie mogę się powstrzymać. Powinnam stać ze wzrokiem wbitym w ziemię, jakbym od lat tu mieszkała, jakby nie było tu nic nowego do zobaczenia, jakbym nie miała siły podnieść głowy i stawić czoło ukłuciom mroźnego wiatru. Powinnam chodzić zgarbiona, skulona przed zimnem, jak wszyscy wkoło. Ale tylu rzeczom chciałabym się przyjrzeć. Tyle jest rzeczy, których dotąd nie miałam szansy zobaczyć.

Więc ośmielam się podnieść głowę.

I wiatr zatyka mi gardło.

## 20

5 metrów ode mnie stoi Warner.

Ubrany w doskonale skrojony, oślepiająco czarny garnitur. Na ramiona ma narzuconą rozpiętą dwurzędową kurtkę barwy omszałych pni drzew i liściastych lasów, o 5 tonów ciemniejszą niż jego zielone, zielone oczy. Błyszczące złote guziki idealnie współgrają z kolorem jego włosów. Ma czarny krawat. Czarne skórzane rękawiczki. Błyszczące czarne buty.

Wygląda jak spod igły.

Nieskazitelnie. Szczególnie tutaj, wśród brudu, zniszczenia, na tle ponurego krajobrazu. Zupełnie jak fatamorgana, iluzoryczny posąg ze szmaragdów i onyksów, jak pozłacana słońcem linia sosnowego lasu, oświetlonego od tyłu w szczególnie zwodniczy sposób. Zupełnie jakby się żarzył. Jakby jego głowę otaczała aureola. Cóż za ironia losu. Bo Warner jest piękny w sposób, który przyćmiewa nawet urodę Adama.

Bo Warner nie jest człowiekiem.

Nie ma w nim nic ludzkiego.

Rozgląda się, mrużąc oczy w świetle poranka, a kiedy wiatr rozwiewa mu rozpiętą kurtkę, dostrzegam w przelocie jego zabandażowaną rękę. Unieruchomioną na temblaku.

Tak blisko.

Tak mało brakowało.

Wokół Warnera kręcą się żołnierze, czekając na rozkazy, czekając na coś, a ja nie mogę oderwać od niego oczu. Przebiega mnie niespodziewany dreszcz, kiedy stoję tak blisko niego, a zarazem tak daleko. Odczuwam to niemal jako przewagę – że mogę go obserwować bez jego wiedzy.

Co za dziwny, dziwny, pokręcony chłopak.

Nie wiem, czy potrafię zapomnieć, co mi zrobił. Do czego mnie zmuszał. Tak niewiele brakowało, żebym znowu zabiła człowieka. Do końca życia będę go za to nienawidziła, chociaż jestem pewna, że kiedyś jeszcze przyjdzie mi stanąć z nim twarzą w twarz.

Pewnego dnia.

Nie spodziewałam się, że mogę się tutaj natknąć na Warnera. Nie miałam pojęcia, że w ogóle odwiedza cywili – chociaż prawdę mówiąc, nigdy nie wiedziałam zbyt wiele o tym, jak spędza czas, chyba że spędzał go ze mną. Ciekawe, co on tutaj robi.

Wreszcie mówi coś do żołnierzy, a oni kiwają głowami, raz, szybko. A potem znikają.

Udaję, że przyglądam się czemuś na prawo od niego. Trzymam głowę opuszczoną i lekko przekrzywioną na bok, tak żeby nie mógł dojrzeć mojej twarzy, nawet gdyby spojrzał w tę stronę. Lewą ręką naciągam czapkę na uszy, udając, że prawą sortuję śmieci, że szukam wśród nich kawałków złomu.

Tak właśnie niektórzy ludzie zarabiają na utrzymanie. Zwyczajne, żałosne

zajęcie.

Warner przesuwa po twarzy zdrową ręką, która na chwilę zasłania mu oczy, a potem spoczywa na ustach, przyciśnięta do warg, jakby nie mógł znieść tego, co ma do powiedzenia.

W jego oczach maluje się coś... jakby zmartwienie. Choć to z pewnością nadinterpretacja.

Obserwuję, jak przygląda się ludziom wokół siebie. Obserwuję go dostatecznie uważnie, żeby widzieć, że jego wzrok zatrzymuje się dłużej na małych dzieciach, które się bawią nieświadome tego, jaki świat straciły. To ponure, ciemne miejsce jest jedynym, jakie kiedykolwiek znały.

Próbuję coś wyczytać z twarzy Warnera, kiedy im się przygląda, ale on starannie się kontroluje. Nie okazuje śladu uczuć. Nie wykonuje żadnych ruchów poza mruganiem, stoi idealnie nieruchomo, jak posąg na wietrze.

W jego stronę biegnie jakiś kundel.

Nagle ogarnia mnie przerażenie. Zaczynam się bać o to żałosne stworzenie, słabe, zmarznięte zwierzątko, które prawdopodobnie szuka tu jakichś resztek jedzenia, czegoś, co mogłoby je utrzymać przy życiu jeszcze przez kilka godzin. Moje serce zaczyna walić, pompując krew za szybko, za mocno i

Nie wiem, dlaczego mam wrażenie, że za chwilę stanie się coś strasznego.

Pies wpada prosto na tył nóg Warnera, jakby był ślepy, jakby nie widział, dokąd biegnie. Dyszy ciężko, z językiem wywieszonym na bok, jakby nie miał siły go wciągnąć z powrotem. Skamle i popiskuje cicho, obśliniając odprasowane spodnie Warnera, a ja wstrzymuję oddech, widząc, że on się odwraca. Właściwie spodziewam się, że wyjmie pistolet i strzeli psu w łeb.

Widziałam już, jak zastrzelił w ten sposób człowieka.

Ale twarz Warnera pęka na widok tego małego psa, w idealnie odlanych rysach powstają szczeliny, zdziwienie unosi jego brwi i rozszerza mu oczy. Tylko na moment, jednak wystarczająco długi, żebym zdążyła to zauważyć.

Rozgląda się szybko, a potem bierze kundla na ręce i znika za niskim ogrodzeniem – jednym z tych niewysokich, przysadzistych płotów, które odgradzają kwadraty ziemi tworzące poszczególne osiedla. Nagle czuję, że koniecznie muszę zobaczyć, co on teraz zrobi, czuję niepokój, niepokój tak wielki, że nie mogę oddychać.

Wiem, co Warner potrafi zrobić człowiekowi. Widziałam jego spokój, jego niewzruszone spojrzenie, całkowitą obojętność, opanowanie, kamienną twarz chwilę po tym, jak z zimną krwią zabił człowieka. Strach pomyśleć, co czeka tego psa.

Muszę to zobaczyć na własne oczy.

Muszę pozbyć się obrazu jego twarzy ze swojej głowy i tego właśnie potrzebuję. Dowodu na to, że jest chory i wykrzywiony, że jest zły i zawsze będzie zły.

Gdybym tylko mogła stanąć wyprostowana, udałoby mi się to zobaczyć. Zobaczyłabym, co robi temu biednemu zwierzęciu, i może coś bym wymyśliła, żeby go powstrzymać, zanim będzie za późno. Ale wtedy słyszę głośny szept Castle'a. Droga wolna, Warner zniknął, a my możemy posuwać się naprzód.

– Ruszamy dalej, tylko nie wszyscy razem – mówi. – Trzymać się planu! Nikt

nikomu nie depcze po piętach. Spotykamy się przy rampie. Ten, kto tam nie dotrze, zostaje. Macie trzydzieści minut.

Kenji ciągnie mnie za rękę, każe mi iść, skupić się, patrzeć we właściwym kierunku. Ukradkiem podnoszę wzrok i widzę, że reszta grupy już zdążyła się rozproszyć, jednak Kenji nie rusza się z miejsca. Przeklina pod nosem, aż wreszcie zaczynam iść. Kiwam głową. Mówię, że wiem, jaki jest plan, i pokazuję mu ręką, żeby szedł dalej beze mnie. Nie możemy przemieszczać się razem, w grupach ani w parach. Nie możemy rzucać się w oczy.

Wreszcie odwraca się i idzie.

Patrzę, jak odchodzi. Robię jeszcze parę kroków naprzód, a potem obracam się i przemykając pod ścianą jakiegoś budynku, wracam na skraj osiedla.

Rozglądam się po okolicy, zerkam na płot, przy którym ostatnio widziałam Warnera, podchodzę na palcach, żeby zajrzeć na drugą stronę.

I zakrywam usta, żeby nie krzyknąć.

Warner kuca i zdrową ręką karmi psa. Drżące, kościste ciało zwierzęcia jest okryte rozpiętą kurtką Warnera. Kundel przycupnął na drżących krótkich łapach, usiłując się rozgrzać, i z całej siły macha ogonem. Przerywa na chwilę merdanie, patrzy Warnerowi w oczy i głębiej wciska się w ciepłe fałdy jego kurtki. Słyszę, jak Warner się śmieje.

Widzę, jak się uśmiecha.

Ten uśmiech całkowicie go przeistacza. W jego oczach zapalają się gwiazdy, a usta się rozjaśniają. Jeszcze nigdy nie widziałam jego zębów – są równe, białe, po prostu doskonałe. Idealna powierzchowność u chłopaka o czarnym, czarnym sercu. Aż trudno uwierzyć, że ten człowiek ma krew na rękach. Wydaje się taki miękki, bezbronny, taki ludzki. Jego oczy są zmrużone w uśmiechu, a policzki zaróżowione od zimna.

On ma dołeczki.

To z pewnością najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam.

Że też musiałam to zobaczyć.

Bo teraz w moim sercu coś pęka, coś, co przypomina strach, boli jak przerażenie, smakuje jak panika, niepokój albo rozpacz. Nie wiem, jak mam rozumieć to, co mam przed sobą. Nie chcę oglądać takiego Warnera. Nie chcę myśleć o nim inaczej niż jak o potworze.

To niewłaściwe.

Zaczynam iść, za szybko, za daleko, w złym kierunku, nagle zbyt otępiała, żeby odzyskać równowagę. Jestem wściekła na siebie za to, że straciłam czas, który mogłam wykorzystać na ucieczkę. Wiem, że Castle i Kenji gotowi byliby mnie zabić za takie ryzyko, ale oni nie mają pojęcia, co teraz dzieje się w mojej głowie, nie rozumieją, czym jestem...

– Hej! Ty tam...

Odruchowo podnoszę wzrok, nie zdając sobie sprawy, że reaguję na głos Warnera, kiedy jest już za późno. Stoi przede mną, zastygły w bezruchu, i patrzy mi prosto w oczy. Jego zdrowa ręka nieruchomieje, a potem opada bezwładnie, usta same mu się otwierają, wydaje się ogłuszony, oszołomiony.

Słowa zamierają na jego ustach.

Czuję się sparaliżowana jego spojrzeniem. Stoi tam z falującą piersią, a z jego ust za chwilę padnie rozkaz skazujący mnie na śmierć. A wszystko z powodu mojego głupiego, bezsensownego, idiotycznego...

– Tylko nie krzycz.

Ktoś zakrywa mi ręką usta.

## 21

Nie ruszam się.

– Uwaga, puszczam. Ale chcę, żebyś złapała mnie za rękę.

Nie patrząc w dół, wyciągam rękę i czuję, że nasze dłonie się splatają, a Kenji zabiera drugą z mojej twarzy.

– Ale z ciebie kretynka – mówi, a ja nie przestaję wpatrywać się w Warnera.

Warnera, który teraz rozgląda się, mrugając i przecierając oczy, zdezorientowany, jak ktoś, kto przed chwilą zobaczył ducha. Zerka na psa, jakby podejrzewał, że to niepozorne zwierzę rzuciło na niego urok, mierzwi włosy, rujnując idealną fryzurę. Odchodzi tak szybko, że trudno nadążyć za nim wzrokiem.

– Co z tobą? – pyta Kenji. – Czy ty w ogóle słuchasz, co się do ciebie mówi? Całkiem ci odbiło?

– Co ty zrobiłeś? Dlaczego on... O mój Boże! – wykrzykuję, zerkając na swoje ciało.

Jestem zupełnie niewidzialna.

– Nie ma za co – rzuca Kenji, ciągnąc mnie za sobą. – I nie podnoś głosu. To, że jesteś niewidzialna, nie oznacza, że cię nie słychać.

– Potrafisz to zrobić? – Próbuję zlokalizować jego twarz, ale czuję się tak, jakbym rozmawiała z powietrzem.

– Tak. To się nazywa przeniesienie, pamiętasz? Czy Castle jeszcze ci tego nie wyjaśnił? – pyta zirytowany, że musi mi to tłumaczyć, zamiast dalej na mnie wrzeszczeć. – Nie każdy to potrafi. Nie wszystkie zdolności są takie same. Jeżeli zmądrzejesz, zanim zdążą cię zabić, to spróbuję cię tego kiedyś nauczyć.

– Wróciłeś po mnie – mówię, usiłując dotrzymać mu kroku, ani trochę nieurażona jego gniewem. – Dlaczego po mnie wróciłeś?

– Bo jesteś kretynką – powtarza.

– Wiem. Tak mi przykro. To było silniejsze ode mnie.

– Teraz lepiej, żebyś to ty była silna – warczy, szarpiąc mnie za ramię. – Będziemy musieli biec, żeby nadrobić czas, który straciłaś.

– Dlaczego wróciłeś, Kenji? – pytam znowu, niezrażona. – Skąd wiedziałeś, że jeszcze tu jestem?

– Obserwowałem cię – mówi.

– Co? Co ty...

– Obserwuję cię – mówi, znowu wyrzucając słowa w pośpiechu, zniecierpliwiony. – To część mojej pracy. Robię to od dnia zero. Zaciągnąłem się do armii Warnera z twojego i tylko twojego powodu. Castle mnie po ciebie wysłał. Musiałem wykonać zadanie. – Jego głos jest urywany, szybki, nieczuły. – Już ci to tłumaczyłem.

– Czekaj, co to znaczy, że mnie obserwujesz? – pytam niepewnie, ciągnąc go za niewidzialną rękę, żeby trochę zwolnił. – Dalej wszędzie za mną chodzisz? Nawet teraz? Nawet w Punkcie Omega?

Nie odpowiada od razu. Wreszcie mówi niechętnie:

– Tak jakby.

– Ale dlaczego? Przywiozłeś mnie tu. Twoje zadanie się zakończyło, prawda?

– Już o tym mówiliśmy. Pamiętasz? Castle chciał, żebym się upewnił, że wszystko w porządku. Miałem cię mieć na oku, nic wielkiego, po prostu, no wiesz, bał się o twoją psychikę. – Słyszę, jak wzdycha. – Dużo przeszłaś. Trochę się o ciebie martwi. Szczególnie teraz, po tym, co się właśnie stało. Wyglądasz nie najlepiej. Jakbyś chciała się rzucić pod czołg.

– Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła – odpowiadam, ~~choć nie wiem, czy to prawda~~.

– Tak – mówi. – Dobra. Nieważne. Ja tylko mówię rzeczy oczywiste. Funkcjonujesz w dwóch trybach: użalanie się nad sobą albo obściskiwanie się z Adamem. Osobiście już wolę użalanie...

– Kenji!

O mało nie wyszarpuję ręki.

Zaciska mocniej palce.

– Nie puszczaj – warczy znowu. – Nie możesz mnie puścić, bo zerwiesz połączenie.

Kenji ciągnie mnie przez pustkowie. Odeszliśmy już na tyle daleko od osiedli, aby nikt nas nie mógł usłyszeć, ale wciąż jesteśmy za daleko od rampy, żeby się czuć bezpiecznie. Całe szczęście, że śnieg jest sypki i nie zostawiamy śladów.

– Nie mogę uwierzyć, że nas szpiegowałeś!

– Nie szpiegowałem, jasne? Cholera. Uspokój się. Do diabła, oboje musicie sobie dać na wstrzymanie. Adam też się o to rzucał.

– Co takiego? – Czuję, jak wszystko wreszcie zaczyna do siebie pasować. – To dlatego był dla ciebie taki wredny wtedy przy śniadaniu?

Kenji trochę zwalnia. Bierze długi, głęboki oddech.

– Uważał, że wykorzystuję sytuację. – Mówi „wykorzystuję" tak, jakby to było jakieś obce brzydkie słowo. – Może myśli, że staję się niewidzialny, żeby podglądać cię pod prysznicem czy coś. Słuchaj, ja nawet nie wiem, o co dokładnie mu chodzi. Odbiło mu z tego powodu. Ja tylko wykonuję swoją pracę.

– Ale... nie robisz tego, prawda? Nie próbujesz podglądać mnie pod prysznicem?

Kenji prycha i krztusi się ze śmiechu.

– Słuchaj – mówi między jednym parsknięciem a drugim. – Nie jestem ślepy, jasne? W sensie czysto fizycznym, owszem, jesteś całkiem niczego sobie, ten strój, w którym musisz cały czas chodzić, też wcale nie przeszkadza. Ale nawet bez tego całego „co ci zrobię, jak cię dotknę", stanowczo nie byłabyś w moim typie. Poza tym nie jestem jakimś perwersyjnym dupkiem. Traktuję moją pracę poważnie. Odwalam na tym świecie kawał dobrej czarnej roboty i lubię myśleć, że ludzie mnie za to szanują. Ale twój chłopak Adam nie myśli jasno, bo się pozamieniał na głowy z tym, co ma w spodniach. Może powinnaś coś z tym zrobić.

Spuszczam wzrok. Przez chwilę nic nie mówię.

– Chyba już nie będziesz musiał się tym martwić.

– O, cholera – wzdycha Kenji, jakby nie mógł uwierzyć, że przyszło mu wysłuchiwać moich zwierzeń. – Wdepnąłem, co?

– Możemy iść. Nie musimy o tym rozmawiać.

Pełne irytacji westchnienie.

– Nie chodzi o to, że jestem obojętny na twoje problemy. Nie żebym chciał patrzeć, jak ciągle chodzisz przybita czy coś. Tylko że życie jest już i tak wystarczająco porąbane – mówi pełnym napięcia głosem. – Po prostu mam dość tego twojego ciągłego siedzenia we własnym małym świecie. Zachowujesz się tak, jakby ta cała sprawa, wszystko, co robimy, było jakimś żartem. Niczego nie bierzesz poważnie...

– Co? – przerywam mu. – Oczywiście, że traktuję to poważnie...

– Gówno prawda. – Parska ze złością. – Siedzisz tylko i rozmyślasz o swoich uczuciach. Bo ty masz problemy. O jeju, jeju! Rodzice cię nienawidzą i rety, jakie to straszne, że musisz do końca życia chodzić w rękawiczkach, bo zabijasz ludzi, kiedy ich dotykasz. Kogo to obchodzi? – Słyszę, jak ciężko dyszy. – Z tego, co wiem, masz co włożyć do gęby i co wciągnąć na grzbiet, możesz się odlać w spokoju, kiedy tylko przyjdzie ci ochota. Gdzie ty tu widzisz problemy? To się nazywa królewskie życie. Mogłabyś wreszcie dorosnąć i przestać się zachowywać tak, jakby cały świat nasrał na twoją ostatnią rolkę papieru. Bo to jest głupie. – Z trudem panuje nad swoim wzburzeniem. – Głupie i niewdzięczne. Nie masz pojęcia, przez co teraz przechodzą inni ludzie. Nie masz pojęcia, Julio. W dodatku zachowujesz się tak, jakbyś miała to w dupie.

Przełykam ślinę.

– Próbuję ci pomóc to zmienić. Podsuwam okazje, żebyś mogła zacząć się zachowywać inaczej. Zobaczyć dalej niż czubek nosa tej smutnej małej dziewczynki, którą kiedyś byłaś i której nadal jesteś uczepiona, i zacząć się bronić. Przestać płakać. Przestać siedzieć po ciemku, rozmyślając nad tym, jaka to jesteś smutna i samotna. Obudź się. Nie jesteś jedyną osobą na świecie, której nie chce się rano wstawać z łóżka. Nie tylko ty masz toksycznych rodziców i porąbane DNA. Możesz być, kim ci się żywnie podoba. Nie jesteś już ze swoją porąbaną rodziną. Nie jesteś już w tym porąbanym psychiatryku i nie jesteś porąbanym eksperymentem Warnera. Zacznij o sobie decydować. Zacznij decydować i przestań marnować czas wszystkich wkoło. Przestań marnować swój czas. Dobra?

Wstyd zbiera się w każdym zakamarku mojego ciała.

Pali mnie, przypieka od wewnątrz. Jestem przerażona, przerażona prawdziwością jego słów.

– Chodź – mówi, ale jego głos jest tylko odrobinę łagodniejszy. – Musimy biec.

Kiwam głową, chociaż on przecież mnie nie widzi.

Kiwam, kiwam, kiwam i jestem taka szczęśliwa, że nikt nie może teraz zobaczyć mojej twarzy.

# 22

– Przestań rzucać we mnie pudełkami, ośle. To moja robota. – Winston się śmieje, bierze grubo owiniętą celofanem paczkę i zaraz celuje nią w głowę innego chłopaka. Chłopaka, który stoi tuż obok mnie.

Schylam się.

Chłopak stęka, łapiąc pakunek, odstawia go, po czym z uśmiechem pokazuje Winstonowi środkowy palec.

– Orientuj się, Sanchez – mówi Winston, rzucając mu kolejne pudło.

Sanchez. Nazywa się Ian Sanchez. Dowiedziałam się tego zaledwie kilka minut temu, kiedy on, ja i kilka innych osób zostaliśmy tu przydzieleni, żeby utworzyć coś w rodzaju taśmy przeładunkowej.

Znajdujemy się w jednym z magazynów Komitetu Odnowy.

Kenjiemu i mnie udało się dogonić pozostałych w ostatniej chwili. Wszyscy zebraliśmy się przy rampie, która okazała się zwykłą skarpą, a potem Kenji rzucił mi surowe spojrzenie, pokazał na mnie palcem, uśmiechnął się szeroko i zostawił mnie z resztą grupy, podczas gdy on i Castle zajęli się ustalaniem szczegółów kolejnego etapu naszej misji.

Który polegał na dostaniu się do magazynu.

Jak na ironię, wyszliśmy na zewnątrz tylko po to, żeby z powrotem wrócić pod ziemię, po prowiant, który był celem całej wyprawy. Magazyny, praktycznie rzecz biorąc, są niewidzialne.

To podziemne piwnice wypełnione wszelkiego rodzaju towarem: żywnością, lekami, bronią. Wszystkim, co potrzebne do życia. Castle mówił nam o tym rano na odprawie. Powiedział, że choć trzymanie zapasów pod ziemią nieźle się sprawdza jako metoda ukrywania ich przed cywilami, to jemu akurat bardzo ułatwia zlokalizowanie magazynu. Wyjaśnił, że potrafi wyczuwać i poruszać przedmioty z dużej odległości, nawet jeśli znajdują się 7 metrów pod ziemią. Kiedy zbliża się do jakiegoś składu, natychmiast odgaduje jego położenie, ponieważ rozpoznaje energię przechowywanych w nim towarów. Wyjaśnił, że właśnie dzięki temu może przesuwać przedmioty siłą woli: potrafi dotknąć wewnętrznej energii, która tkwi w każdej rzeczy. Castle'owi i Kenjiemu udało się zlokalizować 5 składów w promieniu 30 kilometrów od Punktu Omega, po prostu chodząc po okolicy. Castle wyczuwał położenie magazynów, a Kenji przenosił na niego swój dar, żeby obaj mogli być niewidzialni. 5 kolejnych znaleźli w promieniu 80 kilometrów.

Za cel obierają sobie na zmianę różne magazyny. Nigdy nie biorą takich samych rzeczy i nigdy w takiej samej ilości i kradną je z jak największej liczby różnych miejsc. Im bardziej oddalony jest skład, tym trudniejsze zadanie. Magazyn, w którym jesteśmy, znajduje się najbliżej i dlatego ta misja jest najłatwiejsza. Pewnie dlatego pozwolono mi wziąć w niej udział.

Czarną robotę mamy już za sobą.

Brendan zdążył rozpracować instalację, dezaktywować czujniki i kamery bezpieczeństwa. Kenji zdobył kod dostępu, szpiegując jakiegoś żołnierza, który

akurat wybierał odpowiednie cyfry. Teraz mamy 30 minut na wykonanie kolejnego zadania: przeniesienie towaru na rampę. Tam spędzimy większą część dnia, czekając na pojazdy, które wszystko zabiorą.

Logistyka całego przedsięwzięcia jest fascynująca.

Mamy do dyspozycji 6 ciężarówek. Każda wygląda inaczej i każda przyjeżdża o innej godzinie. To minimalizuje ryzyko, że zostaniemy złapani, i zwiększa szanse, że przynajmniej 1 samochód dotrze z powrotem do Punktu Omega. Ponadto Castle przedstawił nam chyba ze 100 różnych planów awaryjnych na wypadek niebezpieczeństwa.

Poza mną nikt nie wydaje się zdenerwowany. Właściwie z wyjątkiem mnie i 3 innych osób wszyscy już kilka razy byli w tym magazynie, więc czują się tutaj jak u siebie. Są ostrożni, ale skuteczni, a przy tym dostatecznie swobodni, żeby się śmiać i żartować. Dokładnie wiedzą, co robią. W chwili kiedy dostaliśmy się do środka, podzieliliśmy się na 2 grupy: 1 zajęła się wyszukiwaniem rzeczy, które są nam potrzebne, a 2 podawaniem ich do wyjścia.

Pozostali mają ważniejsze zadania do wykonania.

Lily ma fotograficzną pamięć. Weszła do środka jako pierwsza i błyskawicznie zapamiętała wygląd pomieszczenia, odnotowując i katalogując najdrobniejsze szczegóły. Jej zadaniem jest upewnienie się, że wychodząc, niczego nie zostawimy oraz że poza rzeczami, które zabieramy, wszystko inne zostanie na swoim miejscu. Brendan jest naszym zapasowym generatorem. Udało mu się odłączyć zasilanie systemu alarmowego i oświetlić ciemne wnętrze magazynu. Winston nadzoruje nasze 2 grupy, przekazując paczki z jednej do drugiej i upewniając się, że zdobyliśmy wszystko, co potrzebne, we właściwych ilościach. Jego ręce i nogi w razie potrzeby stają się bardzo elastyczne. To mu pozwala szybko i łatwo dosięgnąć rzeczy znajdujących się w przeciwnych końcach pomieszczenia.

Castle wynosi towary na zewnątrz. Stoi przy samym wyjściu. Cały czas utrzymuje kontakt radiowy z Kenjim. I jeśli tylko nic nie zagradza drogi, wystarcza jego skinienie, żeby skierować na rampę setki kilogramów towarów.

Kenji oczywiście stoi na straży.

Bez Kenjiego całe to przedsięwzięcie w ogóle nie byłoby możliwe. On jest naszymi niewidzialnymi oczami i uszami. Gdyby nie on, nie moglibyśmy czuć się pewnie i komfortowo podczas wykonywania tak niebezpiecznego zadania.

Nie po raz pierwszy tego dnia dociera do mnie, dlaczego jest taki ważny.

– Hej, Winston, możesz kogoś poprosić, żeby sprawdził, czy mają tu czekoladę!? – woła Emory, chłopak z mojej grupy, uśmiechając się z nadzieją.

Emory prawie cały czas się uśmiecha. No dobrze, znam go zaledwie od kilku godzin, więc z pewnością uśmiecha się od 6 rano, kiedy spotkaliśmy się w sali szkoleniowej. Jest bardzo wysoki, mocno zbudowany, a na głowie ma ogromne afro. Mimo to włosy stale wpadają mu do oczu. Podaje pudełka z taką łatwością, jakby w środku była wata.

Winston kręci głową, powstrzymując śmiech, i przekazuje pytanie dalej.

– Naprawdę? – Zerka z powątpiewaniem na Emory'ego, poprawiając jednocześnie plastikowe okulary, które jak zwykle zsuwają mu się z nosa. – Z wszystkich rzeczy, które tutaj są, najbardziej interesuje cię czekolada?

Uśmiech Emory’ego znika.

– Zamknij się, stary, wiesz, że moja mama to pies na słodycze.

– Za każdym razem tak mówisz.

– Bo to za każdym razem jest prawda.

Winston mówi coś o jeszcze jednej paczce mydła i z powrotem odwraca się do Emory’ego.

– Wiesz, chyba jeszcze nigdy nie widziałem, żeby twoja mama jadła czekoladę.

Emory radzi Winstonowi, żeby zrobił coś bardzo niestosownego ze swoimi nadnaturalnie giętkimi kończynami, a ja zerkam na pudełko, które podał mi Ian. Przed przekazaniem go dalej dokładnie przyglądam się opakowaniu.

– Hej, wiecie, dlaczego na wszystkim jest stempel „OON”?

Ian się odwraca. Oniemiały. Patrzy na mnie tak, jakbym go poprosiła, żeby się rozebrał.

– A niech mnie szlag. Ona mówi.

– Oczywiście, że mówię – odpowiadam, choć już straciłam zainteresowanie mówieniem.

Ian podaje mi kolejne pudełko.

– No, teraz wiem.

– Teraz wiesz.

– Zagadka została rozwiązana.

– Poważnie myślałeś, że jestem niemową? – pytam po chwili.

Zastanawiam się, co jeszcze o mnie opowiadają.

Ian zerka na mnie przez ramię i uśmiecha się, jakby próbował powstrzymać chichot. Kręci głową i nie odpowiada.

– Stempel jest wymagany przepisami – mówi. – Wszystko stemplują, żeby móc to potem śledzić. Nic szczególnego.

– Ale co to znaczy „OON”? Kto to stempluje?

– OON – powtarza te 3 litery, jakby to był skrót, który bezwzględnie należy znać. – Organizacja Odnowy Narodów. Wiesz, globalizacja. Oni prowadzą teraz wymianę towarową. Tylko że tak naprawdę nikt nie wie, co się dzieje z tymi towarami, które wymieniają. Kolejny dowód na to, że ten cały Komitet Odnowy to jeden wielki przekręt. Zmonopolizowali zasoby całej planety i trzymają wszystko dla siebie.

Coś mi świta. Pamiętam, jak rozmawiałam o tym z Adamem, kiedy siedzieliśmy razem zamknięci w szpitalu psychiatrycznym. ~~Zanim jeszcze się dowiedziałam, jak to jest, móc go dotknąć. Być z nim. Zranić go.~~ Komitet Odnowy zawsze był ruchem międzynarodowym. Po prostu nie wiedziałam, że teraz to się tak nazywa.

– No tak – mówię do Iana z roztargnieniem spowodowanym rzeczami, o których nie chcę myśleć. – Oczywiście.

Ian nieruchomieje, podając mi kolejne pudełko.

– Więc to prawda? – pyta, przyglądając się mojej twarzy. – Że nie masz pojęcia, co się dzieje na świecie?

– Coś tam wiem – obruszam się. – Nie znam tylko wszystkich szczegółów.

– No to może powinnaś przysiąść się do nas kiedyś na lunchu. Jeżeli po powrocie do Punktu nadal jeszcze będziesz umiała mówić. Możemy ci wszystko opowiedzieć.

– Naprawdę? – Odwracam się twarzą do niego.

– Tak, mała. – Ian śmieje się i rzuca mi kolejne pudło. – Naprawdę. Nie gryziemy.

## 23

Czasami fascynuje mnie klej.

Nikomu nigdy nie przychodzi do głowy zapytać klej, jak się trzyma. Czy nie czuje się zmęczony sklejaniem różnych rzeczy albo czy się nie boi, że się rozpadną, albo czy się nie zastanawia, z czego zapłacić rachunki.

To trochę tak jak z Kenjim.

Jest jak klej. Pracuje za kulisami, dzięki niemu wszystko trzyma się kupy, a mnie nigdy nie przyszło do głowy, żeby się zastanowić, jaka jest jego historia. Co właściwie kryje się za jego żartami, sarkazmem i kąśliwymi uwagami.

Ale miał rację. Miał rację we wszystkim, co mi powiedział.

Wczorajszy dzień był świetnym pomysłem. Dobrze mi zrobiła zmiana, wyjście na zewnątrz, to, że mogłam się do czegoś przydać. A teraz pasowałoby iść za radą Kenjiego i się pozbierać. Muszę zrozumieć, co się dzieje w mojej głowie. Muszę się skupić na tym, co najważniejsze. Muszę zrozumieć, po co tu jestem i jak mogę pomóc. I jeśli choć trochę zależy mi na Adamie, muszę spróbować trzymać się z daleka od jego życia.

Chciałabym go zobaczyć. Upewnić się, że rzeczywiście nic mu nie będzie, że wraca do zdrowia, dobrze się odżywia i dobrze sypia. Ale jednocześnie boję się teraz z nim spotkać. Bo spotkanie z Adamem oznacza pożegnanie. Oznacza przyjęcie do wiadomości tego, że nie możemy być razem i że muszę zacząć nowe życie. Sama.

Lecz przynajmniej w Punkcie Omega będę miała jakieś możliwości. Może jeżeli przestanę się bać, to nauczę się zawierać przyjaźnie. Będę silniejsza. Przestanę się nad sobą roztkliwiać.

Teraz wszystko musi się zmienić.

Odbieram swój talerz z jedzeniem i z wysiłkiem podnoszę wzrok. Kiwam głową do osób, które poznałam wczoraj. Nie wszyscy wiedzą, że wzięłam udział w tej wyprawie – nie każdy bierze udział w misjach poza Punktem Omega – ale zasadniczo ludzie wydają się jakby trochę mniej spięci w mojej obecności. Chyba.

A może to tylko moja wyobraźnia.

Rozglądam się za jakimś miejscem, gdzie mogłabym usiąść, kiedy zauważam, że macha do mnie Kenji. Przy jego stoliku siedzą Brendan, Winston i Emory. Czuję, jak uśmiech rozciąga mi usta, kiedy do nich podchodzę.

Brendan przesuwa się na ławce, żeby zrobić mi miejsce. Winston i Emory kiwają głowami, jednocześnie napychając sobie usta. Kenji uśmiecha się półgębkiem, a w jego oczach pojawia się rozbawienie na widok mojego zaskoczenia, że jestem mile widziana przy ich stole.

Czuję się nieźle. Jakby sprawy miały się jednak jakoś ułożyć.

– Julio.

Zaraz się przewrócę.

Odwracam się bardzo, bardzo powoli, przekonana, że głos, który słyszę, należy do ducha, bo to przecież niemożliwe, żeby Adam tak szybko mógł opuścić skrzydło medyczne. Nie spodziewałam się, że już dziś będę musiała spojrzeć mu w oczy. Nie

sądziłam, że już teraz będziemy musieli przeprowadzić tę rozmowę. No i nie tutaj. Nie w jadalni.

Nie jestem na to przygotowana. Nie jestem gotowa.

Adam wygląda okropnie. Jest blady. Drży. Stoi z rękami w kieszeniach, ma zaciśnięte usta. Jego oczy są zmęczone, pełne udręki. Głębokie studnie bez dna. Włosy ma w nieładzie. Koszulka opina mu pierś, a wytatuowane ramiona rzucają się w oczy bardziej niż zwykle.

Niczego bardziej nie pragnę, niż zanurzyć się w jego ramionach.

Tymczasem siedzę tutaj i staram się pamiętać o oddychaniu.

– Możemy porozmawiać? – pyta z takim wyrazem twarzy, jakby bał się usłyszeć odpowiedź. – Na osobności?

Kiwam głową, wciąż nie mogąc wydobyć głosu. Zostawiam jedzenie, nie oglądając się na Kenjiego, Winstona, Brendana ani Emory'ego, więc nie mam pojęcia, jakie mają teraz miny. Nawet mnie to nie obchodzi.

Adam.

Adam tu jest. Stoi przede mną i chce ze mną porozmawiać, a ja muszę powiedzieć mu rzeczy, które z pewnością mnie zabiją.

Ale wychodzę za nim z jadalni. Na korytarz. Idziemy ciemnym tunelem.

W końcu się zatrzymujemy.

Adam patrzy na mnie tak, jakby wiedział, co zamierzam powiedzieć, więc nic nie mówię. Nie chcę tego mówić, chyba że to będzie absolutnie konieczne. Wolałabym tu stać i patrzeć na niego, ostatni raz bezwstydnie napawając się jego widokiem, nie wypowiadając słowa. Bez konieczności mówienia czegokolwiek.

Przełyka głośno ślinę. Podnosi wzrok. Odwraca wzrok. Wypuszcza powietrze i pociera kark, splata dłonie z tyłu głowy i odwraca się, tak że nie widzę jego twarzy. Ale wtedy koszulka podjeżdża mu do góry, a moim oczom ukazuje się skrawek jego srebrnej skóry. Muszę zaciskać palce, żeby powstrzymać się od dotknięcia jej.

– Proszę... Proszę cię, powiedz coś – mówi, nadal nie patrząc mi w oczy.

Jego głos, słaby i pełen udręki, sprawia, że chciałabym paść na kolana.

Ale wciąż nic nie mówię.

A on się odwraca.

Patrzy na mnie.

– Musi być jakiś sposób – mówi. Stoi z rękami we włosach, trzymając się za głowę. – Jakieś wyjście, coś, co mogłoby cię przekonać, że warto spróbować. Powiedz mi, że jest jakiś sposób.

A ja jestem przerażona. Tak przerażona, że zaraz zacznę szlochać na jego oczach.

– Proszę. – Wygląda tak, jakby miał pęknąć, jakby to wszystko było ponad jego siły, jakby miał się rozpaść. – Powiedz coś, błagam cię...

Przygryzam drżącą wargę.

On zastyga w bezruchu, obserwuje mnie i czeka.

– Adamie – nabieram powietrza, starając się powstrzymać drżenie głosu – zawsze, z-zawsze będę cię kochała...

– Nie. Nie, nie mów tego, nie mów tego...

A ja kręcę głową, mocno, szybko, tak mocno, że kręci mi się w głowie, ale nie

mogę przestać. Nie mogę wypowiedzieć już ani słowa, chyba że miałabym zacząć krzyczeć, i nie mogę spojrzeć mu w twarz, nie mogę patrzeć na to, co mu robię...

– Nie, Julio. Julio...

Cofam się chwiejnie, potykając się o własne stopy, i po omacku wyciągam rękę do ściany. Wtedy otaczają mnie jego ramiona. Próbuję się wyswobodzić, ale on jest za silny, trzyma mnie za mocno.

– To wszystko moja wina... – mówi zdławionym głosem. – To moja wina... Nie powinienem był wtedy cię pocałować... Próbowałaś mnie przekonać, ale ja nie słuchałem, i tak mi... tak mi przykro – dyszy. – Powinienem był cię słuchać. Nie miałem tyle siły. Ale tym razem będzie inaczej, przysięgam – mówi, chowając twarz na moim ramieniu. – Nigdy sobie tego nie wybaczę. Zgodziłaś się spróbować, a ja wszystko schrzaniłem... Tak mi przykro, tak mi przykro...

Ziemia usuwa mi się spod nóg.

Nienawidzę siebie za to, co się stało, nienawidzę siebie za to, co muszę zrobić, nienawidzę tego, że nie mogę złagodzić jego bólu, że nie mogę powiedzieć: spróbujmy, nie będzie łatwo, ale jakoś damy radę. Bo to nie jest normalny związek. Bo nasze problemy są nie do naprawienia.

Bo moja skóra nigdy się nie zmieni.

Żadne szkolenie na świecie nie wykluczy niebezpieczeństwa, że mogłabym zrobić mu krzywdę. Zabić go, gdybym kiedyś dała się ponieść. Zawsze będę dla niego zagrożeniem. Szczególnie w chwilach największej czułości, w tych najważniejszych chwilach, gdy człowiek jest najbardziej bezbronny. Chwilach, których najbardziej pragnę. To coś, czego nigdy nie będziemy mogli mieć, a on zasługuje na znacznie więcej niż ja, niż ta nieszczęśliwa istota, która tak niewiele może mu dać.

Ale wolę stać w bezruchu i czuć wokół siebie jego ramiona, niż wypowiedzieć choćby jedno słowo. Bo jestem słaba, jestem taka słaba i tak bardzo go pragnę, że odbiera mi to resztki sił. Nie mogę opanować drżenia, nic nie widzę przez łzy, które przesłaniają mi pole widzenia.

A on nie wypuszcza mnie ze swoich ramion.

Wciąż szepcze: „proszę”, a ja chciałabym umrzeć.

Ale zaczynam myśleć, że jeśli zostanę tu jeszcze chwilę, to zwyczajnie zwariuję.

Więc kładę drżącą dłoń na jego piersi. Czuję, jak sztywnieje, odsuwa się, a ja nie śmiem spojrzeć mu w oczy, nie zniosę jego pełnego nadziei wzroku ani przez sekundę.

Wykorzystuję jego chwilową dezorientację i to, że rozluźnił uścisk, żeby wyśliznąć się z tego ciepłego schronienia, odsunąć od jego bijącego serca. Wyciągam rękę, nie pozwalając mu znowu się zbliżyć.

– Proszę, nie – szepczę. – Nie mogę... Nie m-mogę...

– Nigdy nie było nikogo innego – mówi, nie starając się nawet zniżyć głosu, nie zwraca uwagi na to, że jego słowa odbijają się echem w tunelach. Ręka mu drży, kiedy zasłania usta, przesuwa nią po twarzy, przeczesuje włosy. – Nigdy nie będzie nikogo innego, nigdy nie będę pragnął nikogo innego...

– Przestań, musisz się uspokoić... – Nie mogę oddychać nie mogę oddychać

nie mogę oddychać. – To nie ma sensu, nie chcesz być z kimś takim jak ja, z kimś, kto może tylko zadać ci b-ból...

– Niech to szlag, Julio. – Odwraca się, dysząc ciężko, uderza dłońmi o ścianę. – Teraz zadajesz mi ból – mówi ze spuszczoną głową, łamiącym się głosem, zacinając się na każdej kolejnej sylabie. – Teraz mnie zabijasz...

– Adamie...

– Nie odchodź – mówi. Jego głos jest pełen napięcia, a powieki zaciśnięte jak u kogoś, kto wie, co się za chwilę stanie, i nie może patrzeć, jak to się dzieje. – Proszę – szepcze udręczony. – Nie uciekaj przed tym.

– Ch-chciałabym – mówię, trzęsąc się teraz gwałtownie. – Chciałabym n-nie musieć. Chciałabym kochać cię mniej.

Zrywam się i biegnę korytarzem. Słyszę, jak mnie woła. Słyszę, jak wykrzykuje moje imię, ale biegnę dalej, uciekam, mijam tłum zebrany przed drzwiami jadalni, tłum ludzi, którzy patrzą i słuchają wszystkiego. Biegnę, żeby się schować, chociaż wiem, że to niemożliwe.

Będę musiała go widywać każdego dnia.

Pragnęłabym go, nawet gdyby był milion kilometrów stąd.

I przypominam sobie słowa Kenjiego, który domagał się, żebym się obudziła i coś wreszcie zmieniła, zamiast ciągle płakać, i zdaję sobie sprawę, że może minąć trochę więcej czasu, niż sądziłam, zanim będę w stanie posłuchać jego rady.

Bo nie potrafię sobie wyobrazić, że mogłabym teraz zrobić coś innego, niż zaszyć się w ciemnym kącie i płakać.

## 24

Pierwszy znajduje mnie Kenji.

Staje na środku mojej sali szkoleniowej. Rozgląda się, tak jakby jeszcze nigdy nie widział tego miejsca, chociaż jestem pewna, że to niemożliwe. Wciąż nie wiem, czym dokładnie się zajmuje, ale nie mam już wątpliwości, że Kenji jest jednym z najważniejszych ludzi w Punkcie Omega. Zawsze w ruchu. Zawsze zajęty. Właściwie nikt poza mną, i to dopiero od niedawna, nie widuje go dłużej niż przez kilka chwil.

Zupełnie jakby całymi dniami był... niewidzialny.

– No – mówi, kiwając głową. Chodzi powoli po pokoju z rękami splecionymi z tyłu. – Niezłe przedstawienie. Pod ziemią niełatwo o taką rozrywkę.

Ogarnia mnie zażenowanie.

Jestem w nie owinięta. Jestem w nim zanurzona. Jestem nim pomalowana.

– A niech to, po prostu muszę to powtórzyć... Jak to szło? Ta ostatnia linijka? Chciałabym kochać cię mniej? To było genialne. Naprawdę, naprawdę ładne. Zdaje się, że Winston uronił łezkę...

– ZAMKNIJ SIĘ, KENJI.

– Ale ja nie żartuję! – mówi do mnie urażony. – Na serio uważam, że to... No, nie wiem. Piękne. Nie miałem pojęcia, że wasze uczucia są tak silne.

Podciągam kolana pod brodę, jeszcze bardziej kulę się w swoim kącie, chowam twarz w ramionach.

– B-bez obrazy, ale naprawdę nie chcę o t-tym teraz rozmawiać, jasne?

– Nie. Niejasne – mówi. – Robota czeka.

– Nie.

– No, już. Wsta-waj.

Chwyta mnie za łokieć i ciągnie do góry, a ja próbuję go uderzyć.

Z wściekłością ocieram łzy.

– Nie jestem w nastroju do twoich żartów, Kenji. Proszę, idź sobie. Zostaw mnie w spokoju.

– Nikt nie żartuje – mówi. – A świat nie odpuści sobie wojny z samym sobą tylko dlatego, że ty zerwałaś z chłopakiem.

Wpatruję się w niego. Pięści mi drżą, chcę krzyczeć.

Nie wydaje się przejęty.

– To co tu właściwie robisz? – pyta. – Siedzisz sobie tak i próbujesz... co? – Waży cegłę w dłoni. – Rozbić to?

Poddaję się. Zwijam się na podłodze.

– Nie wiem – mówię. Prychnięciem strząsam ostatnie łzy. Próbuję wytrzeć nos. – Castle wciąż powtarzał, że mam się „skupić” i „okiełznać swoją Energię”. – Rysuję w powietrzu cudzysłów, żeby wyrazić mój punkt widzenia. – Ale wiem tylko tyle, że potrafię niszczyć różne rzeczy. Nie wiem, jak to się dzieje. Więc tym bardziej nie wiem, jak mam powtórzyć to, co raz zrobiłam. Wtedy nie miałam pojęcia, co robię, i teraz też nie mam. Nic się nie zmieniło.

– Zaraz – mówi Kenji. Rzuca cegłę z powrotem na stos i pada na maty przede

mną. Rozkłada się na nich z rękami pod głową i wpatruje się w sufit. – Jeszcze raz: o czym my mówimy? Co właściwie masz powtórzyć?

Kładę się na matach obok Kenjiego, w tej samej pozycji co on. Nasze głowy znajdują się w odległości kilku centymetrów.

– Pamiętasz? Ściana, którą rozbiłam w tym popapranym pokoju Warnera. Metalowe drzwi, które pogięłam, kiedy szukałam A-Adama. – Głos mi się łamie i muszę zacisnąć powieki, żeby stłumić ból.

~~Teraz nie mogę nawet wypowiedzieć jego imienia~~.

Kenji przytakuje. Czuję, jak ugina się mata, kiedy kiwa głową.

– No dobra. Tak, Castle twierdzi, że u ciebie chodzi o coś więcej niż ta cała historia z dotykaniem. Że może masz też jakąś nadludzką siłę czy coś. – Cisza. – Myślisz, że to możliwe?

– Chyba tak.

– Więc co takiego się wtedy działo? – pyta, przekrzywiając głowę, żeby mnie lepiej widzieć. – Że zmieniałaś się we wściekłą bestię? Pamiętasz, co było powodem?

Kręcę głową.

– Naprawdę nie wiem. Kiedy to się dzieje, to jest jak... jakbym straciła rozum – mówię. – Coś mi się przestawia w głowie i... nagle mi odbija. Jakbym naprawdę, zupełnie poważnie straciła rozum.

Zerkam na niego, ale jego twarz nie zdradza żadnych uczuć. Mruga, czekając, aż skończę. Więc biorę głęboki oddech i mówię dalej.

– Nie potrafię wtedy jasno myśleć. Czuję się obezwładniona adrenaliną i nie mogę się zatrzymać, nie kontroluję tego. A kiedy to uczucie już mnie ogarnie, to musi znaleźć jakieś ujście. Muszę czegoś dotknąć. Muszę je uwolnić.

Kenji podpiera się na łokciu. Patrzy na mnie.

– No tak, ale skąd się bierze ten stan? – pyta. – Co czujesz, zanim to się stanie? Czy to się dzieje tylko wtedy, kiedy się ostro wkurzysz?

Zastanawiam się nad tym przez chwilę.

– Nie. Nie zawsze. Za pierwszym razem – mówię odrobinę drżącym głosem – chciałam zabić Warnera za to, że zmusił mnie do dręczenia tego dziecka. Byłam zdruzgotana. Byłam wściekła. Byłam naprawdę wściekła. Ale też... okropnie smutna. – Milknę. – A wtedy, kiedy szukałam Adama? – Głębokie oddechy. – Byłam zrozpaczona. Skrajnie zdesperowana. Musiałam go uratować.

– No a wtedy, kiedy rzuciłaś się na mnie jak Superman i wbiłaś mnie w ścianę?

– Bałam się.

– A potem? W laboratoriach?

– Byłam wściekła – szepczę, patrząc na sufit niewidzącym wzrokiem, wspominając dziki szał, który ogarnął mnie tamtego dnia. – Nigdy w życiu nie byłam tak rozjuszona. Nie miałam nawet pojęcia, że takie uczucie w ogóle istnieje. Taka wściekłość. I czułam się winna – dodaję cicho. – Uważałam, że Adam tam trafił przeze mnie.

Kenji bierze długi, głęboki wdech. Podnosi się i siada oparty o ścianę. Nic nie mówi.

– Co o tym myślisz? – pytam, siadając obok.

– Nie wiem – mówi wreszcie Kenji. – Ale to dość oczywiste, że wszystkim

tym zdarzeniom towarzyszyły bardzo silne emocje. Mam wrażenie, że mechanizm, który tym steruje, musi być całkiem prosty.

– Jak to?

– Musi być coś, co wywołuje ten stan – mówi. – Co powoduje, że tracisz kontrolę, a twoje ciało automatycznie przechodzi w tryb samoobrony, rozumiesz?

– Nie.

Kenji odwraca się przodem do mnie. Siada na podwiniętych nogach. Odchyla się do tyłu, wsparty na dłoniach.

– Wiesz, jak się dowiedziałem, że potrafię być niewidzialny? Przez przypadek. Miałem dziewięć lat. Pełno w gaciach ze strachu. Pomijając nieistotne szczegóły, wszystko sprowadzało się do tego, że musiałem się schować, ale nie było gdzie. Byłem taki spanikowany, że moje ciało jakby automatycznie zrobiło to za mnie. Po prostu wtopiłem się w ścianę. Rozpłynąłem się w powietrzu. – Śmieje się. – Zgłupiałem, bo przez dobre dziesięć minut nie wiedziałem, co się stało. A potem nie potrafiłem tego odkręcić. To była masakra. Przez kilka dni naprawdę myślałem, że nie żyję.

– Niemożliwe – mówię.

– Poważnie.

– To jakaś masakra.

– No właśnie mówię.

– No i co? Myślisz, że ja się przestawiam na tryb obronny, kiedy się wścieknę?

– Coś w tym rodzaju.

– No dobrze. – Zastanawiam się. – To jak się potem przełączyć z powrotem na ustawienia domyślne? Jak tobie to się udało?

Wzrusza ramionami.

– Kiedy już się zorientowałem, że nie jestem duchem i że nie mam halucynacji, to zrobiła się z tego nawet niezła zabawa. Byłem dzieckiem. Czułem się podekscytowany, jakbym co najmniej mógł włożyć pelerynę i zabijać złych gości. Lubiłem to. I to się po prostu stało częścią mnie, mogłem z tego korzystać, kiedy chciałem. Ale – dodaje – dopiero kiedy zacząłem regularnie ćwiczyć, nauczyłem się kontrolować i podtrzymywać ten stan przez dłuższy czas. Kosztowało mnie to naprawdę dużo pracy. Ogromnej koncentracji.

– Dużo pracy.

– Tak. Ale to zawsze wymaga pracy, zanim się człowiek połapie. Za to kiedy już się pogodziłem z tym, że taki jestem, o wiele łatwiej było sobie z tym radzić.

– No – mówię, opierając się znowu o ścianę i z rezygnacją wypuszczając powietrze. – Ja też już się z tym pogodziłam. Ale nie jest mi teraz ani trochę łatwiej.

Kenji wybucha śmiechem.

– Jasne. A świnie umieją latać. Z niczym się nie pogodziłaś.

– Byłam taka przez całe życie... Musiałam to zaakceptować...

– Nie – ucina Kenji. – Gówno prawda. Nienawidzisz bycia we własnej skórze. Nie znosisz tego. Czegoś takiego nie można nazwać akceptacją. To jest... Nie wiem... Przeciwieństwo akceptacji. Ty – wskazuje na mnie palcem – ty jesteś chodzącym przeciwieństwem akceptacji.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że muszę lubić to, że taka jestem? – pytam i

mówię dalej, zanim zdąży odpowiedzieć. – Nie masz pojęcia, jak to jest być w mojej skórze, być uwięzionym w moim ciele, bać się oddychać za blisko czegokolwiek, co żyje. Gdybyś tylko spróbował, nie przyszłoby ci do głowy, że powinnam być z tym szczęśliwa.

– Daj spokój, Julio. Ja tylko mówię...

– Nie. Pozwól, że ci to wyjaśnię. Ja zabijam ludzi. Zabijam ich. Na tym polega mój „dar". Nie wtapiam się w tło, nie przesuwam rzeczy myślą, nie mam giętkich ramion. Dotykasz mnie za długo i umierasz. Spróbuj sobie tak pożyć przez siedemnaście lat i wtedy pogadamy, jak łatwo to zaakceptować.

Czuję za dużo goryczy na języku.

To coś nowego.

– Słuchaj – mówi wyraźnie łagodniejszym tonem. – Ja cię nie oceniam, jasne? Próbuję ci tylko pokazać, że skoro nie akceptujesz swoich zdolności, to możesz podświadomie sabotować własne próby zrozumienia ich. – Podnosi ręce do góry w geście kapitulacji. – Takie jest moje zdanie. Kurczę, to jasne, że masz w sobie jakąś zabójczą moc. Dotykasz ludzi i bach, już po nich. Ale potrafisz jeszcze przebijać się przez ściany i inne takie. Myślisz, że nie chciałbym się tego nauczyć? Nie żartuj. To by dopiero był czad.

– Taa – mówię, opierając się plecami o ścianę. – Ta część chyba jest nie najgorsza.

– No nie? – Kenji się ożywia. – Rewelacja. Gdybyś nie zdejmowała rękawiczek... mogłabyś po prostu rozbijać różne rzeczy, zamiast zabijać ludzi. Chyba nie czułabyś się z tym aż tak źle, co?

– Chyba nie.

– No to świetnie. Musisz się tylko odprężyć.

Wstaje. Bierze cegłę, którą wcześniej się bawił.

– Chodź – mówi. – Wstawaj. Podejdź tu.

Przechodzę na jego stronę pokoju i wpatruję się w cegłę w jego ręce. Podaje mi ją ostrożnie, jakby to była rodzinna pamiątka.

– A teraz pozwól sobie na dobre samopoczucie, co? Pozwól, żeby twoje ciało dogadało się z twoim wnętrzem. Przestań blokować swoją Energię. Masz pewnie w głowie z milion blokad. Nie możesz się dłużej hamować.

– Nie mam mentalnych blokad...

– Owszem, masz. – Prycha. – Zdecydowanie. Masz ciężkie mentalne zaparcie.

– Mentalne co?

– Skieruj swój gniew na cegłę. Na cegłę – mówi. – Pamiętaj. Otwórz umysł. Chcesz rozbić tę cegłę. Powtarzaj sobie, że tego właśnie chcesz. To twój wybór. Nie robisz tego dla Castle'a, nie robisz tego dla mnie, nie robisz tego po to, żeby z kimś walczyć. To jest po prostu coś, co masz akurat ochotę zrobić. Dla zabawy. Bo tak ci się chce. Pozwól, żeby twój umysł i ciało zaczęły działać. Jasne?

Biorę głęboki wdech. Kilka razy kiwam głową.

– No dobrze. Myślę, że...

– O w mordę. – Gwiżdże cicho.

– Co? – Obracam się. – Co się stało?

– Nie mów, że tego nie poczułaś!

– Nie poczułam czego?

– Popatrz na swoją rękę!

Wydaję stłumiony okrzyk. Cofam się chwiejnie. W ręce mam pełno czegoś, co wygląda jak czerwony piasek i sproszkowana brązowa glina. Większe okruchy cegły spadają na podłogę, a ja strząsam gruz spomiędzy palców i zbliżam rękę do twarzy.

Podnoszę wzrok.

Kenji kręci głową, trzęsąc się ze śmiechu.

– Nie masz pojęcia, jak ci teraz zazdroszczę.

– O mój Boże.

– Wiem. WIEM. Ale jaja. Tylko pomyśl: jeżeli potrafisz zrobić coś takiego z cegłą, to wyobraź sobie, co mogłabyś zrobić z ludzkim ciałem...

Że też musiał powiedzieć coś tak głupiego.

Akurat teraz. Akurat po tym, co zrobiłam Adamowi. Akurat kiedy próbuję pozbierać strzępki nadziei i marzeń i skleić je razem. Teraz już nic z tego nie zostało. Właśnie zdałam sobie sprawę, że gdzieś w głębi duszy żywiłam jednak nikłą nadzieję, że Adam i ja zdołamy znaleźć sposób, żeby wszystko się ułożyło.

W głębi duszy czepiałam się tej szansy.

A teraz już jej nie ma.

Bo teraz nie chodzi już tylko o moją skórę. Nie chodzi już tylko o mój dotyk, ale też o moje objęcia, uściski dłoni, pocałunki – w każdej chwili mogę go zranić. Musiałabym uważać, nawet trzymając go za rękę. I ta nowa wiedza, ta nowa świadomość, jak bardzo jestem śmiercionośna...

Nie pozostawia mi żadnej szansy.

Już zawsze zawsze zawsze będę sama, bo nikt nie jest przy mnie bezpieczny.

Osuwam się na podłogę, szumi mi w głowie, mój mózg nie jest już bezpiecznym miejscem, bo nie mogę przestać myśleć, nie mogę przestać się zastanawiać, niczego nie mogę przestać, czuję się jak przed zderzeniem czołowym i nie jestem tylko przypadkowym świadkiem.

Ja jestem pociągiem.

To ja sama wymknęłam się spod kontroli.

Czasem kiedy człowiek zobaczy siebie, siebie, takiego, jaki mógłby być – jaki być może byłby w innych okolicznościach – i jeśli przyjrzy się zbyt uważnie, to ogarnia go strach, zaczyna się zastanawiać, co mógłby zrobić, gdyby tylko nadarzyła się okazja. Już wie, że istnieje jakaś druga strona jego osobowości, taka, której nie uznaje, oblicze, którego nie chce oglądać w świetle dziennym. Spędza całe swoje życie, robiąc wszystko, żeby je odepchnąć i odsunąć od siebie, żeby go nie widzieć i o nim nie myśleć. Udaje, że ono nie istnieje.

I żyje w ten sposób przez długi czas.

Przez długi czas jest bezpieczny.

Do czasu.

## 25

Kolejny ranek.

Kolejny posiłek.

Idę na śniadanie, spotkać się z Kenjim przed następną sesją szkoleniową.

Wczoraj doszedł do kilku wniosków, jeśli chodzi o moje zdolności.

Uznał, że śmiercionośna siła mojego dotyku jest tylko jednym z wielu przejawów mojej Energii. Że kontakt z moją skórą uruchamia po prostu moje zdolności w ich najbardziej powierzchownej postaci, a mój prawdziwy dar to potężna moc drzemiąca we wszystkich tkankach mojego ciała.

W moich kościach, w mojej krwi, w mojej skórze.

Powiedziałam mu, że to ciekawa teoria. Że zawsze uważałam się za jakąś zmutowaną odmianę rosiczki, a on odparł:

– O MÓJ BOŻE. Tak. TAK. Taka właśnie jesteś. Niech to szlag.

Wystarczająco piękna, żeby zwabić ofiarę. Tak powiedział.

Wystarczająco silna, żeby zacisnąć się wokół niej i nie pozwolić jej uciec.

Wystarczająco żrąca, żeby strawić zdobycz podczas kontaktu ze swoim ciałem.

– Ty trawisz swoje ofiary – powiedział, śmiejąc się, jakby to było zabawne, jakby to było śmieszne, jakby to było normalne, że porównuje się dziewczynę do mięsożernej rośliny. Wręcz pochlebne. – Zgadza się? Sama mówiłaś, że kiedy dotykasz ludzi, to czujesz się tak, jakbyś odbierała im energię, prawda? Czujesz się przez to silniejsza?

Nie odpowiedziałam.

– Więc jesteś zupełnie jak rosiczka. Przyciągasz ofiary. Nie wypuszczasz ich. Zjadasz je.

Nie odpowiedziałam.

– Mmmmmmm – powiedział. – Seksowna, makabryczna roślinka.

Zamknęłam oczy. Zasłoniłam usta.

– Co w tym takiego strasznego? – spytał. Pochylił się, żeby mi się przyjrzeć. Pociągnął za kosmyk moich włosów, żebym podniosła wzrok. – Dlaczego to musi być takie straszne? Dlaczego nie widzisz, jakie to fantastyczne? – Pokręcił głową. – Wiesz, ile cię przez to omija? To mogłoby być niesamowite, gdybyś tylko chciała.

Gdybym chciała.

Tak.

Jakie to byłoby proste – zacisnąć się na świecie dokoła mnie. Wyssać jego siły witalne i porzucić zwłoki na ulicy tylko dlatego, że ktoś mówi: „Czemu nie?”. Pokazuje palcem: „To są ci źli. Ci goście tam”.

„Zabijaj”, mówi. „Zabijaj, przecież nam ufasz. Zabijaj, bo grasz we właściwej drużynie. Zabijaj, bo oni są źli, a my dobrzy. Zabijaj, bo my ci tak mówimy”. Niektórym ludziom się wydaje, że dobro od zła oddzielają grube odblaskowe linie. Że można samemu dokonać takiego podziału, a potem spokojnie spać. Bo wszystko jest, jak należy.

Należy zabić człowieka, jeśli ktoś uzna, że on nie powinien żyć.

A kim, do diabła, wy wszyscy jesteście, kim jesteście, żeby decydować o życiu i śmierci. O tym, kto zginie. Żeby mi mówić, czyjego ojca powinnam zniszczyć, czyje dziecko osierocić, a która matka ma stracić syna. Który brat ma dalej żyć bez siostry, a która babka ma co noc płakać nad ranem, bo ciało jej wnuka zostało pogrzebane w ziemi wcześniej niż jej własne.

Nie macie prawa mówić, że fantastycznie jest móc zabić żywą istotę, że to interesujące móc złapać w sidła człowieka. Że wolno mi wybrać sobie ofiarę tylko dlatego, że potrafię zabijać bez pistoletu. Chciałabym móc wyrazić słowami całą swoją złość, furię, ból, chciałabym rzucić przekleństwa w powietrze i uciec daleko, daleko, chciałabym zniknąć za horyzontem, porzucić siebie na poboczu drogi, jeśli tylko pozwoliłoby mi to zaznać jakiejś ułudy wolności, ale nie wiem, dokąd iść. Nie mam dokąd pójść.

I czuję się odpowiedzialna.

Bo czasem, kiedy gniew się wykrwawia i zostaje już tylko ból w żołądku, przyglądam się światu i się zastanawiam, w którą stronę zmierzamy. Co się stało z ludźmi. Myślę o nadziei i o tych wszystkich być może, możliwe, o szansach i wyborach. Myślę o szklankach do połowy pełnych i okularach, w których wszystko widać wyraźnie. Myślę o poświęceniach. I kompromisach. O tym, co się stanie, jeśli nikt nie będzie się bronił. Myślę o świecie, w którym nikt nie przeciwstawia się niesprawiedliwości.

I przychodzi mi do głowy, że może oni jednak mają rację.

Że może już pora walczyć.

Zastanawiam się, czy jakakolwiek sytuacja usprawiedliwia zabijanie jako sposób, żeby położyć czemuś kres. I wtedy myślę o Kenjim. O tym, co powiedział. I zastanawiam się, czy uznałby to za fantastyczne, gdybym z niego zrobiła swoją ofiarę.

Domyślam się, że nie.

## 26

Kenji już czeka na mnie w jadalni.

On, Winston i Brendan siedzą przy tym samym stole co zwykle, a ja dosiadam się, kiwając w zamyśleniu głową. Świat wokół mnie jakoś nie chce nabrać ostrości.

– Nie ma go tu – mówi Kenji, wpychając do ust pełną łyżkę jedzenia.

– Co? – Ależ to fascynujące. Ten widelec i ta łyżka na tym stole. – O czym t...

– Nie ma go tutaj – powtarza z pełnymi ustami.

Winston odchrząkuje, drapie się w tył głowy. Brendan wierci się obok mnie.

– Ach. Ja... Ja... – Patrzę na 3 chłopaków przy stoliku i czuję gorąco, które zalewa mi szyję.

Chcę zapytać Kenjiego, gdzie jest Adam, dlaczego go tutaj nie ma, co robi, czy dobrze się czuje, czy regularnie jada posiłki. Chciałabym zadać milion pytań, których nie powinnam zadawać, ale to oczywiste, że żaden z nich nie ma ochoty poruszać niezręcznego tematu mojego życia uczuciowego. A ja nie chcę być tamtą smutną, żałosną dziewczyną. Nie chcę litości. Nie chcę widzieć w ich oczach ani zażenowania, ani współczucia.

Więc prostuję plecy. Odchrząkuję.

– Jak tam patrole? – pytam Winstona. – Coś nowego?

Winston z zaskoczeniem podnosi wzrok. Przełyka jedzenie za szybko i krztusi się raz, drugi. Popija kawą, smoliście czarną, i nachyla się podekscytowany.

– Robi się coraz dziwniej – mówi.

– Coś ty?

– Pamiętasz, jak mówiłem wam, że Warner każdej nocy jest w terenie?

~~Warner. Nie mogę zapomnieć jego roześmianej twarzy~~.

Kiwamy głowami.

– Otóż i niespodzianka. – Opiera się na krześle. Podnosi ręce do góry. – Ostatniej nocy? Nic.

– Nic? – Brwi Brendana wspinają się wysoko na czoło. – Jak to: nic?

– Nikogo nie było. – Winston wzrusza ramionami. Bierze widelec. Wbija go w kolejny kęs. – Ani Warnera, ani żołnierzy. Poprzedniej nocy? – Przesuwa wzrokiem po naszych twarzach. – Pięćdziesięciu, może siedemdziesięciu pięciu żołnierzy. Ostatniej nocy? Żadnego.

– Mówiłeś o tym Castle'owi? – Kenji przerywa jedzenie.

Wpatruje się w Winstona z uwagą. Z powagą, która mnie martwi.

– Tak. – Winston kiwa głową i upija kolejny łyk kawy. – Złożyłem mu raport jakąś godzinę temu.

– Chcesz powiedzieć, że w ogóle nie kładłeś się spać? – pytam z szeroko otwartymi oczami.

– Spałem wczoraj – mówi, zbywając mnie machnięciem ręki. – Albo przedwczoraj. Nie pamiętam. Boże, ta kawa jest ohydna.

– Właśnie. Może powinieneś odstawić kawę, co? – Brendan próbuje zabrać Winstonowi kubek.

Winston klepie go po ręce i łypie na niego spode łba.

– Nie każdy ma prąd w żyłach – mówi. – Nie jestem jakąś chodzącą elektrownią, jak ty.

– Zrobiłem to tylko raz...

– Dwa razy!

– ... i to był nagły wypadek – dodaje Brendan.

Wygląda na zmieszanego.

– O czym wy mówicie? – pytam.

– Ten gość – Kenji wskazuje kciukiem Brendana – potrafi dosłownie ładować swój organizm. Nie musi spać. To jakiś obłęd.

– To nie *fair* – mamrocze Winston, rozrywając na pół kromkę chleba.

Odwracam się do Brendana z otwartymi ustami.

– Niemożliwe.

Kiwa głową. Wzrusza ramionami.

– Zrobiłem to tylko raz.

– Dwa razy! – powtarza Winston. – Nie dość, że jest jakimś cholernym embrionem, sam z siebie ma za dużo energii, jak wszystkie dzieciaki, cholera, to jeszcze musi mieć bateryjki, które może sobie ładować siłami witalnymi.

– Nie jestem embrionem – mówi Brendan z elektrostatycznym trzaskiem, zerkając na mnie, podczas gdy gorąco zabarwia mu policzki. – On jest... To nie... Odbiło ci – mówi, patrząc ze złością na Winstona.

– Owszem – mówi Winston, kiwając głową, znowu z ustami pełnymi jedzenia. – Odbija mi. Jestem wkurzony. – Przełyka. – I zrzędliwy jak stara panna, bo chce mi się spać. I jeść. I kawy. – Odsuwa się od stolika. Wstaje. – Idę po kawę.

– Mówiłeś, że jest paskudna.

Patrzy na mnie.

– Tak, ale jestem tylko smutnym facetem o niewyszukanych potrzebach.

– To fakt – przytakuje Brendan.

– Zamknij się.

– Wolno ci wypić tylko jeden kubek – zauważa Kenji, patrząc Winstonowi w oczy.

– Nie martw się, zawsze mówię, że biorę za ciebie – rzuca, odchodząc.

Kenji śmieje się, aż trzęsą mu się ramiona.

– Nie jestem płodem – mamrocze Brendan pod nosem, nabijając jedzenie na widelec ze zdwojoną energią.

– Ile masz lat? – pytam ciekawie.

Ma tak białe włosy i tak bladoniebieskie oczy, że wydaje się nierzeczywisty. To jedna z tych osób o nieodgadnionym wieku, które na zawsze pozostają zakonserwowane w tej samej eterycznej formie.

– Dwadzieścia cztery. – Z wdzięcznością korzysta z okazji, żeby mnie poinformować o swojej pełnoletności. – Właśnie skończyłem. W zeszłym tygodniu miałem urodziny.

– Coś podobnego. – Jestem zaskoczona. Nie wygląda na więcej niż 18. Zastanawiam się, jak to jest obchodzić urodziny w Punkcie Omega. – Cóż, wszystkiego najlepszego – mówię z uśmiechem. – Życzę ci pomyślności. I – staram

się wymyślić coś miłego – i wielu szczęśliwych chwil.

Ucieszony, patrzy mi teraz prosto w oczy. Uśmiecha się szeroko.

– Dzięki – mówi. – Uśmiecha się szerzej. – Bardzo dziękuję. – I nie odwraca wzroku.

Moja twarz robi się gorąca.

Usiłuję zrozumieć, dlaczego on wciąż się do mnie uśmiecha, dlaczego nie przestaje się uśmiechać, nawet kiedy wreszcie odwraca wzrok, dlaczego Kenji wciąż zerka na mnie, powstrzymując śmiech, a ja jestem podenerwowana, dziwnie zażenowana i nie wiem, co powiedzieć.

– To co będziemy dzisiaj robili? – pytam Kenjiego z nadzieją, że mój głos brzmi zwyczajnie, swobodnie.

Kenji opróżnia swój kubek wody. Wyciera usta.

– Dzisiaj nauczę cię strzelać.

– Z pistoletu?

– Tak. – Bierze swoją tacę. Moją też. – Zaczekaj, odniosę to.

Już ma odejść, ale przystaje, odwraca się do Brendana i mówi:

– Zapomnij, bracie.

Brendan podnosi wzrok, zdezorientowany.

– Co?

– To się nie stanie.

– Że c-co?

Kenji wpatruje się w niego z uniesionymi brwiami.

Brendan zamyka usta. Policzki znowu mu różowieją.

– Wiem.

– Ehe. – Kenji kręci głową i odchodzi.

Brendanowi nagle bardzo się spieszy do codziennych zajęć.

## 27

– Julio? Julio!

– Obudź się...

Siadam na łóżku z krzykiem, z bijącym sercem, mrugam za szybko, próbując odzyskać ostrość widzenia. Mrugam mrugam mrugam.

– O co chodzi? Co się dzieje?

– Kenji jest na korytarzu – mówi Sonia.

– Mówi, że potrzebuje twojej pomocy – dodaje Sara. – Że coś się stało...

Wygrzebuję się z łóżka w takim pośpiechu, że ściągam za sobą kołdrę. Szukam po omacku kombinezonu – sypiam w pożyczonej od Sary piżamie – i staram się nie panikować.

– Nie wiecie, o co chodzi? – pytam. – Wyjaśnił coś?

Sonia rzuca mi kombinezon.

– Tylko że to pilne, że coś się stało i że mamy cię natychmiast obudzić – odpowiada.

– No dobrze. Na pewno wszystko będzie dobrze – mówię, chociaż nie wiem, dlaczego to mówię ani dlaczego to miałoby im dodać otuchy.

Chciałabym zapalić światło, ale nie można tego zrobić o tej porze. Świecenie świateł wyłącznie w określonych godzinach to jeden ze sposobów na oszczędzanie energii i na to, by zachować rytm dnia i nocy.

Wreszcie udaje mi się wśliznąć w kombinezon. Zapinam go w drodze do drzwi, kiedy woła mnie Sara. Trzyma moje buty.

– Dziękuję. Dziękuję wam – mówię.

Kilka razy kiwają głowami.

A ja wkładam buty i wybiegam z pokoju.

Wpadam twarzą prosto w coś twardego.

Coś ludzkiego. Męskiego.

Słyszę, jak gwałtownie nabiera powietrza, czuję, jak jego ręce mnie przytrzymują, czuję, jak krew ze mnie uchodzi.

– Adam! – wykrzykuję.

Nie puszcza mnie. Słyszę jego serce bijące szybko, gwałtownie i głośno w otaczającej nas ciszy. On wydaje się dziwnie nieruchomy, spięty, jak gdyby bardzo starał się opanować.

– Cześć – szepcze, ale to brzmi tak, jakby nie mógł oddychać.

Moje serce wysiada.

– Adamie, ja...

– Nie puszczę cię – mówi, a ja czuję, jak drżą mu ręce, nieznacznie, jakby utrzymanie ich w jednym miejscu wymagało zbyt dużego wysiłku. – Nie puszczę cię. Próbuję, ale...

– No, to chyba dobrze się składa, że tu jestem, co? – Kenji wyszarpuje mnie z ramion Adama i bierze głęboki, nierówny oddech. – Jezu. Skończyliście? Musimy iść.

– Co? Co się dzieje? – jąkam się, próbując ukryć zmieszanie. Naprawdę wolałabym, żeby Kenji nie zastawał mnie ciągle w takich sytuacjach. Chciałabym, żeby mógł kiedyś zobaczyć mnie w chwili, kiedy będę silna i pewna siebie. A potem zastanawiam się, odkąd to zaczęłam się przejmować tym, co Kenji o mnie myśli. – Czy wszystko w porządku?

– Nie mam pojęcia – mówi Kenji, pędząc wielkimi krokami przez ciemny korytarz.

Musi znać układ tuneli na pamięć, bo ja nic nie widzę. Prawie biegnę, żeby za nim nadążyć.

– Ale myślę, że to jakaś prawdziwa chryja – dodaje. – Piętnaście minut temu dostałem wiadomość od Castle'a. Kazał mi natychmiast przyprowadzić ciebie i Kenta do swojego biura. Więc to robię.

– Ale... teraz? W środku nocy?

– Gówno nie wpada do wentylatora według twojego grafiku, księżniczko.

Postanawiam więcej się nie odzywać.

Idziemy za Kenjim do pojedynczych drzwi na końcu wąskiego tunelu.

Puka 2 razy, robi przerwę. Puka 3 razy, robi przerwę. Puka 1 raz.

Zastanawiam się, czy powinnam to zapamiętać.

Drzwi same się otwierają, a Castle macha ręką, żebyśmy wchodzili.

– Zamknijcie, proszę, drzwi – mówi zza biurka.

Mrugam kilka razy, zanim mój wzrok przyzwyczaja się do oświetlenia. Na biurku Castle'a stoi tradycyjna lampka do czytania, z żarówką, która wystarcza, żeby oświetlić całe to małe pomieszczenie. Korzystam z okazji, żeby się rozejrzeć.

Biuro Castle'a to zwykły pokój z kilkoma regałami na książki i prostym stołem, na którym urządził sobie stanowisko pracy. Wszystko jest zrobione z odzyskanego metalu. Jego biurko wygląda tak, jakby kiedyś było pick-upem.

Wszędzie na podłodze i na półkach leżą stosy książek i papierów, jakieś wykresy, urządzenia, części komputerowe. Plączą się tysiące kabli, a wnętrzności urządzeń elektrycznych sterczą z otwartych metalowych ciał. Są zepsute albo uszkodzone, a może są częścią czegoś, nad czym Castle właśnie pracuje.

Innymi słowy: niezły bałagan.

Nie spodziewałam się bałaganu po kimś tak zdyscyplinowanym.

– Usiądźcie – mówi do nas.

Rozglądam się w poszukiwaniu krzeseł, ale dostrzegam tylko dwa odwrócone do góry dnem kosze na śmieci i taboret.

– Zaraz się wami zajmę. Dajcie mi chwilę – dodaje.

Kiwamy głowami. Siadamy. Rozglądamy się.

Dopiero wtedy zdaję sobie sprawę, dlaczego Castle nie przejmuje się stanem swojego biura.

Wygląda tak, jakby był w samym środku jakiegoś zadania, ale nie widzę, na czym ono polega, i właściwie to nie ma znaczenia. Z fascynacją przyglądam się jego pracy. Jego ręce przesuwają się w górę, w dół i na boki, a wszystko, czego potrzebuje albo chce użyć, zwyczajnie frunie w jego kierunku. Jakaś konkretna kartka papieru? Notes? Zegarek zakopany pod stertą książek w drugim rogu biurka? Patrzy na ołówek i podnosi rękę, żeby go złapać. Notatki same lądują w jego dłoniach.

Nie musi być zorganizowany. Ma własny system.

Niesamowite.

Wreszcie podnosi głowę. Odkłada ołówek. Kiwa głową. Jeszcze raz kiwa głową.

– Dobrze. Dobrze. Jesteście tu wszyscy.

– Tak jest – mówi Kenji. – Chciał pan z nami rozmawiać.

– Zgadza się. – Castle kładzie ręce na biurku. – Rzeczywiście chciałem. – Ostrożnie nabiera powietrza. – Przyjechał naczelny dowódca. Jest w kwaterze głównej Sektora 45.

Kenji przeklina.

Adam zastyga w bezruchu.

Ja jestem zbita z tropu.

– Kto to jest naczelny dowódca?

Spojrzenie Castle'a spoczywa na mnie.

– Ojciec Warnera. – Jego oczy się zwężają. Przygląda mi się. – Nie wiedziała pani, że ojciec Warnera jest naczelnym dowódcą Komitetu Odnowy?

– Ach! – wykrzykuję. Boję się nawet myśleć, jakim zwyrodnialcem musi być ojciec Warnera. – Ja... Tak, wiedziałam. Nie wiedziałam tylko, że taki ma tytuł.

– Tak – mówi Castle. – Na świecie jest sześciu naczelnych dowódców, po jednym na każdy z sześciu okręgów: Amerykę Północną, Amerykę Południową, Europę, Azję, Afrykę i Australię. Każdy okręg jest podzielony na pięćset pięćdziesiąt pięć sektorów, co daje w sumie trzy tysiące trzysta trzydzieści sektorów na całym świecie. Ojciec Warnera jest nie tylko głównodowodzącym na tym kontynencie, ale również jednym z założycieli Komitetu Odnowy i obecnie naszym największym zagrożeniem.

– Myślałam, że są trzy tysiące trzysta trzydzieści trzy sektory, a nie trzy tysiące trzysta trzydzieści. Coś pomieszałam? – pytam Castle'a.

– Pozostałe trzy to kapitole – wyjaśnia Kenji. – Jesteśmy prawie pewni, że jeden z nich znajduje się gdzieś w Ameryce Północnej, ale nikt nie wie na pewno, gdzie są zlokalizowane. Ale tak – dodaje – dobrze pamiętasz. Komitet Odnowy przejawia jakąś dziwną fascynację liczbami. W sumie trzy tysiące trzysta trzydzieści trzy sektory, po pięćset pięćdziesiąt pięć w okręgu. W każdym po tyle samo, niezależnie od wielkości. Wydaje im się, że to pokazuje, jak równo wszystko podzielili, ale to zwykła bzdura.

– Nieźle. – Każdego dnia na nowo uświadamiam sobie, jak wiele muszę się jeszcze nauczyć. Patrzę na Castle'a. – Więc to jest ten nagły wypadek? Że tatuś Warnera jest tu, a nie w jednym z kapitoli?

Castle kiwa głową.

– Tak... – Waha się. Odchrząkuje. – No tak. Pozwólcie, że zacznę od początku. Muszę was wtajemniczyć w szczegóły.

– Słuchamy. – Kenji jest wyprostowany, skupiony, gotów do działania.

– Wszystko wskazuje na to – zaczyna Castle – że jest w mieście już od jakiegoś czasu. Przyjechał po cichu, z zachowaniem wszelkich środków ostrożności, jakieś kilka tygodni temu. Wygląda na to, że dowiedział się, co planuje jego syn, i nie spodobało mu się to. Jest... – Castle bierze głęboki, spokojny oddech. – Jest

szczególnie rozsierdzony tym, co stało się z panią.

– Ze mną? – Serce mi łomocze łomocze łomocze.

– Tak – mówi Castle. – Wiemy ze swoich źródeł, że zdenerwowało go to, że Warner pozwolił pani uciec. I w dodatku stracił przy tym dwóch żołnierzy. – Wskazuje głową Adama i Kenjiego. – Co gorsza, wśród mieszkańców krążą teraz plotki o zbiegłej dziewczynie i jej dziwnych zdolnościach. Ludzie zaczynają dopasowywać poszczególne elementy, zaczynają zdawać sobie sprawę, że istnieje jeszcze jedna organizacja, nasza organizacja, która przygotowuje się do kontrataku. To wywołuje niepokój i opór cywilów, którzy chętnie by się do nas przyłączyli. – Castle splata dłonie. – Więc ojciec Warnera bez wątpienia pojawił się po to, żeby objąć dowództwo nad działaniami zbrojnymi i rozwiać wszelkie wątpliwości co do tego, jaką Komitet Odnowy ma władzę. – Milknie, żeby popatrzeć na każde z nas. – Innymi słowy: przyjechał, żeby ukarać nas, a przy okazji swojego syna.

– Ale nasze plany się przez to nie zmieniły, prawda? – pyta Kenji.

– Niezupełnie. Zawsze wiedzieliśmy, że konfrontacja jest nieunikniona, ale to jednak trochę zmienia sytuację. Teraz, kiedy ojciec Warnera jest w mieście, ta wojna rozpocznie się o wiele szybciej, niż byśmy chcieli. I będzie miała znacznie większy zasięg, niż przewidywaliśmy. – Castle patrzy na mnie z poważną miną. – Obawiam się, że będziemy potrzebowali pani pomocy.

Wpatruję się w niego zszokowana.

– Mojej?

– Tak.

– Nie... nie gniewa się pan już na mnie?

– Proszę pani, nie jest pani dzieckiem. Nie winię pani za tamtą gwałtowną reakcję. Kenji jest przekonany, że pani zachowanie wynikało z niewiedzy, nie ze złych zamiarów, a ja mam zaufanie do jego oceny sytuacji. Ale chcę, żeby pani zrozumiała, że jesteśmy zespołem i potrzebne są nam pani zdolności. To, co pani potrafi, pani moc, nie może się z niczym równać. Szczególnie teraz, kiedy pracuje pani z Kenjim i ma już pewną orientację co do swoich możliwości, będziemy pani potrzebowali. Zrobimy, co tylko możemy, żeby zapewnić pani wsparcie. Wzmocnimy pani kombinezon, dostarczymy broń. A Winston... – Milknie. Na chwilę wstrzymuje oddech. – Winston – mówi cicho – właśnie skończył nową parę rękawiczek dla pani. – Patrzy mi w oczy. – Chcemy mieć panią w naszym zespole. I jeśli będzie pani ze mną współpracowała, obiecuję, że doczeka się pani efektów.

– Oczywiście – szepczę. Odwzajemniam jego spokojne, poważne spojrzenie. – Oczywiście, że pomogę.

– Dobrze – mówi Castle. – To bardzo dobrze. – Wydaje się roztargniony i zmęczony. Opiera się na krześle i przesuwa ręką po twarzy. – Dziękuję.

– Proszę mi wybaczyć bezpośredniość, ale czy mógłby mi pan powiedzieć, co, u diabła, się dzieje? – pyta Kenji.

Castle kiwa głową.

– Tak – mówi. – Tak, tak, oczywiście. Ja... wybaczcie mi. To była ciężka noc.

– Co się stało? – W głosie Kenjiego słychać napięcie.

– On... Przekazał nam wiadomość.

– Ojciec Warnera? – pytam. – Ojciec Warnera przekazał wiadomość? Nam?

Zerkam na Adama i Kenjiego. Adam mruga szybko, otwierając usta ze zdumienia. Kenji wygląda tak, jakby miał mdłości.

Wpadam w panikę.

– Tak – mówi Castle. – Ojciec Warnera. Chce się spotkać. Chce... rozmawiać.

Kenji zrywa się na nogi. Krew odpływa mu z twarzy.

– Nie... Proszę pana... To pułapka... On nie chce rozmawiać, przecież pan wie, że on kłamie...

– Wziął czterech naszych ludzi jako zakładników. Obawiam się, że nie mamy wyboru.

## 28

– Co? – Kenji opada bezwładnie na stołek. Jego głos zamienia się w pełne przerażenia chrypienie. – Kogo? Jak...

– Winston i Brendan patrolowali teren dziś wieczorem. – Castle kręci głową. – Nie wiem, co się stało. Musieli wpaść w zasadzkę. Byli daleko poza zasięgiem i materiał filmowy z kamer bezpieczeństwa pokazuje tylko, że Emory i Ian zauważyli, że coś się dzieje, i poszli to sprawdzić. Nic więcej na taśmach nie widać. Emory i Ian też nie wrócili.

Kenji siedzi z twarzą w dłoniach. Podnosi głowę.

– Ale Winston i Brendan... Znajdą przecież jakieś wyjście... prawda? – mówi z nadzieją w głosie. – Mogliby coś wymyślić... Mają dość mocy, żeby sobie poradzić?

Castle uśmiecha się smutno do Kenjiego.

– Nie wiem, dokąd ich zabrał ani jak są traktowani. Jeżeli są bici albo... – waha się – torturowani, albo zostali postrzeleni... Jeśli stracili dużo krwi... to z pewnością nie będą w stanie się obronić. A nawet gdyby oni dwaj mieli szansę się uratować – dodaje po chwili – to nie zostawią pozostałych.

Kenji przyciska pięści do ud.

– Więc chce rozmawiać – po raz pierwszy odzywa się Adam.

Castle kiwa głową.

– Lily znalazła to, kiedy zniknęli.

Rzuca nam mały plecak, a my po kolei go przetrząsamy. W środku są tylko połamane okulary Winstona i radio Brendana. Umazane krwią.

Muszę trzymać ręce razem, żeby powstrzymać ich drżenie.

Zaczynałam właśnie zaprzyjaźniać się z tymi chłopakami. Ledwie poznałam Emory'ego i Iana. Zdążyłam nawiązać więź, poczuć się dobrze z ludźmi z Punktu Omega. Dopiero co jadłam śniadanie z Brendanem i Winstonem. Patrzę na zegar na ścianie – jest 3.31 nad ranem. Ostatni raz widziałam ich jakieś 20 godzin temu.

W zeszłym tygodniu Brendan miał urodziny.

– Winston wiedział – słyszę swój głos. – Wiedział, że coś jest nie tak z tymi żołnierzami wkoło. Wiedział, że coś się szykuje.

– Wiem – mówi Castle, kiwając głową. – Czytałem jego raporty. – Kciukiem i palcem wskazującym uciska nasadę nosa. Zamyka oczy. – Właśnie zacząłem łączyć wszystko w całość. Za późno. Spóźniłem się.

– Jak pan sądzi, co oni chcą zrobić? – pyta Kenji. – Ma pan jakąś teorię?

Castle wzdycha. Opuszcza rękę.

– Cóż, teraz wiemy chociażby to, dlaczego Warner był każdej nocy na zewnątrz ze swoimi żołnierzami. Jak to się stało, że mógł zostawiać bazę na tak długo przez tyle dni.

– Jego ojciec – mówi Kenji.

Castle kiwa głową.

– Tak. Według mnie naczelny sam wysyłał Warnera w teren. Chciał, żeby Warner zaczął bardziej agresywnie na nas polować. Zawsze o nas wiedział. – Castle

zwraca się do mnie. – Naczelny nie jest głupi. Zawsze wierzył w plotki o naszym istnieniu, zawsze wiedział, że tutaj jesteśmy. Ale nigdy przedtem nie mogliśmy mu zagrozić. Aż do dzisiaj. Bo teraz mówią o nas także cywile, a to zagraża równowadze władzy. W ludzi wstąpiła energia. Dostrzegli w nas nadzieję. A to coś, na co Komitet Odnowy nie może sobie w tej chwili pozwolić. Tak czy owak, to oczywiste, że nie mogli znaleźć wejścia do Punktu Omega i zadowolili się wzięciem zakładników, w nadziei że skłonią nas w ten sposób do opuszczenia naszej siedziby. – Castle wyjmuje ze swojej sterty kartkę papieru. Podnosi ją do góry. – Ale postawili warunki. Naczelny dowódca podał konkretne wskazówki, do których mamy się zastosować.

– I? – Kenji jest sztywny z przejęcia.

– Pójdziecie wy troje. Sami.

Jasna cholera.

– Co? – Zaskoczony Adam wlepia wzrok w Castle'a. – Dlaczego my?

– On nie chce widzieć się ze mną – mówi Castle. – Ja go nie interesuję.

– I pan zamierza się na to zgodzić? – pyta Adam. – Rzuci mu pan nas, tak po prostu?

Castle się pochyla.

– Oczywiście, że nie.

– Ma pan jakiś plan? – pytam.

– Naczelny dowódca chce się z wami spotkać jutro w samo południe. No, ściśle rzecz biorąc, dzisiaj. We wskazanym miejscu na terytoriach nieuregulowanych. Szczegóły są podane w liście. – Bierze głęboki oddech. – I chociaż wiem, że jemu właśnie o to chodzi, myślę, że wszyscy powinniśmy wyjść na powierzchnię. Powinniśmy działać razem. W końcu przygotowywaliśmy się do tego. Nie mam złudzeń co do jego zamiarów i wiem, że to nie jest zaproszenie na pogawędkę przy filiżance herbaty. Więc sądzę, że powinniśmy być gotowi do odpowiedzi na atak. Myślę, że jego ludzie będą uzbrojeni i gotowi do walki, i jestem przygotowany na to, żeby poprowadzić do bitwy swoich ludzi.

– Więc mamy być przynętą? – pyta Kenji ze ściągniętymi brwiami. – Mamy nawet nie brać udziału w walce, tylko odwrócić ich uwagę?

– Kenji...

– To do dupy – mówi Adam, a ja jestem zaskoczona, widząc u niego takie emocje. – Musi być jakiś inny sposób. Nie powinniśmy pozwolić, żeby on nam dyktował warunki. Powinniśmy wykorzystać okazję, złapać ich w pułapkę albo, nie wiem, odwrócić ich uwagę i zaatakować pierwsi. Kurczę, nie ma tu kogoś, kto potrafiłby ziać ogniem czy coś? Może ktoś mógłby wywinąć jakiś odjechany numer, na przykład wysadzić pół miasta w powietrze? Zrobić coś, co dałoby nam przewagę?

Castle patrzy na mnie.

Adam wygląda tak, jakby zamierzał uderzyć Castle'a pięścią w twarz.

– Stracił pan rozum... – mówi.

– W takim razie nie ma – odpowiada Castle. – Nie mamy nikogo innego, kto potrafiłby spowodować prawdziwe... trzęsienie ziemi.

– Uważa pan, że to zabawne? – warczy Adam.

– Obawiam się, że nie żartuję. A pana gniew w tej sytuacji nie pomaga. Może się pan wycofać, jeśli pan woli, ale ja, z całym szacunkiem, i tak poproszę panią

Ferrars o pomoc w tej kwestii. Właściwie naczelny dowódca chciał się widzieć wyłącznie z nią. Wysłanie z nią was dwóch było moim pomysłem.

– .o?

Wszyscy troje jesteśmy wstrząśnięci.

– Dlaczego mnie?

– Naprawdę chciałbym znać odpowiedź na to pytanie – mówi do mnie Castle. – Chciałbym wiedzieć coś więcej. Na razie mogę najwyżej próbować wyciągnąć jakieś wnioski z posiadanych informacji, ale domyślam się, że Warner popełnił jakiś rażący błąd, który musi zostać naprawiony. Pani została w to wszystko wplątana. – Milknie. – Ojciec Warnera – ciągnie – zażądał akurat pani w zamian za zwolnienie zakładników. Mówi, że jeśli nie pojawi się pani o wyznaczonej porze, zabije naszych ludzi. A ja nie mam powodu wątpić, że to zrobi. Mordowanie niewinnych ludzi przychodzi mu z łatwością.

– I pan chciał tak po prostu pozwolić jej tam iść? – Adam zrywa się na nogi, przewracając kosz na śmieci, na którym siedział. – Nie zamierzał nam pan nic powiedzieć? Zamierzał pan ukryć przed nami, że ona jest celem? Oszalał pan?

Castle pociera czoło. Bierze kilka uspokajających oddechów.

– Nie – mówi starannie wyważonym głosem. – Nie miałem zamiaru po prostu pozwolić jej dokądkolwiek iść. Próbuję wam wytłumaczyć, że wszyscy będziemy walczyli, ale wy dwaj pójdziecie z panią Ferrars. Kiedyś już z sobą współpracowaliście. I pan, i Kenji przeszliście szkolenie wojskowe. Znacie zasady, techniki i strategię, jakie oni mogą zastosować. Moglibyście pomóc w zapewnieniu jej bezpieczeństwa i wprowadzić element zaskoczenia. Wasza obecność mogłaby nam dać przewagę w tej sytuacji. Jeśli pani Ferrars jest mu aż tak potrzebna, będzie musiał znaleźć sposób, żeby poradzić sobie z całą waszą trójką.

– Albo... Kto wie – dorzuca Kenji z udawaną nonszalancją – może po prostu wpakuje nam obu po kulce w łeb i uprowadzi Julię, kiedy my nie będziemy już w stanie mu przeszkodzić.

– W porządku – mówię. – Zrobię to. Pójdę tam.

– Co? – Adam patrzy na mnie, a panika rozszerza mu źrenice. – Julio, nie...

– Tak, może wolałabyś to sobie jeszcze przemyśleć – przerywa mu Kenji nieco zdenerwowany.

– Nie musicie iść ze mną, jeśli nie chcecie. Ale ja pójdę.

Castle się uśmiecha. Na jego twarzy maluje się ulga.

– Po to tutaj jesteśmy, prawda? – Rozglądam się. – Mamy się bronić. To jest nasza szansa.

Castle promienieje, oczy jaśnieją mu czymś, co można by uznać za dumę.

– Nie odstąpimy pani na krok. Może pani na nas liczyć.

Kiwam głową.

I zdaję sobie sprawę, że być może właśnie to miałam zrobić. Może po to właśnie tu jestem.

Może po prostu mam umrzeć.

## 29

Ranek jest jedną rozmytą plamą.

Niby nie ma wiele do przygotowania, a tyle osób się przygotowuje. Wiem, że ostatecznie to jest moja bitwa, bo zostawiłam niezałatwione sprawy. Wiem, że to spotkanie nie ma nic wspólnego z naczelnym dowódcą. On nie ma powodu zaprzątać sobie mną głowy. Nawet nie spotkałam tego człowieka. Do czego miałby mnie potrzebować?

To jest posunięcie Warnera.

To Warner musiał o mnie poprosić. To ma coś wspólnego z nim, wyłącznie z nim. To sygnał dymny, który mówi mi, że nadal jestem mu potrzebna i jeszcze nie zrezygnował. A ja muszę stawić mu czoło.

Zastanawiam się tylko, jak udało mu się przekonać ojca, żeby za niego pociągał za sznurki.

Pewnie już niedługo się dowiem.

Ktoś mnie woła.

Przystaję.

Odwracam się.

James.

Podbiega do mnie przed drzwiami jadalni. Ma takie jasne włosy. Błękitne oczy, zupełnie jak jego starszy brat. Ale brakowało mi go w sposób, który nie ma nic wspólnego z tym, jak bardzo przypomina Adama.

James jest wyjątkowym dzieckiem. Bystrym. Jednym z tych 10-latków, których nigdy się nie docenia. Pyta, czy możemy pogadać. Wskazuje jeden z korytarzy.

Kiwam głową. Idę za nim do pustego tunelu.

Zatrzymuje się i odwraca. Stoi chwilę z niewyraźną miną. Jestem zszokowana samym faktem, że chce ze mną rozmawiać, bo od 3 tygodni nie zamieniłam z nim słowa. Krótko po naszym przyjeździe zaprzyjaźnił się z innymi dziećmi w Punkcie Omega, a potem nasze stosunki stały się dziwnie niezręczne. Przestał się uśmiechać na mój widok, przestał machać do mnie z drugiego końca jadalni. Byłam przekonana, że usłyszał od innych dzieci plotki na mój temat i uznał, że lepiej trzymać się ode mnie z daleka. A teraz, po tym wszystkim, co się stało z Adamem, po naszym publicznym popisie na korytarzu, jestem zaskoczona, że w ogóle chce się do mnie odezwać.

Ciągle stoi ze spuszczoną głową.

– Byłem na ciebie naprawdę wściekły – szepcze.

A szwy na moim sercu zaczynają pękać. Jeden po drugim.

Podnosi wzrok. Patrzy na mnie, jakby chciał się przekonać, czy jego pierwsze słowa mnie zdenerwowały, czy nie będę na niego krzyczała za to, że był ze mną szczery. Nie wiem, co widzi na mojej twarzy, ale łagodnieje. Wkłada ręce do kieszeni. Rysuje trampkiem okręgi na podłodze.

– Nie mówiłaś mi, że kogoś zabiłaś.

Biorę drżący wdech i zastanawiam się, czy w ogóle istnieje jakaś właściwa odpowiedź na takie słowa. Może poza Jamesem już nikt nigdy mi czegoś takiego nie powie. Pewnie nie. Więc tylko kiwam głową. I mówię:

– Naprawdę mi przykro. Powinnam była ci po...

– Więc dlaczego tego nie zrobiłaś!? – krzyczy niespodziewanie. – Dlaczego mi nie powiedziałaś? Dlaczego wszyscy o tym wiedzieli oprócz mnie?

Przeszywa mnie ból w jego głosie, gniew w jego oczach. Nie sądziłam, że zalicza mnie do swoich przyjaciół, i uświadamiam sobie, że powinnam była bardziej się z nim liczyć. James nie znał w swoim życiu zbyt wielu ludzi. Adam jest całym jego światem. Kenji i ja byliśmy jednymi z nielicznych dorosłych, jakich spotkał przed naszym przybyciem do Punktu Omega. Dla osieroconego dziecka w jego sytuacji posiadanie przyjaciół musiało wiele znaczyć. Ale ja byłam zbyt zajęta swoimi sprawami, żeby pomyśleć, że Jamesowi na mnie zależy. Nie zdawałam sobie sprawy, że mógł odebrać moje przeoczenie jak zdradę. Że plotki, które słyszał, musiały go ranić, tak samo jak raniły mnie.

Więc siadam, tak po prostu, na podłodze tunelu. Pokazuję mu miejsce obok siebie. I mówię mu prawdę.

– Bałam się, że będziesz mnie nienawidził.

Patrzy gniewnie na podłogę.

– Nie nienawidzę cię – mówi.

– Nie?

Skubie sznurowadła. Wzdycha. Kręci głową.

– I nie podobało mi się to, co o tobie opowiadali – mówi, teraz ciszej. – Tamte dzieci mówiły, że jesteś podła i złośliwa, chociaż im tłumaczyłem, że to nieprawda. Mówiłem, że jesteś spokojna i miła. I że masz ładne włosy. A one powiedziały, że kłamię.

Przełykam ślinę, trafiona prosto w serce.

– Uważasz, że mam ładne włosy?

– Dlaczego go zabiłaś? – pyta James z szeroko otwartymi oczami, gotów okazać mi zrozumienie. – Chciał ci zrobić krzywdę? Bałaś się?

Biorę kilka oddechów.

– Pamiętasz, co Adam ci o mnie powiedział? – pytam z wahaniem. – O tym, że nikogo nie mogę dotknąć, nie robiąc mu krzywdy?

James kiwa głową.

– No i to się właśnie stało. Dotknęłam go, a on umarł.

– Ale dlaczego? – pyta. – Dlaczego go dotknęłaś? Chciałaś, żeby umarł?

Moja twarz jest jak popękana porcelana.

– Nie. – Kręcę głową. – Właściwie byłam jeszcze dzieckiem, miałam niewiele więcej lat niż ty teraz. Nie wiedziałam, co robię. Nie wiedziałam, że mogę zabijać ludzi, dotykając ich. Przewrócił się w supermarkecie, a ja chciałam tylko pomóc mu wstać. – Długa cisza. – To był wypadek.

James milknie na chwilę.

Patrzy na zmianę na mnie, na swoje buty, na kolana, które przysunął do piersi. Wreszcie szepcze ze wzrokiem wbitym w ziemię:

– Przepraszam, że byłem na ciebie wściekły.

– Przepraszam, że nie powiedziałam ci prawdy – odpowiadam szeptem.

Kiwa głową. Drapie się po nosie. Patrzy na mnie.

– Więc możemy znowu być przyjaciółmi?

– Chcesz się ze mną przyjaźnić? – Mrugam, próbując się pozbyć pieczenia w oczach. – Nie boisz się mnie?

– A będziesz dla mnie podła?

– Nigdy w życiu.

– W takim razie dlaczego miałbym się ciebie bać?

A ja zaczynam się śmiać, przede wszystkim dlatego że nie chcę płakać. Kiwam głową w nieskończoność.

– Jasne – mówię. – Możemy znowu być przyjaciółmi.

– To dobrze – odpowiada i wstaje z podłogi. – Bo nie chcę już więcej jeść lunchu z tamtymi dziećmi.

Wstaję. Otrzepuję tył mojego kombinezonu.

– Możesz jeść z nami – mówię. – Zawsze możesz siadać przy naszym stole.

– Dobra. – Kiwa głową. Znowu odwraca wzrok. Ciągnie się za ucho. – Wiesz, że Adam jest cały czas bardzo smutny? – Kieruje na mnie swoje błękitne oczy.

Nie mogę mówić. W ogóle nie mogę mówić.

– Adam mówi, że jest smutny z twojego powodu. – James patrzy na mnie, jakby czekał, że temu zaprzeczę. – Czy jego też przez przypadek zraniłaś? Był w skrzydle medycznym, wiedziałaś o tym? Był chory.

Jestem przekonana, że zaraz się rozsypię na kawałki, a jednak tak się nie dzieje. Nie potrafię go okłamywać.

– Tak. Zraniłam go przez przypadek, ale teraz... T-teraz już się do niego nie zbliżam. Żeby go więcej nie skrzywdzić.

– No to dlaczego on dalej jest taki smutny? Skoro już nie możesz go skrzywdzić?

Kręcę głową, zaciskając usta, żeby się nie rozpłakać, i nie wiem, co powiedzieć. Ale James chyba rozumie.

Otacza mnie ramionami.

W pasie. Obejmuje mnie i mówi, żebym nie płakała, bo on mi wierzy. Wierzy, że zraniłam Adama przypadkiem. I tego małego chłopca też. A potem mówi:

– Uważaj dzisiaj na siebie, dobra? I skop komuś dupsko.

Jestem kompletnie zszokowana. Dopiero po chwili zdaję sobie sprawę, że nie tylko użył brzydkiego słowa, ale też właśnie po raz pierwszy mnie dotknął. Staram się nie ruszać tak długo, jak tylko mogę, bo się boję, że wszystko między nami stanie się jeszcze bardziej niezręczne. Mam wrażenie, że moje serce jest kałużą na podłodze.

I nagle zdaję sobie sprawę, że wszyscy już wiedzą.

Kiedy James i ja wchodzimy razem do jadalni, od razu zauważam, że ludzie inaczej na mnie patrzą. Teraz na ich twarzach maluje się duma i uznanie. Pewność siebie. Żadnego strachu. Żadnej podejrzliwości. Stałam się jedną z nich. Będę walczyła po ich stronie, przeciwko wspólnemu wrogowi.

Rozpoznaję to, co widzę w ich oczach, zaczynam sobie przypominać to uczucie.

Nadzieja.

Jest jak kropla miodu, jak pole kwitnących tulipanów na wiosnę. Jak orzeźwiający deszcz, wyszeptana obietnica, bezchmurne niebo, idealny znak przestankowy na końcu zdania.

Jedyne, co mnie trzyma przy życiu.

## 30

– Trochę inaczej to miało wyglądać – mówi do mnie Castle. – Ale takie rzeczy nigdy nie dzieją się według planu.

Adam, Kenji i ja przygotowujemy się do bitwy. Przesiadujemy w jednej z największych sal szkoleniowych wraz z 5 innymi osobami, których nigdy wcześniej nie spotkałam. Odpowiadają za uzbrojenie i wyposażenie. To fascynujące, że każdy mieszkaniec Punktu Omega pełni jakąś funkcję. Każdy jest zaangażowany. Każdy ma jakieś zadanie.

Wszyscy pracują razem.

– Nadal dokładnie nie wiemy, dlaczego ani jak udaje się pani to, co pani robi, ale mam nadzieję, że we właściwym czasie pani Energia sama da o sobie znać. Sytuacje, którym towarzyszy duże napięcie, są idealne, żeby ujawnić nasze umiejętności. Właściwie większość członków Punktu Omega odkryła swoje zdolności w obliczu poważnego zagrożenia.

Owszem. To by się zgadzało.

Castle bierze coś od jednej z obecnych w pokoju kobiet, która, o ile się orientuję, ma na imię Alia.

– Proszę się o nic nie martwić – mówi. – Będziemy w pobliżu na wypadek, gdyby coś poszło nie tak.

Nigdy nie mówiłam, że się martwię. W każdym razie nie mówiłam tego głośno.

– Tu są pani nowe rękawiczki. Proszę przymierzyć.

Nowe rękawiczki są krótsze i miększe. Kończą się dokładnie na wysokości mojego nadgarstka i zapinają się na zatrzaski. Wydają się grubsze, trochę cięższe, ale idealnie przylegają do moich palców. Zaciskam pięść. Uśmiecham się lekko.

– Te są wspaniałe. Mówił pan, że to Winston je zaprojektował?

Twarz Castle'a szarzeje.

– Tak – odpowiada cicho. – Wczoraj je uszył.

Winston.

To jego twarz zobaczyłam, kiedy się ocknęłam po przyjeździe do Punktu Omega. Garbaty nos, włosy koloru piasku. Psychologiczne wykształcenie. Upodobanie do obrzydliwej kawy.

Przypominam sobie połamane okulary, które znaleźliśmy w plecaku.

Co się z nim teraz dzieje?

Alia wraca z czymś, co przypomina skórzaną uprząż. Prosi mnie o podniesienie rąk i pomaga mi ją założyć. Zdaję sobie sprawę, że to kabura na szelkach. Na ramionach mam grube skórzane pasy, które krzyżują się na środku pleców, a 50 innych pasków z bardzo cienkiej czarnej skóry oplata mnie wysoko w pasie, tuż pod biustem, jak jakiś niekompletny top. Albo biustonosz bez miseczek. Alia zapina to wszystko, a ja wciąż nie rozumiem, do czego to ma służyć. Czekam na jakieś wyjaśnienie.

Wtedy dostrzegam broń.

– W liście nie było ani słowa o tym, że ma pani pojawić się nieuzbrojona – mówi Castle, kiedy Alia podaje mu dwa pistolety automatyczne.

Rozpoznaję już ich kształt i wielkość. Wczoraj ćwiczyłam strzelanie z nich.

Szło mi beznadziejnie.

– Toteż nie widzę powodu, żeby miała pani nie mieć broni – ciągnie Castle.

Wskazuje na kabury po obu stronach mojej klatki piersiowej. Pokazuje, jak wkłada się do nich pistolety, jak się je zapina, gdzie jest miejsce na dodatkowe naboje.

Nie wspominam, że nie mam pojęcia, jak przeładować broń. Kenji i ja nie zdążyliśmy tego omówić na naszych zajęciach. Ciągle musiał mi przypominać, żebym nie gestykulowała z bronią w ręku, kiedy zadaję pytania.

– Mam nadzieję, że pistolet będzie środkiem ostatecznym – mówi Castle. – Ma pani przecież swój osobisty arsenał. Nie przypuszczam, żeby musiała pani do kogoś strzelać. No i radziłbym założenie tego, na wypadek gdyby chciała pani użyć swojej mocy, żeby coś zniszczyć. – Podnosi do góry coś, co wygląda jak wymyślny rodzaj kastetu. – Alia to dla pani zaprojektowała.

Patrzę na nią, a potem na Castle'a i na przedmiot w jego ręce. Uśmiecha się promiennie. Dziękuję Alii za to, że poświęciła czas na stworzenie czegoś dla mnie, a ona wyjąkuje jakąś nieskładną odpowiedź, czerwieniąc się, jakby nie mogła uwierzyć, że mówię do niej.

Jestem skonsternowana.

Biorę od Castle'a kastety i oglądam je. Ich wewnętrzne części składają się z 4 połączonych z sobą okręgów, o dostatecznie dużej średnicy, aby dało się je założyć na moje rękawiczki jak zestaw pierścionków. Wsuwam je na palce i obracam dłoń, żeby obejrzeć górną część. Przypomina miniaturową tarczę z miliona kawałeczków spiżu, okrywającą moje knykcie, palce, cały wierzch dłoni. Mogę zacisnąć pięść, a metal porusza się razem z moimi stawami. Nie jest taki ciężki, na jaki wygląda.

Zakładam drugi ochraniacz. Zaciskam palce. Sięgam po broń przypiętą do pasa.

Łatwe.

Potrafię to zrobić.

– Podobają się pani? – pyta Castle.

Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby uśmiechał się tak szeroko.

– Bardzo – mówię. – Wszystko jest idealne. Dziękuję.

– Bardzo dobrze. Tak się cieszę. A teraz wybaczcie mi, zanim wyruszymy, muszę dopilnować jeszcze paru spraw. Zaraz wracam.

Kiwa do nas uprzejmie głową, a potem rusza do drzwi. Wszyscy oprócz mnie, Kenjiego i Adama wychodzą z pokoju.

Odwracam się, żeby zobaczyć, jak idzie chłopakom, i z moich otwartych ust pada milion niewypowiedzianych słów.

Kenji ma na sobie jakiś nowy strój.

To coś w rodzaju kombinezonu, ale zupełnie niepodobnego do mojego. Jest cały czarny i idealnie dopasowany, w dodatku podkreśla czarne jak węgiel oczy i włosy Kenjiego. Wygląda, jakby został uszyty z jakiegoś syntetycznego materiału przypominającego plastik. Błyszczy we fluorescencyjnym oświetleniu i wydaje się

zbyt sztywny, żeby można było się w nim poruszać. Ale wtedy Kenji rozkłada ręce, staje na palcach i zaczyna kołysać się w przód i w tył, a materiał sprawia wrażenie, jakby był płynny, jakby poruszał się razem z nim. Kenji jest w butach, lecz na rękach nie ma rękawiczek. Broń ma zawieszoną pod pachami, tylko że jego kabury są przypięte do zwykłych szelek, prostych jak paski plecaka.

I Adam.

Adam jest ~~boski~~ w koszulce z długimi rękawami, ciemnoniebieskiej i niebezpiecznie opiętej na jego piersi. Mimo woli przyglądam się szczegółom jego stroju i nie mogę przestać wspominać, jakie to uczucie, kiedy mnie obejmuje, jak cudownie jest skryć się w jego ramionach. ~~Stoi dokładnie naprzeciwko mnie,~~ a ~~ja tęsknię za nim, jakbym go nie widziała od lat~~. Nogawki jego czarnych bojówek są wsunięte do tych samych czarnych, wysokich, błyszczących butów z gładkiej skóry, które miał na sobie, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy w szpitalu psychiatrycznym. Wydają się bardzo wygodne, aż trudno uwierzyć, że nie zostały wykonane specjalnie dla niego. Adam nie ma przy sobie broni.

Zaintrygowana, postanawiam o to zapytać.

– Adamie?

Podnosi głowę i zastyga w bezruchu. Unosi brwi i mruga z otwartymi ustami. Jego oczy wędrują po moim ciele, zatrzymując się na uprzęży i zawieszonych na niej pistoletach.

Nic nie mówi. Wpatruje się we mnie przez chwilę, a potem odwraca wzrok. Wygląda tak, jakby ktoś pozbawił go tchu ciosem pięścią w brzuch. Przeczesuje ręką włosy, przyciska nadgarstek do czoła i mówi, że zaraz wróci. Wychodzi z sali.

Jest mi niedobrze.

Kenji odchrząkuje głośno. Kręci głową.

– Kurczę – mówi. – Ty naprawdę chcesz wykończyć tego gościa.

– Co?

Kenji patrzy na mnie jak na idiotkę.

– Nie możesz tak sobie biegać dokoła niego, trzepotać rzęsami i wołać: „Och, Adamie, popatrz na mnie. Zobacz, jak seksownie wyglądam w tych nowym wdzianku”.

– Trzepotać rzęsami? – Zastygam w bezruchu. – O czym ty mówisz? Nie trzepoczę rzęsami! I mam na sobie to co zawsze...

Kenji chrząka. Wzrusza ramionami.

– No, ale wygląda to inaczej.

– Odbiło ci.

– Ja tylko mówię – podnosi ręce w geście kapitulacji – że gdybym był na jego miejscu, a ty byłabyś moją dziewczyną i chodziłabyś tak ubrana, a ja nie mógłbym cię dotknąć... – Odwraca wzrok. Znowu wzrusza ramionami. – Ja tylko mówię, że nie zazdroszczę gościowi.

– Nie wiem, co mam robić – szepczę. – Przecież nie chcę mu sprawiać bólu...

– O, cholera. Zapomnij, że coś mówiłem. – Macha rękami. – Serio. Nie mój interes. – Posyła mi mordercze spojrzenie. – Tylko nie traktuj tego jako zachęty do zwierzeń.

Mrużę oczy.

– Nie zamierzam z tobą rozmawiać o uczuciach.

– Dobrze. Bo nie chcę tego słuchać.

– Miałeś kiedyś dziewczynę, Kenji?

– Co? – Wygląda, jakby był śmiertelnie obrażony. – Czy ja wyglądam na faceta, który nigdy nie miał dziewczyny? Czy ty mnie w ogóle poznałaś?

Przewracam oczami.

– Nieważne.

– Nie mogę uwierzyć, że o to zapytałaś.

– Sam zawsze powtarzasz, że nie chcesz mówić o uczuciach – rzucam.

– Nie. Powiedziałem, że nie chcę rozmawiać o twoich uczuciach. – Pokazuje na mnie palcem. – Nie mam problemu z rozmawianiem o moich.

– Więc chcesz porozmawiać o swoich uczuciach?

– Za nic.

– Al...

– Nie chcę.

– Świetnie. – Odwracam wzrok. Poprawiam paski, które uwierają mnie w plecy. – Więc o co chodzi z twoim kombinezonem? – pytam.

– Jak to: o co chodzi z moim kombinezonem? – Marszczy czoło. Przesuwa po nim ręką. – Jest szałowy.

Powstrzymuję uśmiech.

– Ale ja pytam, po co go włożyłeś. Dlaczego ty masz na sobie coś takiego, a Adam nie?

Wzrusza ramionami.

– Adam nie potrzebuje specjalnego stroju. Jak większość osób. Wszystko zależy od posiadanych zdolności. Mnie on akurat bardzo pomaga. Nie zawsze go używam, ale kiedy jakaś misja jest bardzo ważna, ratuje mi tyłek. Wtapianie się w tło jest o wiele mniej skomplikowane, kiedy muszę zmienić tylko jeden kolor, najlepiej czarny. Gdybym miał na sobie parę warstw luźnych rzeczy, które w dodatku plątałyby mi się wkoło, dopasowanie wszystkich szczegółów wymagałoby dużej koncentracji. W jednoczęściowym ubraniu w jednolitym kolorze jestem skuteczniejszym kameleonem. Poza tym – dodaje, napinając mięśnie ramion – seksownie w nim wyglądam.

Robię, co mogę, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

– Więc co z Adamem? – pytam. – Adam nie potrzebuje kombinezonu ani broni? To się wydaje nie w porządku.

– Mam broń – mówi Adam, wchodząc z powrotem do pokoju. Patrzy na swoje pięści, zaciska je i rozluźnia przed sobą. – Tylko jej nie widzicie.

Nie mogę oderwać od niego wzroku, nie mogę przestać się gapić.

– Niewidzialna broń, hę? – Kenji uśmiecha się znacząco. – To urocze. Ja chyba nie przechodziłem przez ten etap.

Adam piorunuje go wzrokiem.

– Mam dziewięć różnych rodzajów broni ukrytych na całym ciele. Chciałbyś sobie wybrać tę, z której rozwalę ci łeb, czy sam mam to zrobić?

– To był żart. Cholera. Żartowałem...

– Uwaga.

Wszyscy obracamy się na dźwięk głosu Castle’a.
Przygląda się naszej trójce.
– Gotowi?
– Tak – odpowiadam.
Adam kiwa głową.
– Bierzmy się za to gówno – mówi Kenji.
– Za mną – rozkazuje Castle.

## 31

Jest 10.32.

Do spotkania z naczelnym dowódcą została 1 godzina i 28 minut.

Plan jest taki:

Castle i wszyscy członkowie Punktu Omega, którzy posiadają jakiś dar, czekają na swoich pozycjach. Wyszli pół godziny temu. Ukrywają się w opuszczonych budynkach otaczających miejsce spotkania wskazane w liście. Będą gotowi uderzyć na sygnał Castle'a. A Castle da taki sygnał, jeśli wyczuje, że jesteśmy w niebezpieczeństwie.

Adam, Kenji i ja pójdziemy piechotą.

Kenji i Adam znają terytoria nieuregulowane, bo musieli ich pilnować jako żołnierze. Nikomu nie wolno wchodzić na tereny naszego dawnego świata. Opuszczone aleje, boczne uliczki, stare restauracje i biurowce to strefa zakazana.

Kenji mówi, że miejsce spotkania znajduje się na jednym z niewielu ocalałych przedmieść. Twierdzi, że dobrze je zna. Okazuje się, że jako żołnierz często był wysyłany w te okolice. Za każdym razem miał zostawiać nieoznaczone paczki w skrzynkach na listy opuszczonych domów. Nie wyjaśniono mu, co jest w paczkach, a on nie był taki głupi, żeby o to pytać.

Jego zdaniem to dziwne, że któreś z tych starych domów nadają się jeszcze do użytku, szczególnie że ludzie z Komitetu Odnowy zawsze pilnie ich strzegli. Pilnowali, żeby cywile nie próbowali tam wracać. Większość dzielnic mieszkalnych została zrównana z ziemią natychmiast po przejęciu władzy przez Komitet. Więc ulice, które przetrwały w stanie nienaruszonym, zdarzają się bardzo, bardzo rzadko. W liście jednak napisano czarno na białym drukowanymi literami:

SYCAMORE 1542

Mamy się spotkać z naczelnym dowódcą w miejscu, które kiedyś było czyimś domem.

– Więc co waszym zdaniem powinniśmy zrobić? Zadzwonić do drzwi? – Kenji prowadzi nas słabo oświetlonymi tunelami do wyjścia z Punktu Omega.

Patrzę prosto przed siebie, choć czuję się tak, jakbym miała w żołądku stado dzięciołów.

– Jak myślicie? – pyta Kenji ponownie. – Czy to byłaby przesada? Może lepiej zapukać?

Próbuję się roześmiać, ale wypada to w najlepszym razie nieprzekonująco.

Adam nie odzywa się ani słowem.

– No dobrze, dobrze – mówi Kenji, teraz już całkiem poważny. – Kiedy wyjdziemy, wiecie, co robić. Chwytamy się za ręce. Ja przenoszę swój dar na nas wszystkich. Jedno z lewej, drugie z prawej. Jasne?

Kiwam głową, starając się nie patrzeć na Adama.

To jeden z pierwszych prawdziwych sprawdzianów jego zdolności – musi wyłączyć swój dar na czas, kiedy będzie trzymał Kenjiego za rękę. Jeśli mu się to nie uda, projekcja Kenjiego nie zadziała i Adam będzie widoczny. Znajdzie się w

niebezpieczeństwie.

– Rozumiesz zagrożenia, prawda? – pyta Kenji. – Jeżeli nie uda ci się wyłączyć blokowania?

Adam kiwa głową. Jego twarz pozostaje niewzruszona. Mówi, że trenował codziennie z Castle'em, żeby nauczyć się to kontrolować. Mówi, że wszystko będzie dobrze.

Mówi to, patrząc na mnie.

Czuję się tak, jakbym wyskoczyła z samolotu.

Prawie nie zauważam, że zbliżamy się do wyjścia, nawet wtedy kiedy Kenji daje nam znak, żebyśmy wchodzili za nim po drabinie. Wspinam się, jednocześnie powtarzając w myśli plan, który przygotowaliśmy wczesnym rankiem.

Dotarcie na miejsce to najłatwiejsza część zadania.

Potem trzeba się dostać do środka i tu zaczynają się schody.

Mamy udawać, że chcemy przeprowadzić wymianę. Zakładnicy mają być z naczelnym dowódcą. Ja mam się upewnić, że zostaną uwolnieni. Zwykła transakcja.

Ja w zamian za nich.

Ale prawda jest taka, że nie mamy pojęcia, co się rzeczywiście wydarzy. Nie wiemy na przykład, kto otworzy drzwi. Nie wiemy, czy w ogóle ktoś otworzy drzwi. Nie wiemy nawet, czy spotkanie ma się odbyć w środku, czy po prostu przed domem. Nie wiemy również, jak oni zareagują na widok Adama, Kenjiego i przenośnego arsenału, który mamy na sobie.

Nie wiemy, czy na dzień dobry nie zaczną strzelać.

Ta część mnie przeraża. Nie boję się o siebie tak bardzo jak o Adama i Kenjiego. Oni nie byli przewidziani. Oni są elementem zaskoczenia. Albo ich obecność da nam jedyną przewagę, jaką w tej chwili możemy zdobyć, albo będą martwi w chwili, kiedy zostaną zauważeni. I zaczynam myśleć, że to był bardzo zły pomysł.

Zaczynam się zastanawiać, czy się nie pomyliłam. Zaczynam myśleć, że nie dam rady.

Ale jest już za późno, żeby się wycofać.

## 32

– Zaczekajcie tutaj.

Kenji każe nam się pochylić, a sam wystawia głowę przez właz. Już zniknął nam z oczu, jego postać zlała się z otoczeniem. Ma dać nam znać, czy droga jest wolna.

Adam i ja czekamy w grobowej ciszy.

Jestem zbyt zdenerwowana, żeby mówić.

Zbyt zdenerwowana, żeby myśleć.

Dam radę damy radę nie mamy innego wyjścia musimy dać radę, powtarzam sobie w kółko.

– Chodźcie – słyszę głos Kenjiego nad naszymi głowami.

Adam i ja pokonujemy ostatni odcinek drabiny. Wychodzimy jednym z wyjść awaryjnych z Punktu Omega. Według Castle'a, wie o nim tylko 7 osób. Zachowujemy wszelkie niezbędne środki ostrożności.

W chwili kiedy wydostajemy się na ziemię, natychmiast przeszywa mnie zimno. Ręka Kenjiego obejmuje mnie w pasie. Zimno zimno zimno. Mróz tnie powietrze jak 1000 małych noży, siekając moją skórę. Patrzę na swoje stopy i nie widzę nic poza ledwie dostrzegalnym migotaniem w miejscu, gdzie powinny być moje buty. Macham ręką przed oczami.

Nic.

Rozglądam się.

Ani śladu Adama, żadnych dowodów na obecność Kenjiego, poza jego niewidzialną ręką, która opiera się na dolnej części moich pleców.

Zadziałało. Adamowi się udało. Czuję taką ulgę, że chce mi się śpiewać.

– Słyszycie mnie? – szepczę, szczęśliwa, że nikt nie widzi mojego uśmiechu.

– Taa.

– Tak, jestem tu – mówi Adam.

– Niezła robota, Kent – stwierdza Kenji. – Wiem, że to musi być dla ciebie trudne.

– W porządku – odpowiada Adam. – Wszystko gra. Chodźmy.

– Robi się.

Jesteśmy jak ludzki łańcuch.

Trzymamy się za ręce, Kenji idzie między mną a Adamem, prowadząc nas przez opustoszałą równinę. Nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy, i zaczynam zdawać sobie sprawę, że właściwie tak jest prawie zawsze. Ten świat wciąż wydaje mi się obcy, wciąż taki nowy. Źle jest spędzać tyle czasu w izolacji, kiedy cała planeta rozpada się na kawałki.

Im dłużej idziemy, tym bardziej zbliżamy się do głównej drogi i osiedli położonych niecałe 2 kilometry stąd. Z miejsca, w którym stoimy, widać już pudełka bloków.

Kenji gwałtownie się zatrzymuje.

Nic nie mówi.

– Dlaczego stoimy? – pytam.

Kenji mnie ucisza.

– Słyszycie to?

– Co?

Adam wciąga powietrze.

– Cholera. Ktoś się zbliża.

– Czołg – precyzuje Kenji.

– Więcej niż jeden – dodaje Adam.

– No to dlaczego tu jeszcze stoimy...

– Zaczekaj, Julio, chwileczkę...

Wtedy je dostrzegam. Kawalkada czołgów nadjeżdża główną drogą. Jest ich 6.

Kenji mruczy pod nosem serię przekleństw.

– Co jest? – pytam. – O co chodzi?

– Może być tylko jeden powód, dla którego Warner wysyła więcej niż dwa czołgi za jednym razem na tej samej trasie – mówi Adam.

– Szykują się do walki – uzupełnia Kenji.

Wydaję stłumiony okrzyk.

– On wie – mówi Kenji. – Niech to szlag! Jasne, że wie. Castle miał rację. On wie, że mamy wsparcie. Cholera.

– Która godzina, Kenji?

– Mamy jakieś czterdzieści pięć minut.

– No to ruszajmy – mówię. – Nie ma czasu martwić się, co będzie potem. Castle jest przygotowany... Bierze to pod uwagę. Nic nam nie będzie. Ale jak nie dojdziemy do tego domu na czas, Winston, Brendan i pozostali mogą dzisiaj zginąć.

– My też możemy dzisiaj zginąć – zauważa Kenji.

– Tak – przytakuję. – My też.

Pędzimy dawnymi ulicami. Przemykamy po zrujnowanych terenach dawnych przedmieść w stronę jakiejś namiastki cywilizacji, kiedy niespodziewanie dostrzegam pozostałości boleśnie znajomego wszechświata. Małe kwadratowe domki z małymi kwadratowymi ogródkami teraz zarośniętymi przez dzikie badyle targane wiatrem. Martwa trawa kruszy się pod naszymi stopami, lodowata i odpychająca. Liczymy mijane domy.

Sycamore 1542.

To musi być ten. Nie da się go nie zauważyć.

Jedyny dom na tej ulicy, który wygląda tak, jakby nadawał się do użytku. Świeżo odmalowany, czysty, w pięknym bladoturkusowym kolorze. Kilka schodów prowadzi na ganek, na którym dostrzegam 2 białe wiklinowe bujane fotele i wielki kwietnik pełny jasnoniebieskich kwiatów, jakich jeszcze nigdy nie widziałam. Przed drzwiami leży gumowa wycieraczka, na poziomej drewnianej belce wiszą dzwoneczki wietrzne. Na ganku porozstawiano gliniane doniczki, za rogiem dostrzegam niewielką łopatę. Jest tu wszystko wszystko wszystko, czego już nie możemy mieć.

Ktoś tu mieszka.

To nie może być prawda.

Ogarnięta wzruszeniem, ciągnę Kenjiego i Adama w stronę domu, prawie

zapominając, że nie wolno nam już żyć w tym starym, pięknym świecie.

Ktoś szarpie mnie w tył.

– To nie tu – mówi do mnie Kenji. – To nie ta ulica. Cholera. To zła ulica... Powinniśmy być dwie ulice dalej...

– Ale ten dom... To jest... Kenji, ktoś tu mieszka...

– Nikt tu nie mieszka – mówi. – Ktoś to pewnie przygotował, żeby się nas pozbyć. Założę się, że ten dom jest połączony z C4. To musi być pułapka na ludzi szwendających się nielegalnie po terytoriach nieuregulowanych. No, chodźcie już... – Znowu szarpie mnie za rękę. – Musimy się spieszyć. Mamy siedem minut!

I nawet kiedy już biegniemy, wciąż oglądam się za siebie, wypatrując jakichś oznak życia, czekając, aż ktoś wyjdzie na zewnątrz, zajrzeć do skrzynki albo popatrzeć na przelatującego ptaka.

I może to sobie wyobrażam.

Może jestem szalona.

Ale mogłabym przysiąc, że w oknie na piętrze poruszyła się firanka.

## 33

90 sekund.

Dom numer 1542 na ulicy Sycamore jest dokładnie tak zniszczony, jak sobie początkowo wyobrażałam. To prawdziwa ruina, z dachem uginającym się pod ciężarem wieloletniego zaniedbania. Adam, Kenji i ja stoimy za rogiem, w miejscu niewidocznym z domu, chociaż jesteśmy niewidzialni. Nigdzie nie ma żywego ducha i budynek wygląda na opuszczony. Zaczynam się zastanawiać, czy to wszystko nie było tylko jakimś niesmacznym żartem.

75 sekund.

– Wy się nie pokazujcie – mówię do Kenjiego i Adama w przypływie nagłego natchnienia. – Niech myśli, że przyszłam sama. Pojawicie się, jeżeli coś pójdzie nie tak, dobra? Szkoda narażać się na to, że sprawy od razu wymkną się spod kontroli.

Obaj przez chwilę się nie odzywają.

– Cholera. To niezły pomysł – mówi Kenji. – Powinienem był o tym pomyśleć.

Nie mogę powstrzymać uśmiechu, choćby niewidzialnego.

– Puszczam.

– Hej, powodzenia – mówi Kenji, niespodziewanie łagodnym głosem. – Będziemy zaraz za tobą.

– Julio...

Przystaję na chwilę na dźwięk głosu Adama.

Chce coś powiedzieć, ale zmienia zdanie. Odchrząkuje.

– Obiecaj, że będziesz ostrożna – szepcze.

– Obiecuję – rzucam na wiatr, opanowując wzruszenie.

Nie teraz. Nie mogę teraz o tym myśleć. Muszę się skupić.

Więc biorę głęboki oddech.

Robię krok naprzód.

I puszczam rękę Kenjiego.

10 sekund

a ja próbuję pamiętać o oddychaniu

9

i staram się być odważna

8

ale prawda jest taka że paraliżuje mnie strach

7

bo nikt nie wie co mnie czeka za tymi drzwiami

6

i zaraz umrę na atak serca

5

lecz nie mogę się teraz cofnąć

4

bo już jestem

3

przed drzwiami
2
i wystarczy zapukać
1
ale one otwierają się same.
– Świetnie – mówi. – Przyszłaś punktualnie.

## 34

– Jak miło – mówi – że cenisz takie rzeczy jak punktualność. To okropnie frustrujące, kiedy ludzie marnują mój czas.

Mój mózg jest pełen brakujących guzików, kawałków szkła, grafitów połamanych ołówków. Kiwam głową w zwolnionym tempie, mrugając jak idiotka, szukając właściwych słów, dlatego że je zgubiłam albo dlatego że nigdy nie istniały, albo może po prostu dlatego że nie mam pojęcia, co powiedzieć.

Nie wiem, czego się spodziewałam.

Może sądziłam, że okaże się stary, przygarbiony i niedowidzący. Że będzie nosił opaskę na oku i poruszał się o lasce. Może spodziewałam się braków w uzębieniu, siatki zmarszczek i przerzedzonych siwych włosów. A może myślałam, że będzie centaurem, jednorożcem, starą wiedźmą w spiczastej czapce wszystkim wszystkim wszystkim, tylko nie tym. Bo to po prostu nie jest możliwe. To nienaturalne. To zupełnie niepojęte. Czegokolwiek się spodziewałam, myliłam się. Wprost nieprawdopodobnie się pomyliłam.

Mam przed sobą człowieka, który jest absolutnie piękny. Tak piękny, że jego uroda zapiera mi dech.

A to mężczyzna.

Musi mieć już co najmniej 45 lat, jest wysoki i mocno zbudowany, obrysowany tkaniną garnituru, który leży tak doskonale, że to aż nieprzyzwoite. Jego włosy są gęste, miękkie jak masło orzechowe, linia jego szczęki jest wyraźna, rysy idealnie symetryczne, kości policzkowe zahartowane życiem i wiekiem. Ale największe wrażenie robią jego oczy. Jego oczy są najbardziej zachwycającą rzeczą, jaką w życiu widziałam.

Są prawie jak akwamaryn.

– Proszę – mówi, błyskając zniewalającym uśmiechem. – Wejdź.

I wtedy doznaję olśnienia, dokładnie w tej chwili wszystko nagle nabiera sensu. Jego spojrzenie, jego sylwetka, jego klasa i gładkie maniery. Łatwość, z jaką prawie zapomniałam, że jest łotrem. Ten mężczyzna.

To musi być ojciec Warnera.

Wchodzę do pomieszczenia, które przypomina niewielki salon. Dokoła maleńkiego stolika do kawy stoją stare, krzywe kanapy. Tapeta jest pożółkła i odłazi ze starości. W powietrzu wisi ciężki, stęchły zapach, świadczący o tym, że okna o popękanych szybach nie były otwierane od lat. Dywan pod moimi stopami ma kolor zielonego lasu, ściany są wyłożone koszmarnymi panelami, które mają udawać drewno. Ten dom jest najzwyczajniej w świecie brzydki. To wręcz niedorzeczne, że tak uderzająco piękny człowiek znalazł się w tak podłym miejscu.

– Chwileczkę – mówi. – Jedna sprawa.

– Co...

Przyciska mnie do ściany za gardło, rękami starannie chronionymi przez skórzane rękawiczki, przygotowany zawczasu, żeby móc dotknąć mojej skóry, żeby odciąć mi tlen, udusić mnie, i jestem pewna, że umieram, jestem przekonana, że to

właśnie takie uczucie umierać, być całkowicie unieruchomionym, bezwładnym od szyi w dół. Próbuję się bronić resztką sił, kopię go, ale po chwili poddaję się, w ostatnim przebłysku świadomości przeklinając własną głupotę, potępiając siebie za to, że byłam taką idiotką, że sądziłam, że mogę tu przyjść i coś wskórać, kiedy zdaję sobie sprawę, że zabrał mi oba pistolety i włożył je sobie do kieszeni.

Puszcza mnie.

Opadam na podłogę.

Proponuje mi, żebym usiadła.

Kręcę głową, krztusząc się męczarnią swoich płuc, wdychając ze świstem brudne, stęchłe powietrze, dziwacznie, przeraźliwie dysząc. Moim ciałem wstrząsają spazmy bólu. Jestem w środku od 2 minut, a on już mnie obezwładnił. Muszę coś wymyślić, wymyślić sposób, żeby ujść z życiem. Nie pora się teraz poddawać.

Na chwilę zaciskam powieki. Próbuję oczyścić drogi oddechowe, próbuję odzyskać jasność umysłu. Kiedy wreszcie podnoszę wzrok, on siedzi w jednym z foteli, przyglądając mi się tak, jakby świetnie się bawił.

Ledwie mogę mówić.

– Gdzie są zakładnicy?

– Czują się dobrze. – Człowiek, którego imienia nie znam, obojętnie macha ręką w powietrzu. – Nic im nie będzie. Na pewno nie chcesz usiąść?

– Czego... – Próbuję odchrząknąć i natychmiast tego żałuję. Staram się powstrzymać zdradzieckie łzy, które pieką mnie w oczy. – Czego pan ode mnie chce?

Pochyla się w fotelu. Splata dłonie.

– Wiesz, właściwie nie jestem pewien.

– Co?

– No, przecież musieliście się zorientować, że to wszystko – wskazuje głową na mnie, na pokój – miało odwrócić waszą uwagę, prawda? – Uśmiecha się tym samym zachwycającym uśmiechem. – Na pewno zdajecie sobie sprawę, że chciałem was zwabić na swoje terytorium? Moi ludzie czekają na rozkaz. Jedno moje słowo, a znajdą i zniszczą wszystkich twoich przyjaciół, którzy czekają cierpliwie w promieniu kilometra.

Przerażenie mówi mi dzień dobry.

Śmieje się.

– Jeżeli myślisz, że nie wiem, co się dzieje na moim terenie, młoda damo, to się grubo mylisz. – Kręci głową. – Pozwoliłem tym świrom żyć wśród nas zbyt swobodnie i to był mój błąd. Sprawiają za dużo kłopotu i pora już ich zlikwidować.

– Jestem tylko jednym z tych świrów – mówię, próbując opanować drżenie głosu. – Po co mnie pan tu sprowadził, skoro i tak chcecie nas wszystkich pozabijać? Dlaczego ja? Po co było się tak fatygować?

– Masz rację. – Wstaje. Wkłada ręce do kieszeni. – Przyjechałem tu w określonym celu: posprzątać bałagan, którego narobił mój syn, i położyć kres naiwnym wysiłkom bandy odmieńców. Usunąć was wszystkich z tego żałosnego świata. Ale potem – mówi, śmiejąc się cicho – kiedy już zacząłem przygotowywać plany, mój syn przyszedł do mnie i poprosił, żebym cię nie zabijał. Tylko ciebie.

Milknie. Podnosi wzrok.

– Dosłownie błagał, żebym cię nie zabijał. – Znowu się śmieje. – To było

równie żałosne, jak zaskakujące. Oczywiście wtedy uznałem, że muszę cię poznać – mówi z uśmiechem, patrząc na mnie, jakby był pod wrażeniem. – Muszę poznać dziewczynę, która oczarowała mojego chłopca!, powiedziałem sobie. Tę dziewczynę, która sprawiła, że poświęcił swoją dumę, swoją godność, żeby mnie błagać o przysługę.

Cisza.

– Czy wiesz – mówi po chwili – kiedy mój syn ostatnio poprosił mnie o przysługę?

Przekrzywia głowę. Czeka na moją odpowiedź.

Kręcę głową.

– Nigdy. – Bierze oddech. – Nigdy, ani razu przez dziewiętnaście lat o nic mnie nie poprosił. Trudno uwierzyć, co? – Jego uśmiech jest teraz jeszcze szerszy, jeszcze bardziej olśniewający. – To oczywiście wyłącznie moja zasługa. Dobrze go wychowałem. Nauczyłem go być całkowicie samowystarczalnym, opanowanym, nieskrępowanym potrzebami i pragnieniami, które niszczą większość innych ludzi. Więc gdy usłyszałem z jego ust te haniebne błagania... – Kręci głową. – Cóż. Naturalnie, byłem zaintrygowany. Musiałem cię zobaczyć na własne oczy. Musiałem zrozumieć, co takiego w tobie dostrzegł, co było w tobie tak wyjątkowego, że popełnił zasadniczy błąd. Chociaż jeśli mam być szczery, nie wierzyłem, że się pojawisz.

Wyjmuje jedną rękę z kieszeni i gestykuluje, mówiąc dalej:

– To znaczy, oczywiście miałem taką nadzieję. Ale sądziłem, że jeśli nawet tu przyjdziesz, to przynajmniej przyprowadzisz kogoś z sobą, jakąś obstawę. A tu proszę, jesteś. W tym swoim paskudnym obciągaczu – śmieje się głośno – i zupełnie sama. – Przygląda mi się. – Bardzo głupio – mówi. – Ale odważnie. Podoba mi się to. Potrafię docenić odwagę. Tak czy inaczej, sprowadziłem cię tutaj, żeby dać nauczkę mojemu synowi. I tak chciałem cię zabić.

Zaczyna powoli, spokojnie przechadzać się po pokoju.

– Więc wolałem zrobić to w miejscu, gdzie na pewno będzie mógł to zobaczyć. Na wojnie panuje bałagan – dodaje, machając ręką. – Łatwo stracić rozeznanie, kto został zabity, jak, przez kogo, *et cetera*, *et cetera*. A ja chciałem, żeby akurat twoja śmierć była tak oczywista jak przesłanie, które ma nieść. W końcu to nie jest dla niego dobre, pozwalać sobie na tego rodzaju słabostki. Moim rodzicielskim obowiązkiem jest położyć kres tego typu bzdurom.

Pod językiem mam kamień wielkości pięści i nie mogę go wypluć. Jest mi niedobrze niedobrze niedobrze. Ten człowiek jest o wiele gorszy, niż mogłabym sobie wyobrazić.

Mój głos jest jednym oddechem, jednym głośnym szeptem.

– Więc na co pan czeka?

Waha się.

– Nie wiem – mówi. – Nie miałem pojęcia, że będziesz taka śliczna. Obawiam się, że mój syn nie wspominał mi o twojej urodzie. A to zawsze jest trudne: zniszczyć coś pięknego – wzdycha. – Poza tym zaskoczyłaś mnie. Pojawiłaś się na czas. Sama. Naprawdę chciałaś się poświęcić dla tych bezwartościowych stworzeń, które były tak głupie, żeby dać się złapać.

Bierze gwałtowny oddech.

– Może moglibyśmy cię zatrzymać. Jeżeli nie okażesz się pożyteczna, może przynajmniej mogłabyś być zabawna. – Przechyla głowę w zamyśleniu. – Chociaż gdybyśmy mieli cię zatrzymać, to pewnie musiałbym cię zabrać do kapitolu, bo nie mogę już ufać mojemu synowi. Niczego nie potrafi zrobić jak należy. Dałem mu już zbyt wiele szans.

– Dziękuję za propozycję – mówię, usiłując nie zwracać uwagi na węże, które dostały się do mojego krwiobiegu, ani na syrop wiśniowy skapujący mi po karku – ale wolałabym rzucić się ze skały.

Jego śmiech przypomina dźwięk stu maleńkich dzwoneczków. Jest radosny, zdrowy i zaraźliwy.

– Proszę, proszę.

Uśmiecha się promiennie, ciepło i zaskakująco szczerze. Kręci głową. Woła przez ramię w stronę, gdzie mógłby znajdować się drugi pokój, może kuchnia, nie wiem:

– Synu, czy mógłbyś tu przyjść?

A ja myślę sobie, że czasami człowiek wie, że umiera, zdaje sobie sprawę, że już po nim, jedną nogą już stoi w grobie, ale jeszcze szuka wyjścia awaryjnego, kiedy nagle ktoś oblewa mu włosy paliwem do zapalniczki i zapala mu zapałkę przed nosem.

Czuję, jak zajmuję się ogniem.

Warner tu jest.

## 35

Pojawia się w drzwiach naprzeciwko miejsca, w którym stoję, i wygląda dokładnie tak, jak go zapamiętałam. Złote włosy, nieskazitelna cera, oczy zbyt błyszczące jak na swój kolor bladego szmaragdu. Jest cudownie przystojny. Teraz wiem, że odziedziczył tę twarz po ojcu. To ten rodzaj twarzy, w której istnienie już nikt nie wierzy. Linie, kąty i niewymuszona symetria – wszystko to wydaje się bluźniercze w swojej doskonałości. Nikt nigdy nie powinien marzyć o takiej twarzy. To twarz, której przeznaczeniem są kłopoty i niebezpieczeństwo jako rekompensata dla tego nadmiaru. Bo skoro ktoś został tak obdarzony, to musiało się to odbyć kosztem jakiegoś innego, niczego niepodejrzewającego, nieświadomego człowieka.

To przesada.

To zbyt wiele.

~~To mnie przeraża~~.

Czerń, zieleń i złoto to kolory jakby dla niego stworzone. Smolista czerń garnituru świetnie dopasowanego do jego sylwetki – szczupłej, ale umięśnionej – jest zrównoważona przez odprasowaną biel koszuli i uzupełniona prostym czarnym krawatem. Stoi wyprostowany, niewzruszony. Komuś innemu wydałby się imponujący, nawet z prawą ręką na temblaku. To chłopak, któremu od zawsze powtarzano, że ma być mężczyzną, któremu kazano wymazać pojęcie dzieciństwa ze swoich oczekiwań życiowych. Jego usta nie ważą się uśmiechać, jego czoła nie marszczy cierpienie. Nauczono go powściągać uczucia, ukrywać myśli przed światem, nikomu i niczemu nie ufać. Brać to, czego chce, obojętne jakimi środkami. Doskonale zdaję sobie z tego wszystkiego sprawę.

Ale ja go widzę inaczej.

Wpatruje się we mnie i już to samo w sobie jest rozbrajające, zatrważające. Jego spojrzenie jest ciężkie, głębokie, przepełnione do granic czymś, czego nie chcę przyjąć do wiadomości. Patrzy na mnie, jakbym wcale nie spudłowała, jakbym trafiła go prosto w serce i roztrzaskała je w drobny mak, jakbym zostawiła go na pastwę śmierci po tym, jak wyznał mi miłość, i nie dopuszczała do siebie myśli, że naprawdę to zrobił. To coś, co chwyta chwyta chwyta mnie za gardło, kiedy wychwytuję cierpienie na jego twarzy ~~jest niczym~~ ~~nie jest czymś~~ nie jest tym, czego się spodziewałam.

I teraz rozumiem zmianę, jaka w nim zaszła. Widzę, co się zmieniło.

Nie stara się już ukrywać przede mną uczuć.

Moje płuca są oszustami, udają, że nie mogą się rozszerzyć, tylko po to, żeby bawić się moim kosztem, moje palce się poruszają, próbując uwolnić się z mojego ciała, jakby od 17 lat czekały na to, żeby odlecieć.

Moje palce mówią: uciekaj.

Ja powtarzam sobie: oddychaj.

Warner jako dziecko. Warner jako syn. Warner jako chłopiec, który niewiele rozumie ze swojego życia. Warner z ojcem, który chce dać mu nauczkę, zabijając jedyną osobę, o której uratowanie był gotów błagać.

Warner jako istota ludzka przeraża mnie bardziej niż cokolwiek innego.

Naczelny dowódca jest zniecierpliwiony.

– Usiądź – mówi do syna, wskazując kanapę, na której sam przed chwilą siedział.

Warner nie odzywa się ani słowem.

Jego oczy są utkwione w mojej twarzy, w moim ciele. Jego spojrzenie zatrzymuje się na mojej szyi, na śladach, które prawdopodobnie zostawił jego ojciec, i widzę, jak coś drga mu w gardle, widzę, jak trudno mu zaakceptować to, co ma przed sobą, aż wreszcie odrywa ode mnie wzrok i wchodzi do salonu. Dostrzegam jego podobieństwo do ojca. Sposób chodzenia, to, jak wygląda w garniturze, jaki jest drobiazgowy w kwestii dbałości o swój wygląd. A jednak nie mam wątpliwości, że nienawidzi tego człowieka, którego mimowolnie naśladuje.

– Ciekaw jestem – mówi naczelny – jak to się właściwie stało, że zdołałaś uciec. – Patrzy na mnie. – Bardzo mnie to intryguje, a od mojego syna niezwykle trudno wydobyć jakieś szczegóły.

Mrugam.

– Powiedz mi – powtarza – jak ci się to udało?

Jestem zdezorientowana.

– Za pierwszym czy za drugim razem? – pytam.

– Dwa razy! Udało ci się uciec dwukrotnie! – Teraz śmieje się serdecznie, klepiąc się ręką po kolanie. – Niemożliwe. W takim razie za pierwszym i za drugim razem. Jak udało ci się uciec aż dwa razy?

Zastanawiam się, po co traci czas. Nie rozumiem, dlaczego chce rozmawiać, kiedy tylu ludzi czeka na wojnę, i mam jedynie nadzieję, że Adam, Kenji, Castle i cała reszta nie zamarzli na zewnątrz na śmierć. I chociaż nie mam planu, mam przeczucie. Przeczucie podpowiada mi, że nasi zakładnicy mogą być w kuchni. Więc dochodzę do wniosku, że jeszcze chwilę go pozabawiam.

Mówię mu, że za pierwszym razem wyskoczyłam przez okno. A za drugim postrzeliłam Warnera.

Naczelny już się nie uśmiecha.

– Postrzeliłaś go?

Zerkam na Warnera i przekonuję się, że jego oczy wciąż są utkwione w mojej twarzy, a usta nie grożą poruszeniem się. Nie mam pojęcia, co sobie myśli, i nagle ogarnia mnie taka ciekawość, że postanawiam go sprowokować.

– Tak – mówię, patrząc Warnerowi w oczy. – Postrzeliłam go. Z jego własnej broni.

I to jego nagłe zaciśnięcie zębów, spuszczenie wzroku na dłonie, które zbyt mocno zaciska na kolanach. Ma minę, jakby właśnie wyszarpywał sobie pocisk z ciała własnymi 5 palcami.

Naczelny przeczesuje ręką włosy, pociera podbródek. Zauważam, że po raz pierwszy, odkąd się pojawiłam, zrobił się nerwowy, i zastanawiam się, jak to możliwe, że nie miał pojęcia, jak uciekłam.

Ciekawe, co Warner mu naopowiadał o swojej ranie na ramieniu.

– Jak się pan nazywa? – pytam, zanim udaje mi się powstrzymać, i próbuję schwytać te słowa o ułamek sekundy za późno.

Nie powinnam zadawać głupich pytań, ale doprowadza mnie do szału myślenie o nim „naczelny”, jakby był moim zwierzchnikiem.

Ojciec Warnera patrzy na mnie, a jego brwi nieruchomieją na jego twarzy o dwa centymetry za wysoko.

– Jak się nazywam?

Kiwam głową.

– Możesz się do mnie zwracać naczelny dowódco Anderson – mówi, wciąż zdezorientowany. – Dlaczego to ma znaczenie?

– Anderson? Myślałam, że nazywa się pan Warner.

Sądziłam, że ma jakieś imię, którym mogłabym go odróżnić od drugiego Warnera, tego, którego zdążyłam już zbyt dobrze poznać.

Anderson bierze głęboki oddech i zdegustowany zerka na swojego syna.

– Otóż nie. Mój syn postanowił przyjąć nazwisko matki. To bardzo w jego stylu – mówi takim tonem, jakby wygłaszał oświadczenie. – Zawsze powtarza ten sam błąd: pozwala, żeby uczucia przeszkadzały mu w wypełnianiu obowiązków... Żałosne. – Spluwa w stronę Warnera. – Więc niezależnie od tego, jak bardzo chciałbym pozwolić ci żyć, moja droga, obawiam się, że za mocno go rozpraszasz. Nie mogę mu pozwolić, żeby ochraniał osobę, która próbowała go .abić. – Kręci głową. – Nie wierzę, że w ogóle muszę prowadzić tę rozmowę. Jakie to żenujące.

Anderson sięga do kieszeni, wyciąga broń, celuje mi w czoło.

Zmienia zdanie.

– Dość mam ciągłego sprzątania po tobie – warczy do Warnera.

Chwyta go za ramię i podnosi z kanapy. Popycha syna w moją stronę, wciska mu broń do zdrowej ręki.

– Zastrzel ją – mówi. – W tej chwili ją zastrzel.

## 36

Warner patrzy mi prosto w oczy.

Jego spojrzenie jest wciąż pełne nieskrywanych uczuć, a ja nie jestem już pewna, czy w ogóle go znam. Nie jestem pewna, czy go rozumiem, nie jestem pewna, czy wiem, co zrobi, kiedy patrzę, jak unosi broń silną, pewną ręką i celuje prosto w moją twarz.

– Szybciej – mówi Anderson. – Im szybciej to zrobisz, tym szybciej będziesz mógł iść dalej. No, skończ już z tym...

Ale Warner przekrzywia głowę. Odwraca się.

Celuje do swojego ojca.

Wydaję stłumiony okrzyk.

Anderson wygląda na znudzonego, zirytowanego, rozdrażnionego. Niecierpliwie przesuwa dłonią po twarzy, a potem wyciąga drugi pistolet – mój drugi pistolet – z kieszeni. To niewiarygodne.

Ojciec i syn grożą sobie, że się pozabijają.

– Skieruj broń we właściwą stronę, Aaronie. To śmieszne.

Aaron.

Omal nie parskam śmiechem w samym środku tego szaleństwa.

Warner ma na imię Aaron.

– Nie mam żadnego interesu w tym, żeby ją zabić – mówi ~~Warner~~ ~~Aaron~~ do swojego ojca.

– Świetnie. – Anderson znów celuje w moją głowę. – Więc ja to zrobię.

– Zastrzel ją – mówi Warner – a ja rozwalę ci czaszkę.

Co za trójkąt śmierci. Warner celuje w ojca, ojciec celuje we mnie. Tylko ja jestem nieuzbrojona i nie wiem, co robić.

Jeśli się ruszę, zginę. Jeśli się nie ruszę, też zginę.

Anderson się uśmiecha. Jego uśmiech jest niewymuszony, leniwy, a ręka na rękojeści broni tak zwodniczo swobodna.

– Jakie to czarujące! – mówi. – Co to ma być? Czy dzięki niej czujesz się odważny, chłopcze? – Cisza. – Czy dzięki niej czujesz się silny?

Warner nie odpowiada.

– Czy dzięki niej chciałbyś być lepszym człowiekiem? – Krótki zdławiony chichot. – Czy ona nabiła ci głowę marzeniami? – Głośniejszy śmiech. – Straciłeś głowę z powodu głupiego dziecka, które jest zbyt tchórzliwe, żeby się bronić, nawet kiedy nie ma już nic do stracenia. To – zbliża pistolet w moją stronę – jest ta głupiutka dziewczynka, w której się zakochałeś. – Krótkie, głośne sapnięcie. – Sam nie wiem, dlaczego się dziwię.

Jakieś nowe napięcie w jego oddechu. Nowe napięcie w dłoniach trzymających broń. To jedyne oznaki, że słowa ojca zrobiły wrażenie na Warnerze.

– Ile razy – pyta Anderson – groziłeś mi śmiercią? Ile razy budziłem się w środku nocy, widząc, że próbujesz zastrzelić mnie we śnie? – Przekrzywia głowę. – Dziesięć razy? Piętnaście? Muszę przyznać, że straciłem rachubę. – Wpatruje się w

Warnera. Znowu się uśmiecha. – A ile razy – mówi o wiele głośniej – to naprawdę zrobiłeś? Ile razy ci się udało? Ile razy wybuchałeś płaczem, przepraszając, czepiając się mnie jak obłąkany...

– Stul pysk – mówi Warner tak cicho, tak spokojnie, tak niewzruszenie, że to aż przerażające.

– Jesteś słaby – wyrzuca z siebie Anderson z obrzydzeniem. – Jesteś żenująco sentymentalny. Nie chcesz zabić swojego ojca? Za bardzo się boisz, że to złamie twoje żałosne serce?

Zęby Warnera się zaciskają.

– Zastrzel mnie – mówi Anderson, a w jego oczach tańczy, błyszczy wesołość. – No, zastrzel mnie. powiedziałem! – krzyczy, tym razem chwytając za zranione ramię Warnera.

Zaciska palce wokół rany i wykręca mu rękę, aż Warner jęczy z bólu, mruga, rozpaczliwie próbując powstrzymać wzbierający w nim krzyk. Jego uchwyt na broni słabnie, ale tylko odrobinę.

Anderson puszcza syna. Pcha go tak mocno, że Warner z trudem utrzymuje równowagę. Jego twarz jest kredowobiała. Temblak nasiąka krwią.

– Tyle gadania. – Anderson kręci głową. – Tyle gada, a nigdy nie doprowadza rzeczy do końca. Przynosisz mi wstyd – mówi do Warnera z twarzą wykrzywioną obrzydzeniem. – Niedobrze mi się robi, gdy na ciebie patrzę.

Głośny trzask.

Anderson uderza Warnera w twarz wierzchem dłoni tak mocno, że Warner się chwieje, choć już i tak ledwie się trzyma na nogach z powodu upływu krwi. Ale nie wypowiada słowa.

Nie wydaje dźwięku.

Stoi, zaciska zęby i znosi ból, mrugając szybko, patrząc na ojca z twarzą całkowicie pozbawioną wyrazu. Poza jasnoczerwonym śladem na policzku, skroni i części czoła nic nie wskazuje na to, że został uderzony w twarz. Ale materiał temblaka zawiera teraz więcej krwi niż bawełny, a Warner wydaje się o wiele za słaby, żeby utrzymać się na nogach.

A jednak wciąż nic nie mówi.

– Chcesz mi znowu grozić? – dyszy Anderson. – Czy nadal myślisz, że możesz obronić swoją dziewczynę? Myślisz, że pozwolę, żeby twoje zadurzenie zagroziło wszystkiemu, co zbudowałem? Wszystkiemu, do czego dążyłem? – Broń Andersona nie jest już wycelowana we mnie. Zapomina o mnie i przyciska lufę do czoła Warnera, obracając nią, wbijając mu ją w skórę. – Niczego cię nie nauczyłem!? – krzyczy. – Niczego się ode mnie nie nauczyłeś?

Nie potrafię wyjaśnić tego, co dzieje się dalej.

Wiem tylko, że moja dłoń zaciska się na jego gardle. Ogarnięta ślepą, szaloną furią przyciskam go do ściany. Mam wrażenie, że mój mózg już zajął się ogniem, spłonął i rozsypał na popiół.

Zaciskam dłoń trochę mocniej.

Charczy. Dyszy. Próbuje złapać mnie za ramiona, drapiąc bezwładnymi rękami moje ciało, robi się czerwony, niebieski, purpurowy, a mnie to sprawia przyjemność. Wielką przyjemność.

Zdaje się, że się uśmiecham.

Przysuwam twarz do jego ucha i szepczę:

– Rzuć broń.

Rzuca.

Puszczam go, jednocześnie chwytając pistolet.

Anderson świszcze, kaszle na podłodze, próbuje oddychać, próbuje mówić, próbuje sięgnąć po coś, czym mógłby się obronić, a jego ból sprawia mi radość. Unoszę się na chmurze absolutnej, czystej nienawiści do tego człowieka i wszystkiego, co zrobił, chciałabym teraz usiąść i śmiać się, aż zadławię się łzami i zapadnie pełna zadowolenia cisza. Tak wiele teraz rozumiem. Tak wiele.

– Julio...

– Warner – mówię cicho, wciąż obserwując ciało Andersona na podłodze przede mną – proszę, żebyś mnie teraz zostawił w spokoju.

Ważę w dłoniach pistolet. Kładę palec na spuście. Próbuję sobie przypomnieć, czego Kenji nauczył mnie o celowaniu. O trzymaniu rąk i nóg nieruchomo. O przygotowaniu na odrzut, na siłę wystrzału.

Przekrzywiam głowę. Robię przegląd części jego ciała.

– Ty – wreszcie udaje się wydyszeć Andersonowi. – Ty...

I strzelam mu w nogę.

Krzyczy. Chyba krzyczy. Nic nie słyszę. Moje uszy są jak wypchane watą, mam wrażenie, że ktoś próbuje do mnie mówić albo może ktoś mnie woła, ale wszystko jest stłumione, a ja muszę się teraz skupić na zbyt wielu rzeczach, żeby zwracać uwagę na jakieś irytujące zakłócenia w tle. Jedyne, co do mnie dociera, to drżenie broni w mojej ręce. I echo wystrzału w mojej głowie. I dochodzę do wniosku, że chętnie zrobiłabym to jeszcze raz.

Strzelam mu w drugą nogę.

Tyle krzyku.

Bawi mnie przerażenie w jego oczach. Krew, która niszczy drogi materiał jego ubrania. Mam ochotę mu powiedzieć, że nieatrakcyjnie wygląda z otwartymi ustami, ale jego pewnie i tak nie obchodzi moja opinia. Jestem dla niego tylko głupią dziewczynką, głupim dzieckiem o ładnej buzi, zbyt tchórzliwym, żeby się obronić. Oj, a może jednak chciałby mnie zatrzymać? Może chciałby mieć małe zwierzątko. Dochodzę do wniosku, że jednak nie warto. Nie powinnam zawracać sobie głowy dzieleniem się z nim swoimi spostrzeżeniami. Nie ma sensu marnować słów na kogoś, kto zaraz umrze.

Celuję w pierś. Próbuję sobie przypomnieć, gdzie jest serce.

Nie całkiem z lewej. Ale nie całkiem na środku.

Dokładnie... tam.

Idealnie.

**37**

*Jestem złodziejką.*

*Ukradłam ten notatnik i pióro z kieszeni fartucha jednego z lekarzy i wepchnęłam je sobie do spodni. To było tuż przed tym, jak wezwał tamtych ludzi, żeby przyszli mnie zabrać. Tych w dziwnych kombinezonach, grubych rękawicach i maskach gazowych z zamglonymi plastikowymi okienkami, które zasłaniały im oczy. To byli kosmici, pamiętam, że tak myślałam. Pamiętam, myślałam, że muszą być kosmitami, bo nie mogli być ludźmi, oni, którzy skuli mi ręce z tyłu, oni, którzy przypięli mnie pasami do siedzenia. Strzelali mi w skórę paralizatorem raz po raz tylko po to, żeby usłyszeć mój krzyk. A ja nie krzyczałam. Jęczałam, ale nigdy nie wypowiedziałam słowa. Czułam, jak łzy spływają mi po policzkach, ale nie płakałam.*

*To chyba doprowadzało ich do furii.*

*Uderzyli mnie w twarz, żebym się obudziła, chociaż moje oczy były otwarte, kiedy przyjechaliśmy. Ktoś odpiął mnie od siedzenia, nie zdejmując kajdanek, i kopnął mnie w oba kolana, a potem kazał mi wstać. Próbowałam. Próbowałam, ale nie mogłam, i wreszcie 6 rąk wyrzuciło mnie za drzwi, a moja twarz krwawiła przez chwilę na betonie. Nie pamiętam, jak wlekli mnie do środka.*

*Cały czas jest mi zimno.*

*Czuję się pusta, jakby nie było we mnie nic poza złamanym sercem, jedynym organem w całej skorupie. Słyszę echo skarg w swoim wnętrzu, czuję, jak bicie wprawia w drżenie mój szkielet. Mam serce, mówi nauka, ale jestem potworem, mówi społeczeństwo. A ja to wiem, oczywiście, że to wiem. Wiem, co zrobiłam. Nie proszę o współczucie.*

*Ale czasem myślę – tak tylko się zastanawiam – że gdybym była potworem, to może zdążyłabym już to poczuć?*

*Czułabym się wściekła, podła i mściwa. Znałabym ślepą furię, żądzę krwi i zemsty.*

*Zamiast tego czuję w sobie otchłań, która jest tak głęboka, tak ciemna, że nic w niej nie widać. Nie widzę, co jest na jej dnie. Nie wiem, czym jestem ani co mogłoby się ze mną stać.*

*Nie wiem, co mogłabym znowu zrobić.*

## 38

Eksplozja.

Dźwięk tłuczonego szkła.

Ktoś szarpie mnie do tyłu akurat w chwili, gdy pociągam za spust, i pocisk trafia w okno za plecami Andersona.

Obracam się.

Kenji szarpie mną, potrząsa tak mocno, że czuję, jak głowa odskakuje mi w tył i w przód, a on na mnie krzyczy, mówi, że musimy iść, że muszę rzucić broń.

– Musisz stąd wyjść, dobrze? – mówi, dysząc ciężko. – Julio? Rozumiesz, co mówię? Musisz się teraz wycofać. Wszystko będzie dobrze, wszystko się ułoży, nic ci nie będzie, musisz tylko...

– Nie, Kenji... – Chcę, żeby przestał mnie ciągnąć, próbuję utrzymać stopy w miejscu, a on niczego nie rozumie. Wszystko mu trzeba tłumaczyć. – Muszę go zabić. Chcę mieć pewność, że nie żyje. Daj mi jeszcze sekundę...

– Nie. Jeszcze nie, nie teraz. – I patrzy na mnie tak, jakby czuł, że to ponad jego siły, jakby zobaczył w mojej twarzy coś, czego wolałby nie widzieć. – Nie możemy – mówi. – Nie możemy go jeszcze zabić. Jeszcze za wcześnie, jasne?

To wcale nie jest jasne, a ja nie rozumiem, co się dzieje, dlaczego Kenji chwyta mnie za rękę, podważa moje palce, żeby zabrać mi pistolet. Nie zdawałam sobie sprawy, jak mocno zaciskam dłoń na rękojeści. Mrugam. Jestem zdezorientowana i rozczarowana. Patrzę na swoje dłonie. Na swój strój. I przez chwilę nie mogę zrozumieć, skąd się wzięła ta krew.

Zerkam na Andersona.

Oczy uciekły mu w górę. Kenji sprawdza mu puls. Patrzy na mnie.

– Chyba stracił przytomność – mówi.

I moje ciało zaczyna dygotać tak gwałtownie, że prawie nie mogę tego znieść.

Co ja zrobiłam.

Cofam się w poszukiwaniu ściany, o którą mogłabym się oprzeć, czegoś stabilnego, czego mogłabym się złapać. Kenji chwyta mnie i przytrzymuje mocno jedną ręką, podczas gdy drugą tuli moją głowę, a ja czuję, że chciałabym się rozpłakać, ale z jakiegoś powodu nie mogę. Nie mogę zrobić nic, pozostaje mi tylko przeczekać dreszcze wstrząsające całym moim ciałem.

– Musimy iść – mówi Kenji, głaszcząc mnie po włosach z zaskakującą u niego delikatnością.

Zamykam oczy oparta o jego ramię, chcę czerpać siłę z jego ciepła.

– Dasz radę? – pyta. – Musisz ze mną pójść, dobrze? Musimy uciekać.

– Warner! – wykrzykuję, z dzikim wzrokiem wyrywając się z objęć Kenjiego. – Gdzie jest...

Jest nieprzytomny.

Leży na podłodze jak kłoda, z rękami związanymi z tyłu, a na dywanie obok poniewiera się pusta strzykawka.

– Zająłem się Warnerem – mówi Kenji.

Nagle wszystko dociera do mnie w jednej chwili. Powody, dla których tu jesteśmy, cel naszej wizyty, to, co zrobiłam i co właśnie zamierzałam zrobić.

– Kenji! – wołam. – Kenji, gdzie jest Adam? Co się stało? Gdzie są zakładnicy? Czy nikomu nic się nie stało?

– Adam jest cały – zapewnia mnie. – Weszliśmy tylnymi drzwiami. Znaleźliśmy Iana i Emory'ego. – Patrzy w stronę kuchni. – Są w kiepskim stanie, Adam ich wynosi, próbuje ich ocucić.

– A co z innymi? Z Brendanem? I... i Winstonem?

Kenji kręci głową.

– Nie mam pojęcia. Ale mam przeczucie, że uda nam się ich uwolnić.

– Jak?

Kenji wskazuje głową na Warnera.

– Weźmiemy tego chłopaka jako zakładnika.

– Co?

– To najlepsze wyjście. Jeszcze jedna wymiana. Tym razem prawdziwa. Poza tym to proste. Zabierasz mu broń i ten złoty chłopiec jest nieszkodliwy.

Podchodzi do nieruchomej postaci Warnera. Trąca go butem, a potem dźwiga i przerzuca jego ciało przez ramię. Mimo woli zauważam, że ręka Warnera jest teraz cała zakrwawiona.

– Chodź – mówi Kenji nie bez życzliwości, patrzy na mnie badawczym wzrokiem, jakby nie był pewien, czy już przyszłam do siebie. – Wychodzimy stąd... Tam jest jakieś szaleństwo i zostało niewiele czasu. Zaraz wejdą na tę ulicę...

– Co? – Mrugam zbyt szybko. – Co się dzieje...

Kenji patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Wojna, księżniczko. Wszyscy tam walczą na śmierć i życie...

– Ale przecież Anderson nie wydał rozkazu... Powiedział, że czekają na jego słowo...

– Nie – mówi Kenji. – Anderson nie wydał rozkazu. Castle to zrobił.

O.

Boże.

– Julio!

Adam wpada do domu, rozglądając się w poszukiwaniu mojej twarzy. Podbiegam do niego, a on bez zastanowienia chwyta mnie w ramiona, zapominając, że już tego nie robimy, że nie jesteśmy już razem, że w ogóle nie powinien mnie dotykać.

– Nic ci nie jest... Nic ci nie jest...

– IDZIEMY – warczy Kenji po raz ostatni. – Nie czas na czułości, teraz bierzemy dupę w troki. Przysięgam, Kent...

Nagle Kenji milknie.

Spuszcza wzrok.

Adam klęczy, a na jego twarzy maluje się strach, ból, przerażenie, gniew i panika. Potrząsam nim, chcę, żeby mi powiedział, co się stało, ale on się nie rusza, zastygł na podłodze ze wzrokiem wbitym w ciało Andersona, z ręką wyciągniętą, jakby chciał dotknąć włosów, które jeszcze przed chwilą były tak idealnie ułożone, a ja błagam go, żeby powiedział mi, co się stało, i mam wrażenie, że cały świat zmienia

się właśnie w jego oczach, jakby wszystko, co dotąd uważał za zielone, nagle zrobiło się brązowe, jakby góra stała się dołem, jakby nic nigdy na tym świecie nie miało wrócić na swoje miejsce i nic już nie mogło być w porządku. Otwiera usta.

Próbuje coś powiedzieć.

– Mój ojciec – mówi. – Ten człowiek jest moim ojcem.

## 39

– Cholera.

Kenji zaciska powieki, jakby nie mógł uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

– Cholera cholera cholera. – Poprawia ciało Warnera na ramionach, przez chwilę wrażliwy człowiek toczy w nim walkę z żołnierzem. – Adam, stary, przykro mi – mówi. – Ale naprawdę musimy się stąd wydostać...

Adam wstaje, powstrzymując mruganiem to, co musi być tysiącem myśli, wspomnień, trosk, przypuszczeń, a ja wołam go, ale mam wrażenie, że nawet mnie nie słyszy. Jest zdezorientowany, zmieszany, a ja zastanawiam się, o co w tym wszystkim chodzi. Przecież Adam mówił mi, że jego ojciec nie żyje.

Ale to nie pora na takie rozmowy.

Coś eksploduje w oddali, wprawiając w drżenie ziemię, szyby w oknach, drzwi tego domu. Adam wygląda tak, jakby wracał do rzeczywistości. Chwyta mnie za ramię i wybiegamy na zewnątrz.

Kenji biegnie przodem, jakoś mu się to udaje mimo ciężaru ciała Warnera, które bezwładnie zwisa mu z ramion. Krzyczy do nas, żebyśmy trzymali się zaraz za nim. Obracam się wkoło, oceniając ogrom chaosu. Odgłosy strzałów są za blisko za blisko za blisko.

– Gdzie Ian i Emory? – pytam Adama. – Wydostałeś ich?

– Kilku naszych ludzi było niedaleko! Udało im się przechwycić czołg... Mieli zawieźć ich z powrotem do Punktu! – przekrzykuje zgiełk. – To najbezpieczniejszy z możliwych środków transportu.

Kiwam głową. Dyszę ciężko, kiedy biegniemy ulicami, i staram się skupić na dźwiękach dokoła nas, zorientować się, kto ma przewagę, czy zostaliśmy zdziesiątkowani. Wybiegamy zza rogu.

Spodziewam się prawdziwej masakry.

50 naszych ludzi walczy z 500 żołnierzami Andersona, którzy wysiadają z transporterów całymi grupami, strzelając do wszystkiego, co się rusza. Castle i pozostali nie poddają się, niektórzy są ranni, ale bronią się, jak potrafią. Ci, którzy są uzbrojeni, nacierają, nie pozostając dłużni przeciwnikom. Walczą wszelkimi dostępnymi środkami: jeden mężczyzna trzyma ręce przy ziemi, zamrażając ją pod stopami żołnierzy, aż zaczynają się ślizgać, inny wpada między żołnierzy z taką prędkością, że widać tylko rozmytą plamę. Wprowadza zamieszanie, przewraca ludzi, zabiera im broń. Podnoszę głowę i widzę ukrytą na drzewie kobietę, która rzuca jakieś noże i strzały z taką szybkością, że żołnierze nie mają czasu zareagować.

W samym środku tego wszystkiego stoi Castle i z rękami nad głową wzbija w powietrze ogromny wir cząstek, odłamków gruzu, pogiętych kawałków stali i połamanych gałęzi. Poruszając tylko końcami palców, wywołuje wiatr o takiej sile, że sam z trudem go kontroluje. Pozostali utworzyli ludzki mur, starając się go osłonić.

A potem

Castle

uwalnia wiatr.

Żołnierze krzyczą, wzywają pomocy i rozbiegają się w poszukiwaniu schronienia, ale nie są dostatecznie szybcy, żeby wydostać się z zasięgu tornada, padają trafieni odłamkami szkła, cegieł, drewna i połamanego metalu. Ale ja wiem, że ta obrona nie utrzyma się długo.

Ktoś musi powiedzieć Castle'owi.

Ktoś musi mu powiedzieć, żeby się wycofał, żeby próbował się stąd wydostać, że pokonaliśmy Andersona, odbiliśmy 2 z naszych zakładników i porwaliśmy Warnera. Musi pomóc naszym ludziom wrócić do Punktu Omega, zanim żołnierze się połapią i ktoś zrzuci bombę, która zmiecie nas wszystkich z powierzchni ziemi. Przy naszej liczebności nie utrzymamy się już zbyt długo, to może być ostatnia szansa, żeby wyjść z tego cało.

Mówię Adamowi i Kenjiemu, co o tym myślę.

– Ale jak!? – krzyczy Kenji wśród panującego wokół chaosu. – Jak się do niego dostać? Jeżeli spróbujemy tam przebiec, to już po nas! Musimy odwrócić ich uwagę...

– Co!? – wołam.

– Odwrócić ich uwagę! – krzyczy. – Trzeba coś zrobić, żeby odciągnąć żołnierzy i dać w tym czasie sygnał Castle'owi... Nie ma czasu...

Adam próbuje mnie chwycić, chce mnie powstrzymać, prosi, żebym nie robiła tego, co chcę zrobić, a ja mówię mu, że wszystko w porządku. Żeby się nie martwił. Proszę, żeby wyprowadził pozostałych w bezpieczne miejsce, i obiecuję, że nic mi nie będzie, ale on wyciąga ręce i patrzy na mnie błagalnym wzrokiem, a ja odczuwam tak wielką pokusę, żeby zostać tu, obok niego, że tylko resztką woli udaje mi się ją opanować. Nareszcie wiem, co muszę zrobić, wreszcie jestem gotowa pomóc, wreszcie mam wrażenie, że może tym razem będę w stanie utrzymać swoją moc pod kontrolą, i muszę spróbować.

Więc cofam się chwiejnie.

Zamykam oczy.

I daję z siebie wszystko.

Padam na kolana, przyciskam dłoń do ziemi i czuję, jak płynie przeze mnie moc, jak gęstnieje w mojej krwi mieszanina gniewu, furii, ognia. Myślę o tych wszystkich chwilach, kiedy rodzice nazywali mnie potworem, koszmarną, przerażającą pomyłką, i o tych nocach, kiedy szloch kołysał mnie do snu. Twarze ludzi, którzy życzyli mi śmierci, układają się w ciąg slajdów przesuwających się w moim umyśle, mężczyźni, kobiety, dzieci, niewinni demonstranci przebiegają ulicami, karabiny, bomby, ogień i zniszczenie, tyle cierpienia cierpienia cierpienia, że chce mi się krzyczeć głośno w ramionach ziemi. Przygotowuję się. Zaciskam pięść. Biorę zamach i

rozbijam

w drobny mak

to, co zostało z tego świata.

## 40

Nadal tu jestem.

Ze zdziwieniem otwieram oczy. Nie wierzę, że nadal żyję. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że powinnam być martwa, mieć uszkodzenia mózgu albo co najmniej nie móc się ruszyć, ale otaczający mnie świat uparcie nie chce zniknąć.

Ziemia dudni pod moimi stopami, wszystko wokół mnie drży, grzmi i dzwoni, a ja boję się wstać. Klęczę, przyglądając się obu walczącym stronom. Żołnierze poruszają się coraz wolniej. Ich wzrok jest rozbiegany. Ich stopy zbytnio się ślizgają, żeby byli w stanie utrzymać równowagę, słychać trzaski, jęki, ulice przecinają charakterystyczne szczeliny. Zupełnie jakby rozwierały się szczęki ziemi, która budzi się, ziewając, i zgrzyta zębami na widok hańby ludzkości.

Przygląda się z otwartą paszczą panującej wokół niesprawiedliwości, przemocy, wyrachowaniu, manipulacjom i walce o władzę, których nic nie powstrzyma, a zadowala je tylko krew słabszych i krzyki tych, którzy chcą im się przeciwstawić. Zupełnie jakby ziemia uznała, że pora wyjrzeć i sprawdzić, co robiliśmy ostatnio, a to, co zobaczyła, okazało się przerażające.

Adam biegnie.

Pędzi przez tłum, dysząc ciężko, usiłując dostarczyć płucom tlenu i znaleźć logiczne wytłumaczenie dla tego trzęsienia ziemi. Rzuca się na Castle'a, przykrywa go własnym ciałem, krzyczy coś do otaczających go mężczyzn i kobiet, wstaje, uchyla się przed zbłąkaną kulą, ciągnie Castle'a, próbuje pomóc mu się podnieść, a nasi ludzie zaczynają uciekać.

Żołnierze próbują uciekać na wyścigi, potykają się o siebie w plątaninie kończyn, a ja zastanawiam się, jak długo jeszcze muszę wytrzymać, jak długo jeszcze to wszystko powinno trwać.

– Julio! – woła Kenji.

Obracam się, a on krzyczy, że już wystarczy.

Więc odrywam pięść od ziemi.

Wiatr, drzewa, liście, wszystko wślizguje się z powrotem na swoje miejsce jak wessane jednym gigantycznym wdechem, wszystko ustaje, a ja przez chwilę nie mogę sobie przypomnieć, jak wygląda życie, kiedy świat nie rozpada się na kawałki.

Kenji szarpie mnie za ramię i zaczynamy biec za pozostałymi mieszkańcami Punktu Omega. Pyta, czy nic mi nie jest, a ja nie mogę pojąć, jak on to robi, że cały czas niesie Warnera, musi być znacznie silniejszy, niż się wydaje. Przychodzi mi do głowy, że czasami jestem dla niego zbyt surowa, że może powinnam bardziej mu ufać. Zaczynam zdawać sobie sprawę, że to jeden z moich ulubionych ludzi na tej planecie, i jestem taka szczęśliwa, że nic mu nie jest.

Taka jestem szczęśliwa, że jest moim przyjacielem.

Chwytam go za rękę i pozwalam się prowadzić do porzuconego czołgu, kiedy nagle zdaję sobie sprawę, że nie widzę Adama, że nie wiem, gdzie się podział, i wpadam w histerię, wołam go, aż wreszcie czuję wokół talii jego ramiona, a w uszach słyszę jego słowa. Pochylamy się, gdy w oddali rozlegają się ostatnie strzały.

Wspinamy się do czołgu.
Zamykamy właz.
Znikamy.

## 41

Na kolanach mam głowę Warnera.

Jego twarz jest łagodna, cicha i spokojna. Jeszcze nigdy jej takiej nie widziałam i właściwie mam ochotę wyciągnąć rękę, żeby pogłaskać go po włosach, kiedy dociera do mnie cała niezręczność tej sytuacji.

~~Morderca na moich kolanach~~

~~Morderca na moich kolanach~~

~~Morderca na moich kolanach~~

Patrzę w prawo.

Nogi Warnera są oparte o kolana Adama, a on wygląda tak, jakby czuł się nie mniej skrępowany niż ja.

– Bądźcie twardzi – mówi Kenji, kierując czołg w stronę Punktu Omega. – Wiem, że to jest dziwaczne, jakkolwiek na to spojrzeć, ale nic lepszego nie zdążyłem wymyślić.

Zerka na nas ~~dwoje~~ troje, lecz nikt nie odzywa się ani słowem, i wreszcie

– Jak to dobrze, że nic wam się nie stało. – Czuję się tak, jakby te 11 sylab tkwiło we mnie za długo. Jakby trzeba je już było wyrzucić, wyeksmitować z moich ust. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, jak bardzo się bałam, że nie wrócimy w komplecie. – Jestem taka szczęśliwa, że nic wam nie jest.

Głębokie, poważne, równe oddechy dokoła.

– Jak się czujesz? – pyta mnie Adam. – Twoja ręka... Wszystko z nią dobrze?

– Tak. – Zaciskam pięść i staram się nie skrzywić. – Może trzeba będzie ją w coś zawinąć na chwilę, ale poza tym nic mi nie jest. Te rękawice i te metalowe ochraniacze chyba naprawdę pomogły. – Macham palcami. Przyglądam się rękawicom. – Nic nie jest złamane.

– Niezłą zrobiłaś rozpierduchę – mówi Kenji. – Naprawdę nas tam uratowałaś.

Kręcę głową.

– Kenji... To, co się stało... W tym domu... Okropnie mi przykro, ja...

– Hej, może nie mówmy o tym teraz, co?

– Co się dzieje? – pyta Adam zaniepokojony. – Co się stało?

– Nic – mówi szybko Kenji.

Adam nie zwraca na niego uwagi. Patrzy na mnie.

– Co się stało? Nic ci nie jest?

– Ja tylko... Ja tylko... – próbuję wykrztusić. – To, co się stało... z ojcem War...

Kenji przeklina bardzo głośno.

Moje usta zastygają w środku zdania.

Moje policzki płoną, kiedy zdaję sobie sprawę z tego, co powiedziałam. Kiedy przypominam sobie, co Adam powiedział, zanim wybiegliśmy z tamtego domu. Nagle robi się blady, zaciska usta i odwraca wzrok, wyglądając przez okienko czołgu.

– Słuchajcie... – Kenji odchrząkuje. – Nie musimy o tym rozmawiać, jasne? Właściwie jestem pewien, że wolałbym o tym nie rozmawiać. Bo to wszystko jest dla mnie za bardzo pokręcone, żeby...

– Nie wiem, jak to w ogóle możliwe – szepcze Adam.

Mruga, patrząc przed siebie, mruga i mruga i mruga i

– Cały czas mam wrażenie, że śnię – mówi. – Że to wszystko były halucynacje. Ale z drugiej strony... – Chowa twarz w dłoniach, śmieje się ostrym śmiechem. – Do końca życia nie zapomnę tej twarzy.

– Czy nigdy... Nigdy nie poznałeś naczelnego dowódcy? – pytam. – Ani nawet nie widziałeś jego zdjęcia? To raczej dziwne, skoro byłeś w wojsku.

Adam kręci głową.

– Jego to chyba kręciło, że był... jakby niewidzialny. Taki niewidoczny postrach.

– Najgorszy jest lęk przed nieznanym, co?

– Tak jakby, tak. Słyszałem, że nie chciał nigdzie pokazywać swoich zdjęć... Nie przemawiał publicznie, bo uważał, że jeżeli ludzie połączą z nim jakąś twarz, to stanie się przez to bezbronny. Bardziej ludzki. A jego podniecało to, że wszyscy robią w gacie na sam dźwięk jego nazwiska. Że ma największą władzę. Jest największym zagrożeniem. No, bo jak można walczyć z czymś, czego nie widać? Kiedy się nawet nie wie, jak to wygląda?

– W takim razie to duża rzecz, że tu przyjechał – mówię.

– Dość duża.

– Ale przecież myślałeś, że twój ojciec nie żyje. Nie mówiłeś, że on nie żyje?

– Tak dla przypomnienia – przerywa Kenji. – Nadal jestem za tym, żebyśmy o tym nie rozmawiali. Wiecie. Żeby nie było, że nie mówiłem.

– Myślałem, że nie żyje – mówi Adam, nadal na mnie nie patrząc. – Tak mi powiedzieli.

– Kto ci tak powiedział? – pyta Kenji. Reflektuje się. Krzywi. – Cholera. No, dobra. Niech wam będzie. Jestem ciekaw.

Adam wzrusza ramionami.

– To wszystko zaczyna się teraz układać w całość. Wszystkie rzeczy, których nie mogłem zrozumieć. Dlaczego życie moje i Jamesa było takie popaprane. Kiedy mama umarła, ojca nigdy nie było, chyba że chciał się urżnąć i komuś przyłożyć. Musiał żyć jakimś drugim życiem gdzie indziej. To dlatego cały czas zostawiał nas samych.

– Ale to się nie trzyma kupy – zauważa Kenji. – Znaczy: nie w kwestii tego, że twój tata to kutas, tylko w szerszym zakresie. Bo jeżeli ty i Warner jesteście braćmi i ty masz osiemnaście lat, a on dziewiętnaście, a Anderson od początku był żonaty z matką Warnera...

– Moi rodzice nigdy nie byli małżeństwem – mówi Adam, a jego oczy otwierają się szeroko, jakby wszystkie brakujące elementy dopiero teraz trafiły na miejsce.

– Byłeś dzieckiem miłości? – pyta Kenji zdegustowany. – Znaczy... no wiesz, bez obrazy, tylko że trudno uwierzyć, żeby Anderson mógł mieć jakiś namiętny romans. To po prostu chore.

Adam wygląda tak, jakby zamienił się w głaz.

– Niech to szlag – szepcze.

– Zresztą, po co w ogóle mieć romans? – pyta Kenji. – Nigdy nie mogłem

zrozumieć tego syfu. Nie jesteś szczęśliwy, to odejdź. Nie kłam. Nie mam racji? – Stłumiony śmiech. – Jasne, że mam. Nie trzeba do tego geniusza. Znaczy... – Waha się. – Zakładam, że to był romans – mówi Kenji, cały czas prowadząc, patrząc przed siebie i nie widząc miny Adama. – Może to nie był romans. Może to tylko kolejny facet, który okazał się gnojkiem... – Reflektuje się, zażenowany. – Cholera. Widzicie, to dlatego nie rozmawiam z ludźmi o ich problemach osobistych...

– To był romans – mówi Adam głucho. – Nie mam pojęcia, dlaczego nigdy się z nią nie ożenił, ale wiem, że kochał moją mamę. James i ja nigdy go nie obchodziliśmy. Tylko ona. Zawsze chodziło o nią. Wszystko kręciło się wokół niej. Te kilka razy w miesiącu, kiedy był w domu, zawsze miałem siedzieć w pokoju. Miałem być cicho. Musiałem pukać do drzwi własnego pokoju i prosić o pozwolenie, żeby wyjść, nawet do łazienki. A on dostawał szału za każdym razem, kiedy mama pozwalała mi wyjść. Nie chciał mnie oglądać, chyba że naprawdę musiał. Mama przemycała mi obiad, tak żeby nie widział, bo inaczej wściekał się, że za dobrze mnie karmi, a nic nie zostawia dla siebie. – Kręci głową. – A kiedy James się urodził, zrobił się jeszcze gorszy.

Adam mruga, jakby tracił wzrok.

– A potem, kiedy mama umarła – mówi, biorąc głęboki oddech – kiedy umarła, on ciągle powtarzał, że to moja wina. Zawsze mówił, że to przeze mnie zachorowała i przeze mnie umarła. Że to przez moje potrzeby, że za mało jadła, że była słaba, bo opiekowała się nami, oddawała nam jedzenie, oddawała nam... wszystko. Mnie i Jamesowi. – Jego brwi są ściągnięte. – A ja bardzo długo mu wierzyłem. Doszedłem do wniosku, że to dlatego nas ciągle zostawia. Myślałem, że to taka kara. Myślałem, że na to zasługuję.

Jestem zbyt przerażona, żeby coś powiedzieć.

– A potem on... To znaczy... nigdy go z nami nie było, kiedy dorastałem, i zawsze był dupkiem. Ale kiedy mama umarła, on po prostu... oszalał. Zaglądał tylko po to, żeby zalać się w trupa. Musiałem stawać przed nim, a on rzucał we mnie pustymi butelkami. A jeżeli się wzdrygnąłem... Jeżeli się wzdrygnąłem...

Przełyka z trudem.

– Nic więcej dla mnie nie zrobił. – Głos Adama jest teraz cichszy. – Przychodził. Upijał się. Bił mnie na kwaśne jabłko. Miałem czternaście lat, kiedy przestał przychodzić. – Adam patrzy na swoje dłonie. – Co miesiąc przysyłał nam jakieś pieniądze na życie, a potem... – Cisza. – Dwa lata później dostałem list od nowego rządu. Z tego listu dowiedziałem się, że mój ojciec nie żyje. Pomyślałem sobie, że pewnie się zalał i zrobił coś głupiego. Utopił się. Potrącił go samochód. Coś takiego. To nie miało znaczenia. Cieszyłem się, że nie żyje, ale musiałem rzucić szkołę. Zaciągnąłem się do armii, bo nie było pieniędzy i musiałem zaopiekować się Jamesem, a wiedziałem, że innej pracy nie znajdę.

Adam kręci głową.

– Zostawił nas z niczym, bez grosza, nie mieliśmy nawet co do garnka włożyć, a teraz siedzę w czołgu i uciekam z wojny, którą pomógł rozpętać mój ojciec. – Śmieje się gorzko, głucho. – A druga najbardziej bezwartościowa osoba na tej planecie leży nieprzytomna na moich kolanach.

Teraz Adam śmieje się szczerze, głośno, z niedowierzaniem, trzymając rękę we

włosach. Ciągnie za nie, jakby chciał wyrwać je z głowy.

– I okazuje się, że to jest mój brat. Rodzony brat. Mój ojciec prowadził podwójne życie. Zamiast być martwym, jak należało, zafundował mi brata, który o mało mnie nie zabił, torturując mnie w rzeźni... – Przesuwa drżącą ręką po twarzy, jakby nagle się załamał, poddał, zupełnie się rozkleił. Zaciska pięści i przyciska je do czoła. – On musi umrzeć – mówi.

A ja wstrzymuję oddech.

– Mój ojciec. Muszę go zabić – powtarza.

~~Zdradzę wam sekret.~~

~~Nie żałuję tego, co zrobiłam. Nie żałuję ani trochę~~.

~~Wiem, że gdybym miała okazję zrobić to znowu, tym razem zrobiłabym to, jak należy. Strzeliłabym Andersonowi prosto serce~~.

~~Z przyjemnością~~.

## 43

Nawet nie wiem, od czego zacząć.

Ból Adama jest jak garść szklanych kulek rzuconych w twarz, jak wiązka słomy wepchnięta do gardła. Nie ma rodziców, poza ojcem, który go bił, maltretował, a na koniec porzucił tylko po to, żeby zrujnować resztę świata. I właśnie się okazało, że spłodził mu brata, który jest przeciwieństwem Adama pod każdym możliwym względem.

Warner, którego imię nie jest już tajemnicą, Adam, który właściwie nie nazywa się Kent.

Adam wyjaśnił, że Kent to jego drugie imię. Powiedział, że nie chciał mieć nic wspólnego z ojcem i dlatego nigdy nie podawał ludziom swojego prawdziwego nazwiska. No, przynajmniej pod tym względem nie różni się od brata.

Pod tym i pod jeszcze jednym: obaj są w jakimś stopniu odporni na mój dotyk.

Adam i Aaron Andersonowie.

Bracia.

Siedzę w swoim pokoju, w ciemności, próbując pogodzić w myślach Adama z jego nowym bratem, który tak naprawdę jest zwykłym chłopcem, dzieckiem, które nienawidzi swojego ojca i dlatego podjęło serię bardzo niefortunnych decyzji. 2 bracia. 2 zupełnie różne życiowe wybory.

2 zupełnie różne życia.

Dzisiaj rano przyszedł do mnie Castle – teraz, kiedy wszyscy ranni trafili już do skrzydła medycznego, a szaleństwo ucichło – przyszedł do mnie i powiedział:

– Wykazała się pani wczoraj ogromną odwagą. Chciałbym wyrazić swoją wdzięczność za to, co pani zrobiła. Dziękuję pani za wsparcie. Nie wiem, co byśmy tam bez pani zrobili.

Uśmiechnęłam się z niedowierzaniem i uznałam, że to wszystko, ale on mówił dalej:

– Jestem pod takim wrażeniem, że chciałbym pani zaproponować pierwsze oficjalne zadanie w Punkcie Omega.

Moje pierwsze oficjalne zadanie.

– Jest pani zainteresowana? – zapytał.

Powiedziałam, że tak tak tak oczywiście, że jestem zainteresowana, jestem jak najbardziej zainteresowana. Jestem bardzo, bardzo zainteresowana tym, żeby nareszcie mieć coś do roboty, żeby znaleźć sobie jakieś zajęcie, a on uśmiechnął się i powiedział:

– Miło mi to słyszeć. Bo nie przychodzi mi do głowy nikt, kto lepiej by się do tego nadawał od pani.

Uśmiechnęłam się promiennie.

Słońce, księżyc i gwiazdy zawołały do mnie: „Hej, przykręć trochę te promienie, bo nas oślepiasz”.

Ale ja nie słuchałam, tylko dalej promieniałam. A potem zapytałam Castle’a, na czym będzie polegało moje oficjalne zadanie. To, do którego tak idealnie się

nadaję.

A on odparł:

– Chciałbym, żeby zajęła się pani przesłuchiwaniem naszego nowego gościa.

I promienny uśmiech zniknął z mojej twarzy.

Popatrzyłam na Castle'a.

– Ja oczywiście będę nadzorował cały proces – ciągnął – więc będzie pani mogła do mnie przychodzić z wszystkimi pytaniami i wątpliwościami. Musimy dobrze wykorzystać jego obecność tutaj, a to oznacza, że trzeba spróbować skłonić go do mówienia. – Castle milknie na chwilę. – On... Mam wrażenie, że on jest do pani jakoś szczególnie przywiązany, i proszę mi wybaczyć, ale myślę, że w naszym interesie leży, żeby jak najlepiej to wykorzystać. Nie możemy sobie pozwolić na luksus zmarnowania najmniejszej szansy. Wszystko, co mógłby nam powiedzieć o planach swojego ojca albo o miejscu przetrzymywania naszych zakładników, będzie dla nas bezcenne. Nie mamy czasu do stracenia. Obawiam się, że będę musiał prosić, żeby zaczęła pani natychmiast.

A ja poprosiłam ziemię, żeby się otworzyła. Powiedziałam: Ziemio, otwórz się, proszę, bo chętnie rzuciłabym się do morza magmy i umarła. Proszę, wystarczy mała szczelina.

Ale ziemia mnie nie słyszała, bo Castle mówił dalej.

– Może udałoby się pani przemówić mu do rozsądku? Wytłumaczyć mu, że nie mamy zamiaru robić mu krzywdy? Przekonać go, żeby pomógł nam odbić pozostałych zakładników?

– Och – powiedziałam. I dodałam pewnym głosem: – Czy on jest zamknięty w jakiejś celi? Za kratami czy czymś takim?

Ale Castle się roześmiał, rozbawiony moją nagłą, nieoczekiwaną skłonnością do żartów, i rzekł:

– Co za pomysł. Nie mamy tu niczego takiego. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że będziemy musieli kogoś więzić w Punkcie Omega. Ale w zasadzie tak, jest w osobnym pokoju, i tak, drzwi są zamknięte na klucz.

– Więc chce pan, żebym weszła do jego pokoju? Sama?

Spokojnie! Jasne, że byłam spokojna. Byłam zdecydowanie, absolutnie całkowitym przeciwieństwem spokoju.

Castle zmarszczył czoło.

– Czy to jakiś problem? – zapytał. – Myślałem... Pomyślałem, że skoro on nie może pani dotknąć, to nie będzie się pani czuła w jego obecności tak zagrożona jak inni. On wie, jaki pani ma dar, prawda? Przypuszczam, że jest na tyle rozsądny, żeby trzymać się od pani z daleka. Dla własnego dobra.

Cóż za ironia. Na moją głowę wylano kadź lodu, a jej zawartość, ściekając, kapiąc, spływała po moim ciele. To wcale nie było zabawne, bo musiałam powiedzieć:

– Tak. Właśnie. Tak, oczywiście. Prawie zapomniałam. Oczywiście, nie będzie mógł mnie dotknąć.

Ma pan rację, proszę pana, o, ja głupia, co ja sobie właściwie myślałam.

Castle wyglądał tak, jakby odetchnął z ulgą, z wielką ulgą, jakby właśnie zanurzył się w ciepłym basenie, choć spodziewał się, że woda w nim będzie

lodowata.

A teraz jestem w swoim pokoju, siedzę dokładnie w tej samej pozycji, w której siedziałam 2 godziny temu, i zaczynam się zastanawiać,

jak długo jeszcze

uda mi się zachować ten sekret.

## 44

To właśnie te drzwi.

Te, które mam przed sobą i za którymi jest przetrzymywany Warner. Nie ma w nich szyb i nie ma jak zajrzeć do środka. To wszystko jest jak jeden wielki antonim słowa wspaniale.

Tak.

Mam wejść do tego pokoju, nieuzbrojona, dlatego że broń jest schowana głęboko w zbrojowni i dlatego że cała jestem śmiercionośna, więc po co w ogóle mi broń? Nikt będący przy zdrowych zmysłach by mnie nie dotknął, oczywiście nikt poza Warnerem, którego obłąkańcza próba powstrzymania mnie od wyskoczenia przez okno poskutkowała odkryciem, że może mnie dotknąć.

A ja powiedziałam o tym dokładnie... Nikomu.

Myślałam, że może to sobie wyobraziłam, aż do czasu, kiedy Warner mnie pocałował i wyznał swoje uczucia. Wtedy, właśnie wtedy przekonałam się, że nie sposób dłużej udawać, że to się nie stało. Ale od tamtego dnia minęły już 4 tygodnie, a ja wciąż nie jestem gotowa o tym rozmawiać. Myślałam, że może w ogóle nie będę musiała poruszać tej sprawy. Wręcz rozpaczliwie pragnęłam jej nie poruszać.

Nie wiem, jak mogłabym powiedzieć komuś, a szczególnie Adamowi, że z wszystkich możliwych ludzi to właśnie ten, którego – nie licząc własnego ojca – nienawidzi najbardziej na świecie, jest tym drugim, który może mnie dotknąć. Że Warner już mnie dotknął, że jego ręce poznały kształt mojego ciała, a jego usta poznały smak moich ust, nieważne, że to nie było coś, czego bym sobie życzyła, po prostu nie mogę mu o tym powiedzieć.

Nie teraz. Nie po tym wszystkim.

Więc sama jestem sobie winna. I sama muszę sobie z tym poradzić.

Zbieram się w sobie i robię krok naprzód.

Przed drzwiami Warnera stoi 2 strażników, których nigdy wcześniej nie spotkałam. To niewiele, ale dodaje mi odrobinę otuchy. Kiwam głową w ich kierunku, a oni pozdrawiają mnie z takim entuzjazmem, że zaczynam się zastanawiać, czy mnie z kimś nie mylą.

– Dzięki, że przyszłaś – mówi do mnie chłopak o długich, niesfornych blond włosach, które wpadają mu do oczu. – Kompletnie mu odbiło, kiedy się ocknął. Rzuca rzeczami, próbuje rozwalić ściany, groził, że nas wszystkich pozabija. Mówi, że będzie rozmawiał tylko z tobą. Właśnie się uspokoił, ale tylko dlatego, że mu powiedzieliśmy, że już idziesz.

– Musieliśmy wynieść wszystkie meble – dodaje drugi strażnik, o brązowych oczach, szeroko otwartych z niedowierzania. – Rozwalał wszystko. Nawet nie jadł posiłków, które mu dawaliśmy.

Antonim słowa wspaniale.

Antonim słowa wspaniale.

Antonim słowa wspaniale.

Zdobywam się na niezbyt przekonujący uśmiech i mówię im, że zobaczę, co

uda mi się zrobić, że postaram się go uspokoić.

Kiwają głowami, gotowi uwierzyć, że potrafię tego dokonać, choć ja wiem, że nie potrafię, i przekręcają klucz.

– Po prostu zapukaj, kiedy będziesz chciała wyjść – mówią. – Zawołaj, to otworzymy drzwi.

Kiwam głową, że jasne, oczywiście, i staram się nie zwracać uwagi na to, że jestem teraz bardziej zdenerwowana, niż kiedy miałam się spotkać z jego ojcem. Być sam na sam z Warnerem – być z nim sam na sam, nie wiedząc, co może zrobić ani do czego jest zdolny – to dla mnie zbyt wiele, bo nawet już nie wiem, kim on jest.

Jest w nim 100 różnych ludzi.

Jest człowiekiem, który zmusił mnie do torturowania rocznego dziecka. Jest terroryzowanym, maltretowanym psychicznie dzieckiem, które próbowało zabić własnego ojca pogrążonego we śnie. Jest chłopakiem, który strzałem w czoło zabił żołnierza za to, że bratał się z wrogiem, chłopakiem wyszkolonym na zimnego, pozbawionego uczuć mordercę przez człowieka, o którym sądził, że może mu ufać. Jest dzieckiem, które rozpaczliwie szuka akceptacji swojego taty. Jest przywódcą całego sektora, kimś, kto chce mnie pokonać i wykorzystać do własnych celów. Widzę go, jak karmi bezpańskiego psa. Widzę go, jak torturuje Adama i prawie doprowadza do jego śmierci. A potem słyszę, jak mówi, że mnie kocha, czuję, jak mnie całuje z tak nieoczekiwaną namiętnością i desperacją, że nie wiem nie wiem nie wiem, w co się pakuję.

Nie wiem, kim się okaże tym razem. Jakie oblicze pokaże mi dzisiaj.

Ale potem myślę, że tym razem przecież musi być inaczej. Bo jest teraz na moim terenie i zawsze mogę wezwać pomoc, jeśli coś pójdzie nie tak.

Nic mi nie grozi.

Mam nadzieję.

## 45

Wchodzę do środka.

Drzwi się zatrzaskują. Nie poznaję Warnera, którego mam przed sobą. Siedzi na podłodze oparty plecami o ścianę, z nogami wyciągniętymi przed sobą, skrzyżowanymi w kostkach. Ma na sobie skarpetki, prosty biały T-shirt i czarne spodnie. Jego płaszcz, buty i elegancka koszula leżą rzucone na podłogę. Jego ciało jest giętkie, muskularne i ledwie mieści się w podkoszulku. Na głowie panuje blond chaos. Możliwe, że po raz pierwszy w życiu jego włosy nie zostały starannie uczesane.

Ale nie patrzy na mnie. Nawet nie podnosi wzroku, kiedy podchodzę bliżej. Ani drgnie.

Znowu zapomniałam, jak się oddycha.

I nagle

– Masz pojęcie – mówi cicho – ile razy to czytałem?

Podnosi rękę, nie podnosząc głowy. W 2 palcach trzyma mały, wyblakły prostokąt.

A ja zastanawiam się, jak to możliwe, żeby ktoś uderzył mnie w brzuch tyloma pięściami naraz.

Mój notatnik.

Trzyma mój notatnik.

Oczywiście, że tak.

Nie mogę uwierzyć, że o nim zapomniałam. Warner był ostatnią osobą, która dotknęła mojego notatnika, ostatnią osobą, która go widziała. Zabrał mi go, kiedy go zobaczył w kieszeni mojej sukienki, tam, w bazie. To było tuż przed moją ucieczką, tuż przed tym, jak Adam i ja wyskoczyliśmy przez okno i uciekliśmy. Tuż przed tym, jak Warner się zorientował, że może mnie dotknąć.

A teraz... Wiedzieć, że czytał moje najbardziej bolesne myśli, moje pełne udręki wyznania – rzeczy, które pisałam w całkowitym, zupełnym odosobnieniu, przekonana, że umrę w tej samej celi, przeświadczona, że nikt nigdy nie przeczyta tego, co piszę – wiedzieć, że czytał te rozpaczliwe, najskrytsze szepty mojego umysłu... To nie do pomyślenia.

Czuję się całkowicie, nieznośnie naga.

Skamieniała.

Taka bezbronna.

Otwiera notatnik na przypadkowej stronie. Przesuwa po niej wzrokiem. Zatrzymuje się. Podnosi głowę, a jego oczy mają jeszcze bardziej jaskrawy, jeszcze piękniejszy odcień zieleni niż kiedykolwiek przedtem. Moje serce bije tak szybko, że nawet już go nie czuję.

A on zaczyna czytać.

– Nie!... – wykrzykuję, ale już jest za późno.

– „Siedzę tutaj codziennie. Przesiedziałam tak już 175 dni. W niektóre dni wstaję i przeciągam się, czuję swoje sztywne kości, skrzypiące stawy, podeptaną

duszę. Prostuję ramiona, mrugam powiekami, liczę sekundy pełznące po ścianach, drżące minuty pod moją skórą, oddechy, o których muszę pamiętać. Czasem pozwalam sobie otworzyć usta, tylko odrobinę, dotykam językiem zębów i warg, chodzę w kółko po tej małej przestrzeni, przesuwam palcami po pęknięciach w betonie i zastanawiam się, zastanawiam się, jak by to było przemówić na głos i zostać usłyszaną. Wstrzymuję oddech, nasłuchuję jakiegoś dźwięku, znaku życia i zachwycam się pięknem, niemożliwością możliwości usłyszenia obok siebie oddechu drugiego człowieka".

Na chwilę przyciska pięść do ust, a potem czyta dalej.

– „Zatrzymuję się. Stoję nieruchomo. Zamykam oczy i próbuję przypomnieć sobie świat za tymi murami. Zastanawiam się, jak by to było wiedzieć, że nie śnię, że moje odizolowane istnienie nie jest zamknięte w klatce mojego umysłu. I zastanawiam się – recytuje teraz z pamięci, z głową opartą o ścianę, zaciskając powieki, szeptem . myślę o tym cały czas. Jak by to było się zabić. Bo właściwie nie wiem, wciąż nie potrafię określić różnicy, nigdy nie mam pewności, czy rzeczywiście żyję. Więc siedzę tu. Siedzę tu każdego dnia".

Stoję wrośnięta w podłogę, zastygła w swojej skórze, nie mogąc się ruszyć do przodu ani do tyłu, ze strachu, że się obudzę i okaże się, że to się dzieje naprawdę. Mogłabym umrzeć ze wstydu z powodu tej brutalnej inwazji na moją prywatność, chcę uciekać uciekać uciekać uciekać uciekać

– „Uciekaj, powiedziałam do siebie". – Warner znowu podniósł do oczu mój notatnik.

– Proszę – zaczynam go błagać. – Proszę, p-przestań...

Podnosi wzrok, patrzy na mnie, jakby naprawdę mógł mnie zobaczyć, zajrzeć do mojego wnętrza, jakby chciał, żebym ja zajrzała do jego wnętrza, a potem spuszcza wzrok, odchrząkuje, czyta znowu. Czyta mój dziennik.

– „Uciekaj, powiedziałam do siebie. Uciekaj, choćby twoje płuca odmawiały posłuszeństwa, choćby wiatr smagał i chwytał zębami twoje poszarpane ubranie, aż staniesz się rozmytą plamą, która wtopi się w tło. Uciekaj, Julio, uciekaj szybciej, choćbyś miała połamać nogi, choćby twoje mięśnie miały tego nie wytrzymać, a twoje serce miało przestać bić. Zawsze było za duże, żeby zmieścić się w twojej piersi, i biło za szybko przez zbyt długi czas. Uciekaj. Uciekaj uciekaj uciekaj, aż nie będziesz słyszała ich kroków za plecami. Uciekaj, aż pogubią swoje kije, a ich krzyki rozwieją się w powietrzu. Uciekaj z otwartymi oczami, z zaciśniętymi ustami i zatamuj rzekę wzbierającą pod powiekami. Uciekaj, Julio. Uciekaj, aż padniesz martwa. Upewnij się, że twoje serce się zatrzyma, zanim cię dosięgną. Zanim zdążą cię dotknąć. Uciekaj, powiedziałam".

Zaciskam pięści, aż czuję, że paznokcie wbijają mi się w dłonie, zaciskam zęby, aż zaczyna mnie boleć szczęka, zrobiłabym wszystko, żeby odepchnąć te wspomnienia. Nie chcę pamiętać. Nie chcę więcej myśleć o tych rzeczach. Nie chcę myśleć o tym, co jeszcze napisałam na tych stronicach, co jeszcze Warner o mnie wie, co musi o mnie myśleć. Nie wyobrażam sobie, jak żałosna, samotna i zdesperowana muszę mu się wydawać. ~~Nie wiem, dlaczego mnie to obchodzi.~~

– Czy wiesz – mówi, zamykając dziennik i kładąc na nim rękę, chroniąc go, wpatrując się w niego – że nie mogłem spać, kiedy przeczytałem ten fragment? Cały

czas chciałem się dowiedzieć, kto ścigał cię na ulicy, przed kim uciekałaś. Chciałem ich znaleźć – mówi cicho – i powyrywać im kończyny, jedną po drugiej. Chciałem ich zamordować w sposób, który by cię przeraził, gdybyś o tym usłyszała.

Teraz drżę.

– Proszę, proszę, oddaj mi to – szepczę.

Koniuszkami palców dotyka swoich ust. Odchyla nieznacznie głowę. Na jego twarzy pojawia się dziwny, zbolały uśmiech.

– Chcę, żebyś wiedziała, jak bardzo mi przykro. Że – przełyka ślinę – że cię wtedy pocałowałem. Nie miałem pojęcia, że będziesz mnie chciała za to zastrzelić.

Nagle zdaję sobie z czegoś sprawę.

– Twoja ręka – szepczę zaskoczona.

Nie ma już temblaka. Porusza nią bez trudu. Nie widać na niej siniaków, opuchlizny ani blizn.

Jego uśmiech się załamuje.

– Tak. Była wyleczona, kiedy się obudziłem.

Sonia i Sara. Pomogły mu. Zastanawiam się, dlaczego ktoś miałby mu tu oddawać taką przysługę. Zmuszam się, żeby zrobić krok do tyłu.

– Proszę – mówię. – Mój notatnik...

– Przysięgam. Nigdy bym cię nie pocałował, gdybym nie sądził, że tego chcesz.

Jestem tak zszokowana, tak zaskoczona, że przez chwilę zapominam zupełnie o moim notatniku. Napotykam jego ciężkie spojrzenie. Udaje mi się jakoś opanować głos.

– Mówiłam ci, że cię nienawidzę.

– Tak. – Kiwa głową. – Cóż. Zdziwiłabyś się, ile osób mi to mówi.

– Chyba nie.

Jego usta wykrzywia grymas.

– Próbowałaś mnie zabić.

– To cię bawi.

– Tak – odpowiada, a jego usta jeszcze bardziej się rozciągają. – Uważam, że to fascynujące. – Cisza. – Chciałabyś wiedzieć dlaczego?

Patrzę na niego.

– Bo cały czas powtarzałaś, że nie chcesz nikogo krzywdzić. Że nie chcesz zabijać ludzi.

– Nie chcę.

– Oprócz mnie?

Kończą mi się litery. Nie mam już ani słowa. Ktoś obrabował mnie z całego słownika.

Wiem, że słowa potrafią ranić. Ale nie sądziłam, że mogą zabić.

– Ta decyzja była dla ciebie tak łatwa – mówi. – Tak prosta. Miałaś broń. Chciałaś uciec. Pociągnęłaś za spust. I już.

Jestem hipokrytką. Ma rację.

Powtarzam sobie, że zabijanie ludzi niczemu nie służy, ale jakoś znajduję sposób, żeby to usprawiedliwić, żeby to zracjonalizować, kiedy jest mi to na rękę.

Warner. Castle. Anderson.

Chciałam zabić każdego z nich. I zrobiłabym to.

Co się ze mną dzieje.

Popełniłam straszliwy błąd, przychodząc tutaj. Podejmując się tego zadania. Nie mogę być sam na sam z Warnerem. Zdecydowanie nie. Przebywanie z nim sprawia, że wszystko mnie boli. To ból, którego wolałabym nie rozumieć.

Muszę wyjść.

– Nie idź – szepcze ze wzrokiem z powrotem utkwionym w moim notatniku. – Proszę. Posiedź ze mną. Zostań ze mną. Wystarczy, że cię widzę. Nie musisz nawet nic mówić.

Jakaś oszalała, zdezorientowana część mojego mózgu naprawdę chce usiąść obok niego, naprawdę chce usłyszeć, co on ma do powiedzenia, kiedy przypominam sobie o Adamie i o tym, co by pomyślał, gdyby o tym wiedział, co by powiedział, gdyby tu był i zobaczył, że jestem zainteresowana spędzaniem czasu z kimś, kto postrzelił go w nogę, połamał mu żebra i przywiązał go do pasa transmisyjnego w opuszczonej rzeźni, a potem zostawił go, żeby wykrwawił się na śmierć minuta po minucie.

Muszę być szalona.

A jednak nie ruszam się z miejsca.

Warner się odpręża.

– Chcesz, żebym ci poczytał?

Kręcę głową kręcę kręcę i kręcę.

– Dlaczego mi to robisz? – szepczę.

A on wygląda tak, jakby już miał odpowiedzieć, ale zmienia zdanie. Odwraca wzrok. Podnosi oczy na sufit i uśmiecha się leciutko.

– Wiesz – mówi – już wtedy, kiedy cię pierwszy raz zobaczyłem... było w tobie coś, co wydawało mi się niezwykłe. Coś w twoich oczach. To było takie kruche. Jakbyś jeszcze się nie nauczyła ukrywać przed światem swojego serca.

Kiwa teraz głową, przytakuje samemu sobie w jakiejś kwestii, a ja nie potrafię sobie wyobrazić, co by to mogło być.

– Znalezienie tego – mówi łagodnie, poklepując okładkę mojego notatnika – było tak... – Jego brwi są ściągnięte, jakby czuł się zdezorientowany, zrozpaczony. – Było tak niezwykle bolesne. – Wreszcie podnosi wzrok. Wygląda teraz jak zupełnie inny człowiek. Jakby usiłował przełknąć coś gorzkiego, jakby próbował rozwiązać okropnie trudne równanie. – Czułem się tak, jakbym po raz pierwszy w życiu spotkał przyjaciela.

~~Dlaczego drżą mi ręce.~~

Bierze głęboki oddech. Spuszcza wzrok.

– Jestem taki zmęczony, skarbie. Tak strasznie, strasznie zmęczony – szepcze.

~~Dlaczego nie przestaje walić mi serce.~~

– Ile mam czasu – pyta po chwili – zanim mnie zabiją?

– Zabiją?

Wpatruje się we mnie.

– Nie mamy zamiaru cię zabić – wyjaśniam zaskoczona. – Nie chcemy cię skrzywdzić. Jesteś nam potrzebny, żeby odzyskać naszych ludzi. Jesteś naszym zakładnikiem.

Oczy Warnera się rozszerzają, jego ramiona sztywnieją.

– Co?

– Nie mamy powodu cię zabijać – wyjaśniam. – Chcemy tylko cię wymienić...

Warner zaczyna się śmiać, głośno, serdecznie. Kręci głową. Uśmiecha się w sposób, jaki widziałam u niego tylko raz. Patrzy na mnie, jakbym była najsłodszą rzeczą, jaką miał w życiu zjeść.

~~Te dołeczki.~~

– Kochana, słodka, śliczna dziewczynko – mówi. – Twoi ludzie przeceniają uczucie, jakim darzy mnie mój ojciec. Przykro mi, że muszę ci to powiedzieć, ale trzymanie mnie tutaj nie da wam przewagi, na którą liczycie. Wątpię, czy mój ojciec w ogóle zauważył moją nieobecność. Więc chciałbym prosić, żebyście raczej mnie zabili albo wypuścili. Ale błagam, nie marnujcie mojego czasu, trzymając mnie w zamknięciu.

Przetrząsam kieszenie w poszukiwaniu zapasowych słów i zdań, ale nie znajduję ani jednego. Ani przysłówka, ani przyimka, ani nawet kuszącego imiesłowu, bo nie istnieje odpowiedź na taką dziwaczną prośbę.

Warner nadal się do mnie uśmiecha. Ramiona mu drżą w milczącym rozbawieniu.

– To nie jest żaden argument – mówię mu. – Nikt nie lubi być zakładnikiem...

Bierze pełen napięcia oddech. Przesuwa ręką po włosach. Wzrusza ramionami.

– Tracicie czas – odpowiada. – Porwanie mnie nic wam nie da. To mogę wam zagwarantować.

## 46

Pora lunchu.

Kenji i ja siedzimy po jednej stronie stołu, Adam i James po drugiej.

Jesteśmy tutaj już pół godziny. Analizujemy moją rozmowę z Warnerem. Nie wspomniałam o moim dzienniku, choć może powinnam. Zaczynam się też zastanawiać, czy nie powinnam po prostu powiedzieć o tym, że Warner może mnie dotknąć. Ale gdy patrzę na Adama, wiem, że nigdy się na to nie zdobędę. Nie mam pojęcia, dlaczego Warner może mnie dotknąć. Może to zwykły przypadek. Myślałam, że tak właśnie było z Adamem. Może to wszystko to jakiś kosmiczny żart. Ze mnie.

Nie wiem, co z tym zrobić.

Ale z jakiegoś powodu tamte szczegóły mojej rozmowy z Warnerem wydają mi się zbyt osobiste, zbyt żenujące, żebym mogła się nimi z kimś podzielić. Nie chcę na przykład, żeby ktokolwiek wiedział, że Warner wyznał mi miłość. Nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział, że ma mój dziennik ani że go czytał. Poza Warnerem tylko Adam wie o jego istnieniu i on przynajmniej był na tyle uprzejmy, że uszanował moją prywatność. To on zabrał notatnik ze szpitala psychiatrycznego i mi go zwrócił. Ale zaznaczył, że nie czytał tego, co w nim napisałam. Zdawał sobie sprawę, że to muszą być osobiste notatki i że czytanie ich byłoby naruszeniem prywatności.

Za to Warner zwyczajnie splądrował mój umysł.

Teraz jestem w jego obecności jeszcze bardziej zdenerwowana. Na samą myśl o znalezieniu się w pobliżu niego odczuwam lęk, napięcie, bezradność. Nie mogę znieść świadomości, że zna moje tajemnice. Moje sekretne myśli.

Kim on jest, żeby cokolwiek o mnie wiedzieć.

Dlaczego akurat .n. A nie ten, który siedzi naprzeciwko mnie. Ten o ciemnoniebieskich oczach i ciemnych włosach. Ten, którego ręce dotknęły mojego serca, mojego ciała. ~~Pragnę go. Zawsze go będę pragnęła.~~

Adam nie wygląda dobrze.

Siedzi ze spuszczoną głową, ściągniętymi brwiami, z rękami splecionymi na stole. Nie tknął jedzenia i nie odezwał się ani słowem, odkąd zrelacjonowałam swoje spotkanie z Warnerem. Kenji jest tak samo milczący. Od czasu naszej bitwy wszyscy są trochę bardziej poważni. Straciliśmy kilkoro członków naszego podziemia.

Biorę głęboki oddech i próbuję znowu.

– To co o tym myślicie? – pytam. – O tym, co powiedział o Andersonie? – Pilnuję się, żeby nie użyć słowa tata albo ojciec, szczególnie w obecności Jamesa. Nie wiem, co Adam powiedział na ten temat Jamesowi ani czy w ogóle z nim o tym rozmawiał. To nie moja sprawa, więc nie wypytuję. Co gorsza, Adam nie porusza tej kwestii, odkąd wróciliśmy, a minęły już 2 dni. – Myślicie, że Andersona naprawdę nie obchodzi, że wzięliśmy Warnera jako zakładnika?

James wierci się na krześle, mruży oczy, przeżuwając jedzenie, i patrzy na nas, tak jakby chciał zapamiętać wszystko, co mówimy.

Adam pociera czoło.

– To akurat może być prawda – mówi wreszcie.

Kenji marszczy czoło, krzyżuje ramiona, pochyla się.

– Tak. To dziwne. Nie dostaliśmy od nich żadnej wiadomości, a minęło już ponad czterdzieści osiem godzin.

– Co myśli o tym Castle? – pytam.

Kenji wzrusza ramionami.

– Jest zestresowany. Ian i Emory byli naprawdę w strasznym stanie, kiedy ich znaleźliśmy. Chyba nie odzyskali jeszcze przytomności, chociaż Sonia i Sara pracują dwadzieścia cztery godziny na dobę, żeby im pomóc. Myślę, że on się martwi, że w ogóle nie uratujemy Winstona i Brendana.

– Może – mówi Adam – ich milczenie ma coś wspólnego z tym, że postrzeliłeś Andersona w obie nogi. Może nie wrócił jeszcze do zdrowia.

O mało nie krztuszę się wodą, którą właśnie piłam. Zerkam na Kenjiego, żeby się przekonać, czy sprostuje słowa Adama, ale on nawet nie mrugnął okiem. Więc nic nie mówię.

Kenji kiwa głową.

– Tak – mówi. – Prawie o tym zapomniałem. – Cisza. – To możliwe.

– Postrzeliłeś go w nogi? – pyta James, z szeroko otwartymi oczami utkwionymi w Kenjim.

Kenji odchrząkuje, ale stara się na mnie nie patrzeć. Zastanawiam się, dlaczego mnie przed tym chroni. Dlaczego uważa, że lepiej nie mówić, co się naprawdę stało.

– Taa – mówi i zaczyna kanapkę.

Adam bierze głęboki oddech. Podwija rękawy koszuli, studiuje okręgi wytatuowane na przedramionach, militarne pamiątki jego poprzedniego wcielenia.

– Ale dlaczego? – pyta James Kenjiego.

– Co dlaczego, mały?

– Dlaczego go nie zabiłeś? Dlaczego tylko postrzeliłeś go w nogi? Nie mówiłeś, że on jest najgorszy? Że to przez niego mamy teraz te wszystkie problemy?

Kenji na chwilę milknie. Chwyta łyżkę i nabiera jedzenie. Wreszcie ją odkłada. Daje znak Jamesowi, żeby przesiadł się na jego stronę. Odsuwam się, żeby zrobić mu miejsce.

– Chodź tutaj – mówi do Jamesa, przyciągając go do siebie.

James obejmuje Kenjiego w pasie, a Kenji mierzwi mu włosy.

Nie miałam pojęcia, że są sobie tacy bliscy.

Wciąż zapominam, że wszyscy 3 mieszkają w jednym pokoju.

– No, dobrze. Gotowy na małą lekcję? – mówi Kenji do Jamesa.

James kiwa głową.

– Sprawy mają się tak. Castle zawsze powtarza, że nie możemy po prostu ucinać ludziom głów, wiesz? – Zastanawia się, zbiera myśli. – Na przykład, jeżeli zabijemy wrogiego przywódcę, to co? Co przez to osiągniemy?

– Pokój na świecie – mówi James.

– Źle. Kompletny chaos. – Kenji kręci głową. Pociera czubek nosa. – A z chaosem jest o wiele trudniej walczyć.

– Więc jak mamy wygrać?

– Właśnie – mówi Kenji. – Cóż, o to właśnie chodzi. Możemy zlikwidować przywódcę przeciwnej strony tylko wtedy, kiedy jesteśmy gotowi przejąć nad nią

kontrolę. Tylko wtedy, kiedy jest jakiś nowy przywódca, gotowy zastąpić starego. Ludzie potrzebują kogoś, kogo mogliby popierać, jasne? A my jeszcze nie jesteśmy gotowi. – Wzrusza ramionami. – To miała być walka z Warnerem. Zlikwidowanie jego nie byłoby żadnym problemem. Ale zlikwidowanie Andersona byłoby równoznaczne z proszeniem się o anarchię w całym kraju. A anarchia oznacza, że ktoś inny, może nawet ktoś jeszcze gorszy, mógłby przejąć kontrolę nad krajem, zanim nam się to uda.

James coś odpowiada, ale nie słyszę co.

Adam wpatruje się we mnie.

Patrzy na mnie i nie stara się tego ukryć. Nie odwraca oczu. Nie mówi ani słowa. Jego wzrok przesuwa się od moich oczu do moich ust, zbyt długo skupiając się na ustach. Wreszcie odwraca się na sekundę, po czym znowu patrzy mi w oczy. Jego spojrzenie jest nieruchome. Głębsze. Bardziej pożądliwe.

Zaczyna mnie boleć serce.

Obserwuję ruch w jego gardle. Jego pierś się unosi i opada. Jego zęby są zaciśnięte. Siedzi w całkowitym bezruchu. Nie mówi nic, zupełnie nic.

~~Tak bardzo chciałabym go dotknąć.~~

– Spryciarz. – Kenji powstrzymuje śmiech, kręcąc głową w odpowiedzi na coś, co James przed chwilą powiedział. – Wiesz, że nie o to mi chodziło. Tak czy owak – wzdycha – nie jesteśmy gotowi, żeby poradzić sobie teraz z tego rodzaju szaleństwem. Zlikwidujemy Andersona, kiedy będziemy gotowi przejąć władzę. To jedyny właściwy sposób.

Adam gwałtownie wstaje. Odsuwa nietkniętą miskę i odchrząkuje. Patrzy na Kenjiego.

– Więc to dlatego go nie zabiłeś, kiedy go miałeś przed nosem?

Kenji drapie się w tył głowy, skrępowany.

– Słuchaj, gdybym miał pojęcie...

– Nie przejmuj się – przerywa mu Adam. – Wyświadczyłeś mi przysługę.

– O co ci chodzi? – pyta Kenji. – Hej, człowieku... Dokąd idziesz?

Ale Adam już wychodzi.

## 47

Wybiegam za nim.

Pustym korytarzem idę za Adamem, choć wiem, że nie powinnam. Wiem, że nie powinnam z nim rozmawiać, że powinnam powściągnąć swoje uczucia, ale się martwię. Nic na to nie poradzę. On wyraźnie zamyka się w sobie, wycofuje się do świata, do którego nie mam dostępu, i nawet nie mogę go za to winić. Mogę sobie jedynie wyobrażać, czego teraz doświadcza. Rewelacje ostatnich dni kogoś słabszego niż on mogłyby doprowadzić do szaleństwa. I wprawdzie jak dotąd udawało się nam jakoś razem pracować, ale w tym napięciu prawie nie mieliśmy czasu porozmawiać na tematy osobiste.

A ja muszę się upewnić, że nie dzieje się nic złego.

Nie potrafię po prostu się nim nie przejmować.

– Adamie?

Zatrzymuje się na dźwięk mojego głosu. Jego kręgosłup sztywnieje z zaskoczenia. Odwraca się i widzę, jak w ciągu kilku sekund na jego twarzy pojawia się nadzieja, dezorientacja, troska.

– Co się stało? – pyta. – Wszystko w porządku?

Mam przed sobą całe 2 metry jego ciała i tonę we wspomnieniach i uczuciach, których nawet nie próbowałam wymazać. Nie mogę sobie przypomnieć, dlaczego chciałam z nim porozmawiać. Dlaczego właściwie powiedziałam mu, że nie możemy być razem. Dlaczego miałabym rezygnować z możliwości spędzenia choćby 5 sekund w jego ramionach. Wypowiada moje imię.

– Julio... Co się stało? Czy coś się stało?

Tak bardzo chciałabym powiedzieć tak, tak, zdarzyły się okropne rzeczy, jest mi źle, jest mi naprawdę niedobrze, jestem zmęczona, a potem ukryć się w jego ramionach i zapomnieć o całym świecie. Ale udaje mi się tylko podnieść wzrok, udaje mi się spojrzeć mu w oczy. Mają taki ciemny, niepokojący odcień błękitu.

– Martwię się o ciebie – mówię.

A jego oczy natychmiast się zmieniają, pojawia się w nich skrępowanie i jakaś bariera. Zdobywa się na mało przekonującą imitację śmiechu.

– Martwisz się o mnie – powtarza.

Wypuszcza powietrze. Przeczesuje ręką włosy.

– Chciałam się tylko upewnić, że u ciebie wszystko w porządku.

Kręci głową z niedowierzaniem.

– Co ty mówisz? Kpisz sobie ze mnie?

– Co?

Pociera usta pięścią. Patrzy na mnie, jakby nie był pewien, co powiedzieć. Wreszcie zaczyna mówić głosem pełnym wysiłku, bólu i dezorientacji.

– Zerwałaś ze mną. Zrezygnowałaś z nas. Z całej naszej wspólnej przyszłości. Wyciągnęłaś rękę i jednym ruchem rozerwałaś mi serce, a teraz pytasz, czy u mnie wszystko w porządku? Jak cokolwiek może być u mnie w porządku, Julio? Co to w ogóle za pytanie?

Ledwie się trzymam na nogach.

– Nie chciałam... – Przełykam ślinę. – Miałam na myśli t-twojego... twojego ojca... myślałam, że może... o, Boże, przepraszam, masz rację, jestem taka głupia... Nie powinnam była tu przychodzić, n-nie powinnam...

Cofam się, a on chwyta mnie w talii.

– Julio – mówi z taką desperacją. Jego powieki są zaciśnięte. – Proszę – mówi. – Powiedz mi, co mam zrobić. Jak mam się czuć? Jedna gówniana rzecz wali się za drugą, a ja próbuję być twardy... Boże, tak bardzo się staram, ale to jest okropnie trudne. Tęsknię... – Głos mu się załamuje. – Tęsknię za tobą – mówi tak, jakby słowa przeszywały go jak noże. – Tęsknię za tobą tak bardzo, że dłużej już tego nie wytrzymam.

Moje palce są zaciśnięte na jego koszuli.

Moje serce łomocze w ciszy, wystukując wszystkie sekrety.

Widzę, jak ciężko mu spojrzeć mi w oczy, z jakim trudem wypowiada następne słowa.

– Czy ty mnie nadal kochasz? – szepcze.

A ja napinam każdy mięsień swojego ciała, usiłując powstrzymać się od rzucenia mu się na szyję, dotykania go, całowania.

– Oczywiście, że nadal cię kocham...

– Wiesz – mówi nabrzmiałym od wzruszenia głosem – nigdy przedtem niczego takiego nie przeżyłem. Prawie nie pamiętam mamy, a poza nią byliśmy tylko ja, James i mój gówniany ojciec. I James zawsze kochał mnie na swój sposób, ale ty... Z tobą... – Waha się. Spuszcza wzrok. – Do czego mam teraz wrócić? – pyta tak cicho. – Jak mam zapomnieć, jak to jest z tobą być? Być kochanym przez ciebie?

Uświadamiam sobie, że płaczę, dopiero kiedy czuję smak swoich łez.

– Mówisz, że mnie kochasz. A ja wiem, że kocham ciebie. – Podnosi wzrok, patrzy mi w oczy. – Więc dlaczego, do diabła, nie możemy być razem?

A ja nie wiem, jak powiedzieć cokolwiek innego niż

– Tak mi przykro, tak mi przykro, tak okropnie mi przykro...

– Dlaczego nie możemy po prostu spróbować? – Chwyta mnie za ramię, jego słowa są natarczywe, pełne udręki, nasze twarze są niebezpiecznie blisko siebie. – Jestem gotowy przyjąć cokolwiek. Cokolwiek mogę dostać, przysięgam, chcę tylko wiedzieć, że jesteś w moim życiu...

– Nie możemy – mówię mu i trę swoje policzki, próbując powstrzymać łzy od upokarzania mnie. – To nie wystarczy, Adamie, wiesz o tym. Pewnego dnia głupio zaryzykujemy albo wykorzystamy sytuację, której nie powinniśmy wykorzystać. Pewnego dnia uwierzymy, że wszystko będzie dobrze, a potem się okaże, że nie jest. I to się źle skończy.

– Ale popatrz na nas teraz – mówi. – Możemy sobie z tym poradzić... Mogę być blisko ciebie, nie całując cię... Muszę tylko jeszcze przez kilka miesięcy potrenować...

– Twoje treningi nie pomogą – przerywam mu, wiedząc, że muszę mu teraz powiedzieć wszystko. Wiedząc, że on ma prawo wiedzieć to samo co ja. – Bo im więcej sama trenuję, tym lepiej się orientuję, jaka jestem niebezpieczna. A ty nie m-możesz być blisko mnie. Tu nie chodzi już tylko o moją skórę. Mogłabym zrobić ci

krzywdę, nawet trzymając cię za rękę.

– Co? – Mruga kilka razy. – O czym ty mówisz?

Biorę głęboki oddech. Przyciskam dłoń płasko do ściany tunelu, a potem wbijam w nią palce i przeciągam je przez kamień. Chwytam kawał skały i rozgniatam go w dłoni. Zostaje z niego piasek, który przesypuje się między moimi palcami i spada na podłogę.

Adam wpatruje się we mnie. Zaskoczony.

– To ja postrzeliłam twojego ojca – mówię mu. – Nie wiem, dlaczego Kenji mnie kryje. Nie wiem, dlaczego nie powiedział ci prawdy. Ale ja byłam tak zaślepiona tym... Tym niepohamowanym szałem... Myślałam tylko o tym, żeby go zabić. I torturowałam go – szepczę. – Strzeliłam mu w nogi, bo nie chciałam się spieszyć. Chciałam się tym nacieszyć. Ostatni pocisk miałam mu wpakować w serce. I naprawdę niewiele brakowało. Tak niewiele brakowało. Kenji musiał mnie odciągnąć. Bo widział, że oszalałam. Przestaję się kontrolować. – Mój głos jest ochrypły, łamie się z rozpaczy. – Nie wiem, co jest ze mną nie tak, co się w takich chwilach ze mną dzieje, i nadal nie wiem, do czego jeszcze jestem zdolna. Nie wiem, jak daleko mogę się posunąć. Każdego dnia dowiaduję się o sobie czegoś nowego i każdego dnia mnie to przeraża. Robiłam ludziom straszne rzeczy – szepczę. Przełykam szloch wzbierający mi w gardle. – I nie jestem w porządku – mówię mu. – Nie jestem w porządku. Ja nie jestem w porządku, a ty nie jesteś bezpieczny, będąc w pobliżu.

Wpatruje się we mnie, jakby zapomniał ludzkiej mowy.

– Teraz już wiesz, że te wszystkie plotki były prawdziwe – szepczę. – Jestem szalona. I jestem potworem.

– Nie – szepcze. – Nie...

– Tak.

– Nie – mówi, teraz zrozpaczony. – To nieprawda... Jesteś silniejsza od tego... Wiem, że jesteś... Znam cię. Znam twoje serce od dziesięciu lat. Widziałem, co musiałaś przeżyć, przez co musiałaś przejść, i nie zamierzam z ciebie teraz zrezygnować, nie z tego powodu, nie z powodu czegoś takiego jak to...

– Jak możesz tak mówić? Jak możesz nadal wierzyć, że po wszystkim... po tym wszystkim...

– Przecież – mówi, a jego ręce trzymają mnie teraz mocniej – jesteś jedną z najodważniejszych, najsilniejszych osób, jakie w życiu spotkałem. Masz dobre serce, najlepsze intencje... – Milknie. Bierze pełen napięcia, drżący oddech. – Jesteś najlepszą osobą, jaką kiedykolwiek znałem – mówi do mnie. – Miałaś najgorsze możliwe doświadczenia, a wyszłaś z tego bez szwanku. Jak, do diabła – jego głos się teraz załamuje – miałbym pozwolić ci odejść? Jak mógłbym cię zostawić?

– Adamie...

– Nie – mówi, kręcąc głową. – Nie mogę uwierzyć, że to jest nasz koniec. Nie, jeżeli nadal mnie kochasz. Poradzisz sobie z tym, a ja będę czekał, aż będziesz gotowa. Nigdzie się nie wybieram. Nie będzie nikogo innego w moim życiu. Nikogo innego nigdy nie pragnąłem i to się nigdy, przenigdy nie zmieni.

– Jakie to wzruszające.

Adam i ja zastygamy w bezruchu. Odwracamy się powoli w stronę, z której

dobiega ten znienawidzony głos.

Jest tutaj.

Przed nami stoi Warner z rękami związanymi z tyłu, a jego oczy jasno płoną gniewem, bólem i obrzydzeniem. Za nim pojawia się Castle, który prowadzi go gdzieś dokądś w jakimś kierunku i widzi, że Warner utknął, że stoi nieruchomo, wpatrzony w nas, a Adam przypomina blok marmuru, nie rusza się, nie próbuje oddychać ani mówić, ani odwrócić wzroku. Jestem przekonana, że płonę tak jasno, że już spłonęłam na popiół.

– Jesteś taka śliczna, kiedy się czerwienisz – mówi do mnie Warner. – Szkoda, że marnujesz swoje uczucia na kogoś, kto musi błagać o twoją miłość. – Przekrzywia głowę, patrząc na Adama. – Jakże mi cię żal – mówi. – To musi być straszliwie żenujące.

– Ty chory gnojku. – Głos Adama jest jak stal.

– Przynajmniej mam swoją godność.

Castle kręci głową zirytowany. Popycha Warnera do przodu.

– Wracajcie, proszę, do pracy... Oboje! – krzyczy na nas, kiedy przechodzą z Warnerem. – Tracicie cenny czas.

– Idź do diabła! – krzyczy Adam do Warnera.

– To, że ja idę do diabła, nie oznacza, że ty kiedykolwiek będziesz na nią zasługiwał – mówi Warner.

Adam nie odpowiada.

Patrzy tylko skupiony, jak Warner i Castle znikają za rogiem.

## 48

James dołącza do nas podczas popołudniowego treningu.

Odkąd wróciliśmy, spędza z nami dużo czasu i mam wrażenie, że wszyscy jesteśmy szczęśliwsi, kiedy on jest w pobliżu. W jego obecności jest coś tak rozbrajającego, tak miłego. Dobrze mieć go z powrotem obok siebie.

Pokazałam mu, jak łatwo mogę teraz niszczyć różne rzeczy.

Cegły to nic. To jak rozgniatanie bułki. Metalowe rury zginają się teraz w moich rękach jak plastikowe słomki. Z drewnem jest pewien kłopot, bo jeżeli złamie się nie tak, jak trzeba, to można wbić sobie 1 drzazgę albo 2, ale prawie nic nie jest już teraz trudne. Kenji zastanawia się nad nowymi sposobami sprawdzania moich umiejętności. Ostatnio badał, czy potrafię je przenosić na inne osoby albo czy potrafię skierować moc w określone miejsce z większej odległości.

Ale wygląda na to, że nie wszystkie umiejętności nadają się do projekcji. Na przykład Lily ma niewiarygodną fotograficzną pamięć. Nigdy jednak nie udało się jej przenieść tej umiejętności na kogoś innego.

Projekcja jak na razie jest najtrudniejszą rzeczą, jakiej próbowałam. To okropnie skomplikowane i wymaga wysiłku zarówno umysłowego, jak i fizycznego. Trzeba całkowicie kontrolować umysł i wiedzieć dokładnie, jak mózg komunikuje się z każdym niewidzialnym elementem systemu odpowiedzialnego za mój dar. Co oznacza, że muszę umieć zlokalizować źródło swoich zdolności, a potem nauczyć się z niego czerpać.

Boli mnie mózg.

– Czy ja też mogę spróbować coś złamać? – pyta James. Sięga po jedną z cegieł ze sterty i waży ją w dłoniach. – Może ja też jestem supersilny jak ty.

– Czy kiedyś czułeś się supersilny? – pyta Kenji. – Taki, no wiesz, nienormalnie silny?

– Nie – odpowiada James. – Ale też nigdy nie próbowałem niczego złamać. – Mruga do Kenjiego. – Myślisz, że ja też mógłbym być taki jak wy? Może też mam jakąś moc?

Kenji przygląda mu się uważnie. Wygląda tak, jakby się nad czymś zastanawiał.

– To całkiem możliwe – mówi. – Twój brat najwyraźniej ma w genach coś niezwykłego, a to znaczy, że z tobą może być podobnie.

– Naprawdę? – James aż podskakuje.

Kenji tłumi śmiech.

– Nie mam pojęcia. Mówię tylko, że to możli... Nie! – krzyczy. – James...

– O rany. – James się krzywi, upuszcza cegłę na podłogę i zaciska w pięść skaleczoną dłoń. – Chyba przycisnąłem za mocno i się wyśliznęła.

Z całych sił stara się nie rozpłakać.

– Chyba? – Kenji kręci głową, posapując. – Cholera, mały, nie możesz tak tutaj biegać i kroić sobie rąk. Przez ciebie dostanę jakiegoś cholernego zawału. Chodź tu – mówi, teraz łagodniej. – Pokaż mi to.

– Wszystko w porządku. – Policzki Jamesa są zaczerwienione, a rękę trzyma za plecami. – To nic. Zaraz zniknie.

– Takie skaleczenia nie znikają tak po prostu – mówi Kenji. – No już, pokaż mi...

– Chwileczkę – przerywam mu. Dostrzegam wyraz twarzy Jamesa, chłopiec wydaje się dziwnie skupiony na ukrywaniu skaleczonej ręki. – James... Jak to: zaraz zniknie? Chcesz powiedzieć, że się zagoi? Samo?

James mruga.

– No... tak – mówi. – Przecież zawsze bardzo szybko się goi.

– Co się goi? Co się goi bardzo szybko? – Kenji też wpatruje się w niego uważnie, bo już zdążył się zorientować, co mi chodzi po głowie. Zerka na mnie, mamrocząc w kółko pod nosem: – O, w mordę.

– No, kiedy się skaleczę – odpowiada James, patrząc na nas dwoje, jakbyśmy postradali rozum. – Jak ty się skaleczysz – mówi do Kenjiego – to też przecież się goi.

– To zależy od rodzaju skaleczenia. Ale takie jak to na twojej ręce? – Kenji kręci głową. – Na pewno trzeba by to oczyścić, żeby nie wdała się infekcja. Potem owinąć bandażem. A potem trzeba przynajmniej kilku dni, żeby się zrobił strup. Dopiero potem zaczęłoby się goić.

James mruga, jakby nigdy w życiu nie słyszał niczego równie absurdalnego.

– Pokaż mi rękę – mówi Kenji.

James się waha.

– W porządku – mówię. – Naprawdę. Jesteśmy tylko ciekawi.

Powoli, bardzo powoli James pokazuje nam swoją zaciśniętą pięść. Jeszcze wolniej odgina palce, cały czas obserwując naszą reakcję. I tam, gdzie przed chwilą była głęboka rana, nie ma teraz nic. Nieskazitelna skóra i niewielka kropla krwi.

– Ale jazda – szepcze Kenji zdumiony. – Przepraszam – mówi do mnie, po czym doskakuje do Jamesa i chwyta go za ramię, z trudem powstrzymując uśmiech – ale muszę zabrać tego gościa do skrzydła medycznego. W porządku, James? Jutro przyjdziemy tu znowu...

– Ale przecież nie jestem już ranny – protestuje James. – Nic mi nie jest...

– Wiem, mały, dobrze jednak by było, gdybyś ze mną poszedł.

– Ale dlaczego?

– Jak ci się podoba – mówi Kenji, prowadząc Jamesa do drzwi – pomysł spędzenia popołudnia z dwiema bardzo ładnymi dziewczynami...

I już ich nie ma.

A ja się śmieję.

Siedzę sama na środku sali szkoleniowej, kiedy słyszę znajome 2-krotne pukanie do drzwi.

Od razu wiem, kto to jest.

– Witam panią.

Odwracam się gwałtownie, nie dlatego że jestem zaskoczona, słysząc głos Castle'a, ale dlatego że jestem zdumiona jego tonem. Ma zaciśnięte usta, obserwuje mnie spod zmrużonych powiek, a oczy mu błyszczą w fluorescencyjnym świetle.

Jest bardzo, bardzo zły.

Cholera.

– Przepraszam za to, co było w korytarzu – mówię. – Nie wie...

– Pani niestosowne demonstrowanie uczuć możemy omówić kiedy indziej, ale teraz muszę pani zadać bardzo ważne pytanie i radziłbym odpowiedzieć szczerze, tak szczerze, jak to tylko możliwe.

– O co... – Z trudem nabieram powietrza. – O co chodzi?

Castle przygląda mi się, mrużąc oczy.

– Odbyłem właśnie rozmowę z niejakim Aaronem Warnerem, który twierdzi, że może pani dotknąć bez żadnych konsekwencji i że pani jest tego w pełni świadoma.

Ale numer. W wieku 17 lat umarłam na udar.

– Muszę wiedzieć – ciągnie Castle – czy ta informacja jest prawdziwa, czy nie. I muszę to wiedzieć natychmiast.

Czuję się tak, jakbym język miała oblany klejem, czuję, że przywarł mi do zębów, do warg, do podniebienia i nie mogę mówić, nie mogę się ruszyć, jestem przekonana, że właśnie dostałam jakiegoś ataku, który spowodował zatrzymanie akcji serca, mam tętniaka albo coś równie paskudnego, ale nie mogę tego wyjaśnić Castle'owi, bo nie jestem w stanie poruszyć żuchwą ani o milimetr. Jego usta są tak mocno zaciśnięte, że się boję, że mogą się złamać.

– Mam wrażenie, że nie rozumie pani powagi tego pytania. Pani czas na odpowiedź minął jakieś trzydzieści sekund temu.

– Ja... ja...

– Muszę znać odpowiedź natychmiast, w tej chwili...

– Tak – wykrztuszam, czerwieniąc się aż po czubek głowy, zawstydzona, zażenowana, przerażona tak, jak tylko można być przerażonym.

Jedyne, o czym jestem w stanie myśleć, to Adam Adam Adam, jak Adam zareaguje na tę informację akurat tera z, dlaczego to się musi dziać tera z, dlaczego Warner w ogóle to powiedział, chciałabym go zabić za to, że to powiedział, to było coś, co tylko ja miałam prawo ujawnić, ukryć, uchronić.

Castle wygląda jak balon, który zakochał się w pinezce. Potem ona zbliżyła się do niego za bardzo i zniszczyła go bezpowrotnie.

– Więc to prawda?

Spuszczam wzrok.

– Tak, to prawda.

Zaskoczony i zrezygnowany siada na podłodze naprzeciwko mnie.

– Dlaczego to w ogóle możliwe, jak pani myśli?

Dlatego że Warner jest bratem Adama.

Nie mówię mu tego, bo to jest coś, co tylko Adam ma prawo powiedzieć. Nie będę o tym rozmawiała z Castle'em, dopóki Adam nie zdecyduje się tym z nim podzielić, chociaż tak bardzo chciałabym powiedzieć Castle'owi, że przyczyna tkwi w genach, że widocznie odziedziczyli podobny dar, Energię...

O Boże.

O, nie.

Warner jest jednym z nas.

## 49

– To wszystko zmienia. – Castle nawet na mnie nie patrzy. – To... To znaczy... To oznacza tyle różnych rzeczy. Będziemy musieli powiedzieć mu wszystko i poddać go badaniom, żeby to potwierdzić, ale jestem prawie pewien, że to jedyne wyjaśnienie. Zaproponuję mu, żeby tu został, i jeśli skorzysta z propozycji, dam mu zwykły pokój i będę go traktował jak jednego z nas. Z całą pewnością nie mogę go tu przetrzymywać jak więźnia...

– Co... Przecież... Dlaczego? To ten sam człowiek, który prawie zabił Adama! I Kenjiego!

– Musi pani zrozumieć... Ta informacja może całkowicie zmienić jego spojrzenie na życie. – Castle kręci głową, szeroko otwierając oczy i jedną rękę zbliżając do ust. – Może to znieść bardzo źle, a może być podekscytowany, może wręcz postradać rozum... może obudzić się rano jako zupełnie inny człowiek. Zdziwiłaby się pani, co tego typu odkrycia robią z ludźmi. Punkt Omega zawsze będzie czymś w rodzaju schronienia. Przysiągłem to sobie wiele lat temu. Nie mogę odmówić mu jedzenia i dachu nad głową, szczególnie gdyby jego ojciec miał go wyrzucić.

To nie może być prawda.

– Ale nie rozumiem – mówi nagle Castle, patrząc na mnie – dlaczego nic mi pani nie powiedziała. Dlaczego nie chciała się pani podzielić tą informacją? Powinniśmy wiedzieć takie rzeczy, przecież to w żaden sposób nie świadczy o pani źle...

– Nie chciałam, żeby Adam się dowiedział – wyznaję po raz pierwszy głosem, w którym pobrzmiewa 6 tonów wstydu. – Ja tylko... – Kręcę głową. – Nie chciałam, żeby się dowiedział.

Castle ma taką minę, jakby mi współczuł.

– Żałuję, że nie mogę pani pomóc zachować tego w tajemnicy. Myślę, że trudno w tej kwestii liczyć na dyskrecję Warnera.

Wpatruję się w porozkładane na podłodze maty.

– Jak to się stało, że on w ogóle o tym wspomniał? – pytam głosem, który mógłby należeć do małej dziewczynki. – Że poruszyliście ten temat?

Castle w zamyśleniu pociera podbródek.

– Sam mi o tym powiedział. Zaproponowałem, że się z nim przejdę, zabiorę go do łazienki i tak dalej, bo chciałem mu się przyjrzeć, wypytać go o ojca i zorientować się, co wie o naszych zakładnikach. Odniosłem wrażenie, że był w niezłej formie. Właściwie wyglądał i zachowywał się znacznie lepiej niż wtedy, kiedy się u nas pojawił. Był uległy, prawie uprzejmy. Ale wszystko zmieniło się dość drastycznie po tym, jak spotkaliśmy panią i pana Kenta w tym korytarzu...

Jego głos cichnie, oczy otwierają mu się szeroko, a umysł intensywnie pracuje nad dopasowaniem poszczególnych elementów. Wpatruje się we mnie w sposób, który zupełnie do niego nie pasuje, w sposób wyrażający bezgraniczne zdumienie.

Nie wiem, czy nie powinnam się obrazić.

– On jest w pani zakochany – szepcze Castle, jakby nagle doznał olśnienia. Śmieje się głośno, krótko. Kręci głową. – Uwięził panią, a przy okazji się w pani zakochał.

Wpatruję się w maty, jakby były najbardziej fascynującymi rzeczami, jakie w życiu widziałam.

– Och, nie zazdroszczę pani. To dość kłopotliwe położenie. Teraz rozumiem, dlaczego ta sytuacja jest dla pani niezręczna.

Chcę powiedzieć: Nie ma pan pojęcia. Nie ma pan pojęcia, bo nawet nie zna pan całej historii. Nie wie pan, że oni są braćmi ani jak bardzo się nienawidzą, ani że zgadzają się chyba tylko w jednej kwestii. Obaj chcą zabić swojego ojca.

Lecz żadnej z tych rzeczy nie mówię. W ogóle się nie odzywam.

Siedzę na matach z twarzą ukrytą w dłoniach i zastanawiam się, co jeszcze może pójść nie tak. Zastanawiam się, ile jeszcze błędów będę musiała popełnić, zanim sprawy wreszcie się ułożą.

Jeśli w ogóle kiedyś się ułożą.

## 50

Czuję się taka upokorzona.

Myślałam o tym przez całą noc i rano zdałam sobie sprawę, że Warner celowo powiedział Castle'owi, że może mnie dotknąć. Bo cały czas gra ze mną w swoje gierki, bo się nie zmienił, bo nadal by chciał, żebym wykonywała jego polecenia. Wciąż traktuje mnie jak część jakiegoś swojego wielkiego przedsięwzięcia i nie obchodzi go, że sprawia mi ból.

Nie pozwolę mu na to.

Nie pozwolę, żeby Warner mnie okłamywał, żeby manipulował moimi emocjami dla własnych celów. Nie mogę uwierzyć, że się nad nim litowałam, że pozwoliłam sobie na taką słabość, że zrobiło mi się go żal, kiedy zobaczyłam go z ojcem, że uwierzyłam w jego szczerość, kiedy mówił o moim dzienniku. Jestem taką naiwną gęsią.

Byłam idiotką, nie wiem, dlaczego w ogóle sądziłam, że mógłby być zdolny do ludzkich uczuć.

Zasugerowałam Castle'owi, że może teraz, skoro już wie, że Warner może mnie dotknąć, powinien jednak przydzielić do tego zadania kogoś innego. Że to może być niebezpieczne. Ale on tylko się śmiał i śmiał i śmiał, a potem powiedział:

– Oj, jestem całkowicie, absolutnie przekonany, że będzie się pani potrafiła obronić. Przypuszczam, że z nas wszystkich ma pani najlepsze predyspozycje do obrony przed nim. Poza tym to idealna sytuacja. Jeżeli on naprawdę jest w pani zakochany, to na pewno da się to jakoś wykorzystać. Potrzebujemy pani pomocy – dodał znowu z powagą w głosie. – W tej chwili potrzebujemy każdej pomocy, a pani ma największe szanse wydobyć z niego informacje. Proszę, proszę spróbować dowiedzieć się wszystkiego, co można. Czegokolwiek. Chodzi o życie Winstona i Brendana.

Ma rację.

Więc odkładam na bok swoje obawy, bo Winston i Brendan potrzebują pomocy. Zamierzam zrobić co w mojej mocy, żeby im pomóc.

Co oznacza, że znowu będę musiała rozmawiać z Warnerem.

Ale muszę zacząć go wreszcie traktować jak więźnia, którym jest. Koniec odbiegania od tematu. Nie dam się już zbić z tropu. Nigdy nigdy nigdy więcej. Będę lepsza. Sprytniejsza.

I chcę dostać z powrotem swój notatnik.

Strażnicy wpuszczają mnie do jego pokoju. Wchodzę pewnym krokiem, starannie zamykam za sobą drzwi, gotowa do wygłoszenia mowy, którą ułożyłam sobie zawczasu, i... nieruchomieję.

Nie wiem, czego się spodziewałam.

Może myślałam, że przyłapię go na próbie wydrążenia dziury w ścianie albo na knuciu intrygi mającej na celu wymordowanie wszystkich członków naszego podziemia, albo nie wiem nie wiem nie wiem już nic, bo potrafię tylko walczyć z wściekłym barbarzyńcą, aroganckim potworem i nie mam pojęcia, co zrobić z tym, co mam przed sobą.

On śpi.

Ktoś przyniósł tu materac, zwykły prostokąt, cienki, zniszczony i pewnie niezbyt wygodny, ale w każdym razie lepszy niż podłoga, a on śpi na nim w samych czarnych bokserkach.

Jego ubranie leży na podłodze.

Spodnie, koszulka i skarpety są lekko wilgotne, najwyraźniej zostały wyprane w rękach, wykręcone i rozłożone, żeby wyschły. Równiutko poskładany płaszcz ułożył na butach. Na płaszczu spoczywają obok siebie rękawiczki.

Odkąd weszłam do pokoju, w ogóle się nie poruszył.

Leży na boku, tyłem do ściany, z lewą ręką wsuniętą pod głowę, a prawą zwisającą luźno na torsie. Całe jego ciało jest ~~idealne~~ nagie, silne, gładkie i delikatnie pachnie mydłem. Nie wiem, dlaczego nie mogę oderwać od niego wzroku. To niezwykłe, ta moc snu, która sprawia, że nasze twarze wydają się tak delikatne i niewinne, tak spokojne i bezbronne. Chciałabym przestać na niego patrzeć, ale nie mogę. Tracę z oczu mój cel, zapominam o wszystkich postanowieniach, które powzięłam, zanim tutaj weszłam. Bo w nim jest coś... Zawsze w nim było coś, co mnie intrygowało, czego nie mogłam zrozumieć. Chciałabym umieć nie zwracać na to uwagi.

Patrzę na niego i zastanawiam się... Może to tylko moja naiwność?

A jednak widzę coś więcej prócz czerni i bieli – widzę odcienie złota, zieleni oraz człowieka, któremu nigdy nie dano szansy być prawdziwym człowiekiem. Zastanawiam się, czy okażę się równie okrutna jak moi oprawcy, jeśli uznam, że społeczeństwo ma rację, że niektórzy ludzie posunęli się zbyt daleko, że czasami nie można już się cofnąć z raz obranej drogi, że są na tym świecie ludzie, którzy nie zasługują na drugą szansę i nie mogę nie mogę nie mogę

nic nie mogę poradzić na to, że się nie zgadzam.

19 lat to za wcześnie, żeby kogoś przekreślić, 19 lat to dopiero początek, to nie czas, kiedy komuś można powiedzieć, że jego życie przyniosło światu wyłącznie zło.

Nie mogę się nie zastanawiać, jakie byłoby moje życie, gdyby kiedyś dano mi

szansę.

Więc się wycofuję. Odwracam się do wyjścia.

Pozwalam mu spać.

Zatrzymuję się.

Dostrzegam swój notatnik na materacu tuż obok jego prawej ręki. Jego palce wyglądają tak, jakby właśnie go wypuściły. To doskonała okazja, żeby go odzyskać.

Podchodzę na palcach, wdzięczna Winstonowi za to, że moje buty nie wydają żadnego dźwięku. Ale im bardziej zbliżam się do śpiącego Warnera, tym bardziej moją uwagę przyciąga coś, co ma na plecach.

Maleńka, prostokątna, niewyraźna czarna plama.

Mrugam.

Mrużę oczy.

Pochylam się.

To tatuaż.

Żadnych obrazków. Tylko 1 słowo. 1 słowo wydrukowane na samym środku górnej części jego pleców. Atramentem.

ZAPŁONĄĆ

A skórę na plecach ma poszatkowaną bliznami.

Krew napływa mi do głowy tak szybko, że chyba zaraz zemdleję. Jest mi niedobrze. Jakbym rzeczywiście, dosłownie, mogła za chwilę zwymiotować. Chciałabym móc wpaść w histerię, chciałabym kimś potrząsnąć, chciałabym wiedzieć, jak mam rozumieć uczucia, które mnie dławią, bo nie mogę sobie wyobrazić nie mogę sobie wyobrazić nie mogę sobie wyobrazić. co musiał przejść, skoro nosi takie ślady cierpienia na skórze.

Całe jego plecy są mapą bólu.

Grubą, cienką, nierówną, koszmarną. Poprzecinaną szramami jak drogami donikąd. Blizny po ranach ciętych i szarpanych, blizny, których pochodzenia nie potrafię odczytać, ślady tortur, jakich nie potrafiłabym sobie wyobrazić. To jedyne niedoskonałości na jego ciele, niedoskonałości ukryte i ukrywające własne sekrety.

I po raz kolejny zdaję sobie sprawę, że nie mam pojęcia, kim tak naprawdę jest Warner.

– Julio...

Zastygam.

– Co tutaj robisz? – Jego oczy są szeroko otwarte, czujne.

– P-przyszłam z tobą porozmawiać...

– Jezu! – wykrzykuje, odsuwając się ode mnie. – Bardzo mi to pochlebia, skarbie, ale mogłaś przynajmniej poczekać, aż włożę spodnie.

Wstaje i opiera się o ścianę, ale nie sięga po ubranie. Spogląda to na mnie, to na spodnie na podłodze, jakby nie wiedział, co zrobić. Wydaje się gotowy na wszystko, żeby tylko nie odwracać się do mnie plecami.

– Czy mogłabyś? – pyta z udawaną nonszalancją, wskazując ruchem głowy na leżące u moich stóp ubranie. Mimo tej pozy widzę, że w jego oczach czai się lęk. – Trochę tu chłodno.

Lecz ja nadal stoję wpatrzona w niego, w jego ciało i nie mogę uwierzyć, jak

nieskazitelne wydaje się z przodu. Silna, szczupła sylwetka, elastyczna i muskularna, ale nie zwalista. Jasna, ale nie blada skóra, muśnięta słońcem tylko tyle, ile trzeba, żeby wyglądać zdrowo. Ciało doskonałego chłopaka.

Jak pozory mogą kłamać.

Cóż za koszmarne, koszmarne kłamstwo.

Patrzy mi prosto w oczy. Jego tęczówki są jak niegasnące zielone płomienie, a jego pierś unosi się i opada tak szybko, tak szybko, tak szybko.

– Co się stało z twoimi plecami? – słyszę swój szept.

Patrzę, jak kolor odpływa z jego twarzy. Odwraca wzrok, przesuwa dłonią po ustach, podbródku, karku.

– Kto cię zranił? – pytam bardzo cicho.

Zaczynam rozpoznawać to dziwne uczucie, które miewam, zanim zrobię coś okropnego. Czuję, jak mnie ogarnia. W tej chwili wiem, że mogłabym za to kogoś zabić.

– Julio, proszę, moje ubranie...

– Czy to twój ojciec? – pytam, a mój głos brzmi trochę ostrzej. – Czy on ci to zrobił...

– To nie ma znaczenia. – Warner przerywa mi zrezygnowany.

– Oczywiście, że ma znaczenie!

Nie odpowiada.

– Ten tatuaż – mówię. – To słowo...

– Tak – mówi bardzo cicho. Odchrząkuje.

– Nie ro... – Mrugam. – Co to znaczy?

Warner kręci głową, mierzwi włosy.

– Czy to z jakiejś książki?

– Dlaczego cię to interesuje? – pyta, znowu odwracając wzrok. – Dlaczego nagle tak cię interesuje moje życie?

Nie wiem, chciałabym odpowiedzieć. Chciałabym odpowiedzieć, że nie wiem, ale to nieprawda.

Bo czuję to. Czuję szczęknięcia, obracanie się i skrzypienie miliona kluczy otwierających milion drzwi w moim umyśle. Zupełnie jakbym nareszcie pozwoliła sobie na zrozumienie, co naprawdę myślę, co tak naprawdę czuję, jakbym odkrywała własne sekrety. A potem obserwuję jego oczy, rysy jego twarzy, szukając czegoś, czego nie potrafię nawet nazwać. I zdaję sobie sprawę, że nie chcę już być jego wrogiem.

– To koniec – mówię do niego. – Tym razem nie jestem z tobą w bazie. Nigdy nie będę twoją bronią, a ty nie będziesz w stanie mnie przekonać, żebym zmieniła zdanie. Myślę, że już to wiesz. – Wpatruję się w podłogę. – Więc po co nadal z sobą walczymy? Dlaczego wciąż próbujesz mną manipulować? Dlaczego wciąż próbujesz mnie złapać na swoje sztuczki?

– Nie mam pojęcia – mówi, patrząc na mnie tak, jakby nie był nawet pewien, czy naprawdę istnieję. – Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz.

– Dlaczego powiedziałeś Castle'owi, że możesz mnie dotknąć? Nie miałeś prawa.

– Aaa. – Wypuszcza powietrze. – Jasne. – Wygląda tak, jakby wracał do siebie.

– Posłuchaj, skarbie, mogłabyś przynajmniej rzucić mi marynarkę, skoro już zamierzasz tu zostać i zadawać mi te pytania?

Rzucam mu marynarkę. Łapie ją. Siada na podłodze. I zamiast włożyć marynarkę, rozkłada ją sobie na kolanach. Wreszcie mówi:

– Tak, powiedziałem Castle'owi, że mogę cię dotknąć. Miał prawo wiedzieć.

– To nie jego interes.

– Oczywiście, że to jego interes. Cały ten mały świat, który stworzył, rozwija się właśnie dzięki takim informacjom. A ty jesteś tu, żyjesz wśród nich. Powinien wiedzieć.

– Nie musi o tym wiedzieć.

– Dlaczego to taka wielka sprawa? – pyta, bardzo uważnie studiując moje oczy. – Dlaczego tak bardzo cię martwi, że ktoś się dowie, że mogę cię dotknąć? Dlaczego to miałaby być jakaś tajemnica?

Usiłuję znaleźć słowa, które się nie pojawiają.

– Martwisz się o Kenta? Myślisz, że nie podobałoby mu się, gdyby wiedział, że mogę cię dotknąć?

– Nie chciałam, żeby dowiedział się w ten sposób...

– Ale dlaczego to takie ważne? – Nie ustępuje. – Przywiązujesz tak wielką wagę do czegoś, co nie ma znaczenia, co nie ma wpływu na twoje życie? To nie powinno mieć znaczenia. Nie, jeżeli nadal twierdzisz, że czujesz do mnie wyłącznie nienawiść. Bo tak przecież powiedziałaś, prawda? Że mnie nienawidzisz?

Siadam na podłodze naprzeciwko Warnera. Podciągam kolana pod brodę. Skupiam wzrok na przypadkowym kamieniu pod stopami.

– Nie nienawidzę cię.

Mam wrażenie, że Warner przestał oddychać.

– Czasami wydaje mi się, że cię rozumiem. Naprawdę. Ale kiedy zaczynam myśleć, że tak jest, ty znowu mnie zaskakujesz. Nie wiem, kim jesteś ani kim będziesz za chwilę. – Podnoszę wzrok. – Ale wiem, że już cię nie nienawidzę. Starałam się. Bardzo się starałam. Bo zrobiłeś tyle strasznych, strasznych rzeczy. Niewinnym ludziom. Mnie. Ale teraz za dużo o tobie wiem. Za dużo widziałam. Jesteś za bardzo ludzki.

Jego włosy są takie złote. Jego oczy takie zielone. Jego głos pełen udręki.

– Chcesz powiedzieć, że moglibyśmy zostać przyjaciółmi?

– N-nie wiem. – Czuję się jak sparaliżowana, całkowicie sparaliżowana w obliczu takiej możliwości. – Nie myślałam o tym. Ja tylko mówię, że nie potrafię... – Waham się, nabieram powietrza. – Nie potrafię cię już nienawidzić. Nawet gdybym chciała. Naprawdę chcę i wiem, że powinnam, ale po prostu nie potrafię.

Odwraca wzrok.

I uśmiecha się.

To taki uśmiech, który sprawia, że nic już nie wiem i niczego nie umiem poza mruganiem, więc mrugam i nie rozumiem, co się ze mną dzieje. Nie wiem, dlaczego nie mogę skupić wzroku na czymś innym.

Nie wiem, dlaczego moje serce traci rozum.

Warner dotyka mojego notatnika. Wygląda to tak, jakby nawet nie zdawał sobie sprawy, że to robi. Jego palce przesuwają się po tekturowej okładce, raz, drugi,

a potem zauważa, że mu się przyglądam, i nieruchomieje.

– Naprawdę ty to napisałaś? – Znowu dotyka notatnika. – To wszystko?

Kiwam głową.

– Julio – mówi.

Przestaję oddychać.

– Bardzo bym chciał. Być twoim przyjacielem. Naprawdę.

A ja naprawdę nie wiem, co się dzieje w moim mózgu.

Może to dlatego, że on czuje się pokonany, a ja jestem na tyle głupia, że myślę, że mogę go zmienić. Może to dlatego, że widzę siebie, widzę 3-, 4-, 5-, 6-, 17-letnią Julię, porzuconą, zaniedbaną, maltretowaną, wciąż karaną za coś, na co nie ma żadnego wpływu, i myślę o Warnerze jak o kimś, kto jest taki sam jak ja. To po prostu ktoś, komu nigdy nie dano szansy. Myślę o tym, jak wszyscy już go nienawidzą, jak nienawiść do niego jest powszechnie przyjętą normą.

Warner jest obrzydliwy.

To nie podlega dyskusji, nie budzi wątpliwości, nie ma co do tego zastrzeżeń. Uznano, że jest nikczemnym stworzeniem, które swoją pozycję zawdzięcza władzy, mordowaniu i dręczeniu innych.

Ale ja chcę wiedzieć na pewno. Potrzebuję wiedzieć. Muszę wiedzieć.

To przecież takie proste.

Bo jeśli pewnego dnia ja się potknę? Jeśli pewnego dnia wpadnę w szczelinę i nikt nie będzie chciał wyciągnąć mnie z powrotem? Co wtedy się ze mną stanie?

Więc patrzę mu w oczy. Biorę głęboki oddech.

I uciekam.

Za drzwi.

**51**

*Chwileczkę.*

*Jeszcze sekundę jeszcze minutę proszę o jeszcze 1 godzinę może weekend na przemyślenie to nie tak wiele to nie takie trudne o >nic więcej nie proszę to tak niewiele.*

*A potem te chwile te sekundy te minuty te godziny te dni i lata zlały się w jedną wielką pomyłkę, jedną nadzwyczajną okazję, która uciekła nam sprzed nosa, bo nie potrafiliśmy zdecydować, nie mogliśmy zrozumieć, bo potrzebowaliśmy więcej czasu, bo nie wiedzieliśmy, co zrobić.*

*Nie wiemy nawet, co zrobiliśmy.*

*Nie mamy pojęcia, jak się tu w ogóle znaleźliśmy, skoro wszystko, czego pragnęliśmy, to wstać rano i pójść spać wieczorem, i może zatrzymać się na lody w drodze powrotnej do domu, a tamta jedna decyzja, tamten jeden wybór to cała prawda o nas samych, o tym, co znaliśmy i w co wierzyliśmy. I co teraz?*

*Co*

*dalej?*

## 52

Robi się coraz gorzej.

Napięcie wśród mieszkańców Punktu Omega rośnie z każdą godziną. Bezskutecznie próbujemy nawiązać kontakt z ludźmi Andersona. Nie mamy wieści z jego sztabu ani od jego żołnierzy, nie wiadomo, co się dzieje z naszymi zakładnikami. Ale cywile zamieszkujący Sektor 45 – sektor, którym rządził Warner, sektor, który nadzorował – są coraz bardziej zaniepokojeni. Plotki o naszym podziemiu szerzą się zbyt szybko.

Propaganda Komitetu Odnowy usiłowała zbagatelizować doniesienia o stoczonej przez nas bitwie, nazywając ją atakiem garstki wywrotowców, ale ludzie są coraz mądrzejsi. Zaczynają wybuchać protesty, niektórzy odmawiają pracy, przeciwstawiają się władzy, próbują uciekać z osiedli i wracać na terytoria nieuregulowane.

Takie rzeczy nigdy nie kończą się dobrze.

Straty są coraz większe i Castle nie chce się temu biernie przyglądać. Wszyscy czujemy, że znowu trzeba będzie wyruszyć na zewnątrz, i to niebawem. Nie otrzymaliśmy żadnych raportów o śmierci Andersona, co oznacza, że prawdopodobnie tylko gra na zwłokę – a może Adam ma rację i po prostu wraca do zdrowia. Lecz milczenie Andersona nie może oznaczać niczego dobrego, niezależnie od tego, co jest jego powodem.

– Co pani tu robi? – pyta mnie Castle.

Właśnie odebrałam kolację. Właśnie usiadłam przy tym samym stole co zwykle, z Adamem, Kenjim i Jamesem. Mrugam zdezorientowana.

– Co się dzieje? – pyta Kenji.

– Czy coś się stało? – pyta Adam.

– Bardzo panią przepraszam – mówi Castle. – Nie chciałem przeszkadzać. Dziwię się tylko, widząc panią tutaj. Myślałem, że ma pani zadanie do wykonania.

– Och. – Zaskoczył mnie. Zerkam na swój talerz i z powrotem na Castle'a. – Ja... No tak, mam... Ale rozmawiałam już z Warnerem dwa razy... Widziałam się z nim wczoraj...

– Och, to wspaniała wiadomość. Wspaniała. – Castle splata dłonie, na jego twarzy maluje się ulga. – I czego udało się pani dowiedzieć?

Patrzy na mnie z taką nadzieją, że zaczynam się wstydzić.

Wszyscy na mnie patrzą, a ja nie wiem, co robić. Nie wiem, co powiedzieć.

Kręcę głową.

– Ach. – Castle opuszcza ręce. Spuszcza wzrok. Kiwa głową. – Rozumiem. Uznała pani, że dwie wizyty to aż nadto? – Nie patrzy na mnie. – Jaka jest pani fachowa opinia? Uważa pani, że w tej konkretnej sytuacji nie należy się spieszyć? Że Winston i Brendan będą sobie spokojnie odpoczywali, czekając, aż znajdzie pani w swoim napiętym harmonogramie wolny termin i przesłucha jedyną osobę, która może nam pomóc w znalezieniu ich? Czy myśli pani, że...

– Już idę. – Zabieram tacę i zrywam się od stołu, o mało się nie przewracając.

– Przepraszam, ja tylko... Już idę. Do zobaczenia przy śniadaniu – szepczę do chłopaków i wybiegam z jadalni.

Brenda i Winston

Brenda i Winston

Brendan i Winston, powtarzam sobie.

Kiedy jestem w drzwiach, dobiega mnie śmiech Kenjiego.

Wygląda na to, że nie jestem zbyt dobra w prowadzeniu przesłuchań.

Mam do Warnera mnóstwo pytań, które nie mają nic wspólnego z sytuacją naszych zakładników. W dodatku za każdym razem, kiedy postanawiam wreszcie zadać właściwe pytania, Warnerowi jakoś udaje się odwrócić moją uwagę. Zupełnie jakby wiedział, o czym chcę rozmawiać, i był przygotowany na zmianę tematu.

Jestem zupełnie skołowana.

– Masz jakieś tatuaże? – pyta z uśmiechem, opierając się o ścianę. Jest ubrany w swój podkoszulek, spodnie i skarpetki. Nie ma na nogach butów. – Teraz prawie każdy ma tatuaż.

Nigdy bym się nie spodziewała, że będę prowadziła tego rodzaju rozmowy z Warnerem.

– Nie. Nie miałam okazji sobie zrobić. Poza tym nie sądzę, żeby ktoś odważył się tego podjąć.

Przygląda się swoim dłoniom. Uśmiecha się.

– Może pewnego dnia – mówi.

– Może – przytakuję.

Cisza.

– Więc o co chodzi z twoim tatuażem? – pytam. – Dlaczego „ZAPŁONĄĆ”?

Uśmiecha się szerzej. Znowu dołeczki. Kręci głową.

– Dlaczego nie? – mówi.

– Nie rozumiem. – Przekrzywiam głowę zdezorientowana. – Chcesz pamiętać o tym, żeby zająć się ogniem?

Powstrzymuje śmiech.

– Parę liter nie zawsze tworzy słowo, skarbie.

– Nie... Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Bierze głęboki oddech. Prostuje się.

– Więc – mówi – to prawda, że kiedyś dużo czytałaś?

Zaskoczył mnie. To dziwne pytanie i mimo woli zastanawiam się przez chwilę, czy coś się za tym kryje. Czy przyznanie się do czegoś takiego może przysporzyć mi kłopotów. A potem przypominam sobie, że to Warner jest moim zakładnikiem, a nie odwrotnie.

– Tak – mówię. – Czytałam.

Jego uśmiech przybiera nieco poważniejszą, wystudiowaną postać. Jego twarz jest starannie wytarta z uczuć.

– A kiedy miałaś okazję czytać?

– Co masz na myśli?

Wzrusza ramionami, patrzy w przestrzeń.

– Po prostu to dziwne, że dziewczyna, która przez całe życie była izolowana od otoczenia, miała dostęp do literatury. Szczególnie w tym świecie.

Nic nie mówię.

On nic nie mówi.

Oddycham. Słucham bicia swojego serca.

– Nigdy... Nigdy nie wybierałam książek – mówię i nie wiem, dlaczego czuję się zdenerwowana, mówiąc o tym głośno, dlaczego ciągle zapominam, że nie muszę szeptać. – Czytałam wszystko, co wpadło mi w ręce. W szkołach zawsze były biblioteki, a moi rodzice też mieli w domu jakieś książki. A później... – Waham się. – Później kilka lat spędziłam w ~~szpitalach, na oddziałach psychiatrycznych~~ centrum zatrzymań dla młodocianych przestępców.

Jak na zawołanie moją twarz ogarniają płomienie. Zawsze jest gotowa się wstydzić za moją przeszłość, za to, kim byłam i wciąż jestem.

Ale zauważyłam też coś dziwnego.

Choć ta szczerość kosztuje mnie dużo wysiłku, to jednocześnie w jakimś sensie czuję się komfortowo, rozmawiając z Warnerem. Bezpiecznie. Pewnie.

Bo on już i tak wszystko o mnie wie.

Zna każdy szczegół z 17 lat mojego życia. Ma całą moją dokumentację medyczną, wie o moich problemach z policją i o tym, jak bolesny ~~jest~~ był dla mnie brak akceptacji rodziców. A teraz jeszcze przeczytał mój dziennik.

Nic, z czego mogłabym mu się zwierzyć, nie może go zaskoczyć, nic, co zrobiłam, nie może go zszokować ani przerazić. Nie martwię się, że będzie mnie oceniał albo że ode mnie ucieknie.

Kiedy zdaję sobie z tego sprawę, czuję dreszcz na całym ciele.

~~I coś w rodzaju ulgi.~~

– Zawsze były jakieś książki pod ręką – ciągnę ze wzrokiem wbitym w podłogę. To dziwne, ale teraz jakoś nie mogę przestać mówić. – W centrum zatrzymań. W większości stare, zniszczone, bez okładek, więc nie zawsze wiedziałam, co czytam ani kto to napisał. Czytałam wszystko, co udało mi się znaleźć. Baśnie, kryminały, książki historyczne i poezję. Nie miało znaczenia, co to jest. Czytałam wciąż od nowa, od nowa, od nowa. Te książki... dzięki nim udało mi się nie zwariować.

Milknę, zanim powiem znacznie więcej. Ogarnia mnie przerażenie, kiedy zdaję sobie sprawę, jak wielką mam ochotę mu się zwierzać. Warnerowi.

Odrażającemu Warnerowi, który próbował zabić Adama i Kenjiego. Który zrobił ze mnie swoją zabawkę.

Samo to, że czuję się przy nim na tyle bezpiecznie, żeby z nim tak swobodnie rozmawiać, wydaje mi się karygodne. Że z wszystkich ludzi to właśnie Warner jest jedyną osobą, z którą mogę być całkowicie szczera. Zawsze czułam się tak, jakbym musiała chronić Adama przed samą sobą, przed koszmarną historią, jaką jest moje życie. Zawsze bałam się go przerazić albo powiedzieć mu zbyt wiele – ze strachu, że się zorientuje, jaką popełnił pomyłkę, ufając mi i obdarzając mnie uczuciem.

A przed Warnerem niczego nie muszę ukrywać.

Chcę zobaczyć jego minę, chcę się przekonać, co myśli teraz, kiedy się otworzyłam, pozwoliłam mu popatrzeć na swoją przeszłość z własnej perspektywy, ale nie mogę zdobyć się na to, żeby spojrzeć mu w oczy. Więc trwam w bezruchu. Na moim ramieniu przysiada upokorzenie. Warner się nie odzywa, nie porusza się ani o

centymetr, nie wydaje żadnego dźwięku. Sekundy przelatują całą chmarą po pokoju, a ja chciałabym je wytłuc jak muchy albo wyłapać po kolei i powpychać do kieszeni na wystarczająco długo, żeby zatrzymać czas.

Wreszcie Warner przerywa milczenie.

– Ja też lubię czytać – mówi.

Podnoszę wzrok zaskoczona.

Znowu siedzi oparty o ścianę, trzymając jedną rękę we włosach. Przesiewa przez palce kolejne garście złota. Opuszcza rękę. Patrzy mi w oczy. Jego oczy są takie zielone, takie zielone.

– Lubisz czytać? – pytam.

– Czy to cię dziwi?

– Myślałam, że Komitet Odnowy miał zniszczyć wszystkie książki. Myślałam, że teraz to nielegalne.

– Miał zniszczyć i zniszczy – mówi, przesuwając się trochę. – Niedługo. Część właściwie już została zniszczona. – Po raz pierwszy wygląda, jakby czuł się niezręcznie. – Cóż za ironia losu. Zacząłem czytać dopiero wtedy, kiedy decyzja o zniszczeniu książek już została podjęta. Dostałem do przejrzenia kilka list, żeby zdecydować, które rzeczy zatrzymamy, których się pozbędziemy, które przeznaczymy do recyklingu, na papier do druku materiałów propagandowych albo podręczników do wykorzystania w nowym programie nauczania.

– I uważasz, że tak powinno być? – pytam. – Że trzeba zniszczyć to, co zostało z kultury, wszystkie języki, wszystkie teksty? Zgadzasz się z tym?

Znowu bawi się moim notatnikiem.

– Wiele... wiele rzeczy zrobiłbym inaczej, gdyby to ode mnie zależało. – Głęboki oddech. – Ale żołnierz nie zawsze musi się zgadzać z rozkazem, który ma wykonać.

– Co zrobiłbyś inaczej – pytam – gdyby to od ciebie zależało?

Śmieje się. Wzdycha. Zerka na mnie z uśmiechem drgającym w kąciku oka.

– Zadajesz za dużo pytań.

– Nic na to nie poradzę – mówię. – Wydajesz się teraz zupełnie inny. Wszystko, co mówisz, mnie zaskakuje.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Po prostu jesteś... taki spokojny. Mniej szalony.

Śmieje się bezgłośnie. Jego pierś cicho się trzęsie.

– Całe moje życie to jedna wielka bitwa i zniszczenie. Bycie tutaj? – Rozgląda się. – Z dala od obowiązków, odpowiedzialności. Śmierci – mówi ze wzrokiem wbitym w ścianę. – To jak wakacje. Nie muszę bez przerwy myśleć. Nie muszę nic robić, z nikim rozmawiać, nigdzie być. Jeszcze nigdy nie miałem tylu godzin na to, żeby po prostu spać. – Uśmiecha się. – To prawdziwy luksus. Może powinienem częściej być zakładnikiem – dodaje, przede wszystkim do siebie.

A ja przyglądam się mu badawczo.

Przyglądam się jego twarzy z uwagą, na jaką jeszcze nigdy się nie odważyłam. Uświadamiam sobie, że nie mam zielonego pojęcia, jak wygląda jego życie. Powiedział mi kiedyś, że nie potrafiłabym zrozumieć praw rządzących jego światem, ale dopiero teraz zaczynam w pełni zdawać sobie sprawę, ile w tym racji. Nie wiem

nic o jego krwawej, pełnej rygorów egzystencji. Teraz jednak chciałabym się dowiedzieć.

Teraz chciałabym zrozumieć.

Obserwuję jego ostrożne ruchy, wysiłek, jaki wkłada w to, żeby wydawać się beztroskim, zrelaksowanym. Widzę, że to wszystko jest wystudiowane. Widzę, że każde przesunięcie, każde poruszenie jego ciała jest zamierzone. Dotyka ręką podłogi, ściany, wpatruje się w drzwi, studiuje ich kontur, zawiasy, klamkę. Widzę, jak nieznacznie napina mięśnie, słysząc szmery, skrzypienie metalu, ściszone głosy na korytarzu. Cały czas jest czujny, zawsze spięty, gotowy do walki, do obrony. Zastanawiam się, czy wie, czym jest spokój. Bezpieczeństwo. Czy kiedyś mógł przespać noc. Czy mógł dokądś pójść, nie oglądając się ciągle przez ramię.

Siedzi ze splecionymi rękami.

Bawi się obrączką na lewej ręce, kręcąc i kręcąc i kręcąc nią wokół małego palca. Nie mogę uwierzyć, że dopiero teraz zauważyłam u niego to nefrytowe kółko o bladym odcieniu zieleni, idealnie dopasowanym do koloru jego oczu. I nagle, ni stąd, ni zowąd, przypominam sobie, że już je widziałam.

Tylko raz.

Tylko przelotnie, z daleka, następnego dnia po tym, jak zraniłam Jenkinsa. Kiedy Warner przyszedł zabrać mnie ze swojego pokoju. Zauważył, że przyglądam się jego dłoniom, i szybko schował je za plecami.

To trochę jak *déjà vu*.

Teraz też widząc, że patrzę na jego dłoń, szybko zaciska ją w pięść i przykrywa drugą ręką.

– Co...

– To tylko obrączka – mówi. – Nic takiego.

– Dlaczego ją chowasz, skoro to nic takiego?

Moja ciekawość została rozbudzona, chwytam się każdej okazji, żeby zajrzeć do jego wnętrza, żeby się zorientować, co naprawdę dzieje się w jego głowie.

Wzdycha.

Zgina i prostuje palce. Patrzy na swoje ręce, trzymając je przed sobą z rozstawionymi palcami. Zsuwa obrączkę z małego palca, podnosi ją w górę i przygląda się jej we fluorescencyjnym świetle. To małe zielone O. Wreszcie patrzy mi w oczy. Upuszcza obrączkę na dłoń i zaciska palce.

– Nie powiesz mi? – pytam.

Kręci głową.

– Dlaczego?

Pociera bok szyi, rozmasowując napięcie w dolnej części karku, w miejscu, gdzie zaczynają się plecy. Nie mogę odwrócić wzroku. Nie mogę się powstrzymać od zastanawiania się, jakie by to było uczucie, gdyby ktoś w taki sposób uwolnił ból z mojego ciała. Jego ręce wydają się takie silne.

Już prawie zapomniałam, o czym rozmawialiśmy, kiedy mówi:

– Mam tę obrączkę od prawie dziesięciu lat. Kiedyś pasowała na mój palec wskazujący. – Zerka na mnie, a potem odwraca wzrok. – I nie rozmawiam o niej.

– Nigdy?

– Nigdy.

– Aha. – Przygryzam dolną wargę. Rozczarowana.

– Lubisz Szekspira? – pyta.

Dziwny przeskok.

Kręcę głową.

– Wiem o nim tylko tyle, że ukradł mi imię.

Warner wpatruje się we mnie przez pełną sekundę, a potem wybucha śmiechem – głośnym, niepowstrzymanym huraganem śmiechu – próbuje go opanować i nie udaje się mu.

Nagle czuję się niezręcznie, robię się nerwowa w towarzystwie tego dziwnego chłopaka, który się śmieje, nosi tajemnicze obrączki i wypytuje mnie o książki i poezję.

– To nie miało być śmieszne – mówię z trudem.

Ale jego oczy są nadal pełne uśmiechów.

– Nie martw się. Nie wiedziałem o nim zbyt wiele aż do mniej więcej zeszłego roku. Dalej nie rozumiem połowy rzeczy, które napisał, więc pewnie większości się pozbędziemy, ale jest taki kawałek, który naprawdę mi się spodobał.

– Jaki?

– Chcesz zobaczyć?

– Zobaczyć?

Warner już jest na nogach i odpina spodnie, a ja zastanawiam się, co jest grane, obawiam się, że zostałam wmanewrowana w jakąś jego nową chorą zabawę, kiedy on nieruchomieje. Dostrzega moją przerażoną minę.

– Nie martw się, skarbie – mówi. – Nie rozbiorę się do naga, obiecuję. To tylko jeszcze jeden tatuaż.

– Gdzie? – pytam, bojąc się poruszyć.

Chcę odwrócić wzrok, a jednocześnie nie chcę go odwrócić.

On nie odpowiada.

Rozpięte spodnie zwisają mu nisko na biodrach. Pod spodem wystają mu bokserki. Zsuwa je i zsuwa, aż zatrzymują się poniżej jego kości biodrowej.

Czerwienię się aż po linię włosów.

Nigdy dotąd nie widziałam tak intymnej części ciała żadnego chłopaka i nie mogę oderwać wzroku od Warnera. Kiedy byliśmy sami z Adamem, zawsze było ciemno, w dodatku zawsze ktoś nam przerywał. Nie widziałam zbyt wiele, nie dlatego że nie chciałam, ale dlatego że po prostu nie miałam takiej szansy. Teraz Warner stoi dokładnie naprzeciwko mnie w pełnym świetle, a ja jestem zaintrygowana, wprost zafascynowana kształtem jego sylwetki. Mimo woli zwracam uwagę na zwężenie w pasie, które przechodzi w biodra i znika pod kawałkiem materiału. Ciekawe, jak by to było znać kogoś bez takich barier jak ubranie.

Znać kogoś tak dobrze, w sposób tak intymny.

Chciałabym poznać tajemnice schowane na wysokości jego łokci i pod kolanami. Chciałabym prześledzić wzrokiem i opuszkami palców linie jego sylwetki. Chciałabym odnaleźć rzeki i doliny wokół rzeźbionych mięśni.

Szokują mnie moje myśli.

W moim żołądku pojawia się jakieś rozpaczliwe ciepło, na które chciałabym móc nie zwracać uwagi. W mojej piersi są motyle, których obecność chciałabym

umieć usprawiedliwić. Gdzieś w głębi duszy czuję ból, którego wolałabym nie nazywać.

~~Boski.~~

~~Jest taki boski.~~

Ja chyba oszalałam.

– To ciekawe – mówi. – I bardzo... aktualne, według mnie. Chociaż zostało napisane tak dawno temu.

– Co?

Z wysiłkiem odrywam oczy od dolnej połowy jego ciała i staram się powstrzymać wyobraźnię od dorysowywania niewidocznych szczegółów. Spoglądam na słowa wytatuowane na jego skórze i tym razem się skupiam.

– A – mówię. – Tak.

2 linijki. Wypisane czcionką jak w maszynie do pisania, na samym dole jego brzucha.

piekło jest puste
wszystkie diabły są tu

Tak. Ciekawe. Tak. Oczywiście.

Chyba muszę się położyć.

– Książki łatwo jest zniszczyć – mówi, podciągając bokserki i z powrotem zapinając spodnie. – Ale słowa żyją tak długo, jak długo ludzie je pamiętają. Tatuaże, na przykład, bardzo trudno zapomnieć. – Zapina guzik. – Może to jakaś nietrwałość współczesnego życia powoduje tę potrzebę wstrzykiwania sobie atramentu pod skórę. To nam przypomina, że zostaliśmy naznaczeni przez świat, że nadal żyjemy. Że nigdy nie zapomnimy.

– Kim ty właściwie jesteś?

Nie znam tego Warnera. Nie poznaję go.

Uśmiecha się do siebie. Z powrotem siada.

– Nikt inny nie musi tego wiedzieć.

– Nie rozumiem.

– Ja wiem, kim jestem – mówi. – I to wystarczy.

Przez chwilę milczę. Marszczę czoło, wpatrując się w podłogę.

– To musi być wspaniałe, iść przez życie z taką pewnością siebie.

– Ty jesteś pewna siebie – mówi. – Jesteś uparta i odporna. Dzielna. Silna. Tak nieludzko piękna. Mogłabyś podbić świat.

Zaczynam się śmiać, podnoszę wzrok, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Za dużo płaczę. I nie interesuje mnie podbój świata.

– To coś, czego nigdy nie zrozumiem. – Kręci głową. – Zupełnie jakbyś się bała. Boisz się tego, czego nie znasz. Za bardzo się martwisz, że rozczarujesz ludzi. Dławisz swój potencjał, bo przejmujesz się tym, czego, jak ci się zdaje, oczekują od ciebie inni. Bo przestrzegasz zasad, które ktoś ci narzuca. – Patrzy na mnie surowo. – Chciałbym, żebyś tego nie robiła.

– Chciałabym, żebyś przestał liczyć na to, że wykorzystam swoją moc do zabijania ludzi.

Wzrusza ramionami.

– Nigdy nie twierdziłem, że musisz. Ale gdzieś po drodze to się zdarzy, to nieuchronne podczas wojny. Zabijanie jest, statystycznie rzecz biorąc, niemożliwe do uniknięcia.

– Żartujesz, prawda?

– Oczywiście, że nie.

– Zawsze można uniknąć zabijania ludzi, Warner. Można tego uniknąć, unikając wojny.

Ale on tylko uśmiecha się zniewalająco, zupełnie nie słuchając tego, co mówię.

– Uwielbiam, kiedy wymawiasz moje imię – mówi. – Nawet nie wiem dlaczego.

– Warner to nie jest twoje imię – zauważam. – Masz na imię Aaron.

Jego uśmiech się rozszerza, jest taki szeroki.

– Boże, uwielbiam to.

– Swoje imię.

– Tylko wtedy, kiedy ty je wymawiasz.

– Aaron? Czy Warner?

Jego oczy się zamykają. Opiera głowę o ścianę. Dołeczki.

Nagle uświadamiam sobie boleśnie, co robię. Siedzę i gawędzę sobie z Warnerem, jakbyśmy mieli mnóstwo czasu do stracenia. Jakby na zewnątrz, nad nami, nie walił się świat. Nie rozumiem, dlaczego godzę się na to, żeby to on kierował rozmową. Obiecuję sobie, że więcej mu na to nie pozwolę. Ale kiedy otwieram usta, on mówi:

– Nie oddam ci twojego notatnika.

Moje usta się zamykają.

– Wiem, że chcesz go z powrotem, ale obawiam się, że będę go musiał zatrzymać na zawsze.

Podnosi go, żeby mi pokazać. Śmieje się. A potem wkłada go do kieszeni. W jedyne miejsce, do którego nie ośmieliłabym się sięgnąć.

– Dlaczego? – pytam mimo woli. – Dlaczego tak bardzo chcesz go mieć?

Stanowczo zbyt długo mi się przygląda. Nie odpowiadając na moje pytanie. A potem mówi:

– „W najciemniejsze dni musisz szukać plamy światła, w najzimniejsze dni musisz szukać ciepłego miejsca, w najbardziej ponure dni musisz kierować oczy przed siebie i w niebo, a w najsmutniejsze dni musisz zostawić je otwarte i pozwolić im płakać. Pozwolić im wyschnąć. Zmyć ból, żeby mogły znowu widzieć świeżo i jasno”.

– Nie mogę uwierzyć, że to zapamiętałeś – szepczę.

Znowu opiera się o ścianę. Znowu zamyka oczy.

– „Nic w tym życiu nigdy nie będzie miało dla mnie sensu, ale i tak nie przestaję domagać się swojej reszty i mam nadzieję, że ona wystarczy, żeby zapłacić za nasze błędy”.

– To też napisałam? – pytam, nie mogąc uwierzyć, że recytuje słowa, które kiedyś wypadły z moich ust prosto na opuszki palców krwawiących na kartkę papieru. Wciąż nie mogę uwierzyć, że on naprawdę został wtajemniczony w moje myśli, w uczucia, które wychwyciłam udręczonym umysłem i wtłoczyłam w zdania,

a potem wepchnęłam zdania w akapity. W moje rozważania, które pospinałam znakami przestankowymi pełniącymi wyłącznie tę funkcję, że określają, gdzie kończy się jedna myśl i zaczyna następna.

Ten jasnowłosy chłopak ma na ustach moje sekrety.

– Napisałaś wiele rzeczy – mówi, nie patrząc na mnie. – O swoich rodzicach, swoim dzieciństwie, swoich doświadczeniach z innymi ludźmi. O nadziei i odkupieniu, i o tym, jak by to było zobaczyć ptaka w locie. Pisałaś o bólu. I o tym, jak to jest myśleć, że jest się potworem. Jak to jest być osądzanym przez wszystkich, zanim jeszcze wypowiedziało się do nich choćby dwa słowa. – Głęboki wdech. – Miałem wrażenie, że widzę siebie na tych kartkach – szepcze. – Zupełnie jakbym czytał coś, czego sam nigdy nie potrafiłem wyrazić.

A ja chciałabym, żeby moje serce wreszcie zamilkło zamilkło zamilkło zamilkło.

– Nie ma dnia, żebym nie żałował tego, co zrobiłem – mówi, a jego słowa są teraz ledwie oddechem. – Przykro mi, że wierzyłem w to, co o tobie słyszałem. Że krzywdziłem cię, kiedy myślałem, że ci pomagam. Nie mogę przeprosić za to, kim jestem. Ta część mnie jest już stracona, zrujnowana. Poddałem się dawno temu. Ale żałuję, że nie rozumiałem cię lepiej. Wszystko, co robiłem, robiłem dlatego, że chciałem ci pomóc stać się silniejszą. Chciałem, żebyś wykorzystała swój gniew jako narzędzie, jako broń, żebyś mogła okiełznać siłę, którą masz w sobie. Chciałem, żebyś nauczyła się walczyć ze światem. Prowokowałem cię celowo – mówi. – Pchałem cię za daleko, za mocno, robiłem rzeczy, które miały cię przerazić, wstrząsnąć tobą. To wszystko robiłem celowo. Sam byłem w taki sposób przygotowywany na koszmar tego świata. Tak właśnie uczono mnie, jak się bronić. I chciałem nauczyć tego ciebie. Wiedziałem, że masz potencjał, żeby być kimś więcej, niż byłaś, kimś znacznie więcej. Widziałem w tobie wielkość.

Patrzy na mnie. Naprawdę, naprawdę na mnie patrzy.

– Wiem, że dalej będziesz dokonywała niezwykłych rzeczy – mówi. – Zawsze to wiedziałem. Chyba po prostu chciałem być tego częścią.

Próbuję. Bardzo się staram przypomnieć sobie wszystkie powody, dla których powinnam go nienawidzić, próbuję sobie przypomnieć wszystkie te koszmarne rzeczy, które robił na moich oczach. Ale to jedna wielka udręka, bo zbyt dobrze rozumiem, jak to jest być dręczonym. Robić coś dlatego, że nie potrafi się zrobić tego inaczej. Robić coś, myśląc, że to właściwe, bo nikt nie nauczył nas, że to jest złe.

Tak trudno jest być dobrym dla świata, który przez całe życie darzył nas wyłącznie nienawiścią.

Tak trudno jest widzieć dobro w świecie, który zawsze budził w nas strach.

Chciałabym coś mu powiedzieć. Coś głębokiego, przenikliwego i zapadającego w pamięć, lecz on wygląda tak, jakby rozumiał. Obdarza mnie dziwnym, drżącym uśmiechem, który nie sięga jego oczu, ale tak wiele mówi.

I wtedy

– Powiedz swoim ludziom – mówi – żeby byli gotowi do wojny. O ile plany się nie zmieniły, pojutrze mój ojciec rozkaże zaatakować cywilów i to będzie prawdziwa masakra. Poza tym to najlepsza i jedyna szansa uratowania waszych ludzi. Są przetrzymywani gdzieś na dolnych piętrach kwatery głównej Sektora 45.

Obawiam się, że to wszystko, co mogę ci powiedzieć.

– Skąd...

– Wiem, dlaczego tu jesteś, skarbie. Nie jestem idiotą. Wiem, dlaczego zmuszają cię do spędzania ze mną czasu.

– Ale dlaczego tak łatwo dzielisz się ze mną tymi informacjami? – pytam. – Jaki masz powód, żeby nam pomagać?

W jego oczach dostrzegam błysk jakiejś zmiany, zbyt ulotny, żebym mogła mu się przyjrzeć. I chociaż jego twarz jest już całkowicie obojętna, czuję, że w przestrzeni między nami pojawiło się coś nowego. Napięcie.

– Idź – mówi, już z powrotem opanowany. – Teraz musisz im powiedzieć.

## 53

Adam, Kenji i ja siedzimy w biurze Castle'a i przygotowujemy strategię.

Wczoraj wieczorem pobiegłam prosto do Kenjiego, a on zaraz zabrał mnie do Castle'a, żeby mu przekazać, co mi powiedział Warner. Castle wyglądał tak, jakby poczuł ulgę i przerażenie zarazem. Mam wrażenie, że do tej pory nie pojął znaczenia tej wiadomości.

Wczoraj powiedział mi, że zamierza spotkać się rano z Warnerem, tylko po to, żeby się przekonać, czy będzie skłonny uzupełnić tę informację o jakieś szczegóły (nie był), a Kenji, Adam i ja mamy się z nim spotkać w jego biurze na lunchu.

Więc teraz siedzimy stłoczeni na tej małej przestrzeni razem z 7 innymi osobami. Większość z nich brała udział w wyprawie do magazynu Komitetu Odnowy, co oznacza, że są ważną, integralną częścią naszego podziemia. A to sprawia, że zadaję sobie pytanie, od kiedy to ja należę do grona ścisłych współpracowników Castle'a w Punkcie Omega.

Mimo woli odczuwam coś w rodzaju dumy. Jestem podekscytowana, że nabrał do mnie zaufania. Że mam coś do zaoferowania.

Siłą rzeczy zastanawiam się, jak bardzo się ostatnio zmieniłam. Jak zmieniło się moje życie, o ile silniejsza, a zarazem o ile słabsza się teraz czuję. Co by było, gdybyśmy znaleźli z Adamem sposób na to, żeby być razem. Czy kiedyś odważyłabym się wyjść poza to poczucie bezpieczeństwa, które wniósł do mojego życia.

Zastanawiam się nad wieloma rzeczami.

Ale kiedy podnoszę wzrok i przyłapuję go na tym, że na mnie patrzy, wszystkie te myśli pierzchają i zostaję z niczym, oprócz bólu i tęsknoty za nim. I żalu, że nie odwrócił wzroku, kiedy podniosłam głowę.

To był mój wybór. Bolesny. Ale sama tak zdecydowałam.

Castle siedzi przy swoim biurku, z łokciami na stole, brodą wspartą na splecionych dłoniach. Jego brwi są zmarszczone, usta wydęte, oczy skupione na leżących przed nim papierach.

Od 5 minut nie wypowiedział słowa.

Wreszcie podnosi wzrok. Patrzy na Kenjiego, który siedzi naprzeciwko niego, między mną a Adamem.

– Co o tym myślicie? – pyta. – Ofensywa czy defensywa?

– Partyzantka – mówi Kenji bez wahania. – Jak nic.

Głęboki oddech.

– Tak – odpowiada Castle. – Ja też tak myślę.

– Musimy się rozdzielić – mówi Kenji. – Chce pan wyznaczyć grupy czy ja mam to zrobić?

– Ja was wstępnie podzielę. A wy zaproponujecie zmiany, jeśli uznacie, że są konieczne.

Kenji kiwa głową.

– Świetnie. A broń...

– Ja się tym zajmę – mówi Adam. – Wszystko będzie wyczyszczone, załadowane i przygotowane. Już obejrzałem zbrojownię.

Nie miałam o tym pojęcia.

– Dobrze. Doskonale. Wyznaczymy oddział, którego zadaniem będzie dostanie się do kwatery głównej i znalezienie Winstona i Brendana. Pozostali rozproszą się po osiedlach. Wasza misja jest prosta: uratować tylu cywilów, ilu wam się uda. Zlikwidować tylko tylu żołnierzy, ilu będziecie musieli. Nigdy nie wolno nam zapominać, że nie walczymy z ludźmi, tylko z ich przywódcami. Kenji, chciałbym, żebyś nadzorował oddziały, które wejdą na teren osiedli. Czy masz coś przeciwko temu?

Kenji kręci głową.

– Ja poprowadzę oddział, który wejdzie do bazy – ciągnie Castle. – Ty i pan Kent idealnie nadajecie się do infiltracji Sektora 45. Chciałbym, żebyście trzymali się razem z panią Ferrars, wasza trójka dobrze z sobą współpracuje, a wasze zdolności sprawdzają się w terenie. Poza tym – dodaje, rozkładając przed sobą papiery – studiowałem te plany całą no...

Ktoś puka w szybę w drzwiach.

To jakiś młody człowiek, którego nigdy wcześniej nie widziałam. Ma błyszczące jasnobrązowe oczy i włosy ostrzyżone tak krótko przy głowie, że trudno określić ich kolor. Jego spojrzenie jest czujne, a czoło zmarszczone, pełne napięcia.

– Proszę pana! – krzyczy.

Uświadamiam sobie, że musi krzyczeć już od jakiegoś czasu, ale jego głos jest stłumiony, i dopiero wtedy dociera do mnie, że ten pokój musi być dźwiękoszczelny, choćby częściowo.

Kenji zrywa się na nogi i czym prędzej otwiera drzwi.

– Proszę pana! – Chłopak ciężko dyszy. Widać, że całą drogę biegł. – Proszę pana, proszę...

– Samuel! – Castle wstaje i wychodzi zza biurka. Chwyta chłopaka za ramiona i patrzy mu w oczy. – Co się dzieje? Co się stało?

– Proszę pana – powtarza Samuel trochę spokojniej. Już prawie wyrównał oddech. – Mamy... kłopot.

– Chcę znać wszystkie szczegóły... To nie pora na pomijanie czegokolwiek...

– Nie chodzi o to, co się dzieje na zewnątrz, tylko... – Zerka w moją stronę. – Nasz... gość... on... on... odmawia współpracy... sprawia strażnikom mnóstwo kłopotu...

– Jakiego kłopotu? – Oczy Castle'a zmieniają się w dwie szparki.

Samuel zniża głos.

– Zrobił wgniecenie w drzwiach, proszę pana. Udało mu się wgnieść stalowe drzwi i grozi strażnikom. Trochę się martwią...

– Julio.

Nie.

– Potrzebuję pani pomocy – mówi Castle, nie patrząc na mnie. – Wiem, że nie ma pani ochoty tam iść, ale on tylko pani słucha, a nie możemy sobie pozwolić na to, żeby nam przeszkadzano, nie w takiej chwili. – Jego głos jest tak cienki, tak napięty, jakby miał za chwilę pęknąć. – Proszę zrobić, co w pani mocy, żeby go powstrzymać,

a jeśli pani uzna, że jedna z dziewcząt może tam bezpiecznie wejść, podajcie mu coś na uspokojenie.

To zwykły przypadek, że moje spojrzenie przeskakuje na Adama. Nie wygląda na szczęśliwego.

– Proszę. – Zęby Castle'a się zaciskają. – Niech pani już idzie.

Kiwam głową. Odwracam się do wyjścia. W ostatniej chwili dobiega mnie głos Castle'a, zbyt łagodny jak na to, co ma do powiedzenia.

– Przygotujcie się – mówi. – O ile nie zostaliśmy oszukani, naczelny dowódca rozpocznie jutro masakrę nieuzbrojonej ludności cywilnej. Nie możemy sobie pozwolić na to, żeby wątpić w prawdziwość tych informacji. Wyruszamy o świcie.

## 54

Strażnicy bez słowa wpuszczają mnie do pokoju Warnera.

Z bijącym sercem, z dłońmi zaciśniętymi w pięści, z krwią pulsującą w żyłach przebiegam wzrokiem po skąpo umeblowanym pomieszczeniu. Coś jest nie tak. Coś się stało. Warner był zupełnie spokojny, kiedy stąd wyszłam wczoraj wieczorem. Nie potrafię sobie wyobrazić, co mogło go popchnąć do tak szalonego zachowania. Boję się.

Ktoś dał mu krzesło. Teraz rozumiem, jak udało mu się wgiąć stalowe drzwi. Nikt nie powinien był dawać mu krzesła.

Warner siedzi na nim, tyłem do mnie. Widać tylko jego głowę.

– Wróciłaś – mówi.

– Oczywiście, że wróciłam – odpowiadam, podchodząc bliżej. – Co się dzieje? Wszystko w porządku?

Śmieje się. Przeczesuje ręką włosy. Patrzy na sufit.

– O co chodzi? – pytam. Naprawdę zaczynam się martwić. – Czy ty... Czy coś ci się stało? Nic ci nie jest?

– Muszę się stąd wydostać – mówi. – Muszę stąd wyjść. Nie mogę tu dłużej zostać.

– Warner...

– Czy ty wiesz, co on mi powiedział? Mówił ci?

Cisza.

– Przyszedł tu dzisiaj rano. Wszedł i powiedział, że chce ze mną porozmawiać. – Warner znowu się śmieje, głośno, przesadnie. Kręci głową. – Powiedział mi, że mogę się zmienić. Powiedział, że mogę mieć dar, jak wszyscy tutaj... Że może mam jakieś zdolności. Powiedział, że mogę być inny, skarbie. Powiedział, że wierzy, że mogę być inny, jeżeli zechcę.

Castle mu powiedział.

Warner wstaje, ale cały czas stoi tyłem, i widzę, że nie ma na sobie koszuli. Nawet mu nie przeszkadza, że widzę blizny na jego plecach i słowo „ZAPŁONĄĆ" wytatuowane na jego skórze. Włosy bezładnie opadają mu na twarz, zamek w jego spodniach jest zasunięty, ale guzik rozpięty, nigdy jeszcze nie wyglądał tak niechlujnie. Stoi z rękami wyciągniętymi przed siebie i przyciska dłonie do kamiennej ściany, pochylony, z opuszczoną głową, jakby się modlił. Jego ciało jest pełne napięcia, naprężone, mięśnie napinają się pod skórą. Ubranie leży na podłodze, materac jest wysunięty na środek pokoju, a krzesło, na którym przed chwilą siedział, stoi przodem do ściany, przodem do niczego. Zachowuje się tak, jakby oszalał.

– Czy możesz w to uwierzyć? – pyta, wciąż nie patrząc w moją stronę. – Wyobrażasz sobie, że według niego mogę tak po prostu pewnego dnia się obudzić i być inny? Podśpiewywać wesoło, pomagać biednym i błagać świat, żeby wybaczył mi to, co zrobiłem? Czy myślisz, że to możliwe? Myślisz, że mogę się zmienić?

Wreszcie odwraca się przodem do mnie. Oczy mu się śmieją – jego oczy jak szmaragdy połyskujące w świetle zachodzącego słońca – a usta drżą w

powstrzymywanym uśmiechu.

– Czy ty też myślisz, że mógłbym być inny?

Robi kilka kroków w moją stronę, a ja nie wiem, dlaczego to ma wpływ na mój oddech. Dlaczego nie mogę wydobyć głosu.

– To proste pytanie – mówi.

Stoi dokładnie przede mną, choć nie wiem nawet, jak się tu znalazł. Wciąż mi się przygląda, jego oczy są skupione, a jednocześnie niepokojące, błyszczące. Płoną czymś nieuchwytnym.

Moje serce nie chce się uspokoić, nie przestaje skakać skakać skakać na skakance.

– Powiedz mi, Julio. Bardzo chciałbym wiedzieć, co naprawdę o mnie myślisz.

– Dlaczego? – Słaby szept, próba zyskania na czasie.

Usta Warnera drgają i rozciągają się w uśmiechu, otwierają się nieznacznie, a ich poruszenie zostawia osobliwy, dziwny ślad w jego oczach. Nie odpowiada. Nie odzywa się ani słowem. Tylko podchodzi bliżej, przygląda mi się, a ja zastygam w bezruchu, z ustami pełnymi sekund, podczas których on nic nie mówi, a ja walczę z każdym atomem swojego ciała, z każdą głupią komórką mojego organizmu.

O.

Boże.

~~Jaki on jest potwornie pociągający.~~

Moje wyrzuty sumienia piętrzą się, odkładają mi się w kościach, przygniatają mnie. Zaciskają mi się wokół szyi jak pętla, pełzną przez mój żołądek jak gąsienica. Są jak zmierzch, północ i świt niezdecydowania. Jak zbyt wiele tajemnic, których nie potrafię już dłużej ukrywać.

~~Jak to możliwe, że tego pragnę.~~

Jestem koszmarną osobą.

Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że on widzi moje myśli, że wyczuwa zmianę, która zachodzi w mojej głowie, bo nagle sam staje się inny. Jego napięcie gdzieś się rozprasza, jego spojrzenie staje się głębokie, niespokojne, delikatne, jego usta miękną, wciąż lekko rozchylone. Powietrze wokół nas staje się zbyt gęste, zbyt przesycone miętą, a ja czuję, jak krew huczy mi w głowie, jak rozbija się o każdy racjonalnie myślący region mojego mózgu.

Chciałabym, żeby ktoś mi przypomniał, jak się oddycha.

– Dlaczego nie możesz mi odpowiedzieć? – Zagląda mi w oczy tak głęboko, że nie wiem, dlaczego nie uginam się pod siłą jego spojrzenia. Nagle, w jednej chwili dociera do mnie, że wszystko w nim jest tak intensywne. Nic w nim nie jest zwyczajne ani łatwe do zaszeregowania. Cały jest nadmiarem. Wszystko w nim jest zwielokrotnione. Jego emocje, jego czyny, jego gniew, jego agresja.

~~Jego miłość.~~

Jest niebezpieczny, naładowany, niepowstrzymany. Jego ciało wibruje Energią tak silną, że prawie namacalną, nawet kiedy jest spokojny. Energią, która ma swoją postać.

A ja rozwinęłam dziwną, przerażającą wiarę w to, kim Warner naprawdę jest i kim ma moc się stać. Chcę odnaleźć tego 19-letniego chłopaka, który karmił bezpańskiego psa. Chcę wierzyć w dziecko dręczone i maltretowane przez ojca. Chcę

go zrozumieć. Rozwiązać jego zagadkę.

Chcę wierzyć, że jest czymś więcej niż tą formą, do której został wtłoczony.

– Myślę, że możesz się zmienić – słyszę swój głos. – Myślę, że każdy może się zmienić.

A on się uśmiecha.

Powoli, z zachwytem. To uśmiech, który załamuje się w śmiech i rozświetla rysy jego twarzy. Wywołuje westchnienie. Warner zamyka oczy. Na jego twarzy maluje się wzruszenie, rozbawienie.

– To takie słodkie – mówi. – Tak nieznośnie słodkie. Bo ty naprawdę w to wierzysz.

– Oczywiście, że tak.

Wreszcie patrzy na mnie.

– Ale się mylisz – szepcze.

– Co?

– Jestem bez serca – mówi. Jego słowa są zimne, puste, skierowane gdzieś do wewnątrz. – Jestem sukinsynem, bezlitosną kanalią bez serca. Nie dbam o uczucia innych. Nie obchodzą mnie ich lęki, ich przyszłość. Nie obchodzi mnie, czego chcą, czy mają rodziny, czy nie, i nie żałuję, nigdy nie żałowałem niczego, co zrobiłem.

Mija kilka chwil, zanim udaje mi się otrząsnąć.

– Przecież mnie przepraszałeś – mówię. – Wczoraj mnie przepraszałeś...

– Ty to co innego – przerywa mi. – To się nie liczy.

– Niczym się nie różnię od innych. Jestem takim samym człowiekiem jak każdy. A ty udowodniłeś, że potrafisz odczuwać wyrzuty sumienia. Współczuć. Wiem, że możesz być dobry...

– Nie mogę. – Jego głos nagle staje się twardy, ostry. – Nie zmienię się. Nie mogę wymazać z mojego życia tych dziewiętnastu żałosnych lat. Nie mogę wykasować wspomnień tego, co zrobiłem. Nie mogę obudzić się pewnego dnia z postanowieniem, że dalej będę żył pożyczonymi nadziejami i marzeniami. Czyimiś obietnicami świetlanej przyszłości. Nie będę cię okłamywał. Zawsze miałem gdzieś innych, nie poświęcam niczego, nie idę na kompromisy. Nie jestem dobry ani uczciwy, ani przyzwoity i nigdy nie będę. Nie mogę taki być. Bo gdybym spróbował, to byłoby żenujące.

– Jak możesz tak myśleć? – Mam ochotę nim potrząsnąć. – Jak można się wstydzić tego, że się próbuje być lepszym?

Ale on nie słucha. Śmieje się.

– Możesz to sobie w ogóle wyobrazić? Jak uśmiecham się do małych dzieci i rozdaję prezenty urodzinowe? Możesz sobie wyobrazić, jak pomagam obcemu? Jak bawię się z psem sąsiada?

– Tak – mówię. – Owszem, mogę.

Nie mówię: już to widziałam.

– Nie.

– Dlaczego nie? Dlaczego tak trudno w to uwierzyć?

– Takie życie jest dla mnie nieosiągalne.

– Ale dlaczego?

Warner zaciska i rozluźnia 5 palców, a potem przeczesuje nimi włosy.

– Bo to czuję – mówi teraz ciszej. – Zawsze umiałem to wyczuć.

– Co czujesz? – szepczę.

– To, co ludzie myślą na mój temat.

– Co...?

– Ich uczucia... Ich energię... To... Nie wiem, co to jest – mówi zrezygnowany, cofając się chwiejnie, kręcąc głową. – Zawsze potrafiłem to odgadnąć. Wiem, jak wszyscy mnie nienawidzą. Wiem, jak niewiele obchodzę mojego ojca. Znam cierpienie mojej matki. Wiem, że ty nie jesteś taka jak wszyscy inni. – Jego głos się załamuje. – Wiem, że jesteś szczera, kiedy mówisz, że mnie nie nienawidzisz. Że chcesz mnie nienawidzić, ale nie możesz. Bo nie ma w twoim sercu złej woli, na pewno nie życzysz mi źle, bo gdyby tak było, wiedziałbym o tym. Tak samo jak wiem – mówi głosem ochrypłym z wysiłku – że coś czułaś, kiedy cię pocałowałem. Poczułaś to samo co ja i wstydzisz się tego.

Ogarnia mnie panika.

– Skąd możesz to wiedzieć? – pytam. – S-skąd... Nie można po prostu wiedzieć takich rzeczy...

– Nikt nigdy nie patrzy na mnie tak jak ty – szepcze. – Nikt nigdy nie rozmawia ze mną tak jak ty, Julio. Jesteś inna – mówi. – Jesteś zupełnie inna. Ty byś mnie zrozumiała. Ale reszta świata nie chce mojego współczucia. Oni nie chcą moich uśmiechów. Castle to jedyny człowiek na świecie, który jest wyjątkiem od tej zasady, a jego gotowość, żeby mi zaufać i zaakceptować mnie, pokazuje tylko, jak słaby jest ten wasz ruch. Ci ludzie nie wiedzą, co robią, i wszyscy w końcu dadzą się zarżnąć...

– To nieprawda... To nie może być prawda...

– Posłuchaj mnie – mówi Warner, teraz natarczywie. – Musisz zrozumieć... Jedyni ludzie, którzy liczą się na tym nieszczęsnym świecie, to ci, którzy mają prawdziwą władzę. A ty... ty ją masz. Masz moc, która mogłaby wstrząsnąć tą planetą, która mogłaby ją podbić. I może jest jeszcze za wcześnie, może potrzebujesz więcej czasu, żeby dostrzec swój potencjał, ale ja zawsze będę czekał. Zawsze będę chciał mieć cię po swojej stronie. Bo razem... My razem – mówi. Milknie. Bez tchu. – Możesz to sobie wyobrazić? – Jego oczy są skupione na moich, brwi ściągnięte. Obserwuje mnie. – Oczywiście, że możesz – szepcze. – Myślisz o tym przez cały czas.

Wydaję z siebie zdławiony okrzyk.

– Nie pasujesz tutaj – mówi. – Nie pasujesz do tych ludzi. Oni pociągną cię za sobą i zginiesz...

– Nie mam wyboru! – Jestem teraz wściekła, oburzona. – Wolę tu zostać z tymi, którzy próbują pomóc... Próbują coś zmienić! Przynajmniej nie mordują niewinnych ludzi...

– Myślisz, że twoi nowi przyjaciele nigdy nie zabijali!? – krzyczy Warner, wskazując na drzwi. – Myślisz, że Kent nigdy nikogo nie zabił? Że Kenji nigdy nie zastrzelił człowieka? Oni byli moimi żołnierzami! Na własne oczy widziałem, jak to robili!

– Chcieli przeżyć – mówię mu, drżąc, walcząc z przerażeniem wywołanym przez moją wyobraźnię. – Nigdy nie byli lojalni wobec Komitetu Odnowy...

– Ja też nie jestem lojalny wobec Komitetu Odnowy. Jestem lojalny wobec

tych, którzy potrafią przetrwać. Mam tylko dwie opcje w tej grze, skarbie. – Oddycha z trudem. – Zabijać. Albo dać się zabić.

– Nie – odpowiadam, wycofując się. Czuję mdłości. – Nie musi tak być. Nie musisz tak żyć. Możesz uciec od swojego ojca, od tamtego życia. Nie musisz być tym, czym on chce, żebyś był...

– Szkoda już została wyrządzona. Za późno dla mnie. Pogodziłem się ze swoim losem.

– Nie...

– Nie proszę cię, żebyś się o mnie martwiła – mówi. – Wiem dokładnie, jak wygląda moja przyszłość, i akceptuję ją. Jestem szczęśliwy, żyjąc w samotności. Nie boję się spędzić reszty życia w swoim własnym towarzystwie. Nie boję się samotności.

– Nie musisz żyć tamtym życiem – powtarzam mu. – Nie musisz być sam.

– Nie zostanę tu. Chciałem tylko, żebyś o tym wiedziała. Znajdę sposób, żeby się stąd wydostać, i ucieknę, kiedy tylko nadarzy się okazja. Moje wakacje – mówi – oficjalnie dobiegły końca.

## 55

Tyk-tak.

Castle zwołał nieplanowane spotkanie, żeby przekazać wszystkim szczegóły jutrzejszej akcji. Do jej rozpoczęcia zostało niecałe 12 godzin. Zebraliśmy się w jadalni, bo tu jest najłatwiej pomieścić wszystkich.

Zjedliśmy ostatni posiłek, przeprowadziliśmy kilka wymuszonych rozmów, spędziliśmy 2 pełne napięcia godziny wypełnione krótkimi napadami nerwowego śmiechu, który bardziej przypominał dławienie się. Sara i Sonia jako ostatnie wśliznęły się do jadalni, obie mnie zauważyły i szybko pomachały mi na przywitanie, a potem usiadły po drugiej stronie pomieszczenia. Wtedy Castle zaczął mówić.

Wszyscy będą musieli walczyć.

Wszyscy sprawni fizycznie mężczyźni i kobiety. Osoby starsze, niezdolne do udziału w bitwie, zostaną z najmłodszymi. Do najmłodszych należy James i grupa jego dawnych przyjaciół.

W tej chwili James miażdży dłoń Adama.

Anderson ściga swoich przeciwników, mówi Castle. Ludzie buntują się przeciwko Komitetowi Odnowy bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Nasza bitwa dała im nadzieję, mówi Castle. Wcześniej słyszeli tylko niejasne plotki o istnieniu ruchu oporu, dopiero realne starcie nadało tym plotkom kształt. Liczą na naszą pomoc, na to, że będziemy ich strzegli, a my po raz pierwszy mamy wykorzystać nasze zdolności w wojnie, która toczy się na terenie dostępnym dla wszystkich.

Na terenie osiedli.

Gdzie cywile zobaczą nas takimi, jacy jesteśmy.

Castle uprzedza nas przed agresją z obu stron. Mówi, że ludzie się boją, dlatego nasza obecność może wywołać różne reakcje. Może się zdarzyć, że w obliczu nieznanego i niewytłumaczalnego wybiorą raczej dobrze znany terror, a publiczny pokaz naszej mocy może nam przysporzyć nowych wrogów.

Musimy być na to przygotowani.

– W takim razie po co zawracamy sobie nimi głowę!? – krzyczy ktoś z tyłu pomieszczenia. Wstaje kobieta o lśniących czarnych włosach spływających po jej plecach jak ciężka zasłona atramentu, która kończy się na wysokości jej pasa. Jej oczy połyskują we fluorescencyjnym świetle. – Dlaczego właściwie mielibyśmy ich bronić, jeżeli mają nas za to znienawidzić? To niedorzeczne!

Castle bierze głęboki oddech.

– Nie możemy winić wszystkich za głupotę pojedynczych osób.

– Ale przecież nie chodzi o pojedynczego człowieka, prawda? – wtrąca się inny głos. – Ilu z nich zwróci się przeciwko nam?

– Nie ma sposobu, żeby się tego dowiedzieć – odpowiada Castle. – Może to będzie jedna osoba. Może żadna. Ja tylko radzę zachować ostrożność. Nigdy nie wolno wam zapominać, że to niewinni, nieuzbrojeni cywile. Są mordowani za każde nieposłuszeństwo, nawet za wyrażenie własnego zdania i za to, że proszą o uczciwe traktowanie. Głodują, stracili swoje domy, swoje rodziny. To musi do was

przemawiać. Przecież wielu z was nadal nie odnalazło swoich krewnych rozproszonych po kraju, prawda?

Przez tłum przebiega szmer.

– Wśród nich mogłaby być wasza matka. Ojciec. Wasi bracia i siostry. Oni cierpią, są pokonani. Musimy zrobić, co w naszej mocy, żeby im pomóc. Nie ma innego wyjścia. Jesteśmy ich jedyną nadzieją.

– Co z naszymi ludźmi? – Wstaje jakiś mężczyzna. Musi dobiegać pięćdziesiątki, jest okrągły, zdrowy i silny, góruje nad pokojem. – Jaką możemy mieć gwarancję, że uda nam się odbić Winstona i Brendana?

Castle spuszcza wzrok, lecz tylko na sekundę. Zastanawiam się, czy jestem jedyną osobą, która dostrzega ból w jego oczach.

– Nie mamy gwarancji, mój przyjacielu. Nigdy nie będziemy jej mieli. Ale zrobimy, co w naszej mocy. Nie poddamy się.

– W takim razie co nam przyszło z porwania tego chłopaka? – mówi mężczyzna buntowniczym tonem. – Dlaczego po prostu go nie zabijemy? Po co go przetrzymujemy? Nie zrobił dla nas nic dobrego, a zjada nasze jedzenie i zużywa cenne zasoby!

W tłumie wybucha pełna irytacji wrzawa, gniew, gorączka emocji. Wszyscy krzyczą, wołają: „Zabij go!”, „Pokażmy naczelnemu!”, „Trzeba wygłosić oświadczenie!”, „Zasłużył na śmierć!”.

Nagle czuję dziwny ucisk w sercu. Znowu oddycham zbyt szybko. Zdaję sobie sprawę, że myśl o śmierci Warnera w ogóle mnie nie cieszy.

Przeraża mnie.

Spoglądam na Adama w poszukiwaniu jakiejś innej reakcji, ale nie wiem, na co liczyłam. Jestem głupia, skoro zaskakuje mnie napięcie w jego oczach, na jego czole, jego zaciśnięte usta. Jestem głupia, skoro spodziewałam się ze strony Adama czegoś innego niż nienawiść. Oczywiście, że Adam nienawidzi Warnera. To oczywiste.

Warner próbował go zamordować.

Oczywiście, że Adam też chce jego śmierci.

Chyba się rozchoruję.

– Proszę! – krzyczy Castle. – Wiem, że jesteście zdenerwowani! Jutro czeka nas trudne zadanie, ale nie możemy skierować naszej agresji na jedną osobę. Potrzebujemy jej jako paliwa do walki i musimy zjednoczyć nasze wysiłki. Nie możemy dopuścić, żeby cokolwiek nas podzieliło. Nie teraz!

6 sekund ciszy.

– Nie będę walczył, dopóki on żyje!

– Zabijemy go dzisiaj!

– Dawać go!

Rozlega się ryk rozwścieczonego, żądnego krwi tłumu, brzydkich twarzy, przerażających, okrutnych, wykrzywionych nieludzkim szałem. Nie zdawałam sobie sprawy, że ludzie w Punkcie Omega są zdolni do takich uczuć.

– STOP! – Ręce Castle’a są uniesione w powietrzu, oczy mu płoną.

Wszystkie stoliki i krzesła w pokoju zaczynają drżeć. Ludzie rozglądają się, skarceni, przestraszeni, wytrąceni z równowagi.

Wciąż próbują podważyć autorytet Castle'a. Nie rezygnują.

– Nasz zakładnik – zaczyna Castle – nie jest już zakładnikiem.

Niemożliwe.

To niemożliwe.

To nie jest możliwe.

– Przyszedł do mnie dziś wieczorem – mówi Castle – i poprosił o azyl w Punkcie Omega.

Mój mózg krzyczy, buntuje się przeciwko tym 12 słowom.

To nie może być prawda. Warner powiedział, że zamierza uciec. Powiedział, że znajdzie sposób, żeby się wydostać.

Ale pozostali są jeszcze bardziej zszokowani ode mnie. Nawet Adam drży ze złości. Boję się spojrzeć na jego twarz.

– PROSZĘ O CISZĘ!

Castle znowu wyciąga rękę, żeby stłumić eksplozję protestów.

– Odkryliśmy niedawno, że Warner również posiada dar. A on mówi, że chce do nas dołączyć. Mówi, że jutro będzie walczył po naszej stronie. Chce walczyć przeciwko swojemu ojcu i pomóc nam odnaleźć Brendana i Winstona.

Chaos

Chaos

Chaos

wybucha w każdym kącie pokoju.

– Kłamie!

– Niech to udowodni!

– Jak pan może mu wierzyć!?

– Zdradził swoich ludzi! Nas też zdradzi!

– Nie pójdę walczyć obok niego!

– Jego pierwszego zabiję!

Oczy Castle'a się zwężają, błyskając we fluorescencyjnym świetle, a jego ręce zaczynają poruszać się w powietrzu jak miotełki. Zgarnia wszystkie talerze, łyżki, szklanki i przytrzymuje je w górze, zawieszone w powietrzu, rzucając wyzwanie każdemu, kto ośmieli się krzyknąć albo mu sprzeciwić.

– Nie tkniecie go – mówi cicho. – Złożyłem przysięgę, że będę pomagał ludziom podobnym do nas, i nie zamierzam jej teraz złamać. Pomyślcie o sobie! – krzyczy. – Pomyślcie o dniu, w którym się dowiedzieliście! Przypomnijcie sobie to uczucie samotności, izolacji, to przerażenie, które was wtedy ogarnęło! Przypomnijcie sobie, jak zostaliście porzuceni przez wasze rodziny i przyjaciół! Nie wydaje się wam, że to doświadczenie może go zmienić? Jak wy się wtedy zmieniliście, przyjaciele? Teraz go osądźcie! Osądźcie kogoś podobnego do was, kto prosi o pomoc!

Castle jest wyraźnie zdegustowany.

– Jeżeli narazi się któremukolwiek z nas, jeżeli zrobi choć jedną rzecz, która zada kłam jego lojalności, dopiero wtedy możecie wydawać sądy na jego temat. A na razie dajemy mu szansę, tak? – Już nie stara się ukryć swojego gniewu. – On mówi, że pomoże nam odszukać naszych ludzi! Że będzie walczył przeciwko swojemu ojcu! Ma cenne informacje, które możemy wykorzystać! Dlaczego nie mielibyśmy

zaryzykować? Jest tylko dzieckiem, ma dziewiętnaście lat! On jest jeden, a nas jest wielu!

Tłum cichnie, ludzie szepczą między sobą, a ja słyszę strzępki rozmów, wśród których pobrzmiewają sceptyczne komentarze: „naiwniak” i „niedorzeczne”, i „przez niego wszyscy zginiemy”, ale już nikt nie odzywa się głośno, a ja czuję ulgę. Nie mogę uwierzyć w to, co teraz czuję. Tak bardzo chciałabym nie przejmować się tym, co się stanie z Warnerem.

Chciałabym pragnąć jego śmierci. Chciałabym nic do niego nie czuć.

Ale nie potrafię. Nie potrafię. Nie potrafię.

– Skąd pan wie? – pyta ktoś. Nowy głos, głos kogoś, kto usiłuje myśleć racjonalnie.

Głos kogoś, kto siedzi tuż obok mnie.

Adam wstaje. Przełyka ślinę.

– Skąd pan wie, że on ma dar? Poddał go pan badaniom?

I patrzy na mnie, Castle patrzy na mnie, wpatruje się we mnie, jakby chciał, żebym przemówiła, a ja czuję się tak, jakbym wessała całe powietrze, które było w tej sali, jakbym została wrzucona do kadzi z wrzątkiem, jakbym nigdy już nie miała usłyszeć bicia swojego serca, i błagam, modlę się, mam nadzieję i pragnę, żeby nie wypowiadał słów, które ma zamiar wypowiedzieć, ale on to robi.

Oczywiście, że to robi.

– Owszem – mówi Castle. – Wiemy, że on, tak jak pan, może dotknąć Julii.

## 56

Czuję się tak, jakbym od 6 miesięcy próbowała zaczerpnąć powietrza.

Albo zapomniała, jak się porusza mięśniami. Albo przeżywała ponownie każdą przyprawiającą o mdłości chwilę swojego życia. Usiłowała wydobyć spod swojej skóry setki drzazg. To zupełnie jak wtedy, kiedy się obudziłeś i wpadłeś do króliczej nory, a blond dziewczynka w niebieskiej sukience wypytywała cię o drogę, ale ty nie umiałeś jej pomóc. Próbowałeś mówić, lecz twoje gardło było pełne deszczowych chmur. To zupełnie tak, jakby ktoś napełnił ciszą ocean, a potem zrzucił go na całą tę salę.

Tak właśnie jest.

Nikt się nie odzywa. Nikt się nie porusza. Nikt nie patrzy.

Na mnie.

Na Adama.

Na Adama patrzącego na mnie.

Jego oczy są szeroko otwarte, mrugają za szybko, jego twarz nieustannie się zmienia, na przemian wyraża dezorientację i gniew, i ból, i znowu dezorientację, wielką dezorientację, i poczucie zdrady, w jego oczach pojawia się błysk podejrzliwości i jeszcze większa dezorientacja, i dodatkowa fala bólu, a ja wpatruję się w niego z otwartymi ustami jak ryba na chwilę przed śmiercią.

Chciałabym, żeby coś powiedział. Chciałabym, żeby przynajmniej o coś zapytał albo mnie o coś oskarżył, albo czegoś zażądał, ale on nie mówi nic, tylko przygląda mi się badawczo, wpatruje się we mnie, a ja patrzę, jak w jego oczach gaśnie światło, jak gniew ustępuje bólowi i temu bezgranicznemu niedowierzaniu, jakie musi teraz odczuwać. Siada.

Nie patrzy w moją stronę.

– Adamie...

Wstaje. Wstaje. Wstaje i wychodzi z pokoju, a ja zrywam się z miejsca i wybiegam za nim. Słyszę wrzawę, która wybucha za moimi plecami, tłum eksploduje gniewem na nowo. Dysząc, prawie wpadam na Adama, a on się odwraca i mówi:

– Nie rozumiem.

Jego oczy są tak pełne bólu, tak głębokie, tak niebieskie.

– Adamie, ja...

– On cię dotknął. – To nie jest pytanie. Zmusza się, żeby spojrzeć mi w oczy, i wydaje się niemal zażenowany swoimi następnymi słowami. – On dotknął twojej skóry.

Żeby tylko. Gdyby tylko to było takie proste. Gdybym tylko mogła pozbyć się tego prądu ze swojej krwi i Warnera ze swojej głowy... Dlaczego jestem taka zmieszana!?

– Julio.

– Tak – mówię, prawie nie poruszając ustami.

Odpowiedź na jego niepytanie brzmi: tak.

Adam dotyka palcami ust, podnosi wzrok, odwraca wzrok, wydaje dziwny

dźwięk, pełen niedowierzania.

– Kiedy?

Mówię mu.

Mówię mu, kiedy to się stało, jak to się zaczęło, o tym, jak byłam ubrana w jedną z tych sukienek, które Warner kazał mi wkładać, jak usiłował mnie zatrzymać, zanim wyskoczyłam przez okno, jak jego ręka musnęła moją nogę, jak mnie dotknął i nic się nie stało.

Mówię mu, jak próbowałam udawać, że to wszystko było wytworem mojej wyobraźni, dopóki Warner nas znowu nie złapał.

Nie mówię mu, jak Warner powiedział, że za mną tęsknił, jak powiedział mi, że mnie kocha, i pocałował mnie, jak całował mnie z dziką, gorącą intensywnością. Nie mówię mu, że udawałam, że odwzajemniam jego uczucia, żeby wsunąć ręce pod jego kurtkę i wydostać pistolet z jej wewnętrznej kieszeni. Nie mówię mu, że byłam zaskoczona, wręcz zszokowana tym, jak się czułam w jego ramionach, i że odepchnęłam te wszystkie dziwne uczucia, bo nienawidziłam Warnera, bo byłam przerażona tym, że postrzelił Adama, i chciałam go zabić.

Wszystko, co Adam wie, to to, że prawie mi się udało. Że prawie zabiłam Warnera.

A teraz Adam mruga, przyswajając moje słowa, nieświadomy tego, co zachowałam dla siebie.

~~Naprawdę jestem potworem.~~

– Nie chciałam, żebyś wiedział – udaje mi się powiedzieć. – Myślałam, że to by dodatkowo skomplikowało sprawy między nami... Po tym wszystkim, z czym musieliśmy sobie radzić... Pomyślałam, że byłoby lepiej nie zwracać na to uwagi, i właściwie nie wiem... – Szukam i nie znajduję odpowiednich słów. – Byłam głupia. Byłam głupia. Powinnam ci była powiedzieć i jest mi przykro. Jest mi tak bardzo przykro. Nie chciałam, żebyś dowiedział się w taki sposób.

Adam oddycha ciężko, pociera tył głowy, a potem przeczesuje ręką włosy i mówi:

– Nie... Nie rozumiem tego... To znaczy... Czy wiadomo, dlaczego on może cię dotknąć? Czy to tak samo jak ze mną? Czy on ma ten sam dar co ja? Ja nie... Boże, Julio, a ty spędzałaś z nim tyle czasu sama...

– Nic się nie wydarzyło – mówię. – Tylko z nim rozmawiałam, a on ani razu nie próbował mnie dotknąć. I nie mam pojęcia, dlaczego może mnie dotknąć... Chyba nikt tego nie wie. Castle nie przeprowadził jeszcze żadnych doświadczeń.

Adam wzdycha i przeciąga dłonią po twarzy. Mówi tak cicho, że tylko ja mogę go usłyszeć:

– Nie wiem nawet, dlaczego mnie to dziwi. Mamy te same cholerne geny. – Przeklina pod nosem. Przeklina jeszcze raz. – Czy to się kiedyś wreszcie skończy? – pyta podniesionym głosem pustki dokoła nas. – Czy kiedyś wreszcie przyjdzie taki czas, że nikt nie będzie rzucał mi w twarz żadnego syfu? Jezu. Czy ten obłęd kiedyś się skończy?

Powinnam mu powiedzieć, że chyba nigdy.

– Julio.

Zastygam na dźwięk jego głosu.

Z całych sił zaciskam powieki, odmawiając wiary własnym uszom. Warner nie może tu być. Oczywiście, że go tu nie ma. Przecież to niemożliwe, żeby tu był. Ale wtedy sobie przypominam. Castle powiedział, że on już nie jest zakładnikiem. To Castle musiał wypuścić go z pokoju.

Och.

Och, nie.

To nie może się dziać. To niemożliwe, że Warner jest obok. Nie w tej chwili, nie tym razem, nie w ten sposób nie po tym wszystkim to się nie dzieje naprawdę

ale Adam patrzy ponad moim ramieniem na kogoś, kto stoi za moimi plecami, kogoś, kogo tak bardzo staram się ignorować. Nie mam siły unieść powiek. Nie chcę zobaczyć, co się stanie.

Głos Adama jest żrący jak kwas.

– Co tu, do diabła, robisz?

– Miło cię znowu widzieć, Kent. – Mogłabym przysiąc, że słyszę uśmiech Warnera. – Mamy sporo do nadrobienia. Szczególnie w świetle tego nowego odkrycia. Nie miałem pojęcia, że tyle nas łączy.

Nadal nie masz pojęcia, mam ochotę powiedzieć.

– Ty chory wypierdku – mówi Adam cichym, bezbarwnym głosem.

– Co za godny pożałowania język. – Warner kręci głową. – Tylko ludzie, którzy nie potrafią się wyrażać inteligentnie, uciekają się do tak prostackich substytutów słownictwa. – Milknie. – Czy to dlatego, że cię onieśmielam? Robisz się przy mnie nerwowy? – Śmieje się. – Mam wrażenie, że ledwie nad sobą panujesz.

– Zabiję cię...

Adam rusza do przodu, żeby chwycić Warnera za gardło, kiedy wpada na niego Kenji, staje między nimi i odpycha ich od siebie z wyrazem bezgranicznego obrzydzenia na twarzy.

– Co wy sobie wyobrażacie? – Oczy mu płoną. – Nie wiem, czy zauważyliście, ale stoicie pod drzwiami i straszycie małe dzieci, Kent, będę cię musiał prosić, żebyś przestał świrować.

Adam chce coś powiedzieć, ale Kenji mu przerywa.

– Słuchaj, nie mam pojęcia, dlaczego Warner nie jest w swoim pokoju. Nie moje małpy, nie mój cyrk. To Castle podejmuje tu decyzje i musimy to uszanować. Nie możesz sobie chodzić i zabijać ludzi, bo tak ci się chce.

– Ten facet chciał mnie zakatować na śmierć! – krzyczy Adam. – Jego ludzie pobili cię do nieprzytomności! I ja mam z nim mieszkać? Walczyć z nim w jednym oddziale? Udawać, że wszystko jest w porządku? Czy Castle stracił rozum?

– Castle wie, co robi – ucina Kenji. – Ciebie nikt o zdanie nie pyta. Zdasz się na jego osąd.

Adam z furią wyrzuca ręce w górę.

– Nie wierzę. To jakiś żart! Kto robi coś takiego? Kto traktuje zakładników, jakby byli na jakichś wczasach!? – Znowu krzyczy, nie starając się nawet panować nad głosem. – Mógłby teraz wrócić do tatusia i opowiedzieć mu wszystko, co wie o tym miejscu. Mógłby wydać nasze dokładne położenie!

– To akurat niemożliwe – mówi Warner. – Nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy.

Adam błyskawicznie odwraca się do Warnera, a ja obracam się dokładnie tak

samo szybko, żeby nadążyć za tym, co się dzieje. Adam coś krzyczy, wygląda tak, jakby lada chwila miał się rzucić na Warnera, a Kenji próbuje go powstrzymać, ale ja prawie nie słyszę, co się dzieje dokoła mnie. Krew za mocno pulsuje mi w głowie, a moje oczy zapominają o mruganiu, bo Warner patrzy na mnie, tylko na mnie, wzrokiem tak skupionym, tak skoncentrowanym, tak głębokim, rozdzierającym serce, że nie mogę się poruszyć.

Pierś Warnera unosi się i opada tak gwałtownie, że widzę to z miejsca, w którym stoję. Nie zwraca uwagi na zamieszanie obok niego, na chaos w jadalni ani na Adama, który okładając go pięściami, próbuje przewrócić go na ziemię. Nie poruszył się ani o centymetr. Nie odwraca wzroku i wiem, że muszę to zrobić za niego.

Odwracam głowę.

Kenji wrzeszczy na Adama, żeby ochłonął, a ja wyciągam rękę, chwytam Adama za ramię, uśmiecham się do niego słabo i on się uspokaja.

– Chodź – mówię. – Wracajmy do środka. Castle jeszcze nie skończył, musimy posłuchać, co ma do powiedzenia.

Adam próbuje odzyskać panowanie nad sobą. Bierze głęboki oddech. Kiwa szybko głową i pozwala mi się prowadzić do jadalni. Usiłuję skupić uwagę na Adamie, jakby Warnera tu nie było.

Warner nie jest zwolennikiem mojego planu.

Zastępuje nam drogę, a ja mimo woli znowu na niego patrzę i widzę w jego oczach coś, czego nigdy przedtem nie widziałam. Nie do tego stopnia, nie aż tak wyraźnie.

Ból.

– Z drogi – warczy do niego Adam, ale Warner jakby tego nie słyszał.

Patrzy na mnie. Wpatruje się w moją dłoń zaciśniętą na osłoniętym ramieniu Adama, a cierpienie w jego oczach łamie mi kolana i nie mogę mówić, nie powinnam nic mówić, nie wiedziałabym, co powiedzieć, nawet gdybym mogła mówić, a potem wypowiada moje imię. Powtarza je.

– Julio – mówi.

– Rusz się! – znowu warczy do niego Adam.

Tym razem traci panowanie i popycha Warnera z siłą wystarczającą, żeby przewrócić go na podłogę. Tylko że Warner nie upada. Potyka się, robiąc krok w tył, tylko odrobinę, ale ten ruch coś w nim wyzwala, coś w rodzaju uśpionego gniewu, który aż nazbyt skwapliwie uwalnia, i rzuca się do przodu, gotowy siać spustoszenie, a ja gorączkowo szukam sposobu, żeby to powstrzymać, próbuję wymyślić jakiś plan, ale postępuję głupio.

Jestem na tyle głupia, żeby wkroczyć między nich.

Adam chwyta mnie i próbuje odciągnąć, ale ja przyciskam dłoń do piersi Warnera i nie wiem, co sobie myślę, ale w ogóle nie myślę, i na tym chyba polega problem. Tkwię tutaj, pochwycona przez milisekundy, między 2 braćmi, którzy chcą siebie zniszczyć, ale nie udaje mi się niczemu zapobiec.

Wtedy wkracza Kenji.

Chwyta ich obu za ramiona i próbuje rozdzielić, kiedy gardło rozdziera mu nagły krzyk. To czysta udręka i koszmar, który przeszywa mi czaszkę.

Upada.

Leży na ziemi.

Krztusi się, dyszy, wije na podłodze, aż staje się bezwładny, aż prawie nie może oddychać, a potem nieruchomieje, jest zbyt nieruchomy, a ja chyba krzyczę, wciąż dotykam ust, żeby się przekonać, skąd wydobywa się ten dźwięk, i padam na kolana. Próbuję go obudzić, potrząsam nim, ale on się nie rusza, nie odpowiada, a ja nie mam pojęcia, co się właściwie stało.

Czy on żyje.

## 57

Z całą pewnością krzyczę.

Czyjeś ramiona ciągną mnie w górę i podnoszą z podłogi, słyszę głosy i dźwięki, których nie staram się rozpoznać, bo wiem tylko, że to nie może się zdarzyć, nie może to spotkać Kenjiego, nie mojego zabawnego, skomplikowanego przyjaciela, który skrywa sekrety pod swoimi uśmiechami, i wyrywam się z rąk, które mnie trzymają, i wpadam na oślep do jadalni, i sto zamazanych twarzy wtapia się w otoczenie, bo jedyna osoba, którą chcę teraz zobaczyć, ma na sobie granatową marynarkę, a na głowie dredy związane w koński ogon.

– Proszę pana! – wołam.

Wciąż krzyczę. Możliwe, że się przewróciłam na podłogę, nie jestem pewna, wiem, że zaczynają boleć mnie kolana, ale nic mnie to nie obchodzi nie obchodzi nie obchodzi

– Proszę pana! To Kenji... On... Proszę...

Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby Castle biegł.

Rzuca się przez salę z prędkością światła, mija mnie i wypada na korytarz. Wszyscy obecni zrywają się na równe nogi, rozgorączkowani, niektórzy krzyczą w panice, a ja pędzę za Castle'em na zewnątrz. Kenji się nie rusza. Tak długo leży nieruchomo.

Zbyt długo.

– Gdzie są dziewczęta!? – krzyczy Castle. – Niech ktoś je przyprowadzi!

Trzyma ostrożnie głowę Kenjiego, próbując przyciągnąć do siebie jego ciężkie ciało, a ja nigdy nie widziałam go w takim stanie, nawet kiedy mówił o krzywdach, które Anderson wyrządzał cywilom. Rozglądam się i widzę zgromadzonych wokół nas mieszkańców Punktu Omega, ból na ich twarzach, łzy w ich oczach. Trzymają się siebie kurczowo, a ja zdaję sobie sprawę, że nigdy w pełni nie doceniałam Kenjiego. Nie pojmowałam skali jego autorytetu. Nigdy właściwie nie rozumiałam, jak wiele znaczy dla obecnych tu ludzi.

Jak bardzo go kochają.

Stoję i mrugam, a Adam i 50 innych osób próbuje przenieść Kenjiego. Biegną, wbrew wszystkiemu mają jeszcze nadzieję.

– Poszły do skrzydła medycznego! – woła ktoś. – Przygotowują dla niego łóżko!

Wszyscy rzucają się i biegną za nim, próbując dowiedzieć się, co się stało, i nikt na mnie nie patrzy, nikt nie patrzy mi w oczy, a ja odsuwam się na bok, cofam się za róg, w ciemność. Czuję smak łez spływających mi do ust, liczę słone krople, bo nie mogę zrozumieć, co się stało, jak to się stało, jak to w ogóle możliwe, bo przecież go nie dotykałam, nie mogłam go dotknąć proszę proszę proszę nie mogłam go dotknąć, ale nagle zastygam w bezruchu. Na moich ramionach tworzą się sople.

Zdaję sobie sprawę, że nie włożyłam rękawiczek.

Zapomniałam rękawiczek. Tak się spieszyłam, żeby tu dzisiaj przyjść, że przybiegłam prosto spod prysznica, zostawiając rękawiczki w pokoju, i to się wydaje

nierealne, to nie jest możliwe, że to zrobiłam, że zapomniałam, że mogę być odpowiedzialna za jeszcze jedną śmierć, ja po prostu po prostu po prostu

osuwam się na podłogę.

– Julio.

Podnoszę wzrok. Zrywam się na równe nogi.

– Trzymaj się ode mnie z daleka – mówię.

Drżę, próbuję opanować łzy, a jednocześnie zapadam się w sobie i znikam, bo uważam, że na to zasługuję. To musi być moja ostateczna kara. Zasługuję na ten ból, zasługuję na to, by być morderczynią jednego z nielicznych przyjaciół, jakich mam na świecie. Chciałabym wyschnąć i zniknąć na zawsze.

– Odejdź...

– Julio, proszę – mówi Warner, podchodząc bliżej.

Jego twarz jest odlana z cienia. Tunel jest tylko częściowo oświetlony i nie wiem, dokąd prowadzi. Wiem tylko, że nie chcę tu być sama z Warnerem.

Nie teraz. Ani nigdy więcej.

– Powiedziałam, trzymaj się ode mnie z daleka. – Głos mi drży. – Nie chcę z tobą rozmawiać. Proszę... Po prostu zostaw mnie w spokoju!

– Nie mogę cię tak zostawić! – mówi. – Nie teraz, kiedy płaczesz!

– Może nie potrafiłbyś zrozumieć takich uczuć – warczę. – Może ciebie by to nie obeszło, bo zabijanie ludzi nic dla ciebie nie znaczy!

Oddycha ciężko. Za szybko.

– O czym ty mówisz?

– O Kenjim! – Wybucham. – Ja to zrobiłam! To moja wina! To moja wina, że ty i Adam zaczęliście się bić, i to moja wina, że Kenji wyszedł was rozdzielić, i to moja wina... – Głos mi się załamuje 1, 2 razy. – To moja wina, że on nie żyje!

Oczy Warnera się rozszerzają.

– Nie bądź śmieszna – mówi. – On żyje.

Jestem cierpieniem.

Szlocham z powodu tego, co zrobiłam, i tego, że on przecież nie żyje, nie widziałeś go, nawet się nie ruszał, a ja go zabiłam, a Warner nadal milczy. Nie wypowiada ani słowa, kiedy ja rzucam straszne, potworne obelgi i oskarżam go o brak ludzkich uczuć, o to, że nie potrafi zrozumieć, czym jest rozpacz. Zdaję sobie sprawę, że jestem w jego ramionach, dopiero wtedy kiedy już przytulam się do jego piersi i nie protestuję. Nawet nie próbuję. Trzymam się go kurczowo, bo potrzebuję tego ciepła, tęsknię za uczuciem, że otaczają mnie silne ramiona, i dopiero teraz zaczynam zdawać sobie sprawę, jak szybko uzależniłam się od leczniczych właściwości zwykłego uścisku.

Jak rozpaczliwie za tym tęskniłam.

A on po prostu mnie przytula. Gładzi moje włosy, przesuwa delikatnie dłoń po moich plecach i słyszę, jak jego serce wybija dziwny, szalony rytm, który wydaje się zbyt szybki dla ludzkiej istoty.

Otaczają mnie jego ramiona.

– Nie zabiłaś go, skarbie – mówi.

– Może nie widziałeś tego, co ja widziałam – odpowiadam.

– Zupełnie nie rozumiesz sytuacji. Nie zrobiłaś nic, co mogłoby go zranić.

Kręcę głową na jego piersi.
– O czym ty mówisz?
– To nie ty. Wiem, że to nie ty.
Odsuwam się. Patrzę mu w oczy.
– Skąd możesz wiedzieć?
– Po prostu wiem, że to nie ty zraniłaś Kenjiego – mówi. – Tylko ja.

## 58

– Co?

– On nie zginął – mówi Warner. – Chociaż jest ciężko ranny. Myślę, że uda im się postawić go na nogi.

– O czym... – Wpadam w panikę, panika przenika mnie do szpiku kości. – O czym ty mówisz...

– Proszę, usiądź. Wyjaśnię ci to.

Warner siada na podłodze i poklepuje miejsce obok siebie. Nie wiem, co innego mogłabym zrobić, a moje nogi wydają się teraz stanowczo zbyt chybotliwe, żeby dało się na nich ustać.

Moje kończyny rozlewają się na podłodze, siadam oparta plecami o ścianę, a jego prawy bok i mój lewy bok dzieli tylko cienki centymetr powietrza.

1

2

3 sekundy mijają.

– Nie chciałem wierzyć Castle'owi, kiedy powiedział mi, że mogę mieć jakiś... dar – zaczyna Warner.

Mówi tak cicho, że muszę wytężać słuch, żeby go usłyszeć, chociaż dzielą nas tylko centymetry.

– Właściwie chyba miałem nadzieję, że mówi to po to, żeby wyprowadzić mnie z równowagi dla jakiejś własnej korzyści. – Ciche westchnienie. – Ale z drugiej strony, kiedy się nad tym zastanowiłem, to się trzymało kupy. Castle powiedział mi też o Kencie. O tym, że może cię dotknąć i że odkryli dlaczego. Przez moment myślałem, że może mam podobne zdolności. Coś równie żałosnego. Równie bezużytecznego. – Śmieje się. – Nie chciało mi się w to wierzyć.

– To nie są bezużyteczne zdolności – słyszę swój głos.

– Tak? – Odwraca się twarzą do mnie. Nasze ramiona prawie się dotykają. – Powiedz mi, skarbie. Co on potrafi?

– Potrafi blokować różne rzeczy. Zdolności.

– Właśnie – mówi – ale do czego może mu się to przydać? Do czego może mu się przydać umiejętność blokowania umiejętności jego własnych ludzi? To absurd. To nieracjonalne. To nie pomoże w tej wojnie.

Jestem oburzona. Ale postanawiam to zignorować.

– Co to wszystko ma wspólnego z Kenjim?

Odwraca głowę. Jego głos łagodnieje.

– Uwierzyłabyś mi, gdybym ci powiedział, że mogę wyczuć w tej chwili twoją Energię? Wyczuć jej ton i wagę?

Wpatruję się w niego, studiuję rysy jego twarzy i szczerą, niepewną nutę w jego głosie.

– Tak – odpowiadam. – Myślę, że ci wierzę.

Warner uśmiecha się w sposób, który sprawia, że wydaje się smutniejszy.

– Potrafię wyczuć emocje, które odczuwasz najintensywniej – mówi, biorąc

głęboki oddech. – A ponieważ cię znam, potrafię umieścić te uczucia w kontekście. Wiem na przykład, że strach, który odczuwasz w tej chwili, nie jest wywołany przeze mnie, lecz przez to, co według ciebie zrobiłaś Kenjiemu. Wyczuwam twoje wahanie, twój opór przed uwierzeniem, że to nie była twoja wina. Czuję twój smutek, twoją rozpacz.

– Naprawdę potrafisz to wyczuć?

Kiwa głową, nie patrząc na mnie.

– Nie wiedziałam, że to możliwe.

– Ja też nie. Nie miałem pojęcia. W każdym razie przez bardzo długi czas. Właściwie żyłem w przeświadczeniu, że to normalne, że jest się tak dotkliwie świadomym ludzkich emocji. Że może co najwyżej jestem bardziej przenikliwy niż większość ludzi. To miało duży wpływ na decyzję mojego ojca o przekazaniu mi Sektora 45. Ta moja umiejętność odgadywania, że ktoś coś ukrywa albo że czuje się winny, albo, co najważniejsze, że kłamie. – Cisza. – To – mówi – i to, że nie waham się pociągnąć winnych do odpowiedzialności, jeśli sytuacja tego wymaga. Ale dopiero kiedy Castle zasugerował, że może chodzić o coś więcej, zacząłem naprawdę to analizować. Prawie straciłem rozum. – Kręci głową. – W kółko o tym myślałem, zastanawiałem się nad sposobami udowodnienia i obalenia jego teorii. Nawet po gruntownym przemyśleniu tego wszystkiego uznałem, że to niemożliwe. I chociaż trochę mi przykro, ze względu na ciebie, nie na mnie, że Kenji był na tyle głupi, żeby się dzisiaj wtrącić, myślę, że to właściwie zaowocowało dość nieoczekiwanym odkryciem. Bo teraz wreszcie mam dowód. Dowód na to, że się myliłem. Że Castle miał rację.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Zabrałem twoją Energię, chociaż nie wiedziałem, że to potrafię. Czułem ją bardzo wyraźnie, kiedy wszyscy czworo staliśmy razem. Adam był niedostępny, co zresztą tłumaczy, dlaczego nigdy nie podejrzewałem go o brak lojalności. Jego uczucia zawsze były ukryte, zawsze bronił mi do nich dostępu. Byłem naiwny, bo zakładałem, że po prostu działa mechanicznie, że jest pozbawiony charakteru albo na niczym mu nie zależy. Wymknął mi się, i to była moja wina. Miałem zbyt duże zaufanie do siebie, żeby przewidzieć usterkę w systemie.

Mam ochotę powiedzieć: i co, zdolności Adama nie są jednak takie bezużyteczne?

Ale nie mówię.

– A Kenji – mówi po chwili Warner. Pociera czoło. Śmieje się cicho. – Kenji był... bardzo sprytny. Dużo sprytniejszy, niż sądziłem, co, jak się okazuje, było właśnie jego taktyką. Kenji – ciągnie Warner, wypuszczając powietrze – robił, co mógł, żeby uchodzić za jawne zagrożenie. Dlatego nie podejrzewałem, że może coś ukrywać. Ciągle pakował się w kłopoty, domagał się dokładek przy posiłkach, wdawał się w bójki z innymi żołnierzami, nie przestrzegał godziny policyjnej. Łamał proste zasady, żeby zwrócić na siebie uwagę. Żebym widział w nim irytującego głupka i nikogo więcej. Zawsze czułem, że jest w nim coś, co go odróżnia od pozostałych, ale uznałem, że to się sprowadza do głośnego, hałaśliwego zachowania i nieumiejętności przestrzegania zasad. Spisałem go na straty jako marnego żołnierza. Kogoś, kto nigdy nie awansuje. Kogoś, kim szkoda sobie zawracać głowę. – Kręci

głową. Unosi brwi, wpatrzony w ziemię. – Genialne – mówi. Wygląda niemal tak, jakby był pod wrażeniem. – To było genialne. Jedyny jego błąd – dodaje Warner po chwili – polegał na tym, że zbyt otwarcie przyjaźnił się z Kentem. I tego błędu omal nie przypłacił życiem.

– Więc... co? Chciałeś go dzisiaj wykończyć? – pytam, wciąż zupełnie zdezorientowana, próbując wrócić do tematu. – Zraniłeś go celowo?

– Nie celowo. – Warner kręci głową. – Właściwie nie wiedziałem, co robię. Przynajmniej z początku. Zawsze tylko wyczuwałem Energię. Nie zdawałem sobie sprawy, że potrafię ją przejąć. Ale zwyczajnie przechwyciłem ją, dotykając ciebie. Poziom adrenaliny u nas wszystkich był tak wysoki, że twoja Energia właściwie sama przerzuciła się na mnie. A kiedy Kenji chwycił mnie za ramię, ty i ja wciąż byliśmy połączeni. I ja... Jakoś zdołałem przekierować twoją moc na niego. To było zupełnie przypadkowe, ale dokładnie czułem, że to właśnie się dzieje. Czułem, jak twoja moc wpada we mnie. Wypada ze mnie. – Podnosi wzrok. Patrzy mi w oczy. – To była najbardziej niezwykła rzecz, jaką przeżyłem.

Gdybym nie siedziała, to chyba bym się przewróciła.

– Więc możesz brać... Możesz po prostu przejmować zdolności paranormalne innych ludzi? – pytam.

– Na to wychodzi.

– I jesteś pewien, że nie zraniłeś Kenjiego celowo.

Warner się śmieje, patrząc na mnie, jakbym właśnie powiedziała coś bardzo zabawnego.

– Gdybym chciał go zabić, zabiłbym go. I nie potrzebowałbym do tego takich skomplikowanych metod. Nie interesują mnie efekty specjalne. Kiedy chcę komuś zadać ból, mogę to zrobić gołymi rękami.

Milczę, zszokowana.

– Nie mogę uwierzyć – mówi Warner – że aż tyle jesteś w stanie w sobie pomieścić, że nie musisz tego jakoś uwolnić. Ledwie udało mi się to wytrzymać. Przepływ Energii z mojego ciała na Kenjiego był nie tylko natychmiastowy, on był niezbędny. Nie mógłbym dłużej tego znieść.

– I ja nie mogę cię zranić? – Mrugam zaskoczona. – Ani trochę? Moja moc po prostu przepływa na ciebie? Wchłaniasz ją?

Kiwa głową.

– Chcesz zobaczyć? – pyta.

Mówię: tak – głową, oczami i ustami, przerażona własną ekscytacją.

– Co mam zrobić? – pytam.

– Nic – mówi bardzo cicho. – Po prostu mnie dotknij.

Moje serce bije wali pędzi biegnie przez moje ciało, a ja staram się skupić. Staram się zachować spokój. Wszystko będzie dobrze, mówię sobie. Nic mi nie będzie. To tylko eksperyment. Nie ma potrzeby tak się ekscytować, że można znowu kogoś dotknąć, powtarzam sobie.

~~Ale jestem tak strasznie, strasznie podekscytowana!~~

Wyciąga nieosłoniętą dłoń.

Chwytam ją.

Czekam na coś, co powinno teraz nastąpić, na jakieś uczucie słabości, jakiś

ubytek Energii, jakiś znak, że coś przenika z mojego ciała do jego ciała, ale zupełnie nic nie czuję. Wszystko jest dokładnie tak, jak było. Ale obserwuję twarz Warnera. Zamyka oczy, próbuje się skupić. Potem czuję, jak jego dłoń zaciska się wokół mojej, a on zaczyna dyszeć.

Jego oczy otwierają się gwałtownie, a jego druga ręka zanurza się w podłodze.

W panice wyszarpuję dłoń. Chwieję się na boki, podpieram się od tyłu rękami. Ja chyba śnię. Muszę mieć halucynacje, skoro widzę dziurę w skale niecałe 10 centymetrów od miejsca, w którym Warner siedzi na podłodze. Muszę mieć halucynacje, skoro widziałam, jak jego nieruchoma dłoń przyciśnięta do kamienia zwyczajnie się w nim zanurzyła. To wszystko muszą być halucynacje. Od początku do końca. Śnię i na pewno zaraz się obudzę. Na pewno.

– Nie bój się.

– J-jak – jąkam się – jak t-to zrobiłeś?

– Nie bój się, skarbie, wszystko w porządku, przysięgam. Dla mnie to też coś nowego...

– Moja... moja moc? To nie... Nie czujesz żadnego bólu?

Kręci głową.

– Przeciwnie. Tylko jakiś nieprawdopodobny pęd adrenaliny nieprzypominający niczego, co mi się w życiu przytrafiło. Chyba jestem trochę oszołomiony. W zdecydowanie pozytywnym sensie. – Śmieje się. Uśmiecha się do siebie. Opuszcza głowę i chowa twarz w dłoniach. Podnosi wzrok. – Możemy to powtórzyć?

– Nie – mówię od razu.

Uśmiecha się szeroko.

– Na pewno?

– Nie mogę... Po prostu nie mogę uwierzyć, że możesz mnie dotknąć. Że naprawdę... To znaczy... – Kręcę głową. – Nie ma żadnego haczyka? Żadnych „ale”? Dotykasz mnie i nikt nie cierpi? Mało, że nikt nie cierpi, to jeszcze ci się to podoba? Czy to jest przyjemne?

Teraz mruga, wpatrując się we mnie, jakby nie był pewien, jak odpowiedzieć na to pytanie.

– No?

– Tak – mówi, ale to słowo wypowiedziane bez tchu.

– Co „tak”?

Słyszę teraz, jak mocno bije jego serce. Naprawdę słyszę je w ciszy między nami.

– Tak – mówi. – Podoba mi się to.

Niemożliwe.

– Nigdy nie musisz się bać mnie dotknąć – mówi. – To mnie nie zrani. Może tylko dać mi siłę.

Mam ochotę się roześmiać. Śmiać się głośno, takim dziwnym, piskliwym śmiechem, który zwykle sygnalizuje początek utraty zdrowia psychicznego. Ktoś tu ma koszmarne, koszmarne poczucie humoru. Zawsze miałam wrażenie, że słyszę, jak świat się śmieje. Ze mnie. Mnożąc mi w życiu kolejne komplikacje. Rujnując moje najlepiej przygotowane plany i pozbawiając mnie szansy dokonania sensownego

wyboru. Że też wszystko jest takie pogmatwane.

Nie mogę dotknąć chłopaka, którego kocham.

Ale swoim dotykiem mogę przekazać siłę chłopakowi, który próbował zabić tego, którego kocham.

Ani trochę – mam ochotę powiedzieć światu – nie jest mi do śmiechu.

Podnoszę wzrok pod wpływem nagłego olśnienia.

– Musisz powiedzieć Castle'owi.

– Po co miałbym to robić?

– Bo on musi wiedzieć! To by wyjaśniło stan Kenjiego i mogłoby nam jutro pomóc! Będziesz walczył po naszej stronie, można to wykorzystać...

Warner się śmieje.

Śmieje się i śmieje i śmieje, oczy mu błyszczą, lśnią nawet w tym przyćmionym świetle. Śmieje się, aż jego śmiech zamienia się w ciężki oddech, w delikatne westchnienie, aż rozpływa się w pełnym rozbawienia uśmiechu. Uśmiecha się szeroko do mnie, potem do siebie, aż w końcu jego wzrok pada na moją dłoń, tę, która leży swobodnie na moich kolanach, i waha się przez ułamek sekundy, a potem muska palcami delikatną skórę na moich knykciach.

Nie oddycham.

Nie odzywam się.

Nie ruszam się.

Waha się, jakby chciał się przekonać, czy cofnę rękę, a ja powinnam, wiem, że powinnam, ale tego nie robię. Więc bierze moją dłoń. Przygląda się jej. Przesuwa palce wokół mojej dłoni, wokół zgięć moich stawów, wrażliwego miejsca między kciukiem i palcem wskazującym, a jego dotyk jest tak czuły, tak delikatny i łagodny, i tak miły, że to właściwie boli, naprawdę boli. To więcej, niż w tej chwili jest w stanie znieść moje serce.

Wyrywam rękę nerwowym, niezręcznym ruchem, czerwienię się, a mój puls się potyka.

Warner ani drgnie. Nie podnosi głowy. Nawet nie wydaje się zaskoczony. Tylko wpatruje się w swoje puste teraz dłonie.

– Wiesz – mówi jednocześnie obcym i miękkim głosem – myślę, że Castle jest zwykłym optymistycznym głupcem. Jest gotów przyjąć każdego, i to się obróci przeciwko niemu. Po prostu dlatego że nie można wszystkim dogodzić. – Cisza. – Jest najlepszym przykładem kogoś, kto nie zna zasad tej gry. Kogoś, kto za bardzo kieruje się sercem i rozpaczliwie czepia się jakiegoś fantastycznego wyobrażenia o nadziei i pokoju. To mu nie pomoże – wzdycha. – Właściwie to będzie przyczyną jego końca, jestem o tym przekonany. Ale w tobie jest coś... W tym, jak ty odczuwasz nadzieję. – Kręci głową. – To tak naiwne, że aż dziwnie ujmujące. Chcesz wierzyć ludziom. Wolisz dobroć. – Uśmiecha się odrobinę. Podnosi wzrok. – To mnie bawi.

Od razu czuję się jak idiotka.

– Nie będziesz jutro z nami walczył.

Warner teraz otwarcie się śmieje, jego oczy są takie ciepłe.

– Zamierzam odejść.

– Zamierzasz odejść. – Drętwieję.

– To nie jest moje miejsce.

Kręcę głową.

– Nie rozumiem – mówię. – Jak możesz odejść? Powiedziałeś Castle'owi, że będziesz z nami jutro walczył. Czy on wie, że odchodzisz? Czy ktokolwiek wie? – pytam, przypatrując się badawczo jego twarzy. – Jakie masz plany? Co zamierzasz zrobić?

Nie odpowiada.

– Co zamierzasz zrobić...

– Julio – szepcze, wpatrując się we mnie natarczywym, nagle pełnym udręki wzrokiem. – Chciałbym cię o coś popro...

Ktoś pędzi tunelami.

Woła mnie.

Adam.

## 59

Zrywam się gwałtownie i mówię Warnerowi, że zaraz wrócę.

Mówię: nie idź jeszcze nie idź nigdzie jeszcze przez chwilę zaraz wrócę, ale nie czekam na jego odpowiedź i już biegnę w stronę oświetlonego korytarza i prawie wpadam na Adama. Przytrzymuje mnie i przyciąga do siebie, blisko, jak zawsze zapominając, że nie powinien mnie w ten sposób dotykać. Jest zaniepokojony. Pyta: „Nic ci nie jest?", i mówi: „Tak mi przykro" i „Wszędzie cię szukałem", i „Myślałem, że przyjdziesz do skrzydła medycznego", i „To nie była twoja wina, mam nadzieję, że o tym wiesz...".

Myśl o tym, jak bardzo mi na nim zależy, raz po raz uderza mnie w twarz, w czaszkę, w kręgosłup. Myśl o tym, jak bardzo jemu zależy na mnie. Bycie tak blisko niego boleśnie przypomina mi o wszystkim, od czego odeszłam wbrew swojej woli. Biorę głęboki oddech.

– Co z Kenjim?

– Dalej jest nieprzytomny, ale Sara i Sonia uważają, że wyzdrowieje. Będą czuwały przy nim całą noc, żeby się upewnić, że wyjdzie z tego bez szwanku. – Cisza. – Nikt nie wie, co się stało – mówi. – Ale to nie byłaś ty. – Unieruchamia wzrokiem moje spojrzenie. – Wiesz o tym, prawda? Nawet go nie dotknęłaś. Wiem, że go nie dotknęłaś.

I chociaż otwieram usta milion razy, żeby powiedzieć: To był Warner. Warner to zrobił. To on zrobił to Kenjiemu, musisz go dorwać, złapać i zatrzymać, on okłamuje was wszystkich! Zamierza jutro uciec!

To nic nie mówię i nie wiem dlaczego.

Nie wiem, dlaczego go ochraniam.

Myślę, że w głębi duszy boję się wypowiedzieć na głos te słowa, w obawie, że przez to staną się prawdziwe. Nie wiem na pewno, czy Warner naprawdę odejdzie ani nawet w jaki sposób zamierza uciec. Nie wiem, czy to w ogóle możliwe. I nie wiem, czy mogę komuś powiedzieć o zdolnościach Warnera. Chyba nie chcę się przyznać Adamowi, że kiedy on i pozostali ludzie z Punktu Omega zajmowali się Kenjim, ja siedziałam w jakimś tunelu z Warnerem – naszym wrogiem i zakładnikiem – trzymając go za rękę i sprawdzając jego nową moc.

Chciałabym nie być tak zdezorientowana.

Chciałabym, żeby moje relacje z Warnerem nie wprawiały mnie w takie poczucie winy. Każda spędzona z nim chwila, każda rozmowa z nim sprawiają, że czuję się tak, jakbym w jakiś sposób zdradzała Adama, chociaż przecież już nawet nie jesteśmy razem. Moje serce nadal jest przywiązane do niego, jakbym czuła, że muszę wynagrodzić mu to, że już tak bardzo go zraniłam. Nienawidzę być przyczyną bólu w jego oczach, a w którymś momencie uznałam, że trzymanie pewnych rzeczy w sekrecie to jedyny sposób, żeby go nie ranić. Jednak w głębi duszy wiem, że to nie jest wyjście. Gdzieś w głębi zdaję sobie sprawę, że to się może źle skończyć.

Ale nie wiem, co innego mogłabym zrobić.

– Julio – Adam wciąż mocno mnie obejmuje, jest tak blisko, jest mi tak ciepło i

cudownie – nic ci nie jest?

Nie jestem pewna, dlaczego o to pytam, ale nagle czuję, że muszę to wiedzieć.

– Zamierzasz mu to kiedyś powiedzieć?

Adam odsuwa się, tylko o centymetr.

– Co?

– Warnerowi. Zamierzasz kiedyś powiedzieć mu prawdę? O was?

Adam mruga oszołomiony, nieprzygotowany na to pytanie.

– Nie – mówi wreszcie. – Nigdy.

– Dlaczego?

– Dlatego że krew to za mało, żeby być rodziną. Poza tym nie chcę mieć z nim nic wspólnego. Chcę móc patrzeć, jak umiera, i nie czuć litości ani żalu. On jest żywą definicją potwora. Zupełnie jak mój ojciec. Raczej padnę trupem, niż uznam go za swojego brata.

Nagle czuję się tak, jakbym sama miała się przewrócić.

Adam chwyta mnie w talii, szuka mojego wzroku.

– Jesteś jeszcze w szoku – mówi. – Musimy znaleźć ci coś do jedzenia... Albo może trochę wody...

– W porządku – odpowiadam. – Nic mi nie jest.

Pozwalam sobie nacieszyć się jedną, ostatnią sekundą w jego ramionach, a potem odsuwam się, żeby zaczerpnąć powietrza. Wciąż próbuję przekonać siebie, że Adam ma rację, że Warner robił straszne, koszmarne rzeczy i nie powinnam mu wybaczyć. Nie powinnam się do niego uśmiechać. Nie powinnam z nim nawet rozmawiać. I nagle mam ochotę krzyczeć, bo czuję, że mój mózg chyba nie poradzi sobie dłużej z moją podwójną osobowością.

Mówię Adamowi, że zaraz wrócę. Że muszę zajrzeć do łazienki przed pójściem do skrzydła medycznego, a on mówi, że w porządku, mówi, że poczeka.

Zaczeka, aż będę gotowa.

A ja idę na palcach do ciemnego tunelu, żeby powiedzieć Warnerowi, że muszę iść, że już jednak nie wrócę, ale kiedy wpatruję się w ciemność, nic nie widzę.

Rozglądam się.

Już go nie ma.

## 60

Nie musimy nic robić, żeby umrzeć.

Możemy przez całe życie ukrywać się w komórce pod schodami, a śmierć i tak nas znajdzie. Zjawi się ubrana w pelerynę niewidkę, machnie czarodziejską różdżką i strzepnie nas z tego świata, kiedy będziemy się tego najmniej spodziewali. Wymaże wszystkie ślady naszego istnienia na ziemi i wszystko to zrobi za darmo. Nie poprosi o nic w zamian. Ukłoni się na naszym pogrzebie, przyjmie wyrazy uznania za dobrze wykonaną robotę i zniknie.

Życie jest trochę trudniejsze. No i jest coś, co stale musimy robić.

Oddychać.

Wdech i wydech, każdego dnia, w każdej minucie, w każdej chwili potrzebujemy powietrza, czy nam się to podoba, czy nie. Nawet kiedy planujemy udusić nasze nadzieje i marzenia, wciąż oddychamy. Nawet kiedy ogarnia nas rezygnacja i sprzedajemy swoją godność człowiekowi na rogu, oddychamy. Oddychamy, kiedy się mylimy, oddychamy, kiedy mamy rację, oddychamy jeszcze nawet wtedy, kiedy stoimy już jedną nogą w grobie. Nie można tego zaprzestać.

Więc oddycham.

Liczę wszystkie kroki, które stawiam, wspinając się do pętli zwisającej z sufitu mojej egzystencji, próbuję policzyć, ile razy byłam głupia, ale kończą mi się liczby.

Kenji prawie dzisiaj umarł.

Przeze mnie.

Tak czy inaczej, to moja wina, że Adam i Warner się bili. To moja wina, że stanęłam między nimi. Że Kenji musiał ich rozdzielić. Gdybym nie znalazła się w środku tego wszystkiego, Kenji nie zostałby ranny.

A teraz stoję tutaj i wpatruję się w niego.

On ledwie oddycha, a ja go błagam. Błagam go, żeby robił jedyną rzecz, jaka ma teraz znaczenie. Jedną, jedyną rzecz. Musi się trzymać, ale on nie słucha. Nie słyszy mnie, a ja potrzebuję, żeby wyzdrowiał. Potrzebuję, żeby się wykaraskał. Potrzebuję, żeby oddychał.

Potrzebuję go.

Castle miał niewiele więcej do powiedzenia.

Wszyscy zebrali się w skrzydle medycznym, jedni wcisnęli się do środka, inni stali po drugiej stronie szyby, patrząc w milczeniu. Castle mówił krótko o tym, że musimy trzymać się razem, że jesteśmy rodziną, że jeśli nie będziemy mieli siebie nawzajem, to kogo będziemy mieli. Powiedział, że wszyscy jesteśmy przerażeni, to oczywiste, ale teraz pora, żebyśmy się wspierali. Pora się zjednoczyć i przeciwstawić złu. Już pora, powiedział, żebyśmy odebrali nasz świat.

– Już pora, żebyśmy zaczęli żyć – powiedział. – Wyruszymy dopiero wtedy, jak zjemy razem śniadanie. Nie możemy stanąć do walki podzieleni. Musimy wierzyć w siebie samych i w siebie nawzajem. Nie spieszcie się rano, postarajcie się odnaleźć wewnętrzną harmonię. Wyruszamy po śniadaniu. Jako jedna drużyna.

– Co będzie z Kenjim? – zapytał wtedy ktoś, a ja byłam zaskoczona, słysząc

ten znajomy głos.

James. Stał obok, zaciskając pięści, z policzkami mokrymi od łez, drżącą dolną wargą, choć walczył, żeby ukryć ból w swoim głosie.

Moje serce dzieli się równiutko na pół.

– Co masz na myśli? – zapytał Castle.

– Czy on będzie jutro walczył? – dopytywał się James, pociągając nosem, a jego pięści zaczęły drżeć. – On chce jutro walczyć. Powiedział mi, że chce jutro walczyć.

Twarz Castle'a się zmarszczyła. Nie spieszył się z odpowiedzią.

– Obawiam się... że Kenji raczej nie będzie mógł jutro do nas dołączyć. Ale może... może ty mógłbyś tu zostać i dotrzymać mu towarzystwa?

James nie odpowiedział. Wpatrywał się tylko w Castle'a. A potem popatrzył na Kenjiego. Mrugnął kilka razy, przepchnął się przez tłum i wdrapał na łóżko Kenjiego. Wtulił się w jego bok i natychmiast zasnął.

Wszyscy potraktowaliśmy to jak sygnał do wyjścia.

No tak. Wszyscy oprócz mnie, Adama, Castle'a i dziewcząt. To ciekawe, że wszyscy mówią o Soni i Sarze „dziewczęta", jak gdyby były jedynymi dziewczętami w Punkcie Omega. A nie są. Nie wiem nawet, skąd się to wzięło, i choć chciałabym wiedzieć, czuję się zbyt wyczerpana, żeby zapytać.

Zwijam się na fotelu i wpatruję w Kenjiego, który usiłuje oddychać. Opieram głowę na zaciśniętej dłoni, walcząc ze snem chcącym pozbawić mnie świadomości. Nie zasłużyłam na sen. Powinnam tu zostać przez całą noc i czuwać przy nim. Tak bym zrobiła, gdybym mogła go dotknąć, nie odbierając mu życia.

– Powinniście oboje się położyć.

Budzę się, podskakując gwałtownie, nie zdawałam sobie sprawy, że na sekundę się zdrzemnęłam.

Castle patrzy na mnie z łagodnym, dziwnym wyrazem twarzy.

– Nie jestem zmęczona – kłamię.

– Proszę iść do łóżka. Jutro mamy ważny dzień. Musi pani się wyspać.

– Odprowadzę ją – mówi Adam. Zaczyna wstawać. – A potem zaraz wrócę...

– Proszę – przerywa mu Castle. – Idźcie. Poradzę sobie razem z dziewczętami.

– Ale pan potrzebuje snu bardziej niż my – zauważam.

Castle uśmiecha się smutno.

– Obawiam się, że dzisiaj nie będę spał.

Odwraca się, żeby spojrzeć na Kenjiego, mruży oczy ze szczęścia, bólu albo czegoś pomiędzy jednym a drugim.

– Czy wiedzieliście – mówi do nas – że poznałem Kenjiego, kiedy był małym chłopcem? Znalazłem go krótko po tym, jak zbudowałem Punkt Omega. Dorastał tutaj. Kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy, mieszkał w starym wózku sklepowym, który znalazł na poboczu autostrady. – Castle milknie. – Czy kiedyś wam o tym opowiadał?

Adam z powrotem siada. Ja nagle jestem zupełnie rozbudzona.

– Nie – mówimy jednocześnie.

– Ach, wybaczcie mi. – Castle kręci głową. – Nie powinienem zawracać wam głowy takimi rzeczami. Zdaje się, że mam za dużo spraw. Tracę rozeznanie, co

powinienem zatrzymać dla siebie.

– Nie, proszę... Ja chcę wiedzieć – mówię. – Naprawdę.

Castle wpatruje się w swoje dłonie. Uśmiecha się słabo.

– To krótka historia. Kenji nigdy ze mną nie rozmawiał o tym, co się stało z jego rodzicami, a ja starałem się nie pytać. Wszystko, co miał, to imię, nazwisko i wiek. Natknąłem się na niego zupełnie przypadkowo. Mały chłopiec siedzący w wózku sklepowym. Z dala od cywilizacji. Był środek zimy, a on miał na sobie tylko stary sweter i spodnie od dresu, kilka numerów za duże. Był przemarznięty, potrzebował czegoś do jedzenia i miejsca do spania. Nie mogłem po prostu odejść. Nie mogłem go tam zostawić. Więc zapytałem, czy nie jest głodny.

Milknie, oddając się wspomnieniom.

– Kenji nie odezwał się ani słowem przez co najmniej pół minuty. Tylko na mnie patrzył. Już miałem się wycofać, bo myślałem, że go przestraszyłem. Ale on w końcu wyciągnął rękę. Uścisnął moją dłoń i potrząsnął nią. Bardzo mocno. A potem powiedział: „Dzień dobry panu. Nazywam się Kenji Kishimoto i mam dziewięć lat. Bardzo mi miło pana poznać". – Castle śmieje się głośno, a jego oczy błyszczą wzruszeniem, które wymyka się spod jego uśmiechów. – Musiał umierać z głodu. Biedne dziecko. Zawsze – mówi Castle, mrugając wpatrzony w sufit – zawsze miał silny charakter, był taki zdeterminowany. Taki dumny. Uparty.

Wszyscy przez chwilę milczymy.

– Nie wiedziałem – mówi Adam – że jesteście sobie tacy bliscy.

Castle wstaje. Rozgląda się i się uśmiecha zbyt promiennie, zbyt szeroko.

– Tak. Cóż, jestem pewien, że nic mu nie będzie. Rano będzie już zdrowy, a wy koniecznie powinniście się położyć.

– Jest pan pe...

– Tak, proszę, idźcie spać. Poradzę sobie tutaj razem z dziewczętami, obiecuję.

Więc wstajemy. Wstajemy, a Adamowi udaje się podnieść Jamesa z łóżka Kenjiego i wziąć go na ręce, nie budząc go. Wychodzimy.

Oglądam się za siebie.

Widzę, jak Castle opada na swoje krzesło, ukrywa twarz w dłoniach, a potem osuwa się na kolana. Widzę, jak wyciąga drżącą rękę i kładzie ją na nodze Kenjiego, i zastanawiam się, ilu rzeczy jeszcze nie wiem o ludziach, z którymi mieszkam. W jak niewielkim stopniu pozwoliłam sobie stać się częścią ich świata.

I już wiem, że chcę to zmienić.

## 61

Adam odprowadza mnie do pokoju.

Światła są zgaszone już od jakiejś godziny. Poza nikłym blaskiem lampek awaryjnych umieszczonych mniej więcej w odległości metra od siebie nic nie rozprasza ciemności, ale mimo to strażnikom patrolującym korytarze udaje się nas wypatrzyć i napomnieć, żebyśmy natychmiast wracali do swoich oddzielnych kwater.

Nie rozmawiamy aż do chwili, kiedy stoimy już przy wejściu do skrzydła dla kobiet. Jest między nami tyle napięcia, tyle niewypowiedzianych obaw. Tyle myśli o dniu dzisiejszym, o jutrze i o tych wszystkich tygodniach, które spędziliśmy razem. Tak wielu rzeczy nie wiemy o tym, co się z nami dzieje, i o tym, co się jeszcze stanie. Samo patrzenie na niego, bycie tak blisko, a zarazem tak daleko od niego... To boli.

Tak bardzo chciałabym pokonać przepaść między naszymi ciałami. Chciałabym przycisnąć usta do każdej części jego ciała, chciałabym delektować się zapachem jego skóry, siłą jego mięśni, jego serca. Chciałabym zawinąć się w ciepło i otuchę, od których się uzależniłam.

Ale.

Z drugiej strony, zaczynam rozumieć, że bycie z dala od niego zmusza mnie do tego, żebym zaczęła liczyć na siebie. Żebym pozwoliła sobie na strach i znajdowała własne sposoby, żeby sobie z nim radzić. Musiałam trenować bez niego, walczyć bez niego, musiałam sama stawić czoło Warnerowi, Andersonowi i zamętowi w mojej głowie. Przez cały ten czas nie było go u mojego boku. I teraz czuję, że się zmieniłam. Odkąd pojawiła się ta przestrzeń między nami, czuję się silniejsza.

I nie wiem, co to oznacza.

Wiem tylko, że nie powinnam na nikim polegać do tego stopnia. Szukać ciągłego potwierdzenia tego, kim jestem i kim pewnego dnia chcę być. Mogę go kochać, ale nie mogę liczyć na to, że zastąpi mi kręgosłup. Nie będę niezależna, jeśli nie nauczę się radzić sobie bez kogoś, kto by mnie podtrzymywał.

W mojej głowie panuje bałagan. Każdego dnia jestem zdezorientowana, boję się, że popełnię kolejny błąd, boję się, że stracę kontrolę, boję się, że zgubię siebie. Ale to coś, z czym sama muszę sobie poradzić. Bo przez resztę mojego życia, zawsze, zawsze już będę silniejsza niż wszyscy ludzie dokoła mnie.

Przynajmniej już nigdy nie będę musiała się bać.

– Poradzisz sobie? – pyta Adam, wreszcie rozpraszając ciszę między nami.

Podnoszę wzrok i widzę, że w jego oczach pojawia się troska, że próbuje odgadnąć moje myśli.

– Tak – odpowiadam. – Tak. Poradzę sobie.

Zdobywam się na uśmiech. To, że jestem tak blisko niego, nie mogąc go dotknąć, wydaje się niewłaściwe.

Adam kiwa głową. Milczy niepewnie.

– Co za noc – mówi.

– Jutro będzie tylko gorzej – szepczę.

– Tak – mówi cicho, wciąż patrząc na mnie, jakby czegoś szukał, jakiejś

odpowiedzi na niewypowiedziane pytanie, a ja zastanawiam się, czy zobaczył w moich oczach coś nowego. Uśmiecha się niewyraźnie. – Chyba powinienem już iść – mówi, zerkając na Jamesa wtulonego w swoje ramiona.

Kiwam głową zagubiona. Nie wiem, co powiedzieć.

Tylu rzeczy nie wiem.

– Wyjdziemy z tego – mówi Adam, odpowiadając na moje niewypowiedziane myśli. – Z wszystkiego. Wszystko się jakoś ułoży. Kenji wyzdrowieje.

Dotyka mojego ramienia, pozwala palcom przesunąć się wzdłuż mojej ręki i zatrzymuje się tuż nad moim nieosłoniętym nadgarstkiem.

Zamykam oczy, chcąc nacieszyć się tą chwilą.

A potem jego palce muskają moją skórę, moje powieki unoszą się gwałtownie, a serce wyrywa mi się z piersi.

Jego wzrok mówi, że nie poprzestałby na tym, gdyby nie trzymał Jamesa w ramionach.

– Adamie...

– Znajdę jakiś sposób – mówi. – Znajdę sposób, żeby to mogło się udać. Obiecuję. Potrzebuję tylko trochę czasu.

Boję się odezwać. Boję się tego, co mogłabym powiedzieć, co mogłabym zrobić, boję się wzbierającej we mnie nadziei.

– Dobranoc – szepcze.

– Dobranoc – mówię.

Zaczynam myśleć o nadziei jak o niebezpiecznej, przerażającej rzeczy.

## 62

Jestem wykończona. Po wejściu do pokoju na wpół przytomna przebieram się w koszulkę na ramiączkach i spodnie od piżamy, w których sypiam. Dostałam je od Sary. Radziła mi, żebym zdejmowała na noc swój strój, ona i Sonia uważają, że powinnam pozwolić skórze oddychać.

Już mam się wczołgać pod kołdrę, kiedy rozlega się ciche pukanie do drzwi.

Adam

to moja pierwsza myśl.

Ale potem otwieram drzwi. I natychmiast je zamykam.

Ja chyba śnię.

O. Boże.

– Co tutaj robisz!? – krzyczę szeptem przez zamknięte drzwi.

– Muszę z tobą porozmawiać.

– W tej chwili! Musisz ze mną porozmawiać natychmiast, w tej chwili.

– Tak. To ważne – odpowiada Warner. – Słyszałem, jak Kent mówił, że te bliźniaczki będą do rana w skrzydle medycznym, i pomyślałem, że moglibyśmy porozmawiać na osobności.

– Słuchałeś mojej rozmowy z Adamem?

Wpadam w panikę, boję się, że mógł słyszeć za dużo.

– Nie interesują mnie twoje rozmowy z Kentem – mówi, a jego głos nagle staje się bezbarwny, neutralny. – Poszedłem, kiedy tylko usłyszałem, że będziesz dzisiaj sama.

– Ach. – Wypuszczam powietrze. – Jak w ogóle się tu dostałeś? Strażnicy cię nie zatrzymali?

– Może otworzysz drzwi, żebym mógł to wyjaśnić.

Nie ruszam się.

– Proszę cię, skarbie, nie zrobię ci krzywdy. Powinnaś już to rozumieć.

– Daję ci pięć minut. Potem idę spać, jasne? Jestem wykończona.

– Dobrze – mówi. – Pięć minut.

Biorę głęboki oddech. Uchylam drzwi. Zerkam na niego.

Uśmiecha się. W ogóle nie wygląda na skruszonego.

Kręcę głową.

Prześlizguje się obok mnie i po prostu siada na moim łóżku.

Zamykam drzwi, przechodzę na drugą stronę pokoju i siadam na łóżku Soni, nagle boleśnie zdając sobie sprawę z tego, co mam na sobie i jak bardzo czuję się teraz odsłonięta. Krzyżuję ramiona na cienkiej bawełnie przylegającej do moich piersi – chociaż jestem pewna, że on mnie nie widzi – i staram się nie zwracać uwagi na chłód. Ciągle zapominam, jak dobrze kombinezon reguluje temperaturę mojego ciała tak głęboko pod ziemią.

Winston jest genialny.

Winston.

Winston i Brendan.

Och, jak bardzo bym chciała, żeby nic im się nie stało.

– Więc...? O co chodzi? – pytam Warnera. Nie widzę nic w tej ciemności, ledwie rozróżniam zarys jego postaci. – Poszedłeś sobie, chociaż prosiłam, żebyś zaczekał. Wtedy, w tunelu.

Dwa uderzenia serca ciszy.

– Twoje łóżko jest o wiele wygodniejsze od mojego – mówi cicho. – Masz poduszkę. I prawdziwą kołdrę? – Śmieje się. – Mieszkasz tu sobie jak królowa. Dobrze cię traktują.

– Warner. – Teraz jestem zdenerwowana. Zaniepokojona. Pełna obaw. Trochę drżę, ale nie z zimna. – Co się dzieje? Dlaczego tu jesteś?

Nic.

Nadal nic.

Nagle.

Drżący oddech.

– Chcę, żebyś poszła ze mną.

Świat przestaje się kręcić.

– Kiedy jutro ucieknę – mówi. – Chcę, żebyś poszła ze mną. Nie miałem okazji dokończyć rozmowy z tobą, a wiedziałem, że jutro rano trudno będzie o dobry moment.

– Chcesz, żebym poszła z tobą. – Nie jestem pewna, czy jeszcze oddycham.

– Tak.

– Chcesz, żebym z tobą uciekła. – To nie może się dziać.

Cisza.

– Tak.

– Nie mogę w to uwierzyć. – Kręcę głową i kręcę i kręcę i kręcę. – Ty naprawdę straciłeś rozum.

Prawie słyszę, jak się w ciemności uśmiecha.

– Gdzie jest twoja twarz? Czuję się tak, jakbym rozmawiał z duchem.

– Tu jestem.

– Gdzie?

Wstaję.

– Tutaj.

– Wciąż cię nie widzę – mówi, ale jego głos nagle brzmi znacznie bliżej niż do tej pory. – Widzisz mnie?

– Nie – kłamię, próbując zignorować to gwałtownie rosnące napięcie, jakby powietrze wokół nas było naładowane.

Robię krok do tyłu.

Czuję jego dłonie na ramionach, czuję jego skórę na swojej skórze i wstrzymuję dech. Nie poruszam się ani o centymetr. Nie wypowiadam ani słowa, gdy jego ręce zsuwają się w dół aż do mojej talii, na cienki materiał, który tak słabo okrywa moje ciało. Jego palce muskają skórę u dołu moich pleców, tuż pod krawędzią koszulki, a ja nie wiem nawet, w którym momencie moje serce przestało bić.

Usiłuję nabrać tlenu w płuca.

~~Usiłuję trzymać ręce przy sobie.~~

– Czy to możliwe – szepcze – że nie czujesz tego ognia między nami?

Jego ręce znowu wędrują po moich ramionach, jego dotyk jest tak delikatny, jego palce wślizgują się pod ramiączka mojej koszulki i to mnie rozdziera, przejmuje mnie bólem, to jak puls bijący w każdym centymetrze mojego ciała, i próbuję nie tracić głowy, kiedy czuję, jak ramiączka opadają i wszystko się zatrzymuje.

Powietrze jest nieruchome.

Moja skóra jest przerażona.

Moje myśli szepczą. Na

2

4

6 sekund zapominam o oddechu.

Potem czuję na swoim ramieniu jego usta, miękkie, rozpalone i czułe, tak delikatne, że byłabym skłonna uwierzyć, że to pocałunek wiatru.

Znowu.

Tym razem na obojczyku. To jest jak sen, jak przeżywanie od nowa dawno zapomnianych pieszczot, jak ból, który chce się ukoić, jak parująca patelnia wrzucona do zimnej wody, jak rozpalony policzek przyciśnięty do chłodnej poduszki w gorącą gorącą gorącą noc, a ja myślę: tak, myślę: cudownie, myślę: dziękuję dziękuję dziękuję

zanim przypominam sobie, że jego usta dotykają mojego ciała, a ja nie robię nic, żeby go powstrzymać.

Odsuwa się.

Moje oczy nie chcą się otworzyć.

Jego palec d-dotyka mojej dolnej wargi.

Śledzi kształt moich ust kontury złączenie zagłębienie i moje usta się rozchylają, chociaż prosiłam je, żeby tego nie robiły, a on podchodzi bliżej. Czuję go o wiele bliżej, wypełnia powietrze wokół mnie, aż istnieje już tylko on i żar jego ciała, zapach mydła i czegoś nieokreślonego, czegoś słodkiego, a jednocześnie niesłodkiego, czegoś rzeczywistego i gorącego, czegoś pachnącego nim, jakby do niego należało, jakby został przelany do butelki, w której tonę, i nawet nie zdaję sobie sprawy, że wtulam się w niego, wdycham zapach jego szyi, aż okazuje się, że jego palców nie ma już na moich ustach, bo jego ręce są wokół mojej talii, a on mówi

– Ty... – mówi szeptem, wytłaczając litery w mojej skórze, a potem milknie.

Potem.

Ciszej.

Jego pierś unosi się szybciej. Jego słowa są teraz zaledwie oddechem.

– Ty mnie niszczysz.

Rozpadam się na kawałki w jego ramionach.

Moje pięści są pełne grosików na nieszczęście, moje serce jest szafą grającą, która domaga się kilku monet, a reszta podrzuca dwudziestopięciocentówki orzeł czy reszka orzeł czy reszka orzeł czy reszka orzeł czy reszka

– Julio – mówi, właściwie tylko poruszając ustami, prawie w ogóle nie wydobywając głosu, napełnia moje kończyny płynną lawą, chociaż wcześniej nie miałam pojęcia, że mogę roztopić się na śmierć.

– Pragnę cię – mówi.

Mówi:

– Pragnę cię całej. Pragnę twojego wnętrza i tego, co na zewnątrz, chcę chwytać twój oddech i chcę, żebyś pragnęła mnie tak gorąco, jak ja pragnę ciebie.

Mówi tak, jakby w jego gardle tkwił zapalony papieros, jakby chciał zanurzyć mnie w ciepłym miodzie, i mówi:

– To nigdy nie było tajemnicą. Nigdy nie starałem się tego przed tobą ukryć. Nigdy nie udawałem, że chcę mniej.

– Mówiłeś... Mówiłeś, że chcesz p-przyjaźni...

– Tak – mówi, przełykając ślinę. – Tak mówiłem. Chcę. Chcę być twoim przyjacielem. – Kiwa głową, a ja rejestruję nieznaczny ruch powietrza między nami. – Chcę być tym przyjacielem, w którym się beznadziejnie zakochasz. Tym, którego weźmiesz w ramiona i do swojego łóżka, i do osobistego świata w swojej głowie. Takim przyjacielem chcę być – mówi. – Takim, który zapamięta rzeczy, które mówisz, i kształt twoich ust, kiedy je mówisz. Chcę znać każdą krzywiznę, każdy pieg, każde drżenie twojego ciała, Julio...

– Nie – dyszę. – Nie... Nie m-mów tak...

Nie wiem co zrobię jeśli nie przestanie mówić nie wiem co zrobię i nie ufam sobie

– Chcę wiedzieć, gdzie cię dotykać – mówi. – Chcę wiedzieć, jak cię dotykać. Chcę wiedzieć, jak cię przekonać, żebyś stworzyła uśmiech tylko dla mnie.

Czuję jak jego pierś się unosi opada unosi i opada i unosi i opada i

– Tak – mówi. – Chcę być twoim przyjacielem – mówi. – Chcę być twoim najlepszym przyjacielem.

Nie jestem w stanie myśleć.

Nie jestem w stanie oddychać.

– Pragnę tylu rzeczy – szepcze. – Pragnę twojego umysłu. Twojej siły. Chcę być wart twojego czasu. – Jego palce muskają brzeg mojej koszulki, a on mówi: – Chcę to podciągnąć. – Ciągnie za pasek moich spodni i mówi: – Chcę to zsunąć. – Dotyka opuszkami palców boków mojego ciała i mówi: – Chcę czuć, jak twoja skóra płonie. Chcę czuć, jak twoje serce bije obok mojego, i chcę wiedzieć, że bije tak z mojego powodu, dlatego że tego chcesz. Dlatego że nigdy – mówi, dysząc – za nic nie chcesz, żebym przestał. Chcę każdej sekundy. Każdego centymetra ciebie. Chcę tego wszystkiego.

A ja padam trupem na podłogę.

– Julio.

Nie rozumiem, dlaczego nadal słyszę jego głos, bo przecież nie żyję, już nie żyję, umieram znowu i znowu i znowu

Przełyka ślinę, pierś mu faluje, z trudem wydobywa słowa, które są zaledwie drżącym szeptem:

– Jestem tak... Tak beznadziejnie w tobie zakochany...

Stoję wrośnięta w ziemię, a wszystko wokół wiruje, nawet moja krew i kości, nabieram powietrza, jakbym była pierwszym człowiekiem, który nauczył się latać, jakbym wdychała ten rodzaj tlenu, który znajduje się tylko w chmurach, i robię, co w mojej mocy, ale nie wiem, jak powstrzymać ciało od reakcji na niego, na jego słowa, na ból w jego głosie.

Dotyka mojego policzka.

Delikatnie, tak delikatnie, jakby nie był pewien, czy istnieję naprawdę, jakby się bał, że jeśli znajdzie się za blisko, to po prostu, o, patrz, nie ma jej, zniknęła. Jego 4 palce muskają mój policzek, powoli, tak powoli, a potem prześlizgują się na tył mojej głowy, w miejsce tuż nad moją szyją. Jego kciuk ociera się o moją kość policzkową.

Cały czas na mnie patrzy, szukając w moich oczach wskazówki, jakiejś oznaki protestu, jakby był przekonany, że zaraz zacznę krzyczeć, płakać albo uciekać, ale ja nie uciekam. Mam wrażenie, że nie byłabym w stanie, nawet gdybym chciała, a nie chcę. Chcę tu zostać. Właśnie tutaj. Chcę być więźniem tej chwili.

Przysuwa się bliżej, tylko o centymetr. Drugą ręką otacza drugą stronę mojej głowy.

Otula moją twarz, tak jakby była z puchu.

Stoi tak i patrzy, jakby nie mógł uwierzyć, że złapał ptaka, który zawsze tak rozpaczliwie chciał odlecieć. Delikatnie drżą mu dłonie, ledwie wyczuwam to na skórze. Nie ma już chłopaka z pistoletem i szkieletami w szafie. Te ręce nigdy nie trzymały broni. Te ręce nigdy nie zadawały śmierci. Te ręce są doskonałe, dobre i czułe.

Pochyla się ostrożnie. Oddycha i nie oddycha, nasze serca biją między nami, a on jest tak blisko, jest tak blisko, a ja nie czuję podłogi pod stopami. Nie czuję palców ani zimna, ani pustki tego pokoju, bo wszystko, co czuję, to on, wszędzie, wypełnia wszystko. On i jego szept

– Proszę.

Mówi:

– Proszę, nie strzelaj do mnie za to.

I całuje mnie.

Jego usta są delikatniejsze niż cokolwiek, co dotąd znałam, miękkie jak pierwszy śnieg, jak wata cukrowa, jak roztopienie się i unoszenie na powierzchni, jak bycie nieważkim w wodzie. Słodkie, tak, lekko słodkie.

A potem to się zmienia.

– O, Boże...

Całuje mnie znowu, tym razem mocniej, rozpaczliwie, jakby musiał mnie mieć, jakby musiał zapamiętać dotyk moich warg. Jego smak doprowadza mnie do szaleństwa, cały jest ciepłem i pożądaniem, i miętą, a ja chcę jeszcze. Właśnie zaczynam go do siebie przyciągać, wciągać go, kiedy on się odsuwa.

Odpycha mnie, jakby odchodził od zmysłów, i patrzy na mnie, jakby coś w nim pękło, jakby obudził się i zdał sobie sprawę, że jego koszmary to zwykłe koszmary, że nigdy nie istniały, że to wszystko było tylko złym snem, choć bardzo realnym. A teraz się obudził i jest bezpieczny i wszystko będzie dobrze a ja

spadam

spadam i rozpadam się jak wielka klęska na dnie jego serca.

Przygląda mi się badawczo, szuka czegoś w moich oczach, szuka jakichś „tak” lub „nie”, jakiegoś sygnału, żeby iść dalej, a ja chciałabym tylko w nim utonąć. Chcę, żeby mnie całował, aż zupełnie rozsypię się w jego ramionach, aż zostawię za sobą ciało i uniosę się w nową przestrzeń, która będzie należała tylko do nas.

Żadnych słów.

Tylko jego usta.

Znowu.

Rozgrzane i naglące, jakby nie mógł sobie już pozwolić na stratę czasu, jakby tak wiele chciał poczuć i miało mu na to wszystko nie wystarczyć lat. Jego ręce płyną po moich plecach, zanurzają się w każde zagłębienie mojego ciała. Całuje moją szyję, pochyłości moich ramion, a jego oddech jest coraz cięższy, coraz szybszy, jego ręce wplatają się w moje włosy, a ja wiruję, kręci mi się w głowie, wyciągam rękę i kładę na jego karku, przywieram do niego, czuję lodowate gorąco, czuję ból, atakujący wszystkie komórki mojego ciała, pragnienie tak rozpaczliwe, potrzebę tak nieziemską, że mogłaby dorównać wszystkiemu, wszystkim chwilom, w których, jak sądziłam, zaznałam szczęścia.

Jestem pod ścianą.

Całuje mnie, jakby świat staczał się z urwiska, a on chciał się czegoś uchwycić i postanowił uchwycić się mnie, jakby umierał z głodu życia i miłości i dotąd nie zdawał sobie sprawy, jakie to uczucie, być tak blisko kogoś. Jakby po raz pierwszy poczuł coś poza zwykłym głodem i nie umiał się opanować, nie wiedział, jak jeść małymi kęsami, jak w czymkolwiek czymkolwiek czymkolwiek zachować umiar.

Moje spodnie opadają na podłogę, a wszystkiemu winne są jego ręce.

Jestem w jego ramionach, w majtkach i w koszulce na ramiączkach, która tak niewiele zakrywa, a on odsuwa się, żeby na mnie spojrzeć żeby chłonąć mój widok mówi „jesteś taka piękna" mówi „jesteś tak niewiarygodnie piękna" przyciąga mnie znowu bierze mnie na ręce zanosi do mojego łóżka. I po chwili ja leżę na poduszkach on siedzi na moich biodrach nie ma już na sobie koszuli a ja nie mam pojęcia jak do tego doszło. Wiem tylko że kiedy podnoszę wzrok i patrzę mu w oczy myślę że nie ma ani jednej rzeczy którą chciałabym zmienić w tej chwili.

Ma sto tysięcy milionów pocałunków i daje mi je wszystkie.

Całuje moją górną wargę.

Całuje moją dolną wargę.

Całuje miejsce poniżej podbródka, koniuszek mojego nosa, fragment czoła, obie skronie, moje policzki, całą linię szczęki. A potem szyję, skórę za uszami i rusza w drogę w dół i

jego ręce

ześlizgują się

w dół

po moim ciele. Jego cień oddala się wzdłuż mojej sylwetki, znika, a po chwili jego pierś unosi się znowu nad moimi biodrami, potem już go nie widzę. Dostrzegam tylko czubek jego głowy, krzywiznę ramion, nierównomierne unoszenie się i opadanie jego pleców wraz z oddechem. Jego dłonie zsuwają się wokół moich nagich ud i zaraz wracają w górę w górę wzdłuż dolnej części moich pleców, wspinają się po moich żebrach i znowu wędrują w dół, tuż obok kości biodrowej. Jego palce zahaczają o gumkę moich majtek, a ja gwałtownie chwytam powietrze.

Jego usta dotykają mojego nagiego brzucha.

To zaledwie szept pocałunku, który mnie ogłusza. To lekkie jak piórko muśnięcie ust na mojej skórze w miejscu, którego prawie nie widzę. To mój umysł,

mówiący tysiącem języków, których nie rozumiem.

Czuję, że wędruje w górę mojego ciała.

Zostawia za sobą ślad ognia, jeden pocałunek za drugim, i zaczynam myśleć, że naprawdę nie zniosę tego więcej, naprawdę nie wydaje mi się, żebym mogła to przeżyć. W moim gardle narasta jęk, błagając o uwolnienie, a ja zaciskam palce w jego włosach i przyciągam go do siebie, na siebie, bliżej siebie.

Muszę go pocałować.

Wyciągam ręce w górę, ale zaraz zsuwam dłonie po jego szyi, na jego pierś i w dół jego ciała i zdaję sobie sprawę, że nigdy niczego podobnego nie czułam, nie do tego stopnia, nie tak, jakby każda chwila miała eksplodować, jakby każdy oddech mógł być naszym ostatnim, jakby każdy dotyk mógł sprawić, że świat stanie w płomieniach. Zapominam o wszystkim, zapominam o zagrożeniu, koszmarze i strachu, o tym, co czeka mnie jutro, i nawet nie pamiętam, dlaczego. zapominam, co zapominam, że istnieje coś, co już zapomniałam. Trudno jest pamiętać o czymkolwiek oprócz jego oczu, które płoną, jego skóry, która jest naga, jego ciała, które jest idealne.

Mój dotyk nie czyni mu najmniejszej krzywdy.

Jest bardzo delikatny, ostrożnie opiera łokcie po obu stronach mojej głowy i chyba się do niego uśmiecham, bo on uśmiecha się do mnie, ale uśmiecha się tak, jakby był śmiertelnie przerażony, oddycha, jakby zapomniał, że powinien, patrzy na mnie, jakby nie był pewien, czy potrafi spojrzeć mi w oczy, waha się, jakby nie miał pewności, czy może pozwolić mi się oglądać w takiej chwili. Jakby nie umiał być tak bezbronny.

Ale jest.

I ja jestem.

Czoło Warnera jest przyciśnięte do mojego, jego skóra promienieje ciepłem, jego nos dotyka mojego. Przenosi ciężar ciała na jedno ramię i wolną ręką delikatnie głaszcze mój policzek, ujmuje moją twarz, jakby była utkana ze szkła, a ja zdaję sobie sprawę, że wciąż wstrzymuję oddech i nawet nie pamiętam swojego ostatniego wydechu.

Jego wzrok pada na moje usta, ale tylko na chwilę. Jego spojrzenie jest ciężkie, głodne, nabrzmiałe wzruszeniem, o jakie nigdy bym go nie podejrzewała. Nie sądziłam, że może być tak wyrazisty, tak ludzki, tak prawdziwy. A jednak ono tam jest. Mam je przed sobą. Odkryte, wypisane na jego twarzy, przed chwilą wydarte z jego piersi.

Podaje mi swoje serce.

I wypowiada jedno słowo. Tak natarczywie.

– Julio – szepcze.

Zamykam oczy.

– Nie mów już do mnie Warner – mówi.

Otwieram oczy.

– Chcę, żebyś mnie znała – mówi, bez tchu, a jego palce odgarniają zbłąkany kosmyk z mojej twarzy. – Przy tobie nie chcę być Warnerem – mówi. – Chcę, żeby teraz było inaczej. Chcę, żebyś mówiła do mnie Aaron.

A ja chcę powiedzieć: tak, oczywiście, doskonale rozumiem, ale ta chwila

ciszy kryje w sobie coś, co sprawia, że tracę orientację, i to coś, i dotyk jego imienia na moim języku odblokowują wyłączone komórki mojego mózgu. To, co w nich jest, popycha mnie i szarpie, próbując mi przypomnieć, próbując mi powiedzieć, uderza mnie

w twarz

w szczękę

i zrzuca mnie prosto do oceanu.

– Adam.

Moje ciało ścina lód. Szarpią mną torsje. Zrywam się i uciekam od niego, i prawie upadam na podłogę, a to uczucie, to uczucie, to przejmujące uczucie bezgranicznej odrazy do siebie wbija mi się w żołądek jak cięcie noża, zbyt ostrego, zbyt grubego, zbyt śmiercionośnego, żebym mogła utrzymać się na nogach, i próbuję schwycić się siebie, próbuję nie płakać i mówię nie nie nie to nie może się stać to nie może się dziać kocham Adama, moje serce należy do Adama, nie mogę mu tego zrobić

a Warner wygląda tak, jakbym znowu strzeliła do niego z pistoletu, jakbym gołymi rękami wepchnęła mu pocisk w serce. Wstaje, ale ledwie może utrzymać się na nogach. Jego ciało drży, a on patrzy na mnie, jakby chciał coś powiedzieć, próbuje, ale nie może, próbuje, ale nie może.

– P-przykro mi – szepczę. – Tak mi przykro... Nie chciałam, żeby to się stało... Straciłam głowę...

Ale on nie słucha.

Kręci głową bez przerwy i patrzy na swoje dłonie, jakby czekał na tę nieuniknioną chwilę, kiedy ktoś powie mu, że to wszystko nie dzieje się naprawdę.

– Co się ze mną dzieje? Czy ja śnię? – szepcze.

A mnie tak okropnie mdli, tak okropnie jestem oszołomiona, bo go pragnę, pragnę jego i pragnę Adama i pragnę zbyt wiele i nigdy wcześniej nie czułam się potworem tak bardzo jak dzisiaj.

Ból na jego twarzy jest tak dotkliwy, że nie mogę go znieść.

Czuję go. Czuję, jak mnie zabija.

Z wszystkich sił staram się odwrócić wzrok, zapomnieć, znaleźć sposób, żeby wymazać to, co się właśnie stało, ale potrafię tylko myśleć, że życie jest jak zepsuta huśtawka, nigdy nienarodzone dziecko, jak rozstaje dróg. Jak wszystkie możliwości i wybory, jak fałszywe i właściwe kroki ku przyszłości, której istnienia nikt nie może nam zagwarantować, a ja – ja popełniam takie przerażające błędy. Każdy mój krok jest zły. Każdy. Jestem wcieleniem błędu.

Bo to nigdy nie powinno było się stać.

To był błąd.

– Wybierasz jego? – pyta Warner, oddychając z trudem. Wciąż wygląda tak, jakby miał się przewrócić. – Czy to właśnie się stało? Wolisz Kenta ode mnie? Bo ja chyba nie rozumiem, co mnie spotkało. Chcę, żebyś coś powiedziała, chcę, żebyś mi wyjaśniła, co takiego właśnie się zdarzyło...

– Nie – dyszę. – Nie, nikogo nie wybieram... Ja nie... N-nie...

Ale wybieram. I nie wiem nawet, jak się tutaj znalazłam.

– Dlaczego? – pyta. – Bo to bezpieczniejsze? Bo uważasz, że jesteś mu coś

winna? Popełniasz błąd – mówi coraz głośniej. – Jesteś przerażona. Nie chcesz podjąć trudnej decyzji i uciekasz przede mną.

– Może po prostu n-nie chcę z tobą być.

– Wiem, że chcesz ze mną być! – wybucha.

– Mylisz się.

O mój Boże co ja mówię nie wiem nawet skąd biorą się te słowa skąd pochodzą z jakiego drzewa je zerwałam. One po prostu rosną w moich ustach i zdarza się że za mocno przygryzam przysłówek albo przyimek a one czasem okazują się gorzkie czasem słodkie ale w tej chwili wszystko smakuje jak wyrzut sumienia wszystko co przechodzi mi przez gardło jest kłamstwem kłamstwem wierutnym kłamstwem.

Warner nadal się we mnie wpatruje.

– Naprawdę?

Stara się nad sobą panować. Podchodzi o krok bliżej, dużo bliżej, a ja zbyt wyraźnie widzę jego twarz, jego usta, gniew, ból i niedowierzanie i jestem przekonana, że nie powinnam teraz stać. Nie wydaje mi się, żeby moje nogi mogły mnie dłużej utrzymać.

– T-tak. – Zrywam kolejne słowo z drzewa które kłamie w moich ustach kłamie kłamie kłamie.

– Tak bardzo się mylę. – Wypowiada to zdanie cicho, tak bardzo, bardzo cicho. – Mylę się, że mnie pragniesz. Że chcesz ze mną być.

Jego palce muskają moje ramiona, ręce, jego dłonie ześlizgują się po moim ciele, śledzą każdy jego centymetr, a ja zaciskam usta, żeby nie wypadła z nich prawda, ale nie mogę wytrzymać nie mogę nie mogę, bo jedyna prawda, jaką w tej chwili znam, jest taka, że tylko chwile dzielą mnie od utraty zmysłów.

– Powiedz mi jedno, skarbie – szepczą jego wargi o mój policzek. – Czy jestem ślepy?

Ja naprawdę umrę.

– Nie będę twoim klaunem! – Odsuwa się ode mnie. – Nie pozwolę ci kpić z moich uczuć! Mogłem zrozumieć to, że postanowiłaś do mnie strzelać, Julio, ale zrobić to... zrobić... zrobić to, co właśnie zrobiłaś... – Ledwie może mówić. Przesuwa dłonią po twarzy, mierzwi rękami włosy, wygląda tak, jakby chciał krzyczeć, połamać coś, jakby naprawdę, najzwyczajniej w świecie miał stracić rozum. Wreszcie mówi cierpkim szeptem: – To jest gra tchórza. Myślałem, że stać cię na więcej.

– N-nie jestem tchórzem...

– Więc bądź z sobą szczera! – krzyczy. – Bądź szczera ze mną! Powiedz mi prawdę!

Moja głowa toczy się po podłodze, wiruje jak drewniany bąk, kręci się kręci się kręci, a ja nie mogę jej zatrzymać. Nie mogę sprawić, żeby świat przestał się obracać. Moja dezorientacja wykrwawia się w poczucie winy, które szybko zamienia się w gniew i bulgocze kipi wypływa na powierzchnię. Patrzę na niego. Zaciskam drżące dłonie w pięści.

– Prawda – mówię – jest taka, że nigdy nie wiem, co mam o tobie myśleć! Twoje postępowanie, twoje zachowanie... Nigdy nie jest logiczne! Jesteś dla mnie podły, a potem jesteś dla mnie dobry i mówisz, że mnie kochasz, a potem ranisz tych,

na których najbardziej mi zależy! I jesteś kłamcą – rzucam, cofając się. – Mówisz, że nie przejmujesz się tym, co robisz. Mówisz, że nie obchodzą cię inni ludzie ani to, co im zrobiłeś, ale ja w to nie wierzę. Myślę, że się ukrywasz. Myślę, że twoje prawdziwe ja jest ukryte gdzieś pod tym całym spustoszeniem, i myślę, że stać cię na więcej niż to życie, które dla siebie wybrałeś. Myślę, że możesz się zmienić. Myślę, że mógłbyś być inny. I jest mi ciebie żal!

Te słowa te głupie głupie słowa nie przestają wylewać się z moich ust.

– Przykro mi, że miałeś koszmarne dzieciństwo. Przykro mi, że masz żałosnego, bezwartościowego ojca, i przykro mi, że nikt nigdy nie dał ci szansy. Przykro mi z powodu tych strasznych decyzji, które podjąłeś. Przykro mi, że czujesz się przez nie jak w pułapce, że uważasz się za potwora i że uważasz, że tak już musi zostać. Ale najbardziej – mówię mu – najbardziej przykro mi dlatego, że nie masz dla siebie litości!

Warner wzdryga się, jakbym dała mu w twarz.

Cisza między nami to rzeź 1000 niewinnych sekund.

– Litujesz się nade mną – odzywa się wreszcie ledwie słyszalnym, ochrypłym z niedowierzania szeptem.

Mój oddech się zatrzymuje. Moja determinacja słabnie.

– Myślisz, że jestem jakimś zepsutym urządzeniem, które możesz naprawić.

– Nie... Ja nie...

– Nie masz pojęcia, co zrobiłem! – Jego słowa są pełne furii. Robi krok naprzód. – Nie masz pojęcia, co widziałem, w czym musiałem uczestniczyć. Nie masz pojęcia, do czego jestem zdolny ani na ile litości zasługuję. Znam swoje serce – warczy. – Wiem, kim jestem. Nie waż się nade mną litować!

Nogi całkowicie odmawiają mi posłuszeństwa.

– Łudziłem się, że mogłabyś kochać mnie dla mnie samego – mówi. – Myślałem, że byłabyś jedyną osobą na tym żałosnym świecie, która akceptowałaby mnie takiego, jaki jestem! Myślałem, że ty, ty potrafiłabyś zrozumieć. – Stoi ze mną twarzą w twarz. – Myliłem się. Tak okropnie, okropnie się myliłem.

Cofa się. Chwyta swoją koszulę i odwraca się do wyjścia, a ja powinnam pozwolić mu wyjść, powinnam pozwolić mu opuścić ten pokój i moje życie, ale nie mogę, chwytam go za ramię i ciągnę, i mówię:

– Proszę... Nie to chciałam powiedzieć...

Odwraca się.

– Nie chcę twojego współczucia!

– Nie chciałam cię zranić...

– Prawda – mówi – to tylko brutalne przypomnienie, dlaczego wolę żyć w kłamstwie.

Nie mogę znieść wyrazu jego oczu, żałosnego, okropnego bólu, którego nie stara się ukryć. Nie wiem, co powiedzieć, żeby to naprawić. Nie wiem, jak cofnąć swoje słowa.

Wiem, że nie chcę, żeby wyszedł.

Nie w ten sposób.

Wygląda tak, jakby chciał coś powiedzieć, ale zmienia zdanie. Z trudem nabiera powietrza, zaciska usta, jakby chciał powstrzymać słowa, które chcą mu się

wymknąć, i już mam coś powiedzieć, już mam spróbować jeszcze raz, kiedy on bierze jeszcze jeden drżący oddech i mówi:

– Żegnaj, Julio.

I nie wiem, dlaczego to mnie tak niszczy, nie rozumiem swojego nagłego lęku i muszę wiedzieć, muszę to powiedzieć, muszę zadać to pytanie, które nie jest pytaniem.

– Już cię nie zobaczę.

Patrzę, jak usiłuje znaleźć właściwe słowa, patrzę, jak odwraca się do mnie i ode mnie, i przez jeden ułamek sekundy widzę, co się stało, widzę zmianę w jego oczach, błysk wzruszenia, choć nawet nie śniłam, że może być zdolny do takich uczuć, i wiem, rozumiem, dlaczego nie patrzy na mnie, i nie mogę w to uwierzyć. Chciałabym upaść na podłogę, kiedy on walczy z sobą, walczy, żeby wydobyć głos, walczy, żeby powstrzymać jego drżenie.

– Mam głęboką nadzieję, że nie.

I tyle.

Wychodzi.

Ja pękam równiutko na pół, a on znika.

Znika na zawsze.

## 63

Śniadanie jest męczarnią.

Warner zniknął, zostawiając za sobą chaos.

Nikt nie wie, jak uciekł, jak udało mu się wydostać ze swojego pokoju i znaleźć drogę na zewnątrz, i wszyscy winią Castle'a. Wszyscy mówią, że głupotą było zaufać Warnerowi, dać mu szansę, uwierzyć, że mógł się zmienić.

Słowo „wściekłość" nie oddaje poziomu agresji, jaka tu teraz panuje.

Ale ja nie zamierzam być tą osobą, która powie wszystkim, że Warner już wczoraj wieczorem opuścił swój pokój. Że pewnie nie musiał tak bardzo się natrudzić, żeby znaleźć wyjście. Nie będę im tłumaczyła, że on nie jest idiotą.

Jestem pewna, że poszło mu dość łatwo. Jestem pewna, że znalazł sposób na ominięcie strażników.

Teraz wszyscy chcą ruszać do walki, ale z samych niewłaściwych powodów. Chcą zamordować Warnera. Po pierwsze: za wszystko, co zrobił, po drugie: za to, że zawiódł ich zaufanie. Ale jeszcze bardziej przerażające jest to, że on może zdradzić nasze najlepiej strzeżone tajemnice. Nie mam pojęcia, czego Warner zdołał się dowiedzieć o tym miejscu, zanim uciekł, ale jestem pewna, że nic dobrego nie może z tego wyniknąć.

Nikt nawet nie tknął śniadania.

Wszyscy jesteśmy ubrani, uzbrojeni, gotowi zmierzyć się z widmem natychmiastowej śmierci, ale ja czuję się prawie całkowicie odrętwiała. Całą noc nie zmrużyłam oka, moje serce i umysł są udręczone i nie mogą się z sobą pogodzić, nie mam czucia w rękach i nogach, nie czuję smaku jedzenia, którego nie jem, nie widzę wyraźnie, nie mogę się skupić na rzeczach, których powinnam słuchać. Potrafię myśleć wyłącznie o ofiarach ~~i ustach Warnera na mojej szyi, o jego rękach na moim ciele, o bólu i namiętności w jego oczach~~ i o tym, na ile sposobów mogę dzisiaj umrzeć. Mogę myśleć wyłącznie o ~~tym, jak Warner mnie dotyka, całuje, dręczy mnie swoim uczuciem,~~ i o Adamie, który siedzi obok mnie, nie wiedząc, co zrobiłam.

Kiedy ten dzień się skończy, zapewne to wszystko nie będzie już miało znaczenia.

Może mnie zabiją i może cała męczarnia tych 17 lat pójdzie na marne. Może po prostu zapadnę się pod ziemię, zniknę na zawsze i kiedy już będzie po wszystkim, cały mój młodzieńczy ból istnienia okaże się żałosnym, śmiechu wartym wspomnieniem.

Ale może przeżyję.

Może przeżyję i będę musiała się zmierzyć z konsekwencjami swoich czynów. Będę musiała przestać się okłamywać, będę musiała w końcu podjąć decyzję.

Muszę stawić czoło własnym tłumionym uczuciom do kogoś, kto bez skrupułów zabija człowieka strzałem w głowę. Muszę wziąć pod uwagę możliwość, że być może naprawdę zmieniam się w potwora. W straszliwą, egocentryczną istotę, która troszczy się tylko o siebie.

Być może Warner od początku miał rację.

Może on i ja naprawdę jesteśmy dla siebie stworzeni.

Prawie wszyscy już wyszli z jadalni. Niektórzy żegnają się jeszcze z tymi, których tu zostawiają: ze starszymi i najmłodszymi. James i Adam też długo się dzisiaj z sobą żegnali. Adam i ja mamy wyruszyć za jakieś 10 minut.

– No, niech to szlag. Kto umarł?

Obracam się. Kenji wstał. Jest w jadalni. Stoi obok naszego stolika i wygląda tak, jakby zaraz miał się przewrócić, ale jest przytomny. Żyje.

Oddycha.

– O żesz, w mordę. – Adam wpatruje się w niego z otwartymi ustami. – A niech to.

– Ja też się cieszę, że cię widzę, Kent. – Kenji uśmiecha się półgębkiem. Kiwa głową w moją stronę. – Gotowa skopać komuś tyłek?

Rzucam mu się na szyję.

– EJ, EJ, dzięki, no, ehm – odchrząkuje.

Próbuje się cofnąć, a ja się wzdrygam. Odsuwam się. Z wyjątkiem twarzy wszystko mam zasłonięte: na rękach mam rękawiczki i ochraniacze, a mój kombinezon jest zapięty po samą brodę. Zwykle Kenji się mnie nie obawia.

– Hej, może powinnaś dać sobie na chwilę spokój z dotykaniem mnie, co? – Kenji próbuje się uśmiechnąć, próbuje obrócić to wszystko w żart, ale ja czuję ciężar jego słów, napięcie i strach, które bardzo stara się ukryć. – Nie trzymam się jeszcze tak pewnie na nogach.

Czuję, jak moja krew gdzieś odpływa, jak uginają się pode mną kolana, i muszę usiąść.

– To nie ona – mówi Adam. – Wiesz, że nawet cię nie dotknęła.

– Właściwie nie wiem – mówi Kenji. – I nie chodzi o to, że mam do niej pretensje... Ja tylko mówię, że może ona umie przenosić swoje zdolności na innych i jeszcze o tym nie wie. Bo o ile się orientuję, nie ma innego wytłumaczenia dla tego, co się stało wczoraj wieczorem. Jasne jak słońce, że to nie byłaś ty. I, cholera – mówi do Adama – to, że Warner może dotknąć Julii, może być zwykłym przypadkiem. Jeszcze nic na ten temat nie wiemy. – Cisza. Rozgląda się. – Tak? Chyba że Warner wyciągnął jakiegoś magicznego królika ze swojej dupy, kiedy ja byłem martwy?

Adam marszczy brwi. Ja się nie odzywam.

– Właśnie – mówi Kenji. – Tak myślałem. No. To ja raczej nie będę się zbliżał, chyba że to się okaże absolutnie konieczne. – Odwraca się do mnie. – Bez obrazy, dobra? Chyba mogłabyś mi trochę odpuścić?

Prawie nie słyszę własnego głosu, kiedy mówię:

– Tak, jasne.

Próbuję się śmiać. Próbuję zrozumieć, dlaczego nie mówię im o Warnerze. Dlaczego wciąż go ochraniam. ~~Pewnie dlatego, że jestem tak samo winna jak on.~~

– To kiedy ruszamy? – pyta Kenji.

– Jesteś szalony – odpowiada Adam. – Ty nigdzie nie idziesz.

– Sranie w banie.

– Ledwie stoisz! – mówi Adam.

I ma rację. Kenji wyraźnie opiera się o stół, żeby nie upaść.

– Wolę umrzeć tam, niż siedzieć tutaj jak jakiś kretyn.

– Kenji...

– Hej – przerywa mi. – Dowiedziałem się bardzo głośną pocztą pantoflową, że wczoraj wieczorem Warner zabrał dupę w troki. O co tu chodzi?

Adam wydaje dziwny dźwięk. Jakiś niepełny śmiech.

– Ha – mówi. – Kto to wie. Od początku uważałem, że to głupi pomysł, żeby go porywać. A jeszcze głupszym pomysłem było mu zaufać.

– Więc najpierw krytykujesz mnie, a potem Castle'a, tak? – Kenji unosi brew.

– To były zwykłe wpadki – mówi Adam. – Zdarza się. Tylko że teraz my musimy za nie płacić.

– A skąd miałem wiedzieć, że Anderson będzie gotów rzucić nam swojego syna na pożarcie?

Adam się wzdryga i Kenji zmienia ton.

– Och, jej... Przepraszam, stary... Nie to chciałem powiedzieć.

– Nieważne – ucina Adam. Jego twarz nagle tężeje, staje się zimna, zamknięta. – Lepiej wracaj do skrzydła medycznego. Zaraz wyruszamy.

– Nigdzie nie idę, chyba że na zewnątrz.

– Kenji, proszę...

– Nie.

– Zachowujesz się nierozsądnie. To nie są żarty – mówię. – Tam zginą ludzie.

Ale on się śmieje. Patrzy na mnie tak, jakbym niechcący powiedziała coś bardzo zabawnego.

– Przepraszam, czy ty chcesz uświadamiać mnie, jak wygląda wojna? – Kręci głową. – Zapominasz, że byłem żołnierzem w armii Warnera? Masz pojęcie, ile porąbanego gówna się tam naoglądaliśmy? – Wskazuje na siebie i Adama. – Wiem, co nas dzisiaj czeka. Warner jest zwyrodnialcem. Jeżeli to prawda, że Anderson jest dwa razy gorszy od swojego synalka, to będzie prawdziwa jatka. Nie mogę was tak zostawić.

Ale moją uwagę przykuwa jedno zdanie. Jedno słowo. Chcę tylko zapytać.

– Czy on naprawdę był taki straszny...?

– Kto? – Kenji wpatruje się we mnie.

– Warner. Naprawdę był taki bezwzględny?

Kenji wybucha gromkim śmiechem. Śmieje się coraz głośniej. I jeszcze głośniej.

– Bezwzględny? – pyta, dysząc. – Julio, ten facet jest chory. To zwierzę. On nie wie, co to znaczy być człowiekiem. Jeżeli jest jakieś piekło, to myślę, że zostało zaprojektowane specjalnie dla niego.

Jak trudno wyciągnąć ten miecz z mojego brzucha.

Zbliża się odgłos kroków.

Odwracam się.

Mamy wychodzić jedno za drugim, zachowując porządek podczas opuszczania podziemia. Tylko Kenji, Adam i ja nie dołączyliśmy jeszcze do pozostałych.

Wszyscy wstajemy.

– Hej... Czy Castle wie, co chcesz zrobić? – Adam patrzy na Kenjiego. – Nie sądzę, żeby mu się spodobały twoje plany.

– Castle pragnie mojego szczęścia – mówi Kenji rzeczowo. – A ja nie będę

szczęśliwy, jeżeli tu zostanę. Mam robotę do zrobienia. Ludzi do uratowania. Muszę zaimponować kobietom. Uszanowałby to.

– A reszta? – pytam. – Wszyscy się o ciebie martwili... Zdążyłeś się już z kimś zobaczyć? Przynajmniej żeby powiedzieć, że nic ci nie jest?

– Eee – mówi Kenji. – Narobiliby w gacie, gdyby wiedzieli, że wychodzę. Pomyślałem, że lepiej się nie afiszować. Nie chcę nikogo martwić. Sonia i Sara są nieprzytomne ze zmęczenia. Wszystko przeze mnie. I nadal twierdzą, że chcą dzisiaj iść. Chcą walczyć, chociaż będą miały pełne ręce roboty, kiedy skończymy z armią Andersona. Próbowałem je przekonać, żeby tu zostały, ale one potrafią być cholernie uparte. Powinny oszczędzać siły, a już zmarnowały ich za dużo na mnie.

– To nie jest marnotrawstwo... – próbuję powiedzieć.

– Tak czy owak, chodźmy już, dobrze? – rzuca Kenji. – Wiem, że nie możecie się doczekać polowania na Andersona – mówi do Adama – ale szczerze? Ja marzę o tym, żeby dorwać Warnera. Rozwalić mu ten bezwartościowy łeb i mieć to z głowy.

To jak cios pięścią w brzuch. Boję się, że naprawdę zwymiotuję. Przed oczami wirują mi czarne plamki, próbuję utrzymać się na nogach, odganiam od siebie obraz Warnera leżącego na ziemi w kałuży czerwieni.

– Hej... Wszystko w porządku? – Adam odciąga mnie na bok. Przygląda się uważnie mojej twarzy. Jego wzrok jest skupiony, przepełniony troską.

– W porządku – kłamię. Kiwam głową zbyt wiele razy. Kręcę głową raz, drugi. – Źle spałam, ale nic mi nie będzie.

Waha się.

– Jesteś pewna?

– Absolutnie – kłamię znowu. Cisza. Chwytam za jego koszulę. – Hej... Uważaj tam na siebie, dobrze?

Wypuszcza powoli powietrze. Kiwa głową.

– Tak. Ty też.

– Już, już, już! – przerywa nam Kenji. – Pora umierać, szanowne panie.

Adam go popycha. Niezbyt mocno.

– O, teraz znęcasz się nad niepełnosprawnym, tak? – Kenji odzyskuje równowagę i daje Adamowi kuksańca. – Zachowaj swoje podniecenie na pole bitwy, bracie. Przyda ci się.

W oddali rozlega się przenikliwy gwizd.

Pora iść.

## 64

Pada deszcz.

Świat szlocha u naszych stóp w oczekiwaniu na naszą pomoc.

Mamy się podzielić i walczyć w grupach, żeby nie dać się zabić jednocześnie. Jest nas za mało, żeby zaatakować otwarcie, musimy działać z zaskoczenia. I choć mam z tego powodu wyrzuty sumienia, jestem szczęśliwa, że Kenji postanowił z nami iść. Bez niego bylibyśmy o wiele słabsi.

Ale musimy się gdzieś schronić przed deszczem.

Już jesteśmy przemoczeni. Wprawdzie Kenji i ja mamy kombinezony, które zapewniają jakąś ochronę przed pogodą, ale Adam ma na sobie tylko zwykłe bawełniane ubranie, i obawiam się, że długo tak nie wytrzymamy. Mieszkańcy Punktu Omega już się rozproszyli. Po wyjściu spod ziemi na ogołoconą równinę stajemy się łatwym celem.

Całe szczęście, że idzie z nami Kenji. Wszyscy troje już jesteśmy niewidzialni.

Ludzie Andersona są niedaleko.

Wiemy jedynie, że odkąd Anderson się pojawił, wychodzi z siebie, żeby zademonstrować siłę i żelazną pięść Komitetu Odnowy. Wszelkie głosy opozycji, nieważne, jak słabe i nikłe, nieważne, jak niegroźne i nieszkodliwe, są bezwzględnie uciszane. Jest wściekły, że wznieciliśmy rebelię, i teraz chce nam pokazać. Tak naprawdę chce zniszczyć nas. Nas wszystkich.

A biedni cywile po prostu znaleźli się na linii ognia.

Strzały.

Odruchowo kierujemy się w stronę, z której dobiega ich echo. Nie odzywamy się ani słowem. Wiemy, co mamy robić i jak mamy działać. Musimy dostać się jak najbliżej miejsca, w którym dokonano aktu przemocy, a potem zlikwidować tylu ludzi Andersona, ilu będzie trzeba. Ochraniamy niewinnych. Wspieramy naszych towarzyszy, mężczyzn i kobiety z Punktu Omega.

Robimy, co się da, żeby nie zginąć.

Rozróżniam zarysy przyczajonych w oddali bloków mieszkalnych, ale w deszczu trudno cokolwiek zobaczyć. Wszystkie kolory wykrwawiają się i zlewają na horyzoncie. Muszę wytężać wzrok, żeby dojrzeć, co znajduje się przed nami. Instynktownie dotykam pistoletów w kaburach i natychmiast staje mi przed oczami ostatnie spotkanie z Andersonem. Moje jedyne spotkanie z tym koszmarnym, nikczemnym człowiekiem. I zastanawiam się, co się z nim stało. Zastanawiam się, czy Adam miał rację. Skoro Anderson został ranny, to pewnie jeszcze wraca do zdrowia. Ciekawe, czy pojawi się na polu bitwy. Może jest zbyt wielkim tchórzem, żeby brać udział we własnych wojnach.

Po krzykach poznajemy, że jesteśmy coraz bliżej.

Świat wokół nas to zamglony pejzaż błękitów i szarości. Nieliczne pozostałe drzewa wyciągają do nieba sto drżących, szeleszczących ramion, jakby w modlitwie o ulgę w cierpieniu. To wystarcza, żeby zrobiło mi się żal roślin i zwierząt, które ponoszą konsekwencje naszych poczynań.

Nie zasłużyły na to.

Kenji doprowadza nas na skraj osiedli. Adam i ja wysuwamy się naprzód i wszyscy stajemy obok siebie pod ścianą jednego z małych kwadratowych budynków. Skuleni pod osłoną dachu, możemy zaznać chwili wytchnienia od zaciśniętych pięści, którymi okłada nas niebo.

Wiatr chłoszcze okna budynku, napiera na ściany. Krople deszczu odbijają się od dachu jak ziarenka kukurydzy od szyb maszyny do popcornu.

Wiadomość z nieba jest czytelna: miarka się przebrała.

„Miarka się przebrała i teraz spotka was kara. Zapłacicie za krew, którą przelewacie strumieniami. Nie mogę dłużej stać z założonymi rękami, już nie. Zniszczę was!", mówi do nas niebo.

„Jak mogliście mi to zrobić?", szepcze wiatr.

„Ja dałem wam wszystko".

„Nic już nigdy nie będzie takie jak kiedyś".

Zastanawiam się, dlaczego nadal nie widzę ani 1 żołnierza. Ani nikogo więcej z Punktu Omega. W ogóle nikogo tu nie ma. Właściwie nie mogę się oprzeć wrażeniu, że to osiedle jest zbyt spokojne.

Już mam zaproponować, żebyśmy szli dalej, kiedy słyszę, jak z hukiem otwierają się jakieś drzwi.

– Jeszcze jedna! – krzyczy ktoś. – Schowała się tu!

Z budynku, pod którego ścianą stoimy, żołnierz wywleka zapłakaną kobietę. Ona krzyczy, błaga o litość, pyta o męża, a żołnierz warczy do niej, żeby się zamknęła.

Walczę, żeby emocje nie wylały się z moich oczu i z moich ust.

Nic nie mówię.

Nie oddycham.

Pojawia się inny żołnierz i podbiega truchtem. Wykrzykuje coś w rodzaju pochwały i wykonuje rękami gest, którego nie rozumiem. Czuję, jak Kenji sztywnieje obok mnie.

Coś jest nie tak.

– Tam, z wszystkimi! – krzyczy drugi żołnierz. – Teren czysty.

Kobieta wpada w histerię. Drapie żołnierza, wrzeszczy, że nie zrobiła nic złego, nic nie rozumie, gdzie jest jej mąż, wszędzie szukała córki i co się dzieje, płacze, krzyczy, okładając pięściami człowieka, który wlecze ją jak zwierzę.

Żołnierz przyciska lufę pistoletu do jej karku.

– Zamknij się, bo zaraz cię zastrzelę.

Ona szlocha raz, drugi, a potem opada bezwładnie. Mdleje w jego ramionach, a żołnierz patrzy na nią z niesmakiem i wlecze ją do jakiegoś miejsca, w którym trzymają pozostałych. Nie mam pojęcia, co się dzieje. Nic nie rozumiem.

Idziemy za nimi.

Wiatr i deszcz przybierają na sile. Szum w powietrzu i odległość od żołnierzy są na tyle duże, że mogę się bezpiecznie odezwać. Ściskam dłoń Kenjiego. Cały czas trzyma mnie i Adama za ręce, przenosząc swoją moc na nas, żebyśmy wszyscy byli niewidzialni.

– Jak myślisz, co się dzieje? – pytam.

Nie odpowiada od razu.

– Zbierają ich razem – mówi w końcu. – Zganiają ludzi, żeby ich zabić.

– Ta kobieta...

– Tak. – Słyszę, jak odchrząkuje. – Tak, ją i wszystkich, których podejrzewają o powiązania z rebeliantami. Zabijają nie tylko tych, których uważają za wichrzycieli, ale też ich przyjaciół i członków rodzin. Najlepszy sposób, żeby utrzymać kontrolę nad ludźmi, to napędzić strachu tym, którzy przeżyją.

Usiłuję powstrzymać torsje.

– Musi być jakiś sposób, żeby ich z tego wyciągnąć – mówi Adam. – Spróbujmy zlikwidować żołnierzy.

– Tak, ale wiecie, że zaraz będę musiał was puścić? Tracę siły, moja Energia wyczerpuje się szybciej niż normalnie. Będziecie widzialni – mówi Kenji. – Będziecie łatwym celem.

– Mamy jakiś wybór? – pytam.

– Moglibyśmy ich zdjąć jak snajperzy – mówi Kenji. – Nie musimy się angażować w bezpośrednie starcie. Mamy taką możliwość. – Milknie. – Julio, jeszcze nie byłaś w takiej sytuacji. Jeżeli wolisz zostać na tyłach, uszanuję twoją decyzję. Nie każdy jest w stanie znieść to, co możemy zobaczyć, jeżeli pójdziemy za tymi żołnierzami. To nie powód do wstydu ani wyrzutów sumienia.

Czuję metaliczny smak w ustach.

– Nic mi nie będzie – kłamię.

Kenji milczy przez chwilę.

– Tylko, że... Dobrze... Ale nie bój się użyć swojej mocy, żeby się bronić – mówi. – Wiem, że masz obsesję na punkcie niezabijania ludzi czy o co tam chodzi, ale ci goście nie żartują. Oni będą chcieli cię zabić.

Kiwam głową, chociaż wiem, że on mnie nie widzi.

– W porządku – mówię. – Dobrze.

Ale ogarnia mnie panika.

– Chodźmy – szepczę.

## 65

Kolana odmawiają mi posłuszeństwa.

Na środku dużego, jałowego pola stoi w szeregu 27 osób, jedna przy drugiej. Mężczyźni, kobiety i dzieci w różnym wieku. Różnego wzrostu. Mają przed sobą coś, co można określić jako pluton egzekucyjny złożony z 6 żołnierzy. Deszcz zacina wściekle, zalewając wszystko i wszystkich kroplami łez twardymi jak kości. Wiatr miota się jak szaleniec.

Żołnierze zastanawiają się, co zrobić. Jak ich zabić. Jak pozbyć się 27 par oczu, które patrzą przed siebie. Niektórzy szlochają, inni drżą ze strachu, żalu i przerażenia, jeszcze inni stoją wyprostowani, niewzruszeni w obliczu śmierci.

Jeden z żołnierzy oddaje strzał.

Pierwszy człowiek osuwa się na ziemię, a ja czuję się tak, jakby ktoś mi chłostał kręgosłup. W ciągu kilku sekund ogarnia mnie i opuszcza tyle uczuć, że boję się, że zemdleję. Ze zwierzęcą desperacją próbuję zachować przytomność, powstrzymać łzy, zignorować przeszywający mnie ból.

Nie rozumiem, dlaczego nikt się nie rusza, dlaczego my się nie ruszamy, dlaczego żaden z cywilów się nie rusza, nie próbuje nawet uskoczyć gdzieś w bok, ale zdaję sobie sprawę, że ucieczka, jakakolwiek próba ucieczki czy przeciwstawienia się żołnierzom jest dla tych ludzi całkowicie nierealna. Są bez szans. Nie mają broni ani amunicji.

Ale ja mam.

Mam pistolet.

Ściśle rzecz biorąc, 2 pistolety.

Pora się rozdzielić i walczyć samodzielnie. Troje doświadczonych przez życie dzieci ma uratować 26 ludzkich istnień albo umrzeć. Wpatruję się w jakąś dziewczynkę, niewiele starszą od Jamesa. Jej oczy są szeroko otwarte, a przód jej spodni mokry z przerażenia. To wszystko rozdziera mi serce na strzępy, to ponad moje siły. Mówię Kenjiemu, że jestem gotowa, a moja wolna ręka już sięga po broń.

Patrzę, jak ten sam żołnierz celuje do następnej ofiary, kiedy Kenji nas puszcza.

3 pistolety idą w ruch, celujemy, słyszę świst pocisków, jeszcze zanim kule opuszczają magazynki, widzę, jak jedna z nich zostawia ślad na karku żołnierza. Nie wiem nawet, kto ją wystrzelił.

W tej chwili to nie ma znaczenia.

Zostało jeszcze 5 żołnierzy, z którymi musimy się rozprawić, a oni mogą nas teraz zobaczyć.

Biegniemy.

Uchylamy się przed pociskami, widzę, jak Adam pada na ziemię, jak precyzyjnie oddaje strzał, ale nie trafia. Rozglądam się w poszukiwaniu Kenjiego i oddycham z ulgą, kiedy przekonuję się, że zniknął. 3 żołnierzy pada prawie jednocześnie. Adam wykorzystuje chwilę nieuwagi pozostałych i likwiduje czwartego. Ja strzelam od tyłu do piątego.

Nie wiem, czy go zabiłam.

Wołamy do cywilów, żeby szli za nami, gromadzimy ich z powrotem na terenie osiedla, powtarzając, żeby się pochylili, żeby się nie pokazywali, mówimy im, że pomoc nadchodzi i że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby ich ochronić, a oni wyciągają do nas ręce, chcą nas dotknąć, podziękować nam, chwytają nasze dłonie, ale my nie mamy czasu. Musimy szybko wyprowadzić ich w miejsce, w którym będą względnie bezpieczni, bo kolejni ludzie potrzebują naszej pomocy.

Wciąż nie mogę zapomnieć tego jednego mężczyzny, którego nie udało nam się uratować. Numeru 27.

Nie chcę, żeby to się powtórzyło.

Pędzimy przez połacie ziemi przeznaczonej na osiedla, nie próbując już się ukrywać ani ustalać planu. Nie mieliśmy jeszcze okazji porozmawiać. Ani o tym, co zrobiliśmy, ani o tym, co możemy zrobić, wiemy tylko tyle, że musimy posuwać się naprzód.

Idziemy za Kenjim.

Kluczymy między zrujnowanymi blokami i zdajemy sobie sprawę, że musiało wydarzyć się coś przerażającego. Nigdzie nie widać śladu życia. Małe metalowe pudełka, które dotąd służyły ludności cywilnej za schronienie, zostały doszczętnie zniszczone i nie wiadomo, czy ich mieszkańcy byli w środku, kiedy to się stało.

Kenji mówi, że musimy szukać dalej.

Zapuszczamy się głębiej na terytoria uregulowane, obszary przeznaczone do zamieszkania przez ludzi, kiedy słyszymy kroki i cichy, mechaniczny dźwięk.

Czołgi.

Dzięki silnikom elektrycznym poruszają się dyskretniej, ale ja znam ich dudnienie aż nazbyt dobrze. Adam i Kenji również.

Podążamy za dźwiękiem.

Walczymy z wiatrem, który nas odpycha, zupełnie jakby wiedział, jakby próbował nas ochronić przed tym, co nas czeka po drugiej stronie bloku. Nie chce, żebyśmy musieli to oglądać. Nie chce, żebyśmy musieli dzisiaj umierać.

Coś wybucha.

Niecałe 15 metrów od miejsca, w którym stoimy, szaleją płomienie. Liżą ziemię, chłepczą tlen i nawet deszcz nie jest w stanie od razu powstrzymać spustoszenia. Ogień chwieje się i kołysze na wietrze, przygasając tylko odrobinę, uczony przez niebo pokory i uległości.

Musimy iść w stronę ognia. Coś się stało.

Nasze stopy z trudem utrzymują przyczepność na błotnistej ziemi. Nie czuję zimna, nie czuję, że moknę, czuję tylko adrenalinę, która krąży w moich żyłach, zmuszając mnie do posuwania się naprzód z bronią w mocno zaciśniętej pięści, naładowaną, gotową do strzału.

Ale kiedy się zbliżamy, prawie upuszczam pistolet.

Prawie upadam na ziemię.

Prawie nie wierzę własnym oczom.

## 66

Śmierć śmierć śmierć jest wszędzie.

Tyle splątanych i zmieszanych z ziemią ciał, nie mam pojęcia, czy to nasi ludzie, czy ich, przestaję cokolwiek z tego rozumieć, zaczynam wątpić w siebie i w pistolet w swojej ręce. Mimo woli myślę o tych żołnierzach, zastanawiam się, jak to możliwe, że są ludźmi takimi jak Adam, jak milion innych udręczonych, osieroconych istot, zmuszonych podjąć jakąś pracę, żeby przeżyć.

Moje sumienie wypowiada wojnę samemu sobie.

Mrugam, usiłując powstrzymać łzy, deszcz i przerażenie, i wiem, że muszę iść dalej, wiem, że muszę posuwać się naprzód i być odważna, muszę walczyć, czy mi się to podoba, czy nie, bo nie możemy pozwolić, żeby to wszystko się działo.

Ktoś mnie przewraca od tyłu.

Ktoś przygniata mnie do ziemi. Kopię i próbuję krzyczeć, ale leżę z twarzą w błocie, a ktoś wyszarpuje mi z ręki pistolet, wbija mi łokieć w kręgosłup. Wiem, że Adama i Kenjiego tu nie ma, pobiegli dalej, i wiem, że za chwilę umrę. Wiem, że to koniec, choć to się wydaje nierealne, jak historia, którą opowiada ktoś inny, jakby śmierć wciąż była tą dziwną, odległą rzeczą, która spotyka wyłącznie obcych, nigdy niepoznanych ludzi i z pewnością nie spotka mnie, ciebie ani nikogo z nas.

A tu proszę, oto ona.

Jest pistolet z tyłu mojej głowy i but przyciśnięty do moich pleców, i usta pełne błota, i milion bezwartościowych chwil, których nigdy tak naprawdę nie przeżyłam, a ona stoi obok. Widzę ją tak wyraźnie.

Ktoś mnie odwraca.

Ten sam ktoś, kto przystawił pistolet do mojej głowy, teraz celuje z niego w moją twarz, przyglądając mi się badawczo, jakby dokonywał inspekcji, a w mojej głowie panuje mętlik, nie rozumiem jego gniewnych grafitowych oczu ani mocno zaciśniętych ust, skoro nie pociąga za spust. Nie zabija mnie, i to przeraża mnie bardziej niż wszystko inne.

Muszę zdjąć rękawiczki.

Żołnierz krzyczy coś, czego nie wychwytuję, bo nie mówi do mnie, nie patrzy w moim kierunku, bo woła do kogoś innego, a ja wykorzystuję moment jego nieuwagi, żeby zerwać stalowy kastet z lewej ręki i rzucić go na ziemię. Muszę zdjąć rękawiczkę. Muszę zdjąć rękawiczkę, bo to moja jedyna szansa przetrwania, ale ona nasiąkła deszczem i przykleiła się do mojej skóry. Nie chce zsunąć się z ręki, a żołnierz odwraca się za szybko. Widzi, co próbuję zrobić, i ciągnie mnie do góry, unieruchamia mi głowę chwytem zapaśniczym i przyciska pistolet do mojej czaszki.

– Wiem, co chcesz zrobić, dziwolągu – mówi. – Słyszałem o tobie. Rusz się o centymetr, a cię zabiję.

Jakoś mu nie wierzę.

Gdyby chciał mnie zastrzelić, już by to zrobił. A on na coś czeka. Nie wiem na co, ale nie jestem ciekawa. Muszę działać szybko. Potrzebuję planu, lecz nic nie przychodzi mi do głowy i tylko drapię bezsilnie jego osłonięte ramię zaciśnięte

wokół mojej szyi, a on potrząsa mną, krzyczy, żebym przestała się rzucać, i jeszcze mocniej napina mięśnie, żeby odciąć mi dopływ powietrza. Wbijam palce w jego przedramię, próbuję walczyć z kleszczowym uściskiem wokół szyi, usiłuję zaczerpnąć powietrza i wpadam w panikę, nagle nie jestem już taka pewna, że mnie nie zabije, i nawet nie zdaję sobie sprawy z tego, co robię, dopóki nie rozlega się jego krzyk.

Połamałam mu wszystkie kości w ręce.

Pada na ziemię, upuszcza broń, chwyta swoją pogruchotaną rękę i przeraźliwie krzyczy z bólu, aż przez chwilę odczuwam pokusę, żeby żałować tego, co zrobiłam.

Zamiast tego uciekam.

Ale udaje mi się zrobić tylko parę kroków, bo wpadam na 3 innych żołnierzy, zaniepokojonych tym, co spotkało ich towarzysza. Kiedy mnie widzą, na ich twarzach pojawia się błysk zrozumienia. Jeden z nich wygląda trochę znajomo, zupełnie jakbym już kiedyś widziała jego kudłate brązowe włosy. Nagle zdaję sobie sprawę, że oni mnie poznają. Ci żołnierze widzieli mnie, kiedy Warner mnie więził. Warner urządził cały spektakl ze mną w roli głównej. Oczywiście, że znają moją twarz.

I nie mają zamiaru mnie wypuścić.

3 z nich z powrotem przyciska mnie twarzą do ziemi, przytrzymując moje ręce i nogi, aż nabieram przekonania, że chcą mi powyrywać kończyny. Próbuję się bronić, próbuję się skupić, żeby okiełznać swoją Energię, i już mam ich zaskoczyć, kiedy

gwałtowne uderzenie w głowę prawie całkowicie pozbawia mnie przytomności.

Dźwięki mieszają się z sobą, głosy zlewają się w jedną wielką kakofonię, nie widzę kolorów, nie wiem, co się ze mną dzieje, nie mam czucia w nogach. Nie wiem nawet, czy idę, czy jestem niesiona, ale czuję krople deszczu. Czuję, jak padają szybko na moją twarz, słyszę szczęk metalu o metal, dobiega mnie znajome elektryczne dudnienie i deszcz ustaje, znika z nieba, a ja wiem tylko 2 rzeczy i tylko 1 z tych rzeczy jestem pewna.

Jestem w czołgu.

Umrę.

## 67

Słyszę dzwoneczki wietrzne.

Słyszę dzwoneczki wietrzne doprowadzone do prawdziwej histerii wściekłymi podmuchami wiatru. Potrafię myśleć wyłącznie o tym, że to dzwonienie wydaje mi się dziwnie znajome. Wszystko wokół mnie nadal wiruje, a ja za wszelką cenę usiłuję zachować kontakt z rzeczywistością. Muszę wiedzieć, dokąd mnie zabierają. Muszę wiedzieć, gdzie jestem. Muszę mieć jakiś punkt odniesienia, uchwycić się resztek świadomości, i to tak, żeby oni się nie zorientowali, że jestem przytomna.

Żołnierze nic nie mówią.

Miałam nadzieję dowiedzieć się czegoś z ich rozmów, ale oni nie odzywają się ani słowem. Są jak maszyny, jak roboty zaprogramowane do wykonania określonego zadania, a ja nie przestaję się dziwić, zastanawiać, nie mogę zrozumieć, dlaczego trzeba było mnie zabrać z pola bitwy, żeby mnie zabić. Dlaczego moja śmierć musi być taka wyjątkowa. Dlaczego wynoszą mnie z czołgu w ten chaos oszalałych dzwoneczków wietrznych. Ośmielam się uchylić powiekę i w ostatniej chwili powstrzymuję krzyk.

To ten dom.

To ten dom na terytoriach nieuregulowanych, ten w kolorze jaj wędrownego drozda, jedyny nadający się do użytku tradycyjny dom w promieniu 800 kilometrów. Ten, który Kenji uznał za pułapkę, dom, w którym spodziewałam się spotkać z ojcem Warnera. Nagle czuję się tak, jakbym dostała obuchem w głowę. Młotem dwuręcznym. Jakby wpadł na mnie pociąg ekspresowy. Doznaję olśnienia, które miażdży mi mózg.

Widocznie Anderson tu jest. Widocznie chce mnie zabić własnoręcznie.

Jestem specjalną przesyłką.

Nawet dzwonią do drzwi.

Słyszę szuranie stóp. Skrzypienie i trzeszczenie schodów. Wycie wiatru na zewnątrz. A potem widzę, co mnie czeka, widzę, jak Anderson torturuje mnie na wszelkie sposoby, dopóki nie umrę, i zastanawiam się, jak się z tego wywinąć. Anderson nie jest głupi. Pewnie przykuje mnie do podłogi i będzie po kolei odcinał mi kończyny. Pewnie będzie chciał się tym nacieszyć.

Otwiera drzwi.

– Ach! Panowie. Bardzo dziękuję – mówi. – Proszę za mną.

I czuję, jak niosący mnie żołnierz przestępuje z nogi na nogę pod ciężarem mojego wilgotnego, bezwładnego, ni stąd, ni zowąd ciężkiego ciała. Zaczynam czuć chłód, który sączy się w moje kości, i zdaję sobie sprawę, że zbyt długo biegłam w ulewnym deszczu.

Drżę, choć nie ze strachu.

Płonę, choć nie z gniewu.

Majaczę i nawet gdybym miała siłę się bronić, nie wiem, czy byłabym w stanie zrobić to, jak należy. To zadziwiające, na ile różnych sposobów mogłam już dzisiaj zginąć.

Anderson pachnie ziemią i bogactwem. Czuję ten zapach, chociaż jestem niesiona przez kogoś innego. To niepokojąco przyjemna woń. Ojciec Warnera zamyka za nami drzwi, wysyłając pozostałych żołnierzy z powrotem do pracy. Co jest równoznaczne z rozkazem, żeby szli zabić więcej ludzi.

Chyba zaczynam mieć halucynacje.

Widzę ciepły kominek, taki, o jakich tylko czytałam. Przytulny salon z miękkimi pluszowymi kanapami i gruby orientalny dywan na podłodze. Widzę obrazki nad kominkiem, choć stąd nie mogę dojrzeć, co na nich jest, słyszę głos Andersona, który mówi, żebym się obudziła. „Musisz się wykąpać, nieźle się ubrudziłaś, co, tak nie może być, prawda? Musisz być przytomna i rozumieć, co się dzieje, inaczej to nie będzie żadna zabawa", mówi, a ja jestem przekonana, że tracę rozum.

Czuję że ktoś stąpa stąpa stąpa ciężko wspinając się na schody i zdaję sobie sprawę że moje ciało przemieszcza się razem z nim. Słyszę jak ze skrzypieniem otwierają się drzwi słyszę szuranie drugiej pary stóp i wypowiadane słowa ale nie potrafię ich już rozróżnić. Ktoś coś do kogoś mówi a ja zostaję rzucona na zimną twardą podłogę.

Słyszę swój jęk.

– Uważaj, żeby nie dotknąć jej skóry.

To jedyne zdanie, które udaje mi się zrozumieć, jedyna dłuższa wypowiedź. Reszta to: „kąpać", „spać", „rano", „nie, nie sądzę" i „bardzo dobrze". Słyszę, jak zatrzaskują się kolejne drzwi. Te zaraz obok mojej głowy.

Ktoś próbuje zdjąć mój kombinezon.

Przytomnieję tak szybko, że to bolesne. Czuję, jak coś we mnie płonie, w mojej głowie, i uderza mnie prosto w oko, i teraz wiem, że na mój stan składa się tak wiele rzeczy. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz jadłam, i prawie nie spałam od 24 godzin. Jestem przemoczona, czuję pulsowanie w głowie, moje ciało było wykręcane i deptane, czuję milion różnych rodzajów bólu. Ale nie pozwolę, żeby jakiś obcy facet zdejmował ze mnie ubranie. Prędzej umrę.

Jednak głos, który słyszę, na pewno nie należy do mężczyzny. Jest miękki, łagodny, matczyny. Przemawia do mnie w języku, którego nie rozumiem, a może to tylko moja głowa odmawia współpracy. Wsłuchuję się w kojące dźwięki, czuję, jak ktoś masuje mi plecy, zataczając rękami niewielkie okręgi. Słyszę szum płynącej wody, czuję unoszące się wokół mnie ciepło, jest tak ciepło, to chyba para, i myślę, że to musi być łazienka albo wanna, i przychodzi mi do głowy, że nie brałam gorącego prysznica, odkąd opuściłam kwaterę Warnera.

Próbuję otworzyć oczy, bezskutecznie.

Czuję się tak, jakby powieki przygniatały mi dwa kowadła, wszystko jest czarne, chaotyczne, zawiłe i wyczerpujące. Rozumiem swoje położenie jedynie w ogólnym zarysie. Kiedy udaje mi się wreszcie uchylić powieki, dostrzegam lśniącą porcelanę czegoś, co, jak sądzę, jest wanną. Mimo protestów, które dobiegają moich uszu, zaczynam się czołgać. Wstaję.

Wywracam się prosto do gorącej wody, całkowicie ubrana, w rękawiczkach, butach i kombinezonie. Jest mi wprost niewiarygodnie przyjemnie.

Moje kości zaczynają tajać, zęby coraz wolniej mi dzwonią, a moje mięśnie

powoli uczą się rozluźniać. Włosy pływają mi wokół twarzy i czuję, jak łaskoczą mnie w nos.

Zanurzam się.

ZASYPIAM

## 68

Budzę się w łóżku zrobionym z nieba. Mam na sobie chłopięce ubranie.

Jest mi ciepło i wygodnie, ale wciąż czuję łamanie w kościach, ból głowy, dezorientację. Siadam. Rozglądam się.

Jestem w czyjejś sypialni.

Leżę zaplątana w niebiesko-pomarańczową pościel we wzór przedstawiający rękawice baseballowe. Obok dostrzegam nieduże krzesło przy niedużym biurku, rząd szuflad i kolekcję plastikowych trofeów poustawianych w idealnie równych rzędach. Proste drewniane drzwi z tradycyjną mosiężną klamką. To musi być wyjście z pokoju. Przesuwne lustra, za którymi musi być szafa. Spoglądam w prawo i dostrzegam mały nocny stolik, a na nim budzik i szklankę wody. Chwytam ją.

To niemal żenujące, jak szybko pochłaniam jej zawartość.

Wyczołguję się z łóżka i przekonuję się, że jestem ubrana w za szerokie granatowe spodenki gimnastyczne. Mam wrażenie, że zaraz mi spadną. Resztę mojego stroju stanowi za luźny T-shirt z jakimś logo. Pływam w nadmiarze materiału. Nie mam na sobie skarpetek. Ani rękawiczek. Ani bielizny.

Nic nie mam.

Zastanawiam się, czy mogę wyjść, i uznaję, że warto spróbować. Nie mam pojęcia, co tutaj robię. Nie mam pojęcia, dlaczego nadal żyję.

Zastygam przed przesuwnymi lustrami.

Moje włosy zostały umyte i wiją się wokół twarzy gęstymi, miękkimi falami. Moja skóra jest jasna i tylko trochę podrapana. Moje oczy są zbyt szeroko otwarte – to dziwna, intensywna mieszanka zieleni i błękitu. Mrugają do mnie z zaskoczeniem i z zaskakującą odwagą.

Tylko moja szyja.

Moja szyja to jeden purpurowy chaos, jeden wielki siniak, ogromna plama na moim ciele. Nie zdawałam sobie sprawy, jak mocno zostałam wczoraj podduszona. Myślę, że to było wczoraj. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, jak bardzo boli mnie przełykanie. Biorę głęboki oddech i mijam lustra. Muszę się stąd wydostać.

Drzwi się otwierają, gdy naciskam klamkę.

Rozglądam się po korytarzu w poszukiwaniu jakiegoś znaku życia. Nie mam pojęcia, jaka jest pora dnia ani w co się wpakowałam. Nie wiem, czy poza Andersonem ktoś jest w tym domu ani kim jest osoba, która zajmowała się mną w łazience, ale muszę zbadać sytuację. Muszę zrozumieć, co mi grozi, wymyślić plan, który pomoże mi wyjść z tego cało.

Próbuję po cichu zejść na dół.

Nic z tego.

Schody skrzypią i trzeszczą pod moim ciężarem. Cofam się, ale zaraz słyszę, jak woła mnie po imieniu.

Jest na dole.

Anderson jest na dole.

– Nie wstydź się – mówi. Słyszę coś, co przypomina szelest papieru. – Mam

dla ciebie jedzenie, na pewno umierasz z głodu.

Serce nagle zaczyna mi bić jak szalone. Zastanawiam się, co mi pozostaje, jakie mam możliwości, i dochodzę do wniosku, że i tak nie uda mi się przed nim schować w jego własnej kryjówce.

Schodzę na dół.

To ten sam piękny mężczyzna, którego widziałam wcześniej. Idealnie ostrzyżone, błyszczące włosy, szeleszczące, odprasowane ubranie. Siedzi w salonie w jednym z miękkich foteli, na kolanach ma koc. Dostrzegam wspaniałą, misternie rzeźbioną, rustykalną laskę opartą o podłokietnik fotela. W ręce ma plik papierów.

Czuję zapach kawy.

– Proszę – mówi do mnie, ani trochę niezaskoczony moim dziwnym, mało cywilizowanym wyglądem. – Usiądź.

Siadam.

– Jak się czujesz? – pyta.

Podnoszę wzrok. Nie odpowiadam.

Kiwa głową.

– No cóż, pewnie jesteś bardzo zaskoczona, widząc mnie tutaj. To śliczny domek, prawda? – Rozgląda się. – Zachowałem go niedługo po tym, jak przeniosłem rodzinę na teren dzisiejszego Sektora 45. Ten sektor miał w końcu być mój. Okazało się, że to idealne miejsce do umieszczenia mojej żony. Nie służyły jej bloki.

Macha ręką, jakby był przekonany, że wiem, o czym mówi.

Do umieszczenia jego żony?

Nie wiem, jak to możliwe, że coś, co wychodzi z jego ust, jest w stanie mnie jeszcze zaskoczyć.

Anderson wygląda tak, jakby zauważył moją konsternację. Wydaje się rozbawiony.

– Czy mam przez to rozumieć, że mój trafiony strzałą Amora chłopak nie opowiedział ci o swojej ukochanej matce? Nie opowiadał godzinami o swojej żałosnej miłości do istoty, która go urodziła?

– Co? – To pierwsze słowo, jakie wypowiadam.

– Jestem wstrząśnięty do głębi – mówi Anderson, uśmiechając się jak ktoś, kto w ogóle nie jest wstrząśnięty. – Nie raczył nawet wspomnieć o swojej chorej, niedomagającej matce, która mieszka w tym domu? Nie powiedział ci, że to dlatego chciał dostać tutaj posadę, koniecznie tu, w tym sektorze? Nie? Nic ci o tym nie powiedział? – Przekrzywia głowę. – Jestem doprawdy wstrząśnięty – powtarza.

Próbuję zapanować nad biciem serca, próbuję zrozumieć, po co, u licha, mi to mówi, próbuję za nim nadążyć, ale cholernie dobrze mu idzie zbijanie mnie z tropu.

– Kiedy zostałem naczelnym dowódcą – ciągnie – miałem zamiar zostawić tu matkę Aarona, a jego zabrać z sobą do kapitolu. Ale chłopak nie chciał jechać bez matki. Chciał się nią opiekować. Nie chciał jej opuścić. Musiał z nią zostać. Jak dziecko – mówi, podnosząc w końcu głos, zapominając się na chwilę.

Przełyka ślinę. Odzyskuje panowanie nad sobą.

A ja czekam.

Czekam na kowadło, które zaraz zrzuci mi na głowę.

– Czy mówił ci, ilu żołnierzy chciało zarządzać Sektorem 45? Spośród ilu

świetnych kandydatów musieliśmy wybierać? Miał tylko osiemnaście lat! – Śmieje się. – Wszyscy myśleli, że tego nie wytrzyma i oszaleje. Ale dałem mu szansę. Pomyślałem, że może tego rodzaju odpowiedzialność dobrze mu zrobi.

Wciąż czekam.

Głębokie, pełne zadowolenia westchnienie.

– Czy wspominał ci kiedyś – mówi Anderson – w jaki sposób udowodnił, że się nadaje?

O, właśnie.

– Czy mówił ci, jak musiał na to zasłużyć?

Czuję się taka martwa w środku.

– Nie – mówi Anderson, a oczy mu błyszczą, tak bardzo błyszczą. – Pewnie wolał o tym nie wspominać, co? Założę się, że ci się z tego nie zwierzał.

Nie chcę tego słuchać. Nie chcę tego wiedzieć. Nie chcę już słyszeć niczego więcej...

– Nie martw się – mówi Anderson. – Nie zepsuję wam tego. Najlepiej niech sam się tym z tobą podzieli.

Już nie jestem spokojna. Nie jestem ani trochę spokojna, wręcz wpadam w panikę.

– Zaraz wyruszam do bazy – mówi Anderson, przerzucając papiery, jakby nie przeszkadzało mu, że prowadzi ze mną całkowicie jednostronną konwersację. – Źle znoszę przebywanie zbyt długo pod jednym dachem z jego matką. Niestety, nie najlepiej dogaduję się z chorymi. Ale okazało się, że w zaistniałych okolicznościach to dość wygodny punkt dowodzenia. Łatwo stąd nadzorować to, co dzieje się na osiedlach.

Bitwa.

Walka.

Masakra, Adam, Kenji, Castle i wszyscy, których tam zostawiłam

Jak mogłam o nich zapomnieć

Przychodzą mi do głowy przerażające możliwości. Wszystko mogło się zdarzyć. Czy nic im się nie stało. Czy wiedzą, że ja żyję. Czy Castle'owi udało się odbić Brendana i Winstona.

Czy zginął ktoś, kogo znam.

Rozglądam się oszalałym, rozbieganym wzrokiem. Wstaję, przeświadczona, że to wszystko jest tylko wyrafinowaną pułapką, że pewnie zaraz ktoś zaatakuje mnie od tyłu albo wyskoczy z kuchni z tasakiem. Nie mogę złapać tchu, świszczę i usiłuję wymyślić co robić co robić co robić i

– Co ja tutaj robię? – pytam. – Po co mnie pan tu sprowadził? Dlaczego mnie pan jeszcze nie zabił?

Anderson patrzy na mnie. Przekrzywia głowę.

– Gniewam się na ciebie, Julio. Jestem bardzo, bardzo niezadowolony. Zachowałaś się bardzo niełądnie.

– Co? – Tylko tyle jestem w stanie wykrztusić. – O czym pan mówi?

Przez jedną szaloną chwilę zastanawiam się, czy on wie, co się wydarzyło między mną a Warnerem. Prawie czuję, jak się czerwienię.

Ale on bierze głęboki oddech. Chwyta opartą o fotel laskę. Musi użyć całej

swojej siły, żeby podnieść się na nogi. Drży.

Jest ranny.

– Ty mi to zrobiłaś. Obezwładniłaś mnie. Postrzeliłaś mnie w nogi. Chciałaś mnie zastrzelić. I porwałaś mojego syna.

– Nie – mówię. – To nie...

– Ty mi to zrobiłaś – przerywa. – Pora na rewanż.

## 69

Oddychanie. Muszę pamiętać o oddychaniu.

– To naprawdę niezwykłe – mówi Anderson – czego dokonałaś zupełnie sama. W tamtym pokoju były tylko trzy osoby – mówi. – Ty, ja i mój syn. Moi żołnierze obserwowali teren i powiedzieli, że przyszłaś zupełnie sama. – Cisza. – Spodziewałem się, że przyprowadzisz z sobą cały oddział. Nie sądziłem, że starczy ci odwagi, żeby spotkać się ze mną bez obstawy. A ty sama jedna mnie rozbroiłaś i wykradłaś naszych zakładników. Musiałaś przenieść w bezpieczne miejsce dwóch mężczyzn, nie licząc mojego syna. Nie mogę pojąć, jak ci się to udało.

A ja dochodzę do wniosku, że wybór jest prosty.

Albo powiem Andersonowi o Kenjim i Adamie, ryzykując, że będzie ich ścigał, albo wezmę wszystko na siebie.

Więc patrzę Andersonowi w oczy.

Kiwam głową.

– Nazwał mnie pan głupiutką dziewczynką. Powiedział pan, że jestem zbyt tchórzliwa, żeby się bronić.

Po raz pierwszy wygląda tak, jakby poczuł się niepewnie. Jakby zdał sobie sprawę, że gdybym chciała, mogłabym zrobić to jeszcze raz.

A ja myślę sobie, owszem, pewnie bym mogła. To świetny pomysł!

Na razie jednak jestem ciekawa, czego on może ode mnie chcieć. Dlaczego ze mną rozmawia. Nie muszę atakować od razu. Wiem, że mam nad nim przewagę. Powinnam go łatwo pokonać.

Anderson odchrząkuje.

– Miałem zamiar już wracać do kapitolu – mówi. Bierze głęboki oddech. – Lecz okazuje się, że moja praca tutaj jeszcze nie dobiegła końca. Przez tych twoich ludzi wszystko okropnie się komplikuje. Trudno zwyczajnie zabić wszystkich cywilów. – Cisza. – Cóż, nie, właściwie to nieprawda. Nie jest trudno ich zabić, tylko że to byłoby niepraktyczne. – Patrzy na mnie. – Gdybym zabił wszystkich, nie zostałby nikt, kim mógłbym rządzić, prawda?

Zaczyna się śmiać, jakby powiedział coś zabawnego.

– Czego pan ode mnie chce? – pytam.

Bierze głęboki oddech. Uśmiecha się.

– Muszę przyznać, Julio, że naprawdę jestem pod wrażeniem. Sama zdołałaś mnie pokonać. Wykazałaś się dalekowzrocznością i wzięłaś mojego syna jako zakładnika. Uratowałaś dwóch waszych ludzi. Wywołałaś trzęsienie ziemi, żeby wyciągnąć z opresji pozostałych!

Śmieje się. Śmieje się i śmieje i śmieje.

Nie mam zamiaru mu wyjaśniać, że tylko 2 z tych rzeczy są prawdą.

– Teraz widzę, że mój syn miał rację. Mogłabyś być dla nas bezcenna, szczególnie teraz. Znasz rozkład ich kwatery głównej lepiej niż Aaron.

Więc Warner widział się z ojcem.

Podzielił się z nim naszymi sekretami. Oczywiście, że tak. Nie wiem, dlaczego

mnie to dziwi.

– Mogłabyś pomóc mi zniszczyć swoich przyjaciół – ciągnie Anderson. – Mogłabyś udzielić mi wszystkich potrzebnych informacji. Mogłabyś opowiedzieć mi o pozostałych dziwolągach. Co potrafią, jakie są ich mocne i słabe strony. Mogłabyś mnie zabrać do ich kryjówki. Zrobiłabyś wszystko, o co cię poproszę.

Mam ochotę splunąć mu w twarz.

– Prędzej umrę – mówię. – Wolałabym spłonąć żywcem.

– Och, śmiem wątpić. – Przenosi ciężar ciała tak, żeby pewniej wesprzeć się na lasce. – Myślę, że zmieniłabyś zdanie, gdybyś tylko poczuła, jak topi ci się skóra na twarzy. Ale nie chcę być nieuprzejmy. Niczego nie wykluczam, jeśli naprawdę jesteś zainteresowana.

Koszmarny, koszmarny człowiek.

Uśmiecha się szeroko, zadowolony z mojego milczenia.

– Tak, z pewnością.

Drzwi wejściowe otwierają się gwałtownie.

Nie ruszam się. Nie odwracam się. Nie wiem, czy chcę zobaczyć to, co się ze mną stanie, ale wtedy słyszę, jak Anderson kogoś wita. Zaprasza go do środka. Prosi, żeby przywitał się z gościem.

Moim oczom ukazuje się Warner.

Słabnę, zaczyna mnie mdlić, zalewa mnie fala zażenowania. Warner nie odzywa się ani słowem. Ubrany w swój idealny garnitur, idealnie uczesany, wygląda dokładnie tak jak ten Warner, którego zobaczyłam po raz pierwszy. Jedyna różnica tkwi w jego spojrzeniu. Wpatruje się we mnie, jakby nie mógł otrząsnąć się z szoku, który zupełnie pozbawia go sił. Wygląda wręcz na chorego.

– Kopę lat, co, dzieci? – Tylko Anderson się śmieje.

Warner oddycha, tak jakby przed chwilą zdobył kilka szczytów, jakby nie mógł zrozumieć, co widzi albo dlaczego to widzi, wpatruje się w moją szyję, w brzydkie, plamiste wybroczyny, które zabarwiają moją skórę, i jego twarz wykrzywia coś, co wygląda jak strach, przerażenie i ból. Jego wzrok pada na moją koszulkę, szorty i jego usta otwierają się dokładnie na tyle, żebym zdążyła to zauważyć, a potem opanowuje się, wyciera uczucia z twarzy. Usiłuje zachować spokój, ale widzę gwałtowne ruchy jego klatki piersiowej.

– Co ona tutaj robi? – pyta.

Jego głos brzmi znacznie ciszej niż zwykle.

– Kazałem nam ją dostarczyć – mówi Anderson po prostu.

– Po co? – pyta Warner. – Powiedziałeś, że nie chcesz jej...

– Cóż – odpowiada Anderson z namysłem. – To niezupełnie prawda. Z pewnością mógłbym wykorzystać jej obecność, jednak w ostatniej chwili doszedłem do wniosku, że nie interesuje mnie już jej towarzystwo. – Kręci głową. Patrzy na swoje nogi. Wzdycha. – To po prostu strasznie frustrujące być kaleką – mówi, znowu się śmiejąc. – To tak niewiarygodnie frustrujące. Ale – dodaje z uśmiechem – przynajmniej dowiedziałem się, że można w szybki i łatwy sposób to naprawić. Sprawić, żeby wszystko, jak to mówią, wróciło do normy. To zupełnie jak czary.

Coś w jego oczach, chory uśmiech w jego głosie, sposób, w jaki wymawia ostatnie zdanie, to wszystko sprawia, że robi mi się niedobrze.

– Co pan ma na myśli? – pytam, bojąc się usłyszeć jego odpowiedź.

– Dziwi mnie twoje pytanie, moja droga. Naprawdę myślałaś, że nie zauważyłem nowiutkiej ręki mojego syna? – Śmieje się. – Sądziłaś, że umknie mi taki drobiazg jak to, że wrócił do domu nie tylko cały i zdrowy, ale w dodatku z magicznie zagojoną raną postrzałową? Żadnych blizn, żadnego bólu, żadnego osłabienia, jakby nigdy nic mu się nie stało! To cud. Cud, którego, jak poinformował mnie syn, dokonały dwa twoje małe dziwolągi.

– Nie.

Czuję narastające, wręcz oślepiające przerażenie.

– Ależ tak. – Zerka na Warnera. – Prawda, synu?

– Nie! – wykrzykuję. – O, Boże. Co im zrobiłeś, GDZIE ONE SĄ?

– Uspokój się – mówi do mnie Anderson. – Mają się świetnie. Po prostu poprosiłem, żeby mi je dostarczono, tak samo jak ciebie. Muszą być całe i zdrowe, jeżeli mają uzdrowić mnie, nie uważasz?

– Wiedziałeś o tym? – Odwracam się rozgorączkowana do Warnera. – Ty to zrobiłeś? Wiedziałeś...

– Nie, Julio – mówi. – Przysięgam, że to nie był mój pomysł...

– Denerwujecie się bez powodu – mówi Anderson, machając leniwie ręką w naszym kierunku. – Są ważniejsze sprawy, na których trzeba się skupić. Bardziej naglące problemy do rozwiązania.

– O czym ty mówisz? – pyta Warner.

Wygląda tak, jakby nie oddychał.

– O sprawiedliwości, synu. – Anderson patrzy teraz na mnie. – Mówię o sprawiedliwości. Lubię, kiedy sprawy są załatwione, jak należy. Kiedy na świecie panuje porządek. I czekałem na ciebie, żeby pokazać ci, co dokładnie mam na myśli. To powinienem był zrobić za pierwszym razem. – Zerka na Warnera. – Słuchasz? Patrz teraz uważnie. Patrzysz?

Wyciąga pistolet.

I strzela mi w pierś.

## 70

Moje serce wybuchło.

Odrzuca mnie do tyłu, potykam się o własne stopy, upadam, uderzając głową o przykrytą dywanem podłogę. Moje ręce robią niewiele, żeby osłabić siłę upadku. Czuję ból, jakiego nigdy dotąd nie zaznałam, ból, którego istnienia nie podejrzewałam, jakiego nigdy nie potrafiłabym sobie wyobrazić. Jakby w mojej piersi wybuchł dynamit, jakbym została podpalona od wewnątrz. Nagle wszystko zwalnia.

Więc tak to jest, myślę, to takie uczucie, kiedy się umiera.

Mrugam i mam wrażenie, że to trwa całą wieczność. Mam przed sobą serię nieostrych obrazów, kolorów, ciał i świateł, sztywnych ruchów, wszystko faluje, wszystko się zlewa. Dźwięki są zniekształcone, zafałszowane, zbyt wysokie albo za niskie, żeby brzmiały wyraźnie. Przez moje żyły przetaczają się lodowate wstrząsy, jakby każda część mojego ciała zasnęła i próbowała się znowu obudzić.

Przed sobą widzę czyjąś twarz.

Próbuję rozróżnić jej kształt, kolory, próbuję odzyskać ostrość, ale to za trudne, i nagle czuję, że nie mogę złapać tchu, jakby w moim gardle tkwiły ostrza noży, jakbym miała ponakłuwane płuca. Im więcej mrugam, tym mniej wyraźnie widzę. Oddycham płytko, ściśniętą piersią, dyszę i przypominam sobie, jak w dzieciństwie lekarze rozpoznali u mnie astmę. Mylili się. Mój płytki oddech był objawem paniki, lęku, hiperwentylacji. A teraz czuję się bardzo podobnie. Jakbym próbowała zaczerpnąć tlenu, oddychając przez najcieńszą słomkę. Jakby moje płuca po prostu zrobiły sobie urlop i pojechały na wakacje. Mam coraz silniejsze zawroty głowy, po chwili wszystko zaczyna wirować. I ten ból, ten ból, ten ból. Ból jest straszliwy. Ból jest najgorszy. To ból, który chyba już nigdy nie ustanie.

Nagle tracę wzrok.

Czuję, że krwawię, choć tego nie widzę, czuję, jak krew ze mnie wycieka, a ja mrugam i mrugam i mrugam rozpaczliwie, próbując odzyskać wzrok. Ale widzę tylko białą mgłę. Nie słyszę nic, tylko pulsowanie w uszach i krótkie krótkie krótkie rozpaczliwe dyszenie i jest mi gorąco, straszliwie gorąco, krew, która ze mnie uchodzi, jest wciąż świeża i ciepła, zbiera się pode mną i wokół mnie.

Energia ze mnie uchodzi, nadlatują myśli o śmierci, o tym, jak krótkie było moje życie i jak mało przeżyłam. Jak wiele swoich dni spędziłam, kuląc się ze strachu, nigdy się nie broniąc, zawsze próbując być kimś, kim inni chcieli, żebym była. Przez 17 lat próbowałam dopasować się do szablonu, który miał zapewnić im komfort, poczucie bezpieczeństwa, spokój.

I nigdy mi się to nie udawało.

Umrę, nie osiągnąwszy niczego. Wciąż jestem nikim. Jestem tylko głupią dziewczynką, która wykrwawia się na śmierć na podłodze w domu psychopaty.

I myślę, że gdybym mogła zrobić wszystko od nowa, zrobiłabym to zupełnie inaczej.

Byłabym lepsza. Zrobiłabym coś pożytecznego. Zmieniłabym coś na tym

żałosnym, żałosnym świecie.

Zaczęłabym od zabicia Andersona.

Jaka szkoda, że jestem o krok od śmierci.

## 71

Moje oczy się otwierają.

Rozglądam się zaskoczona tą dziwaczną wersją życia po życiu. Ciekawe. Warner nadal tu jest. Wciąż chyba nie mogę się ruszyć, wciąż czuję ten niewiarygodny ból. Ale jeszcze dziwniejsze, że widzę Sonię i Sarę. Nawet nie próbuję zrozumieć ich obecności na tym obrazku.

Coś słyszę.

Dźwięki stają się coraz wyraźniejsze. Nie mogę podnieść głowy, żeby zobaczyć coś więcej, więc próbuję skoncentrować się na tym, co mówią.

Kłócą się.

– Musicie! – krzyczy Warner.

– Nie... Nie możemy jej dotknąć – mówi Sonia zdławionym głosem. – Nie ma sposobu, żebyśmy mogły jej pomóc.

– Nie wierzę, że ona naprawdę umiera! – wykrzykuje Sara. – Nie wierzyłam, że mówisz prawdę...

– Ona nie umiera! – krzyczy Warner. – Ona nie umrze! Proszę, posłuchajcie – mówi rozpaczliwie – możecie jej pomóc, próbuję wam to wyjaśnić. Musicie tylko dotknąć mnie, a ja przechwycę waszą moc, mogę ją przewodzić, sterować nią i skierować waszą Energię...

– To niemożliwe – mówi Sonia. – To nie... Castle nie wspominał, że potrafisz to zrobić, powiedziałby nam, gdyby tak było...

– Jezu, proszę, posłuchajcie mnie – powtarza łamiącym się głosem. – To nie jest żaden podstęp...

– Porwałeś nas! – krzyczą obie jednocześnie.

– To nie ja! Nie ja was porwałem...

– Dlaczego miałybyśmy ci ufać? – pyta Sara. – Skąd mamy wiedzieć, że nie ty jej to zrobiłeś?

– Dlaczego nic was to nie obchodzi? – Warner dyszy. – Jak możecie się tym nie przejmować? Dlaczego nie obchodzi was, że ona wykrwawia się na śmierć... Myślałem, że jesteście jej przyjaciółkami...

– Oczywiście, że nas to obchodzi! – mówi Sara, a jej głos załamuje się na ostatnim słowie. – Ale jak mamy jej pomóc? Dokąd mamy ją zabrać? Do kogo? Nikt nie może jej dotknąć, a straciła już tyle krwi, popatrz...

Gwałtowny wdech.

– Julio?

Kroki. Stąpanie stąpanie stąpanie. Poruszenie wokół mojej głowy. Wszystkie dźwięki odbijają się od siebie, zderzają się, wirują dokoła mnie. Nie mogę uwierzyć, że jeszcze nie umarłam.

Nie mam pojęcia, jak długo tu leżę.

– Julio? JULIO...

Głos Warnera jest liną, której chciałabym się uchwycić. Chcę ją chwycić, obwiązać się w pasie i chcę, żeby wyciągnął mnie z tego nieruchomego świata, w

którym jestem uwięziona. Chcę mu powiedzieć, żeby się nie martwił, że wszystko w porządku, że nic mi nie będzie, bo jestem z tym pogodzona, jestem gotowa na śmierć, ale nie mogę. Nic nie mogę powiedzieć. Wciąż nie mogę oddychać, ledwie udaje mi się ułożyć usta w kształt słów. Mogę jedynie wydawać z siebie to pełne udręki płytkie dyszenie i zastanawiać się, jak to możliwe, że wciąż jeszcze tu jestem.

Nagle Warner klęka okrakiem nad moim krwawiącym ciałem, ostrożnie, żeby mnie nie przycisnąć, i podciąga rękawy mojej koszulki. Chwyta moje nagie ramiona i mówi:

– Wyzdrowiejesz. Naprawimy to... pomogą mi to naprawić i... wyzdrowiejesz. – Nabiera powietrza. – Będziesz cała i zdrowa. Słyszysz mnie? Julio, słyszysz mnie?

Mrugam do niego. Mrugam i mrugam i mrugam do niego. Ciekawe, że wciąż fascynują mnie jego oczy. Ten zaskakujący odcień zieleni.

– Złapcie mnie za ręce! – krzyczy do dziewcząt, mocno trzymając moje ramiona. – Szybko! Proszę! Błagam was...

I z jakiegoś powodu one go jednak słuchają.

Może coś zauważają, coś w jego wyrazie twarzy. Może widzą to, co ja widzę z tej chaotycznej, zamglonej perspektywy. Rozpacz, cierpienie, sposób, w jaki na mnie patrzy – jakby miał umrzeć, jeśli ja umrę.

I przychodzi mi do głowy, że to ciekawy prezent pożegnalny od świata.

Okazuje się, że nie umieram w samotności.

## 72

Znowu tracę wzrok.

Gorąco wlewa się we mnie z taką intensywnością, że przesłania mi pole widzenia. Nie czuję nic oprócz gorąca, gorąca, palącego, gorącego żaru, który przepływa przez moje kości, nerwy, skórę, przez każdą komórkę mojego ciała.

Wszystko płonie.

Z początku odnoszę wrażenie, że to ten sam żar, który czuję w piersi, w miejscu, w którym kiedyś było moje serce, ale potem zdaję sobie sprawę, że to ogień, który właściwie nie parzy. To jakiś kojący rodzaj gorąca. Potężnego, niezwykle intensywnego, lecz jednocześnie miłego. Moje ciało nie chce go odrzucić. Nie wzdryga się przed nim, nie próbuje się przed nim bronić.

Mam wrażenie, że moje plecy unoszą się z podłogi, kiedy ten ogień uderza w moje płuca. Nagle zaczynam chwytać powietrze ogromnymi, potężnymi, szaleńczymi haustami, nabieram pełne płuca tlenu, jakbym miała się rozpłakać, jeśli tego nie zrobię. Piję tlen, pochłaniam go, dławię się nim, wciągam go tak szybko, jak to tylko możliwe, całe moje ciało faluje z wysiłku, żeby powrócić do życia.

Czuję się tak, jakby ktoś na nowo mnie pozszywał, jakby wszystko we mnie się regenerowało, w nadludzkim tempie wracało do zdrowia. Mrugam, oddycham, poruszam głową, próbuję coś zobaczyć, ale wciąż wszystko jest rozmyte, wciąż niejasne, choć jest mi trochę łatwiej. Czuję palce u rąk i u nóg, mam czucie w kończynach i znowu bije mi serce. Nagle twarze nade mną nabierają ostrości.

Ni stąd, ni zowąd żar zanika.

Ręce znikają.

Znowu upadam na podłogę.

I wszystko staje się czarne.

## 73

Warner śpi.

Śpi tuż obok mnie. Jest ciemno. Dopiero po kilku próbach otwarcia oczu zrozumiałam, że tym razem nie jestem ślepa. Zerkam za okno i dostrzegam księżyc. Jest wypełniony po brzegi światłem i przelewa je do tego niewielkiego pokoju.

Nadal tu jestem. W domu Andersona. W pokoju, który kiedyś musiał być sypialnią Warnera.

A on śpi na poduszce obok mnie.

W świetle księżyca jego rysy wydają się delikatne, niemal eteryczne. Jego twarz wygląda spokojnie, skromnie i niewinnie. Jakie to nieprawdopodobne, że on tu jest, leży obok mnie. Że ja tu jestem, leżę obok niego.

Że leżymy razem w łóżku z czasów jego dzieciństwa.

Że uratował mi życie.

„Nieprawdopodobne" to takie głupie słowo.

Poruszam się nieznacznie, a Warner zrywa się natychmiast, siada wyprostowany, z falującą piersią, błyszczącym wzrokiem. Patrzy na mnie, widzi, że się obudziłam, że mam otwarte oczy, i zastyga w bezruchu.

Tyle rzeczy chciałabym mu powiedzieć. Tyle rzeczy muszę mu powiedzieć. Tyle jest rzeczy, które muszę teraz zrobić, które muszę rozwiązać, o których muszę zdecydować.

Ale na razie mam tylko jedno pytanie.

– Gdzie jest twój ojciec? – szepczę.

Warner dopiero po chwili wydobywa głos.

– W bazie. Wyszedł zaraz po... – Waha się, walczy sekundę. – Zaraz po tym, jak do ciebie strzelił.

Niewiarygodne.

Wyszedł, gdy zalewałam krwią podłogę w salonie. Zostawił mnie synkowi do posprzątania. Taka nauczka. Zakochaj się, mały, to zobaczysz, jak twoja ukochana wykrwawia się na śmierć.

– Więc nie wie, że tu jestem? – pytam Warnera. – Nie wie, że żyję?

Warner kręci głową.

– Nie.

A ja myślę sobie: dobrze. To bardzo dobrze. Lepiej, żeby myślał, że nie żyję.

Warner ciągle na mnie patrzy. Patrzy i patrzy, i patrzy na mnie, tak jakby chciał mnie dotknąć, ale bał się jeszcze bardziej zbliżyć. Wreszcie szepcze:

– Nic ci nie jest, skarbie? Jak się czujesz?

A ja uśmiecham się do siebie, myśląc, na ile sposobów mogłabym odpowiedzieć na to pytanie.

Czuję, że moje ciało jest bardziej wyczerpane, pokonane, wycieńczone niż kiedykolwiek wcześniej w moim życiu. Czuję, że od 2 dni nie miałam w ustach nic oprócz szklanki wody. Nigdy jeszcze nie czułam się tak zdezorientowana, jeśli chodzi o ludzi. Nie wiem już, kim są naprawdę. Dziwnie się czuję, leżąc tu, w jednym z

domów, jakie, jak nam mówiono, już nie istnieją, na łóżku z jednym z najbardziej znienawidzonych, przerażających ludzi w Sektorze 45. Nie mogę uwierzyć, że tak przerażający człowiek potrafi okazać komuś tyle czułości. Myślę o tym, że uratował mi życie. Że jego ojciec do mnie strzelił. Że zaledwie kilka godzin temu leżałam w kałuży własnej krwi.

Myślę o tym, że moi przyjaciele pewnie nadal walczą, o tym, jak Adam musi cierpieć, nie wiedząc, gdzie jestem i co się ze mną stało. Że Kenji nadal pracuje za trzech. Że może wciąż nie udało się odnaleźć Brendana i Winstona. Że wszyscy ludzie z Punktu Omega mogą już nie żyć. I to mi daje do myślenia.

Czuję się lepiej niż kiedykolwiek w całym swoim życiu.

Nie mogę uwierzyć w to, jak się czuję. Wiem, że wszystko będzie teraz wyglądało zupełnie inaczej. Mam tyle do zrobienia. Tyle rachunków do wyrównania. Tylu przyjaciół, którzy potrzebują mojej pomocy.

Wszystko się zmieniło.

Dawno temu byłam tylko dzieckiem.

Dzisiaj nadal jestem tylko dzieckiem. Ale mam żelazną wolę, 2 pięści ze stali i przybyło mi 50 lat. Nareszcie coś z tego rozumiem. Nareszcie pojęłam, że wystarczy mi siły, że mam trochę więcej odwagi, że może tym razem uda mi się osiągnąć to, co chciałam.

Tym razem jestem siłą.

Dewiacją ludzkiej natury.

Jestem żywym, oddychającym dowodem na to, że natura ni mniej, ni więcej, tylko spaprała robotę, a teraz boi się, co może z tego wyniknąć.

Jestem silniejsza. Bardziej wściekła.

Jestem gotowa zrobić coś, czego z pewnością będę żałowała, i tym razem mnie to nie obchodzi. Nie będę już miła. Nie będę już zalękniona. Niczego już się nie boję.

Moją przyszłością jest chaos.

A rękawiczki zostawiam w domu.

## Podziękowania

Mamo. Tato. Moi Bracia. Moja Rodzino. Kocham Was, kiedy się śmiejecie. Kocham Was, kiedy płaczecie. Kocham Was, kiedy śmiejecie się i płaczecie nad każdym dzbankiem herbaty, jaki razem wypijamy. Jesteście najwspanialszymi ludźmi, jakich kiedykolwiek spotkałam. Jesteście zmuszeni przebywać ze mną od urodzenia, a nigdy z tego powodu nie narzekaliście. Dziękuję za każdą gorącą filiżankę. Za to, że nigdy nie puściliście mojej dłoni.

Jodi Reamer. Powiedziałam: dzień dobry, a ty się uśmiechnęłaś, więc zapytałam o pogodę, a ty powiedziałaś: „Pogoda? Pogoda jest nieprzewidywalna". Zapytałam cię o drogę. Odparłaś, że wiadomo, że jest wyboista. Zapytałam: czy wiesz, co się zdarzy? Powiedziałaś, że nie masz pojęcia. A potem wprowadziłaś mnie w jedne z najlepszych lat mojego życia. Więc teraz mówię: nigdy Ci tego nie zapomnę.

Taro Weikum. Czytasz słowa, które piszę sercem i rękami, i rozumiesz je z przenikliwością, która jest zarazem bolesna i zdumiewająca. Podobnie jak Twoja błyskotliwość, Twoja cierpliwość, Twoja niewyczerpana dobroć. Twoje hojne uśmiechy. To wielki zaszczyt móc z Tobą pracować.

Tano. Rando. Uroniłyśmy razem wiele łez – smutku, radości. Ale najwięcej łez wylałam wtedy, kiedy się razem śmiałyśmy. Wasza przyjaźń jest najwspanialszym darem – to błogosławieństwo, na które każdego dnia rozpaczliwie próbuję zasłużyć.

Sarah. Nathanie. Za Wasze niesłabnące wsparcie. Jesteście tak wspaniali, że brak mi słów.

Sumayyah. Za Twoje ramię i Twoje ucho, i za bezpieczną przystań, którą mi ofiarowałaś. Nie wiem, co bym bez tego zrobiła.

Dziękuję Wam, Drodzy Przyjaciele z HarperCollins i Writers House. Nigdy nie będę w stanie wyrazić swojej wdzięczności za to, co robicie. Dziękuję Melissie Miller za jej miłość i entuzjazm, Christinie Colangelo, Diane Naughton i Lauren Flower za ich energię, pasję i bezcenną w marketingu waleczność, Hallie Patterson, mojej niespotykanie utalentowanej specjalistce od reklamy, która jest jednocześnie mądra i dobra. Dziękuję Carze Petrus i Sarah Kaufman za to, że potrafią ożywić te wszystkie zadziwiające okładki. I Colinowi Andersonowi, grafikowi, którego praca wciąż mnie zadziwia. Dziękuję Brennie Franzitcie: jestem szczęś.liwa, że mam tak genialną adiustatorkę (mam nadzieję, że prawidłowo użyłam tego dwukropka). Dziękuję również Alecowi Shane'owi – za wszystko, między innymi za to, że potrafi zachować się z wdziękiem, kiedy w jego biurze pojawiają się cieknące zabawki dziecięce o dziwnych kształtach, Cecilii de la Campa – za wysiłek, jaki wkłada w to, żeby moje książki można było czytać na całym świecie, Beth Miller – za jej ciągłe wsparcie, Kassie Evashevski z United Talent Agency – za jej milczący urok i nieomylny instynkt.

Jak zawsze dziękuję moim Czytelnikom! Bez Was nie miałabym z kim rozmawiać, oprócz postaci w mojej głowie. Dziękuję, że zechcieliście mi towarzyszyć w tej podróży z Julią.

I wszystkim moim Przyjaciołom z Twittera, Tumblr, Facebooka, i Czytelnikom mojego bloga: dziękuję Wam. Naprawdę. Nie wiem, czy kiedykolwiek się dowiecie, ile zawdzięczam Waszej przyjaźni, wsparciu i poświęceniu.

Stokrotne dzięki.